

Henryk Jencyk
Adersheim 1990

II / 1568 / I Koubrows

1

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Fragment książki pod tytułem;

* C Z A R S Y B E R I I *

PRZEDMOWA;

Jako były "katorżnik" polityczny, więzień GUŁAGU-NKWD z numerem na plecach P/17404, zarejestrowany na BUDOWIE 501 STROIKI SIEWIERNYCH ŁACIEREJ KOMI ASSR, w roku 1944 skazany na karę śmierci z zamianą na 10 lat ciężkich robót w OBOZACH PRACY, osadzony według artykułu 58 (zdrada ojczyzny) przez TRYBUNAŁ WOJENNY 39 ARMII CZERWONEJ 3-go Białoruskiego Frontu, gdzieś pod frontem około Kowna. Sądziła mnie "wesoła trójka" o nosach semickich.

Po odpracowaniu takowych w roku 1953 przeniesion na "wiecyste przebywanie" na Syberii, w rejonie Siewiero-Jenisejska Krasnojarskiego Kraju.

Interrowany zostałem w roku 1944 w lipcu, tuż po szturmie na miasto WILNO, podstępnie ujęto mnie (wraz z tysiącami innych pol. żołnierzy i oficerów) w majątku Wiłkorabiszki, niedaleko Sztabu 5-tej Armii Gen. "WILKA" w akcji rozbrajania "polskich panów" walczących w Oddziałach Armii Krajowej.

W pierwszych dniach mojego dramatu, żegnam swoje ukochane Wilno, najdroższą ziemię litewską (urywek z książki; "Karawany polskie idą na wschód po własną śmierć". Niestety, z ostatnim najcięższym westchnieniem do PANI co w "OSTREJ ŚWIECI BRAMIE", prawie ze włzami, żegnam na zawsze wszystko co mi pozostało drogie i najmilsze sercu... Wraz z tysiącem lokatorów "Wilenskich Łukiszek" wsiałam, a właściciele wsadzają mnie pod karabinem do straszego pociągu towarowego relacji WILNO - NIEZNANE ???

Po 40 dniach bardzo uciążliwej podróży (zupełnie nie podobnej do "ORBISOWSKIEJ") i chyba tylko sam BERIA wiedział dlaczego krążyliśmy wokół MOSKWI przez 9 nocy ?

Zaczynając swój "katorżniczy żywot" od OBOZU w dziewiczych lasach GORKOWSKIEJ Obłasci, rejonu WIATKA o dziwnej nazwie "ŁASZMAN".

Zimą 1945 roku, w trudnych i mroźnych warunkach przysposabiano nas (grupe ludzi, około 600 skazanych) na dalsze przebywanie w warunkach polarnych, bo już wiosną 1946 r. zaledwie 70-ciu jakotako zdrowych, dokaptowano do pociągu jadącego do KOMI REPUBLIKI.

Do sławnej PIECZORY, miejsca sżyłki naszego nieodżałowanego Marszałka Polski Konstantego Rokosowskiego cha!, cha!, cha!... cóż za wspaniały kawał, żart Jośki Stalina w stosunku do polskiego narodu.

Na PIECZORZE, przydzielono nas do pracy przy oczyszczaniu kolei i stacji od gór śniegu. Setki tysięcy podobnych do mnie, szturmowało białe pierzyny od śnieżnej burzy (mietel-purga) która akurat przeszła nad Pieczorska Magistrala.

W rok później znalazłem się już na 501 Budowie Kolei-wiodacej z WORKUTY, przez góry URAL do SALICHARDU - portu przy ujściu rzeki OB do morza.

Po wielkim buncie i krwawym jego stłumieniu przez wojska NKWD, nas politycznych oddzielono od kryminalistów Sowieckich i powieziono do innych OBOZOW na SYBERII. Nasze karawany wlokły się miesiącami, pozostawiając po sobie na wielu mniejszych stacjach sztywnych współtowarzyszy. Przeważnie nocami mijaliśmy większe miasta, jak; Abiss, Pieczora, Kotłas, Magnitogorsk, Ural, Omsk, Nowosybirsk, Krasnojarsk, Tajszet, Brack-Irkuckoj Obłasci, gdzie w samym sercu tajgi byliśmy pionierami budowy dzisiejszych GIGANTÓW, jak Bracka Hydro-elektrownia i Celuloza na 124 km.

O każdym OBOZIE w ustroju komunistycznym w szczegółach opiszę w swoich książkach i nowelach.

Natomiast już dziś cieszy wiadomość z Polski, że pokazują się, po trochu wydania o tematyce zniewolonych i rozproszonych po całym imperium Sowieckim, naszych współrodaków, ciesze się z każdej książki, pisanej spracowana ręką, jakiegoś polaka-drwala, czy górnika z kopalni złota lub uranu. Jak to dobrze że już są dostępne ogółowi książki o treści bardzo ciężkiej, pisanej na odlew...., już są oznaki, że zaczną pokazywać się "KRZYSZTONTE", którzy pokonując różne przeszkody (naprzykład papier) śmiało opiszą dla świata - historię POLAKÓW deportowanych i uwięzionych.

W kraju panuje obecnie dobry klimat, podobny do ciepłej odwilży, napewno sprzyjający dla tych co tam byli a jeszcze żyją, powinni się ujawniać i pisać, pisać, pisać, przypominając potomnym że "Nie jeden na stepie był wielbłąd" i że nie jeden płonał "KRZYŻ POŁUDNIA". My wszyscy, którzy byli świadkami wydarzeń i represji bolszewików, musimy świadczyć wiarygodnym odzewem-tamtých okrutnych czasów, tamtých niezapomnianych łez (nie żadko krwawych) i tych porannych skomleń do BOGA o życie, o przetrwanie.....

Nie powinniśmy także zapominać o przyżeczeniach danych umierającym i tym co tam pozostali po dzień dzisiejszy, a przecież nieraz obiecywalismy że jak przeżyjemy to "piekło", to napewno opiszemy jakto rusacy byli "gorzej tatarzyna" i że nie tylko Hitler ze swoimi "Koncentracyjnymi Obozami" był jedynym oprawca narodu-polskiego ???

W. Kłosał na stepie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Michajłowsk. Już następnego dnia po opuszczeniu więzienia w Krasnojarsku i po podpisaniu diabelskiego "cyrografu" zezwalającego na bezterminowe przebywanie w bezkresnej tajdze, jeszcze pod nadzorem przybyliśmy szklaną trasą (łód na rzece Jenisiej) do osady Michajłowsk, prastarej kopalni złota, gdzie kurze drewniane chatki świadczyły o zanikaniu dawnej cesarskiej kultury. Kiedy już zostało dopełnione wszelkie formalności u Naczelnika, nas 15 "zeków" (byłych więźniów) przydzielono do wyrebu lasów, zostaliśmy robotnikami "Lesopromchoza" (Przemysł leśny) i jako grupa drwali, pod przewodnictwem Dziesiątka, miejscowego staruszka (pamiętającego cara-) mnie znającego biegle język rosyjski mianowano brygadierem. Po przekazaniu nam pewnego terenu w tajdze i po zaprowiantowaniu na dwa tygodnie, ruszyliśmy.

Oprócz prowiantu, kocy, kurtek watowanych, (tym razem nowych, bo w OBOZACH zawsze otrzymywaliśmy odzież podziurawioną i skrwawioną, widocznie po poległych) wydano nam broń palną i amunicję..., a co najważniejsze, przydzielono nam konia, takiego ma-luskiego konika z rozwalonymi saniami, na których już było załadowany nasz prowiant i obrok dla kucyka.

Mroźnym i słonecznym rankiem ruszyliśmy z Michajłowska do nowego życia, po nowa przygodę, cała drużyna byłych skazańców, 13-tu mężczyzn i dwie kobiety, w tym jedna Rosjanka, jedna Żydówka i 12 Ukraińców, a wszyscy (oprócz mnie) kryminaliści, także towarzystwo o jakim tylko można marzyć?...?

Szliśmy piechotką, ponieważ sanie i tak były obciążone prowiantem, gęptaliśmy w puszystym śniegu, pokonując ciężką drogę, z wielkim wysiłkiem, mrozu nie odczuwaliśmy, chociaż jak powiadał nasz przewodnik, termometry wskazywały od 30 do 40 stopni poniżej zera, chociaż przy dużym śniegu, nie odczuwamy tego mrozu. Idziemy całą grupą, jakby obawiając się nieznanych przeszkód? razem jest nam weselej i czujemy się bardziej odważni.

Droga, zaraz za Michajłowskiem poprowadziła nasza karawane, w górzysty teren tajgi, śniegu jest dużo, bardzo dużo, tracimy pojecie o jego szybkim zniknięciu, nogi nie przyzwyczajone do trudnego marszu, odmawiają posłuszeństwa, często wpadamy w zaspę..

pozwalam słabszym trzymać się sanek. Jest trudno, pomimo że silniejsi idą przodem i torują drogę. Krajobraz jest piękny, ale strasznie dziki.., ogromne cedry i sosny pna się ku niebu, jak by zasłaniając skaliste zbocza. Po lewej stronie drogi mamy drzewiaka tajgę jakby na skałach, zaś po prawej stronie, ciągnie się długi i szeroki pas osnieżonej ziemi, wolnej od drzewostanu, sądymy że tam powinna płynąć jakaś rzeczka, dziś śpiąca zasypana śniegiem.

Tajga szumi, żyje nawet zimą, słyszymy wyraźnie odgłosy dzikich zwierząt, ich porykiwania, szczenie a nawet wycie....? A w bliższej odległości od drogi, nasz "przymusowy spacer" umilają nam ptaki, jest ich mnóstwo, prawie z każdego drzewa, z każdej ściany granitu (o zabarwieniu czerwono-żółtym) słychać szczebiot przepięknych ptaków, małych i dużych i takich co już znamy z lasów polskich i takich co widzimy po raz pierwszy w życiu.

Dla nas interesującym zjawiskiem jest, że to towarzystwo wcale nas nie unika, nie ucieka od ludzi. Jak powiada nasz przewodnik są takie ptaki w tej puszczy, nazywają się "rabczyki", podobne do gołabków, a na ich temat, powstało wiele legend, nie uciekają nawet od myśliwych, którzy do nich strzelają, gdzie po zabiciu jednego można spokojnie celować do drugiego (jedna z najbardziej romantycznych ptaków-parek, które nie opuszcza jedno drugiego, nawet w największym niebezpieczeństwie..., do tej kategorii ptaków, można też zaliczyć zakochanych Łabędzi.

Ponieważ nie posiadamy zegarków, musimy orientować się w czasie, według słońca (jak na złość słońce świeci tak ostro, że nam wszystkim bola oczy, obawiamy się kurzej ślepoty). Nasz starszy sybirak określa jeszcze czas po kolorze śniegu i stanowczo twierdzi, że już mamy porę popołudniową i że gdzieś za kilka godzin, powinniśmy dopełnić do tego uroczyska, do miejsca gdzie rozbijemy obóz, pociesza nas jeszcze, że napewno zdążymy pobrać sobie wspinały hotel, za nim zapadnie noc...?

Te 30 wiorst (wiorsta jest mniejsza miara od naszego kilometra) które przeszliśmy, dały nam się porządnie we znaki, przecież nie mieliśmy żadnej zaprawy, ani odpowiedniego treningu, jesteśmy skonani i marzymy o odpoczynku, choćby to miało być dłuższy odpoczynek w głębokim śniegu.....

ROZDZIAŁ DRUGI.

Nowy Oboz. Droga z Michajłowska do naszej placówki, wykończyła wszystkich zesłańców i gdyby nie reszki zdrowego rozsądku, napewno pokładlibyśmy się pokotem na śniegu..., właśnie wtedy wkroczył w akcję ten osiemdziesiąt kilku letni starszy sybirak, wziął nas wszystkich na ambicje, straszac w dodatku rysiemi, który potrafi zakradać się do osiedla i napadać na śpiących ludzi, a także zaczął opowiadać o różnych wydarzeniach, jak to zmęczeni traperzy czy też poszukiwacze złota, gineli wyłącznie z powodu nieudolności-zabezpieczenia sobie noclegu....?

Dotychczas jeszcze nie spotkałem tak zmyślnego i tak mądrego człowieka, któryby przy naszej pomocy i w ciągu niespełna paru godzin, wybudował lokum, dla ludzi i dla konika.

Po zrąbaniu osmiu pali i po wybraniu smukłych świerków stojących rzedem obok siebie, kazał nam powłazic na te chojaki i swym ciężarem nagiąć ku środkowi, wieszchołki kazał zwiazać żykiem które przez dziadziusia zostały naszykowane (o tych pasemkach żykowych jeszcze będę opowiadał niejednokrotnie) wieszchołki zostały związane, tworząc jakby baldachim, a ten szkielet, niby namiotu został obłożony łapkami jodłowca i obsypany grubą warstwą śniegu, coś w rodzaju eskimoskiego "igloo" wybudowaliśmy w try miga, jak powiadali miejscowi. Gdy jedni usuwali śnieg ze środka, drudzy już szykowali drobne i suche drzewo, które posłużyło do rozpalenia dużego ogniska we wnątrz pomieszczenia. Proszę mi wierzyć, że zanim ~~zrobiło~~ zrobiło się ciemno w nieznannej nam tajdze, już mogliśmy przynieść nasze kłamoty i prowiant do środka a siano, które przyznaczone było konia, narazie posłużyło nam jako posciel... Natomiast owies, znajdujący się w czterech workach, zakrywał otwór wejściowy, konika również wprowadzono do śnieżnego domku.

Już w pierwszą noc wyznaczyłem wartowników, ale gdzieś po północy, kiedy chciałem jednego z nich podmienić, nie znalazłem nikogo. Ognisko było zimne, chociaż o dziwo, temperatura wewnątrz była znośna, napewno grzał nas konik i nasze oddechy, jak również otulała nas gruba warstwa śniegu, jakby chroniąc przed wiatrem.

W każdym razie, OPATRZNOŚĆ nad nami czuwała; bo dała nam tak wspaniałego człowieka. Już w pierwszej dobie naszego pobytu w strasznej tajdze, ogrzał nas i dał nam dobrą szkołę, jak mamy żyć w tej głuszy i w takich warunkach....

Nazajutrz wczesnym rankiem, nasz staruszek oznajmił, że mamy nadal słoneczny dzień, mroźno, gdzieś około 40 stopni, będąc zdziwiony, zapytałem GO z kąd wie? Odpowiedział, że sprawdzał posłiniony palec, że za ile mrugnięć oka zamarznie, okazało się, że za czwartym razem. Oto i cała filozofia staruszka...

Już z samego rana po umyciu się bielusiennym śniegiem, wspólnie z Makarem Iwanowiczem Brytwinom (tak nazywał się nasz codotwórca dziesiętnik, czyli nasz Naczelnik, zaczęliśmy sejmikować nad bieżącymi sprawami. Przed nami stały dwie podstawowe alternatywy; albo harować, to jest bojowo stawic czoła wszystkim trudnościom, albo poddać się biernie losowi i naturalnie zginąć. Wybraliśmy wariant pierwszy, jeszcze nie straciliśmy chęci do życia.

Według planu działania by żyć, powzięliśmy decyzję, żeby od zaraz wziąć się do roboty, rozpoczynając budowę OSIEDLA.

I właśnie od budowy stajni, mieszkania dla koni, postawiliśmy pierwszy zrab z kłoców drzewnych, później miałybyć łaznia a dopiero barak dla leśników (to, znaczy dla nas).

Swój, brygadę nazwałem "zekami", jednego wyznaczyłem do obsługi konia, później ten że "zek" pozostał łowczym i był odpowiedzialnym za dostawę mięsa do kuchni. Trzech najsłabszych wyznaczyłem do oczyszczania całego placu pod budowę, od śniegu. Dziewięciu "zeków" już od pierwszego dnia poszło na budowę naszego pierwszego osiedla w tajdze, Siewiero-Jenišiejskiego rejonu. W tej grupie byli najzdrowsi i umiejący władać siekierą i piłą, starszym tej grupy został Paweł (Ukrainiec z Połtawy, cieśla z zawodu, budowniczy Sowchozu - 'Nowy Mir'.

A jednego i ostatniego z naszej grupy wydelegowaliśmy do zaopatrzenia i zwózki drewna na budulec i drzewa na opał, las był w zasięgu ręki, co nam pomogło zwiększyć tempo. Pozostałe dwie kobiety, również kryminalistki pozostawiliśmy przy obsłudze kuchni i pralni (jeszcze w planie) Jedna z kobiet była żydówka, z Litwy, z samego Wilna, przypadkowo została represjonowana przez zołdaków NKWD i wywieziona do Irkucka, przecież drobnych złodziei sadzali wyłącznie do lokalnych więzień? Nazywała się SONIA, którą, upodobał sobie starszy od cieśli Paweł (później pobrali się) Druga kobieta, mniej ładna, również była złodziejka, z miasta Gorki, okradała dwu-nożnych z portfeli.., rusaczka o nazwisku Gordejewa W,

ROZDZIAŁ TRZECI

Osada i miejscowość w której przykazano nam żyć, była narazie częścią popłataną puszczy z której metr po metrze wyrwaliśmy tajdę, wiekowe drzewa, jeszcze żywe i już umierające albo ze starości lub też po kataklizmach huraganowych (często nawiedzające te tereny). Właściwie był to przeuroczy zakątek, na niewielkim wzniesieniu piętrzył się granitowy masyw, u podnóża którego miała przepływać górska rzeczka (według słów dziesiętnika) Wtedy, jeszcze nie wiedzieliśmy że ten strumyk będzie naszą spizarka, naszym dostawcą bardzo smacznych ryb. Jak na miesiąc luty, nie odczuwaliśmy większych mrozów, chociaż ta dokuczliwa biel śniegu na tle granatowych wzgórz przerażała nas. To pierwsze spotkanie z dziką przyrodą, wywarło na zesłańców niesamowite wrażenie. Wręcz straszne.

Tembardziej, czując się osamotnieni, z dala od swoich krajów, od rodzin, od wszystkiego co żywe i swojskie, przeżywaliśmy małą tragedię zagubionych ludzi. A widzieć i słyszeć wokół siebie poszum jodeł i skowyt zwierząt, dostawialiśmy skurczów żołądka, a serce drgało ze strachu, gdy nocą, słyszało się wycie chóralne wilków i szczerzących lisów (zwanym przez tubylców "piesccy") nieraz i samemu chciało się w yć... Dnia pierwszego pobytu w nowej OSADZIE, którą nazwaliśmy prowizorycznie "MAKAROWO" od imienia naszego opiekuna Makara. Jeszcze tego wieczora uzgodniliśmy z NIM, że nie zwlekając pojedzie do Michajłowska, żeby zdać sprawozdanie Naczelnikowi i żeby złożyć zamówienie na ramy okienne, i drzwiowe, na ~~szkło~~ szkło, na cegłę paloną do pieca i dwa kotły do gotowania stawy i bielizny, prosiłem również o zaliczkę, żeby można było kupić zegarek, który był niezbędny w naszym trudnym życiu.

Będąc z dala od świata cywilizacyjnego (osiem tysięcy kilometrów w prostej linii od WARSZAWY) skazani zostaliśmy na samych siebie i na własne pomysły, smykałki, żeby przechytrzyć wszelkie zło grożące nam z każdej strony i w każdej chwili...

Właściwie, będąc wśród tak doborowego towarzystwa, gdzie naokoło pokancerowane gęby i charaktery kryminalistów i z oczu których zionęła żądza zachłannego pożądania wszystkiego bez jakiegokolwiek wysiłku, dlatego musiałem, zaraz od początku naszego współżycia, ustawić to bractwo, trzymając krótko "za morde"

Jesteśmy na etapie budowy pomieszczeń gospodarczych, dzisiaj drugiego po przybyciu do tej puszczy, zaczęliśmy budowę stajni, chociaż nadal żyjemy w szałasie obłożonym górą śniegu, właściwie to już mieszkamy pod samym lodem, gdyż ten śnieg, kruchy) którym obsypaliśmy nasz "hotel", został oblany wodą, żeby powierzchnia była trwalsza. Tak nakazał nam dzień MAKAR.

Każdy krok tego wspaniałego staruszka przynosi dla nas, zawsze coś nowego, zupełnie nam dotychczas nie znanego. Na każdym kroku poucza jak mamy żyć, jak powinniśmy się zachować. i dawać sobie radę w ciężkich warunkach, uczy, żeby wodę gotować bez wody i jak ogień wydobywać z dwóch kawałków suchego drewna a także poucza, budowanie leśnych domków bez drutu i gwoździ.....

W swych dalszych opowiadaniach jeszcze często i wiele razy będę powracał do tych spraw, gdzie nasz nieocebniony "MAKAR" swoimi radami i pomysłunkami przychodził z pomocą.

Od samego ranka, tercie z DZIŁKIEM przy budowie stajni, proszę mi wierzyć że w przeciągu sześciu godzin, wykopano w zmarzłej ziemi dołki (przy pomocy ognia) i założono fundamenty, to jest wbito grube pale po czterech węglach i założono tak zwane "zamki". A każda linia bierwion przekładana grubą warstwą mchu, stworzyła zcementowaną całość, a przytym nie używając ani kilograma drutu, ani też żadnego gwoździa.....

Będąc w Michajłowsku, nasz dziesiętnik pozałatwiał dobrze wszystkie sprawy i kupił mi zegarek, który naprawdę był potrzebny w naszym "kołchozie". Przecież nie mogliśmy stale liczyć na słońce, czy też na palec pana Makara ?

Nazajutrz poszedł sam na budowę, a mnie kazał iść w tajgę, poszukać młody zagajnik z świerkami i obrać z nich korę. Pokazał jak trzeba ukośnie naciąć, poczynając od góry, a pasy powinny być szerokości około metra. Prawie pół dnia zdzierałem skórę z młodych świerków, już mi się zdawało, że na dziesięć dachów przygotowałem materiału, ale po przyjściu Makara, okazało się że tego nie wystarczy nawet na jedną stronę dachu. Naturalnie, musiałem kończyć zaczęte arcydzieło i drzeć dodatkowo aż do samego wieczora. (o zmierzchu dość wczesnym, wszystkie prace kończyły się przymusowo).

CZESC CZWARTA

W końcu tygodnia widziałem, "dekarz" Makar demonstrował nam swój wynalazek z nową dachówką, a gdy sprytnie (po mimo wieku) wlażył na rusztowanie, począł układać od dołu, płat po płacie, układał jedno na drugie, tak, że warstwy same pokrywały się w coraz to grubsze słoje, a konce tych płatów związywał innymi paskami, też z kory drzewnej, innego gatunku, bardziej miękkiego, które już wcześniej przygotował sobie jako materiał na łapcie. Do wieczora mała stajnia była gotowa, "zekowie" przyniesli dużo mchu, grubo wymościli stajenkę i wprowadzili konika.

Nazajutrz budowlani rozpoczęli nowy obiekt, poczynając od kopania dołków pod fundamenty łazni, chociaż bez większego pośpiechu, ponieważ nie nadeszły jeszcze potrzebne gotowe detale. Między czasie, nasz "szef" półżartem ogłosił, że jutro do pracy nie wychodzi, ponieważ buty mu się rozleciały..., (jakoby miał to być jeden z wielu codziennych kawałów) chociaż z góry zaznaczył że sobie poradzi z tym problemem.

Po raz pierwszy w swoim życiu zobaczyłem jak robi buty na poczekaniu, prawie w biegu, bez żadnych "zydli" i "szczudeł", bez dratwy i bez "kopyta"... nasz zmyślny "SZEWC" chodząc wśród robotników i rozmawiając - pluł sobie łapcie, tylko mu te sprytnie ręce latały. Dla nas był to cyrkowy pokaz, a jeszcze w większe zdumienie dziadek nas wprowadził, kiedy nazajutrz z rana zademonstrował nam, sposób nakładania łapci w warunkach zimowych. Najpierw założył podwójne, lniane onuce, potem włożył łapcie i pasemkami łyka poobwiązywał nogi aż do kolan, następnie podszedł do wiadra z wodą i namoczył nogę, potem szybko wdepnął w śnieg i tak powtórzył z drugą nogą, które w nie długim czasie już zamarzły na sopol... Atrakcyjny pokaz mody syberyjskiej, odbywał się przy 30-tu stopniowym mrozie. Później opowiadał nam, że takie "ekstra" obuwie przygotowawia się bardzo szybko i że woda wcale nie musi przemoknąć do ciała nogi, już zamarźnie przy dotknięciu do śniegu, a człowiek przez cały dzień chodzi w ciepłe i dopiero po pracy, suszy obuwie razem z innymi ciuchami, a przecież nasze walonki, (buty filcowe) które mieliśmy na nogach stale przemakały i wieczorami mieliśmy zimne nogi....

Co jakiś czas nasz staruszek zmieniał sobie "obuwie", nie troszcząc się o to, czy towar podobny dowieźli do sklepów i czy nie zbraknie w przedłużonych kolejkach?

Pod koniec lutego przywieziono nam zamówione materiały do budowy osiedla; nadeszły już potrzebne ramy drzwiowe i okienne, sześć kompletów drzwi wejściowych, kilka skrzyń gwoździ, garnki i kotły, cegła palona, szkło i kit okienny. A co najważniejsze, otrzymaliśmy narzędzia do pracy, jak piły poprzeczne, łukowe i topory dla drwali, jak również przysłano nam trochę narzędzi ciesielskich i stolarskich. Prowiant jak poprzednio na dwa tygodnie, obroku dla koni, bo już dostaliśmy drugiego "sybiraka".

Dostarczono nam NAKAZ że już od początku marca zaczniemy trzebić tajgę. Wyrąb i jego związka, będzie naszym podstawowym zajęciem na tym padole płaczu i będzie już zajęciem zarobkowym. Na początek, bardzo możliwe że dla zachety, Naczelnik pochwalił naszą organizację pracy, był mile zaskoczony, że my, na przeciągu zaledwie jednego miesiąca i to miesiąca bardzo zimnego, gdzie jest więcej śniegu, jak powietrza..., już zdołaliśmy dolinie nadać kształt osady, przygotowując place i ulice, a najbardziej podobało się panu naczelnikowi, problem zakwaterowania, podobało się władzy, że daliśmy pierwszeństwo zamieszkania dla koni a nie sobie (ludziom) Jednocześnie zaznaczając że za rozbudowę osiedla, zostaniemy wynagrodzeni. Jeszcze raz potwierdził, że podstawową naszą pracę będzie wyrąb lasu, za co będziemy już dostawali płace nie w prowiancie, jak do tychczas, ale w rublach. I tego mamy się pilnować. Pierwsza lustracja "błagopozłucznie" przeszła (bardzo dobrze) Dlatego zabraliśmy się do pracy z lepszym samo-poczuciem.

Od marca powinniśmy wyznaczyć dodatkowo kilku ludzi z budowy do wyrebu tajgi, gdyż od teraz każdy z nas powinien sam sobie zarobić na życie. Dziesiątnik i brygadzysta płacę, będą mieli zryczałtowane, pozostali są zależni od nowych norm, które zostaną przysłane, kucharki pozostają na utrzymaniu robotników.

CZĘŚĆ PIĄTA

Nastroj wśród "zsylnych" był dosyć dobry, jakoś nie dało się zauważyć zmartwionych twarzy, ani większych utyskiwan, pomimo strasznych warunków bytowania, przecież nadal nocowaliśmy w prowizorycznym namiocie, jaki sami zbudowaliśmy z sosenek i śniegu, a co najważniejsze, nie było to lato, ale mroźny luty 1953 r. gdzie prawie każdego dnia śnieżne wiatry dokuczały niesamowicie, przysparzając nam dodatkowej roboty przy odkopywaniu się z pod zwałów śniegu, a bywały dni że i o pracy przy wyrąbie drzew nie można było myśleć, ponieważ widoczność była znikoma...

Ubranie musiało przesycać na sobie, nie mieliśmy jeszcze kamer do suszenia, wyłącznie sama robota grzała człowieka i dlatego już mieliśmy większą wydajność w robocie i dlatego tak "ochoczo" zrywaliśmy się z zimnych legowisk... Chociaż już mieliśmy zegarek, jednak ludzie zawsze wcześniej wstawali i szli na całodzienną gimnastykę. A długie i beznadziejne wieczory w "łodowce J. Maleńkowa" przechodziły na poufnych rozmowach, a nieżadko na ciepłych i miłych wspomnieniach o dawnym niebianskim życiu, gdzieś tam w swoich domkach.

Podsumowując przeszły miesiąc w tym zimnym "kołchozie" można stwierdzić że rodzina "kałorżników" jak na początek, trzymała się względnie dobrze, jeszcze żyli w zgodzie i w posłuszeństwie. A nawet już niektórzy zaczęli myśleć o życiu rodzinnym, jak to zrobił starszy cieśla Paweł, który zainteresował się jedną z kobiet, (tą żydówką z WILNA), ceremonia ślubna odłożono do lepszych czasów.

Może kilka słów o ludziach z mojej brygady, oprócz kobiet kryminalistek, wszyscy pozostali chłopci pochodzili ze wsi, z autentycznych Kołchozów i Sowchozów, z każdą niedzą przekształcała ich w pokornych niewolników i mimowolnych złodziei (z relacji samych kołchoźników, można było stwierdzić że ONI wyłącznie egzystowali po przez kradzieże i malwersacje, przecież jak można przeżyć z groszowych dniówek, bez jakiego-kolwiek własnego ogrodu i przychówku... Kradło się wszystko co było w zasięgu ręki głodnego kołchoźnika, mleko od wydoju nielegalnego, ziarno z pól przed żniwami i po, mięso z zwieząt padłych z "przypadku", kradło się kartofle jeszcze z pól

a także dniówki zapisywane na "martwe dusze", kradziono również materiały, potrzebne do remontów gnijących kurzych chatek, rozbierało ostatnie sztachety z pochyłych płotów....

Faktem jest niezbitym, że moi złodzieje przyczynili się do pełnego krachu dzisiejszych Gospodarst Rolnych w Zw, Radz.

Ale CI złodzieje nie otrzymali od swojej władzy zwykłych kar, należących za kradzieże, każdy z nich, otrzymał wysoki wymiar według politycznego UKAZU i zaliczono ICH do z d r a j c ó w.

W nowej stajni mieszkają już koniki, a my nadal kocujemy w szałasie pod lodem, obawiamy się że jak nadejdą rostopy wiosenne, to śniegi i woda zmyje nas na amen...? W dodatku grupę budowniczych musieliśmy jeszcze uszczuplić o dwóch ludzi, muszą przejść do brygady leśnej, przecież już jesteśmy zależni od zarobku, a podstawowa nasza praca musi być wyłącznie piłowanie i zwózka drewna z lasu do wyznaczonego placu wzdłuż drogi.

Dopuki tajgę mamy na swoim podwórku, idzie nam dosyć szybko, nawet ta niewielka grupa "zeków", bez opiekuna, spiłowała i zwiozła ładnych kilkadziesiąt metrów sześciennych, które staramy się w równych sztablach poukładać. W planie, który widziałem w rękach kierownika, liczby metrów kubicznych były zawrotne.... W maju lub na początku czerwca zostanie zamówiona kolumna samochodowa, która będzie przewoziła drzewo do portu BRIANKA nad rzeką JENISIEJ.

Z wykarmienie^{wi} ludzkie większego problemu nie mamy, spiżarka nad naszymi głowami, na drzewach i w chaszczach tajgi, wystarczy puknąć kilka razy i w garnku już pachnie potrawka z ptaszka..., a kucharki ledwie nadażają z obraniem z pierza i ugotowaniem, a już gromada głodnych zlatuje się pod szałas, gdzie pod gołym niebem, nasze damy przygotowują strawę dla robotników.

W jedzeniu nie robimy żadnego ograniczania, naodwrot, każemy jeść więcej by nabrać siły do ciężkiej roboty, tembardziej spodziewamy się że już w krótko dojdzie jeszcze mięso z ryb i mięso z grubszego zwierza. Dzikie zwierzęta jeszcze śpią, lub znajdują się głębiej w puszczy, chociaż już słyszymy częste pomrukiwania i pohukiwania, jak by zapowiedź strasznych i smakowitych niespodzianek..., najwięcej wrażliwi na hałasy leśne, są właśnie konie, stale są w pogotowiu nastroszone, bardzo niespokojne...

My również oczekujemy z niecierpliwością na wiosnę, na odwilż, bo z nimi szybciej spłyną góry śniegu po których z takim trudem dziś chodzimy, czekamy na pierwsze słoneczne ciepło, by jak najszybciej ogrzać ciało i serce, już tęsknimy tak mocno za ciepłym całym otoczeniem.

Jeszcze nie ma mowy o pójściu gdzieś w tajgę, gdzieś dalej od osady bez rakiet (takie krótkie i szerokie narty) chociaż już marzymy o głębszym poznaniu TAJGI, myślimy o polowaniu na niedźwiedzia..? W naszym jeszcze surowym "MAKAREWIE" już posiadamy dwie gwintowki, coś na podobie sztucerów, dotychczas nie wypróbowanych, do codziennego użytku mamy zwykłą myśliwską fuzję (dwa rurkę) z którą chodzi IWAN nasz Łowczy, bez większego wysiłku dostarcza kuropatwy i jarzabki.

Robotnicy z oczystki terenu z pod śniegu, przynieśli kiedyś do kuchni, kilka wiader czarnych jagód..., mieliśmy wspaniałą wyżerkę, jagody były słodkie i naturalnie zmarzniete jak by z lodówki, owoce z tamtego roku, pod śniegiem dobrze zakonserwowane. Później takie desery mieliśmy częściej na stole.

Chleba, podstawowego jedzenia nie mamy za wiele. Po otrzymaniu prowiantu z przydziału, wystarczało na jakieś dziesięć dni (w normie 1, kg dziennie na jednego robotnika) pozostałe dni, dojadamy mięsem. Naturalnie że już głodni nie chodzimy, ale za pieczywem i słoniną nawet tęsknimy, jak za dziewczyną... Odczuwamy straszliwy głód witamin, chociaż tę chorobę, przechodziliśmy już w swoich OBOZACH, gdzie nie żadko zęby wyjmowano palcami, albo same wypadały z powodu skorbutu (CYNGA)

Któregoś dnia, w marcowe brzydkie po południe, otrzymałem przedziwną ofertę od kobiety, tej drugiej kryminalistki, rosjanki po narodowości a złodziejki z zawodu, o toż ta zabiedzona istota po spotkaniu się ze mną na drodze do stajni, zaproponowała wprost: wspólne życie, w najbezszybciej sposób zaproponowała mi takie życie jakie prowadzi Paweł ze swoją żydówką. Byłem niezmiernie zdziwiony, powiedziałbym wręcz zdumiony nachalną propozycją tej damulki..., nie wiedziałem jak mam postąpić i co odpowiedzieć..? nie pamiętam szczegółów, ale też zaproponowałem, że mamy mocno się zastanowić, namyśleć się czy możemy postąpić wbrew logice, przynajmniej powinniśmy poczekać aż będą lepsze warunki mieszkaniowe, i po drugie, jak się lepiej poznamy..?

W roku 1954 przed uzyskaniem WOLNOŚCI absolutnej, miałem możliwość dziwnego spotkania; będąc na tak zwanej przepustce,

spotkałem pewną kobietę (była eskimoska) w kolorym stroju,^W
co do JEJ wieku, trudno było określić, twarz miała jakby trójkątną
zlekka pomarszczoną, w zębach, co ja plotę, w bezzębnych ustach
trzymała długą fajkę i pachniało od niej rybim tranem.....
nie wiem czemu, ale zaraz skojarzyłem sobie tamtą kobietę z tą,
która mi złożyła k.....propozycję, w pierwszej chwili dostałem
jakby kocio-kwiku, kocio-wstrętu i jeszcze dość długo nie mogłem
uprzytomnić sobie, że to właśnie mnie spotkało takie szczęście???

Gdy minął pierwszy szok, zacząłem rozumieć tę kobietę,
ten JEJ pierwszy odruch człowieka-samiczki... Na co jeszcze właściwie
liczyłem? Czego jeszcze od życia mogłem spodziewać się? Dziewczyny z
Hawaju, czy też z samego WILNA? Przecież zostałem najprawdziwszym,
najzwyklejszym śmiertelnikiem "MAKAROWA"..? Muszę się jeszcze mocno
zastanowić. Sam siebie proszę o czas.

Mój stosunek do Dziadka Makara przemienił się w serdeczną
przyjaźń. Zacząłem nawet już lubić tego mądrego człowieka, który,
oprócz tych 84 lat, nic dobrego nie otrzymał od tego świata. Pozostał,
jak sam twierdził, jak goły palec, bez krewnych i domu. Na syberii
pobywał już trzy krotnie i zawsze z nie wielkimi wyrokami. W tajdze
czuł się najlepiej-najbezpieczniej, tę puszcę rozumiał doskonale,
a jeżeli się bał to tylko ludzi.....

O Makarze jeszcze i dziś pamiętam, napewno nieraz pisząc
swoje wspomnienia, ~~nieraz~~ będę wychwalał zalety JEGO. Napewno
jeszcze wiele stron tej książki poświęcę Dziadziusiowi, który ze
swoim złotym sercem, ujął nawet nas, ludzi nie cierpiących ruskich.
Nigdy nie zapomnę tego człowieka, co przeszedł ciernistą drogę,
przez swoje bardzo długie życie, nie doznając od nikogo nawet odrobiny
lepszyc uczuć, czy też ludzkiej miłości... Ten nieszczęsny człowiek
przez całe swoje życie tylko ocierał się o dziką i mroźną syberię,
a pomimo wszystko, swej szlachetnej twarzy rosjanina nie stracił.
Tak, był dobrym i wspianym człowiekiem. Kiedy opowiadałem Dziadkowi,
ile zła ROSJANIE przynieśli POLSCE i ile niewinnej krwi przelali,
żeby zdobyć niewolników i żeby wzmocnić swoje IMPERIUM. Wcale
nie był zdziwiony moimi strasznymi słowami. On też był nie
najlepszego zdania o swoich rodakach... Przecież jeszcze poczynając
od rosyjskiej rewolucji, był naocznym świadkiem, jak to brat
rodzonego brata zabijał i nie tylko w imię jakiejś idei?.....

ROZDZIAŁ SZUSTY

W którym Dziadek Makar opowiada, jak rosjanie zabi-
jali siebie, za kawałek czarnego chleba, a nawet za cuchnącego
papierosa... mieszkając jeszcze w tamtych latach w rasieji, wi-
dział śmierć przed każdą rosyjską chatą. Żołnierze tej krwawej
rewolucji, pozostawili po sobie to straszne piętno mordów na
swoje potomstwa, z którego powstało nowe i bardziej okrutne woj-
sko Stalina-Berii. Będzie jeszcze nieraz opowiadał o ruskim na-
rodzie, który w latach przejściowych 1933, 1935 i 1937 będzie konał
na ulicach wielu miast Ukrainy i całego komunistycznego IMPERIUM.
Aż w końcu dojdzie w swej perfekcji do masowych morderstw na Bia-
lorusi (Katyn, Kuropaty i podobne zakonspirowane ogromne mogiły)

Właśnie z tamtych stron nasz Dziadek pochodził i z tam
te relacje. Dziś, w pierwszym dniu marca, nasz przemysł drzewny
ruszył całą parą, już przy wyrębie pracuje więcej ludzi i dwoje
koni, przez cały jeszcze krótki dzień, słyszymy odgłos spadających
sosen i głośne okrzyki wozaków, którzy ściągają z pobliskich wzgórz
długie 8-mię metrowe bale, bliżej ku drodze.

Paweł, starszy od budowniczych, przechwala się, że jeszcze
w tym tygodniu skończy łaźnię i zacznie, najbardziej potrzebny ob-
jekt, jakim ma być nasz barak. Musi to być pomieszczenie dla 40,
albo i więcej robotników, którzy z czasem dołączą z okolicznych
OBOZOW KARNYCH (Rejon Jenisiejska słynął z takich sanatoriów)
Kuchnia już będzie na miejscu w tym baraku, a także mała stołówka.
A całość powinna być oświetlana lampami naftowymi, czego do tej po-
ry nie mieliśmy, chociaż człowiek widział, nakogo wlaził...?

Żyjemy jak ludzie pierwotni i bardzo zdala od KULTURY,
Mój Boże, jak już dawno nie konsumowałem czegoś podobnego do książ-
ki, lub gazety (prasa i to wyłącznie sowiecka, dostarczana była (za-
leżało od pogody) samolotami do Siewiero-Jenisiejka, następnie sa-
mochodami do Michajłowska, a następnie konikami do poszczególnych
punktów w całej tajdze rozsianych. Do nas jeszcze żadna z gazet
nie dotarła i nie wiemy co piszczy w świecie....?

Jeszcze mamy b, chłodne dni i tyle sniegu że nie ma mowy o pójściu, gdzieś w tajgę, bliżej przyrody a dalej od tych ludzi, nie mam też przed kim się wyżalić, przed kimś odtworzyć swoją duszę, która już tyle lat siedzi w człowieku i z utęsknieniem czeka na jakiś znak miłosierny, na jakieś słowo ciepłe, a może na znak nadziei..., że jeszcze kiedyś razem z tą duszą polece do wymarzonych stron, gdzie już nie będzie ani kryminalistów, ani złych ludzi ani też wszedobylskich sługusów NKWD. Choćby i w obecnej sytuacji, nikt dokładnie nie wie, kto jest kto? Przecież z praktyki z CBOZÓW wiemy że w najmniejszej społeczności w każdej grupce ludzi znajdowali się konfidenci, którzy za łyżkę stawy potrafili sprzedać najlepszego druha, kolege, przyjaciela, obecnie, znajdując się wśród tych rzezimieszków, czy jutro nie zostaną sprzedani razem ze swoimi poglądami (a były one jaknajbardziej anty, anty, anty władzuchny kochanej)

Dlatego nie bez racji stroniłem od bandziorów i z utęsknieniem czekałem na ciepłą wiosnę i zieloną tajgę, żeby w samotności przeżuć nawarstwiony przez lata ból ciała i ból mózgu....? Więc samotne spacerki odkładam, czekając na lepsze czasy.

Jeden z koni zachorował, Dziadek Makar powiada że poderwał się przy zwózce ciężkich bierwion, już jutro wyznacze kogoś, żeby konika odprowadził do Michajłowska.

Jednak nie potrzebowałem odprowadzać, gdyż jeszcze tego dnia przyszedł transport z ludźmi i z końmi, przywieziono materiały na budowę i dokaptowano do nas nowych robotników, dwunastu, byłych skazanych, w starszym wieku, przekazano do dyspozycji dziesiętnika i brygadzysty, z których dziesięciu skierowałem do "leśnych", do piłowania drzew, a dwóch zeków dziadek wziął ze sobą na plac budowy, gdzie pokazał im jak się produkuje deski w prymitywnych warunkach, a które już były niezbędne na budownictwie. Kazał im porobić wysokie stojaki, które miały być ustawione równoległe do siebie, następnie sznurami wciągnąć na te te kozły, gruby 4-ry metr. bal, a sznurem posmarowanym węglem drzewnym, oznakować dokładnie rozmiary desek i już.., wziąwszy poprzeczną piłę, produkować deseczki własnego pomysłu (Makara)

Ponieważ jeden z pilujących napewno znał się na tym fachu, więc już nie zadługo poczuliśmy mocny zapach trocin drzewnych, stolarka też w krótko została uruchomiona. Ciesla Paweł, był zadowolony z takiego obrotu sprawy, sądził, że sam będzie musiał jeszcze i deski wyrabiać, mając materiał gotowy w końcu tygodnia ułożył strop i krokwie na poddaszu.

Pomimo swojej pracy przy wyrebie, dodatkowo każdy z robotników musiał jeszcze każdego dnia okorować kilka drzew i zwieść dla budowlanych, którzy już szykowali się do składania długiego domku dla nas wszystkich. Powstała nadzieja, że w krótko będziemy mieli prawdziwy dach nad głową, a włosy nie będą przymarzały do ścian z lodu.....

Drzewa w sągach przybywa, na oczach rosną wielgachne sztable smukłych sosen, jodeł i cedry, droga dojazdowa od wyrebu do placu wydłuża się, z każdym dniem tajga oddala się od nas. Z Michajłowska ponaglają i straszą, że już w krótko doczekamy się kolumny samochodowej, która w "tri-miga", połknie nasze zapasy.

Jednak dziadek Makar, pozostaje nadal za szybką budową baraku dla ludzi i powiada; jak robotnik będzie żył i odpoczywał w cieple, to jego samopoczucie będzie lepsze, a wydajność zwiększy się, wtedy już wszyscy pojedziemy do lasu, pozostawiając wyłącznie obsługę kuchni w osadzie.

W połowie marca, bodaj po raz pierwszy, miałem okazję i przyjemność przeczytać Moskiewską PRAWDĘ w której wyczytałem; że Niemcy za amerykańskie pieniądze (plan Marszalla) rozbudowują swoją gospodarkę...? Redaktorzy tego artykułu podkreślają, że to zjawisko jest chwilowe i że to propaganda zakłamania z ZACHODU. chcą nas oszołomić. W Związku Radzieckim przy bardziej wyteżonej pracy, napewno są perspektywy, że już w krótko wyjdziemy z impasu, i że bezwarunkowo prześcigniemy kraje przemysłowo rozwinięte...?

Sądzę że w tym miejscu muszę wytłumaczyć czytelnikowi, z jak miałem język rosyjski, żeby móc przeczytać tę najprawdziwszą "PRAWDĘ". Kiedy wyjeżdżałem z mojego Wilna znałem tylko kilka słów; "ruki w wierch, job twoju mać, u nas w rasiei wsio jeść, kuszać pełno-fabryk sała, boha niet, za baćku Stalina ura." A będąc już w czwartym OBOZIE doszedłem do wniosku, mówiąc sobie; człowieku jak się nie nauczysz języka swojego wroga, to leżysz jak betka i nie przeżyjesz swojego wyroku. Musiałem wziąć się w garść, musiałem nie dojadając, nie dosypiając wertować grube tomy

dzieł Ng Engelsa, Marksa, Lenina i ostatniego potwora
Jośki Stalina... ,właśnie na tej przenudnej dialektyce za-
cząłem swój uniwersytet, który samodzielnie, przez blisko cztery
lata przeżuwałem, poprostu literka po literce składałem słowa
wmuszając w siebie "przeciwnuju azbuku" (innego materiału do
nauki, niestety nie znajdowałem w obozowych bibliotekach, nawet
więźniom zalecano wyłącznie literaturę niby to piękną, komuni-
styczną, o posmaku rycynowym....

Z ogromnym wysiłkiem pokonałem barierę niemożliwości,
bo kiedy opuszczałem niegościnnie prógi więzienia w Krasnojarsku,
schprechałem już po rosyjsku jak stary komunista, odpowiadając
naczelnikowi wersetami z ideologii Marksa, że ten nie był pew-
ny czy ma doczynienia z żołnierzem polskim, czy też ze swoim
towarzyszem po czerwonej linii...?

Dlatego, proszę się nie dziwić że dla mnie, ta najzwyklejsza
prawda w centralnej gazecie nie była już okropieństwem i spokoj-
nie przyjmowałem takie herezje jak to że "wysoka stopa życiowa"
w Niemczech Zach. jest tylko chwilowa i że w krótce nastąpi KRACH
(który do dnia dzisiejszego 1990 roku nie wypalił, a wręcz odrot-
nie, dobrobyt rozkwitł, do trzeciej potęgi światowej)

Przecież już wtedy widziało się że "ZWYCIEŻONY", zaczyna
żyć w luksusach, natomiast w Kraju Rad "ZWYCIEZCA" wpadał w coraz-
coraz większa N E D Z E, która przekształciła się właśnie w ten
KRACH, jaki "prawda" Moskiewska życzyła w tamtych latach Niemcom,
już lata 80-te udowodniły że Związek Radziecki dąży ku KATASTROFIE.

W końcu marca osiągneliśmy szczyt swoich marzeń. Nareszcie
przeprowadziliśmy się do baraku, do nowego mieszkania, gdzie już
nie będzie mokrych, chłodnych ścian, ani też widma zgnięcia pod
większym śniegiem (mieliśmy wielkie szczęście że nad nami nie
przeszła ani jedna z większych burz śniegowych, które potrafiły
w swej potędze zasypywać całe stada reniferów włącznie z pastu-
chami...) Jeszcze w surowym stanie, pachnący smołą barak przyjął
nas w swoje gościnne progi. Miejsc starczało dla wszystkich, a
na pryczach, nowiôtkie sieniaki wypchane wiórkami z pod hebla,
naturalnie, że z dzikim wrzaskiem robiliśmy skok w nowe mieszka-
nie. Było wiele radości, że już będziemy żyli nie jak NANAJCZY...

POZDZIAŁ SIÓDMY

Na cześć tej upożytej przeprowadzki wypiliśmy flaszkę wina (pierwszy alkohol od 9 lat) którą dziadek trzymał na ta okoliczność, niespodziewałem się że mój dziesiętnik, będzie znał się na rzeczy i że pokaże przyjazny gest w imieniu samego naczelnika. Pierwszą niedzielę wypoczywaliśmy na swoich łóżkach, chociaż nasze ciuchy musiały jeszcze leżeć na podłodze z braku szafek, chociaż nasi stolarze obiecywali że w krótkce znajdą się szafki i ławki.

Jak już mówiłem, po niedzieli, po dobrym odpoczynku, ruszyliśmy nazajutrz hurmem do roboty. W osiedlu pozostali tylko ci, co byli niezbędni, ludzie do piłowania desek, kucharki, jeden dekarz i starszy cieśla Piotr (właściwie miał dwa imiona Piotr-Paweł).

Według normy, jeden robotnik musiał w ciągu dnia roboczego, spiłować i to ręczną piłą łukową, do 40 sosen, grubości od 40 cm i wyżej, tak że w przeciągu jednego dnia roboczego, konie musiały przeciągnąć gdzieś do 1000 sosen, chociaż z czasem gdy ta odległość zwiększała się, zmniejszała się ilość drzewa.

Jeżeli można taka "schadzka" nazwać przypadkowym spotkaniem, dwoje młodych i to w Łaźni, to niech takie "te a te" będą ostatnie w moim życiu....., kiedyś pod wieczór, poszedłem do naszej Łaźni, żeby się poprostu trochę się wygrzać-wyparzyć, zmęczone ciało zawsze jest spragnione wody. Może kilka słów o samej specyfice "russkiej bani", najzwyczajniejsza kurza chatka, z jednym małym okienkiem, o wnętrzu dzielonym na różne półki w trzech izbach, przedsionek, pierwsza mała izba z paleniskiem, które ciągnęło się aż po drugie pomieszczenie. Palenisko było wyłożone dużymi kamieniami, które gdy się napaliły do czerwoności, oblewano zimną wodą. (wtedy jeszcze wodę, osiągano z topniejącego śniegu) Przed paleniskiem stała duża kadź z przygotowaną wodą. W drugiej i dużo większej izbie, zostały porobione półki, pietrowe i ustawione wzdłuż wszystkich ścian. Na ścianach wisiały miotły, obowiązkowo brzoźowe i nie duży kaganiec z lampką naftowa nad drzwiami...., kiedy wszedłem, to ujrzałem kąpiącego się, z twarzy nie rozpoznałem, gdyż pary było w nadmiarze... ,kiedy już rozebrałem się do naga, poczułem że ktoś atakuje mnie z tyłu swoim ciałem i że to ciało jest już bardzo ciepłe i jakieś miękkie, zupełnie nie podobne do ciała męskiego,? Pomimo że jeszcze nie widziałem z kim mam do czynienia, ale mówiąc szczerze to coś sprawiło mi ogromną radość i przyjemność...Przecież nie by-

-Yem jeszcze staruszkim (jak dziś) a przede wszystkim tak bardzo steskniony za ciałem kobiety, której pamięć szła za mną przez długie i koszarne dziesięciolecie... Byłem w wielkiej rozterce, gdzie różne złe i dobre instykta walczyły we mnie, wtenczas tak mocno pragnąłem mieć dziewczynę, ze swoich wyśnionych marzeń... Nocami i dniami myślało się o złotowłosej dziewczynie.., to bydle Stalin zabrał nam, nie tylko młode lata, ale pokieraszował nam nasze ideały i odebrał nam z serc to co było najpiękniejsze.... Czułem już fizyczny ból i nie mogłem już opanować swóich chuci.. ta czarownica, podobna do tamtej eskimoski....., zwyciężyła.

Zbyt późno zrozumiałem swoją upadłość, swoją słabość..

Od tam pozostałem nie tylko niewolnikiem NKWD, ale jak samobójca leciałem głupim łbem w otchłań bez dna.. Po tylu latach postu, życia w celibacie jak mnich, ja pochoraży "DŹEK" rozkleiłem się definitywnie. Pełna degradacja.

Naturalnie że zdarzenie w łazni, w najmniejszych szczegółach opowiedziałem naszemu staruszkowi, o swojej duchowej katastrofie, zarazem prosząc o zrozumienie.

Dzieduszka Makar, dosyć długo myślał nad moim problemem, w końcu uśmiechnął się, poklepał mnie po ramieniu i poprostu poradził mi, wzięść całą sprawę po "RUSKU". To znaczyło, żyć nadal na KOCIA ŁAPE, tak jak żyje miliony rodzin sowieckich, od Moskwy po Władywostok, a co się stało już "nie otstanie" a żyć trzeba. Jutro mam oficjalnie ogłosić że Walentyna jest moja PPŻ (polowa, pochodna żona) i jeszcze zaznaczył; narazie, kobiecie już masz, a zmartwienie pozostaw NACZALSTWU.

Już tej nocy wydzielono nam osobne miejsce za parawanem, i pan brygadzysta jak filip z konopi, stał się mężym żonatym, w jedną noc przeistoczył się, z człowieka w idiotę....

Miesiąc kwiecień przeleciał nam szybko i bez większych wydarzeń, już w powietrzu odczuwało się ciepłe powiewy, jak powiadał dziesiętnik; śniegi już pachniały wilgocią i wiatrem. A tajga oddalała się od nas kilometrami. W zaprzęgu chodzą już cztery konie i nie nadążają za leśnikami, którzy, jak mówi się potocznie, nabrali w żagle wiatr. Chęci i werwy do pracy przysporzyło jeszcze, lepsze jedzenie i zapłata w postaci rubli, zaczęliśmy otrzymywać zapłatę, chociaż stawki nie były nadzwyczaj dobre, ale pomijając to, już ZEKI

już myśla o kupnie ubrań (dotychczas jeszcze chodziliśmy w rządowych, starych łachach, myślano też o kupnie choćby jednego roweru, żeby dojeżdżać do miasteczka, do Michajłowska, gdzie są trzy małe sklepiki w których można nabyć coś lepszego do chleba, jest niewielki wybór ubrań z pokazywy, a od czasu do czasu pokazują się rowery, później okaże się że są bardzo trudne w prowadzeniu w terenie.

Już coraz częściej młodszy element, zgłasza się z prośbą o wolne dni, które potrafią nadrobić nadgodzinami i których wcale im nie żałuję (ku chwale ukochanej ojczyzny)

Przyjaźń ze staruszką Makarem, staje się co raz bardziej zażyła, powiedziałabym, nawet rodzinna. Po tylu latach, jeszcze dziś widzę przed oczyma tę nadzwyczaj sympatyczną i twarz, widzę GQ jak biega (zawsze w pośpiechu) i do wszystkich uśmiecha się, a jego mądre i poczynające nauki, na długo pozostały zakodowane w naszych pamięciach... Ileż to przedługich wieczorów przegadaliśmy razem, a ileż to baśni, mitów-legend o swoim narodzie przekazał nam, zawsze podkreślał że naród rosyjski kiedyś był naprawdę dobry, taki prosty i serdeczny, czego nie można powiedzieć o dzisiejszym, który od czasów rewolucji 17-go roku, zamieniono w potworów. Kiedyś opowiadał o Guberni Tombskiej, ludzie umierali na ulicach..., akurat powrócił z Syberii, z pierwszej odsiadki, opowiadał jak to przypadkowo znalazł się w kompanii zbirów, z pod ciemnej gwiazdy, którzy, przy ogólnym głodzie jaki panował w "rasieji", spokojnie gotowali sobie pod lasem, pachnący i smaczny obiad a że tak niesamowicie zalaływało z tego garbka, że nie mógł się powstrzymać, żeby nie wprosić się o poczęstunek... Gdy dowiedzieli się że właśnie powraca z Syberii i jest bardzo głodny, więc poczęstowano GO, przyjmując do wspólnej "UCZTY".

A kiedy już spałaszowali ten smakowity obiad, podziękowawszy chciał już odejść (szedł do swojej babci w mieszkającej na wsi) jeden z tych zburów ofiarował dla Makara woreczek z "miąsem"....., mówiąc żeby zaniósł dla swojej babci, która też napewno będzie głodna... wiele nie zastanawiając się, nasz sybirak, chwycił woreczek na plecy i pofrunął w swoje rodzinne strony... Kiedy już pod wieczór wbiegł do babuni chatki, krzyknął; że posiada "mięso" i "babuszkę" swoją nakarmi, co powiedziawszy, żucił worek pod nogi i wyskoczył po drzewko, żeby napalić w piecu. A kiedy, po krótkim czasie przyszedł do kuchni, ujrzał "babuszkę" leżącą na podłodze, trzymającą w ręku nogę zabitego dziecka, ,, ,, ,, ,, ,, babcia jeszcze tej nocy umarła, ponieważ nie wytrzymało zbolejące starcze serce. Natomiast nasz bo-

hater, dYugo-dYugo. jeszcze po tym wydarzeniu, nie mógł przełknąć żadnego mięsa..., komentarze napewnie będą zbędne ?

Nasza "LESŃICZÓWKA MAKAROWKA" już tętniła pełnym życiem, dookoła słychać było gromkie okrzyki drwali, którzy musieli alarmować o każdym spadającym drzewie, słyszało się stukot siekier i dźwięk piły. A najważniejsze, że już z naszego "chutoru" wznosił się ku niebu, ^{duży} znak naszego życia, przecież nie darmo mówiono; że jak dym unosi się z naszego komina - ludzie tam żyją. I my żyliśmy..., ale nie bez pomocy dobrego dziadka Makara, który pokierował nami tak mądrze, że w przeciągu zaledwie paru miesięcy, postawiliśmy fundament dla nowej lesnej osady, a przede wszystkim dla siebie samych. Ktoś nawet powiedział, że już mógłby żyć w tym uroczysku do końca swojego zesłania.

Chociaż takich stracenców było nie wielu, przeczuwałem że wielu myślało inaczej, mając nadzieję, że "los" odmieni się, że może nowe władze wydadzą amnestię, po śmierci SZATANA z GRUZJI rodem.

Ja też należałem do tych ostatnich co marzyli o prawdziwej wolności i coraz częściej zacząłem spoglądać na tajgę..., by zwiąć.?!.

Właściwie, to nie byliśmy już pod ochroną, mieliśmy broń, możliwość zrobienia zapasów żywności na drogę.,, alle gdzie uciekać ? Dokąd uciec, żeby ICH nie było (mam na myśli czerwonych diabłów) Przecież znajdowaliśmy się o 8000 km od normalnego życia, od życia ludzi rasy europejskiej, a nie INDIAN w których nas przekształcili, niech nikt nie waży się podważyć, tego że byliśmy w tamtych czasach zniewoleni przez krwawy system, którym kierowali po śmierci satrapy wyłącznie rosjanie, zaczynając od zwykłej "OCHRANY" na tysiącach wież strażniczych, kończąc na naczałstwie OBOZOWYM, wszędzie byli wyłącznie rosjanie i to z naboru szkół Leningradzkich i Moskiewskich.

Niestety myśl o ucieczce jest nie do zrealizowania i z tym powinienem poczekać... Piszę wyłącznie o sobie, gdyż tylko sam za siebie odpowiadam, a faktycznie to już i nie odpowiadam za siebie, bo się boję, że człowieka poniosa nerwy i narobie wiele głupstw... ..

Nazajutrz prawie zapomniałem o męczących-ciężkich myślach, gdy do naszego Makarewa przywieziono 5-ciu byłych zeków, w tym dwójke, tak zwanych nadludzi, którym jakieś kryminal-prawo zabrania pracować, Człowiek - grypser. Gdy zaprowadziłem tę ~~gę~~ grupę do lasu i przydzieliłem do roboty, to 3-ch odrazu wzięło się za piły, natomiast ci dwaj usiedli na pniach i zapowiedzieli że ręk pracy kłaść nie będą...

Na co ja apatycznie wyraziłem zgodę, jak nie chcą pracować, to ich osobista sprawa, ale od naszej kuchni muszą być z daleka, gdyż posiadamy tylko tyle produktów co dla robotników pracujących. Na tym nasze "pieregawory skończyły się, panowie "zakonni" poszli do baraku a leśni wzięli się za swoją pracę. Na wszelki wypadek wysłałem za nimi jednego drwala, żeby pilnował tych ptaszek, gdyż tacy potrafią nie tylko ukraść...? Jakos do nocy, dzień przeszedł spokojnie, o nic nie prosili a kiedy wydzieliłem im miejsce do spania, odrazgu tam się skierowali i w niedługim czasie zasnęli..... Na wszelki wypadek znowu wyznaczyłem służbowego dodatkowo do ich pilnowania, nakazałem żeby się ulokował w pobliżu i cicho leżał... Gdzieś po północy, podniosł nas na nogi ogromny raban, zanim wstałem już w całym baraku kotłowało się, w pierwszej sali gdzie spali leśni, jeszcze było dosyć spokojnie, więc skrzyknąłem Piotra i jego ludzi, żeby pozajmowali wszystkie okna i drzwi. Musimy połapać tych opyzsków zanim nawieją (odrazu połapaliśmy się okogo chodzi) Przedewszystkim alarmu narobił ten chłopak, którego postawiłem na cicha wartę, czuwając, widział na tle okien jak ci złodzieje obrabiali leśnych i tak już z ich biednego majątku..., pomimo że byli uzbrojeni w noże, udało nam się ich związać, rannym w reke został jeden z koniuchów, który skoczył po siekiere i chciał temu bandziorowi łeb odrąbać..., nie dopuściłem do samosadu, chociaż sam miałem nie mniejsza chetkę tak właśnie postąpić. Zanim przyszlismy do baraku, to już nasze piękności z kuchni, obdarzyły bandziorów słoniną i chlebem, krew kryminalistów jest jednakowa. Połajałem "siostry zakonne" uprzedzając że napisze na nich raport do kierownictwa, a oprócz tego, jeszcze potrące koszt słoniny z ich zarobku.

Dziadek posłał konno po milicję, która dopiero po południu raczyła przybyć, więc związani i głodni przeleżeli dosyć długo. Niezbyt fortunnie zakończyła się wyprawa złodziei po złote runo biednych robotników. Przekłete-szczury sądziły że na wolności, nadal beda żerować, jak za dobrych Stalinowskich czasów wé wszystkich Obozach pracy, gdzie władza, przeważnie na ich swawole, przymykała oczy (o bardzo brzydkich faktach, jak postępowali kryminaliści w Obozach, napisze w specjalnej noweli..)

(kiedyś przypadkowo widziałem jak zabijano człowieka (Estończyka) tylko za stara skarpetkę, za stara znoszoną skarpetę, bo miała kolorowe, we wzory naszywane nagawki..., pomoc nie mogłem, ponieważ sam znalazłem się w podobnej opresji...)

wtedy właśnie wskoczyli do naszego wagonu, (za pozwoleniem strażników) Pomimo że byliśmy jakby pod ochroną NKWD a tu masz..., na głowę nam spadła cała zgraja pijanych bandziorów, którzy zaatakowali politycznych, będąc też pod konwojem...)

.. Jeszcze kilka dni i będziemy mieli MAJ. Niby na wolności a jednak nadal w szponach KOMUNISTÓW..., właśnie KOMUNISTÓW..., dlaczego proletariüsze całego świata nie wiedzą że ta władza, WŁADZA jest najbardziej brutalna i zabójcza dla swoich robotników ??? Dlaczego komuniści, wbrew statutowi, pobudowali państwo niewolników, gdzie wzdłuż i wszerz swego olbrzymiego IMPERIUM, pobudowali dla robotników tysiące OBOZÓW, takich przepięknych sanatoriów pod drutem kolczastym i smukłymi wieżyczkami... (żeby było ładniej w okolicy) a przy każdym takim zakładzie, jakby masz unikatem dla potomnych, średnio batalion MAŁOJCÓW, którzy z oddaniem, bez żadnych skrupułów wykonywali PRYKAZY WIERCHOWNOGO SOWIETA, rozkazy z samej MOSKWY.

W swojej książce pod tytułem; "BAŁAGAN ŻYCIOWY-ŻOŁNIERZA ARMII KRAJOWEJ" szczegółowo opisuje jak szlachetni bojcy z NKWD, zabawiali się w indian., tak, tak, dosłownie, zabawiali się bardzo brzydko, strzelając do bezbronnych więźniów w obrębie miejsca pracy strzelali do nas jak do kaczek ze swoich wieżyczek.....)

- Żołnierzyki zniechęconego żyda BERII polowali na nas radzi tylko przepustki, jakiegoś odznaczenia lub urlopu., dopiero gdy skazani zbuntowali się i odmówili pracę wykonywać, co spowodowali przyjazd wielkiej Komisji z Moskwy, wtedy dopiero zaprzestano frontowych praktyk

- A jakiś gbur z Warszawy (sympatyk rosjan) jeszcze śmie pouczać, jak polacy mają patrzeć na te sprawy, a szczególnie podkreśla że rosjanie są cacy, że w większości są dobrzy i że Katyn to nie tylko rosjanie, bo przecież byli tam i gruzini i litwini, a nawet polacy (chyba miała myśl samego Dzierżyńskiego) Słusznie panie Januszu Mikke z Warszawy, napewno trzeba wszystkim dążyć do zgody z każdym wrogiem po skończonej wojnie, ale pan wybacz, jakoś sobie nie przypominam żeby Polska wypowiedziała kiedyś wojnę Rosji Sowieckiej, (chyba żeby w roku 1920 ?) A szczególnie jak powiadał mój ojciec, nie mieliśmy i nie chcieliśmy mieć żadnych zatargów ze wschodnim sąsiadem, jesienią 1939 roku. Twierdzi pan, że rosjanie są w porządku i że podczas działań na wojnie drugiej światowej ONI byli fer. A z kąd pan wie ? urodziwszy się sam w tej wojnie i w żadnym przypadku nie może pan świadczyć o "szlachetnym postępowaniu swoich rosjan.

gwałćąc pana krewne z powstania Warszawskiego (Armia ROA) a może i znajomych wujków pod KATYNIEM-Mordując ? Czy naprawdę kochać rosjan co ich synowie gnali setki tysięcy polaków po całej rasiei, pańskich współrodaków transportowali po całej Północy, po stepach AZJI i po olbrzymiej Syberii i jeszcze kazali żeby ich kochać..., tak jak sobie życzy pewien nie wydarzony Warszawiak..., a' za coż ich kochać panie Januszu ?

Nie chciałem wyskakiwać ze swojego tematu z czarującej tajgi, ale pański tupet zmusza poświęcić panu niniejszy wierszyk; elegia do Moskali;

* I za coż was kochać krwawi przyjaciele,

Za kazamaty, katorge wśród lodów ?

Za tajgę, sybir, za ofiar tak wiele,

Za życie milionów, przepadłe od głodu ?

Nie ma przyjaźni, gdy dzieła, mogiły,

Gdy las Katyński o pomszczenie woła,

Gdzie całe wieki nienawiść rodziły,

Gdzie krew, gdzie łzy, gdzie cmentarze do okółka.

Hańba, kto szuka z katami przyjaźni...

Kto liże dłonie naszą krwią zbroczone,

Kto nie zna naszych bohaterów KAZNI...?

Kto nie chce spojrzeć za drutów zasłone...

Jest pan na swój sposób dosyć mądrym facyetem, a starając się być, toż "polaczkom" napewno zrozumie sens powyższego wierszyka.

Chyba bede ostatnim na pańskiej liście ewangelicznej z prośbą o "wybaczenie", pomimo że dla tego narodu również życzę; stałego pokoju i niech żyją w Europejskiej Społeczności na miarę współczesnych dóbr, przez siebie wypracowanych. Ale nas, panie Januszu nikt nie powinien przekonywać, że największe zło, nie było z Moskwy, pozwól pan panie Korwin, że my żołnierze RZECZYPOSPOLITEJ będziemy sami ustawiać w kolejności swoich "KATÓW"..... Niemca zawsze uważaliśmy za potencjalnego wroga, zaczynając od zarania, od PIASTÓW, natomiast rosjan, którzy zmienili tylko skórę; z "białej" na "czerwoną", by nadal gniebić polaków, nie możemy zaliczać do PRZYJACIÓŁ, jak tego sobie życzy pan i ci z pod znaku byłej PZPR.

Do naszej "LESNEJ osady, przyszedł MAJ, jeden z najpiękniejszych miesięcy, po obozowy MAJ 1954 roku.

Wyraźnie już słyszymy łoskot pękanych lodów i spadających większych płatów śniegu z wyższych warstw górskich..., jest pięknie ale nadal dzika przyroda przytłacza nas i straszy....

Pod nogami wciąż mokro, robia się rozstopy na drogach i leśnych dróżkach. Musieliśmy wstrzymać wywózkę drewna z dalszych partii leśnych duktów, konie już nie są w stanie ciągnąć ciężkie kloce po rozstopach. Zwiększyliśmy sam wyrab drzewa. Dziadek Makar już trzecią parę łapci zdeptał i teraz współczujemy, że musi chodzić w mokrym obuwiu. Któregoś dnia, idąc po wodę do przerebla, zrobiego na rzeczce, kucharki znalazły kilka ryb, które same wyskoczyły na powierzchnię. Nieznane nam zjawisko zaraz wytłumaczył Makar, który powiedział; w tych rzekach jest nadmiar ryb górskich, jak pstrąg i lipień, a że pod lodem mają ciasno i brak tlenu same wyskakują w poszukiwaniu takowego, przepowiadał; że jak lody na dobre ruszą, to będziemy mieli przez dłuższy czas ryb świeżych w nadmiarze, które następnie będziemy suszyli i wędzili.

W życiu jeszcze nie widziałem tyle ryb na raz na stole..., konsumowaliśmy rybki gotowane i smażone, pieczone przy ognisku i wędzone w łaźni..., ale już po tygodniu musieliśmy przejść na ptasi wikt, mdliło nas na widok węgorza lub pstrąga. Chociaż nasz dziesiętnik nadal kazał łowić ryby i suszyć posolone płaty. Nadchodził długo oczekiwany wiosenny czas, na który oczekiwaliśmy z wielkim niepokojem. Ciekawi byliśmy i bardzo przestraszeni, gdyż jak zapowiadał Makar, wkrótce zaczną się budzić dzikie zwierzęta...?

Przestroga Dziadka nie poszła w las, my sami też już zaczęliśmy odczuwać złowrogie oddechy tajgi, chodząc do roboty, czy też powracając, chodziliśmy tylko razem w kupie, nigdy w pojedynkę, a w rękach zawsze mieliśmy siekiery lub inną ostrą broń.

Po pracy już mało było chętnych do dalekich i samotnych spacerów, czekano na jakieś zło, o którym mówił nam Makar, tylko nie widziano z jakiej strony to "ZŁO" wyskoczy...?

Aż kiedyś, gdy nikt się tego nie spodziewał, (wydarzyło się to zaraz po obiedzie) konie zaczęły się dziwnie zachowywać, parskać rżec i wierzgać nogami, jak by chciały gdzieś uciekać... kilkunastu leśników nie zdołało je utrzymać, te małe gniewne syberyjskie kucyki jakby oszalały... a dopiero po jakimś kwadransie sami uszliśmy od strony gór głośne pomrukiwania i trzask łamanych gałęzi. Natychmiast zebrałem ludzi i zwinęliśmy nasz cały majątek, robiąc odskok do baraku. Odległość dzielącą nas od baraku (2 km.) pokonaliśmy w ciągu kilku zaledwie minut (był to słynny maraton)

...

a gdy już całe moje ~~dobrowolne~~ doborowe towarzystwo pochowało się i konie zostały zaparte na grube bale w swojej stajence, my z Pawłem pobraliśmy broń i amunicję i wyruszyliśmy na niedzwiedzia, po mimo strachu, który napewno nie opuszczał nas od początku do końca tej przygody, jeszcze gnała nas chęć ryzyka, chęć poznania niebezpieczeństwa jakie mogła odkryć nam tajga. Zresztą w tym czasie było dla nas małym ważnym, kwestią życia i śmierci... Przed wyruszeniem dziadek zdołał jeszcze dać nam pełny instuktaż; jak mamy się zachować wobec zwierzęcia, które będąc napewno głodne po śnie zimowym, gotowe jest; każdego intruza rozszarpać..., zaznaczył, że nie wolno nam podchodzić do niedzwiedzia na blizka, odległość, a zachodzić zwierzę pod wiatr... Kiedy już doszliśmy do naszej działki z kad słyszano pomrukiwania, zaczęliśmy szukać śladów, a te znaleźliśmy dopiero w odległości 200-300 metrów od naszego wyrębu, pierwsze odbicia stopy niedzwiedzia były odzwierciadleniem że mieliśmy przed sobą bestię wielką i ciężką, bo ślady podobne były do odcisków wiejskich bochnów chleba, po raz pierwszy w swoim życiu widziałem tak ogromne odbicia nóg, które jak na wielkich tacach wciskały się w głęboki śnieg.., zwierzę napewno musiało być strasznie głodne, bo jeszcze oprócz śladów widzieliśmy zryty na swej drodze śnieg.., niedzwiedź widocznie szukał na swej drodze żarcia, ryjąc i rozrzucając w koło poszycie lesne...

Ślady idące z góry do nas, pod kątem ostrym skreśliły w lewo od naszego miejsca robot i poszły w kierunku południowym w stronę rzeczki.., szliśmy spokojnie tropem przez trzy godziny, po drodze znajdując rozwalone mrowiska, a igły z tego mrowiska były rozplute w promieniu 10 metrów. Już wiedzieliśmy że mamy przed sobą ogromnego misia z odmiany "mrowkojadów", zarówno pierwsze mrowiska jak i następne były rozbabrzane potwornie.., a ślady prowadziły dalej..?

W lesie zrobiło się już ciemno i musieliśmy szybko powracać do domu. To pierwsze polowanko podobało się nam (właściwie to było tylko tropienie) i już planowaliśmy sobie że jeszcze w pierwszą niedzielę pojedziemy na łowy. Chociaż do tych "planowanych łowów" nie doszło (za co Bogu ślicznie dziękować) bo już za dni kilka, strzelając nad rzeczką do ptaków, zorientowaliśmy się że nasze sztucery wogule nie nadają się do użytku.....Oba karabinki były zepsute i żaden z nich nie odpalił.....Żadnie wyglądałibyśmy, spotykając wtedy na swej drodze głodnego zwierza ???

Później również podobne niedzwiedzi podchodziły pod nasze osiedle, pod miejsce pracy, drażniąc konie, straszając ludzi, ale w końcu zawsze zwracały w tajgę, nie robiąc większego rejdachu wśród żyjących w osadzie "Makarowka". Chociaż pewnego dnia, zaszli do nas dwaj myś-

liwi, powiadamiając że zabili niedźwiedzia i że my mamy przywieść go sobie, mięso skomsumować a po skórę zgłasza się jak już beda drogi przejezdne. Nam wszystkim (byłym więzniom) mięso z niedźwiedzia smakowało bardzo, było jakby za słodkie i podobne do naszego sztandaru narodowego, płasma mięsa bardzo czerwonego przeplatane warstwą białego tłuszczu, a kto nie jadł mięsa z łap niedźwiedzia, niech żałuje bardzo.

Zdawałoby się, że w naszym "Makarewie" zaorganizowaliśmy istny "RAJ" na ziemi... mieszkamy już pod dachem, mamy łaźnie, a przez to i opierunek na miejscu, a najważniejsze, że mamy spiżarnię zapełnioną mięsem i rybami, zeszłorocznymi jagodami i już stałym płynem takim otworem z chwoi (igły ze świerku lub modrzewia zalane wrzątkiem) ostudzony nadawał się do zaspokożenia pragnienia i był nieodzownym środkiem przeciw skorbutowi. Może jeszcze słówko o samej wodzie z naszego strumyka, to nie była zwykła woda, to był fantastyczny źródłany nektar, smaczna woda i tak bardzo zimna że język sztywniał jeszcze przed użyciem,...

Po dwudziestym maja, razem z Walentyną byliśmy sobie na dłuższej przechadzce, chcieliśmy podpatrzeć; jak żyją w tajdze małe zwierzątka... Długo nie trzeba było szukać, bo już dochodząc do skalnej ściany usłyszeliśmy pisk GRONOSTAJ, takie nie wielkie-podłużne zwierzątka o przepięknym futerku (jakoby futerka królewskie). Zazwyczaj gnieźdzą się ogromnymi stadami w małych dziuplach, takich norkach wydrążonych w skalnej ścianie. Gdy przez dłuższy czas, leżeliśmy bez oddechu, w nie wielkiej odległości od ICH gniazd, to widzieliśmy jak w kilkudziesięciu otworkach, czuwali wartownicy robiąc przemiłe gesty i stojki, a zmiany wart zachodziły dosyć często... Z opowiadań naszego dziadka dowiedziałem się, że myśliwy, powinien być doskonałym strzelcem by mógł polować na te gronostaje, musi strzelić i obowiązkowo trafić tylko w oko, gdyż inaczej zmarnuje skórke i z zarobków beda napewno nici.... Zdawałoby się że nasz sympatyczny opiekun nie miał wielkiej głowy, ale za to smykałki do życia w tajdze posiadał mnóstwo miał dużo pomysłów, które pomagały w życiu nie tylko JEMU.

Już mamy "WIOSNĘ SYBERYJSKĄ" wypełni, jeszcze śniegi nie spłynęły a już wysypało się kwiecie o nie spotykanej gamie kolorów, coż za piękny widok dla człowieka gdy wpatrzony w tajgę zasypaną młodym listowiem i bajecznym kwieciem, rozmarzony wspomnieniami z dawnych lat przeżywa uroki SYBERII, choć to piękno nie jest naturalne i pachnące.. W tamtej tajdze kwiaty niestety nie miały żadnego zapachu, były piękne i zarazem martwe, jakby skamieniałe....

Przed tym sądziłem, że tylko w tęczy zimowej w "ZORZY POLARNEJ

znajdują się wszystkie barwy świata... widziałem takie zjawisko, takie cudowne przedstawienie, będąc jeszcze na PÓŁNOCY, tego słasznego Imperium (fragment z pobytu mojego na PIECZORZE w książce pod tytułem; "Bałagan życiowy żołnierza Armii Krajowej"), jeszcze Pieczora i jeszcze jedna dodatkowa kartka wspomnień, z przeżytych kilkanaście dni, podczas makabrycznych mrozów na kolonii 31 (Zjednoczenie Pieczorskich Obozów)

Zima roku 1946/47 zaczęła się od śnieżnych burz, a po nich nastąpiły okrutne mrozy... które swoją potęgą przechodziły ludzką wyobraźnię w ogóle o mrozach...? Pamiętam, że to się zaczęło już od samego ranka, właśnie od tej zorzy polarnej (widok niecodzienny) jakby tysiące niesfornych-dowcipnych chłopaczków bawiło się lusterkami, puszczając zajaczki na firmament nieba. Widok atrakcyjny dla takiego co nie zna metamorfozy, takiego pięknego teatrzyku w którym, zamiast statystów, główną rolę grają bryły kolorowego lodu, i to właśnie ONE przemieszczając się gdzieś za horyzontem, tworzą precudowne zjawiska nazwane "ZORZA POLARNA".

I właśnie tamte widziane kolory na Północy, skojarzyły mi się z kolorami kwitnącej tajgi... Jest bajecznie pięknie, a za jedno, ten ogromny, rajski kwietnik przytłacza, napawa jakąś tajemniczością. Chcemy doszukać się naszego, polskiego porównania.., ale nic z tych rzeczy, to piękno przed nami wcale człowieka nie przyciąga, wręcz odwrotnie- odpycha, niepokoi.. Dlaczego ?

Śmiem sądzić, że ta dzika i bardzo piękna przyroda nie ma wcale zapachu, nie ma w sobie tego ciepła, wypieszczonego innym lżejszym klimatem. Jak powiadał dziadek Makar, nie zadługo zakwitną jaśminy i też będą pozbawione ostrego zapachu...

I pomimo wszystko jest tak ładnie i tak przyjemnie że chcesię poprostu płakać, jeszcze trochę, a zaczną W Y Ć... z tęsknoty za prawdziwszym światem, za swoją OJCZYZNĄ, za swoją MATKĄ.

Jeżeli to ma być początek NOSTALGII, to instyktownie zaczynam rozmyślać o UCIECZCE...? Już wiem, że muszę wiać, że muszę jak najprędzej opuścić tę dziką puszcę, ale jak ? dokąd mam lecieć ???
Później jeszcze będę rozmawiał z Dziadkiem Makarem, muszę szukać u niego jakiejś rady, jakiegoś ratunku.? Będziemy musieli coś postanowić..?

Paweł z Piotrem planują skok na tokujące głuszcze, już nawet wiedzą, gdzie są tokowiska. A toki tych pięknych ptaków też chciałbym widzieć.?

Dramat, nazwałbym poprobstą bezpłciowym, jaki rozegrał się między mną a Walentyną, był zakończeniem niechlubnej i beznadziejnej znajomości żołnierza AK z dziewczyną kryminału sowieckiego. W dniu 27-go maja 1954 roku (data historyczna) podczas wspólnej kąpieli (nie raz byłem zdziwiony dlaczego Walentyna bierze kąpiele nie ze mną a ze swoją koleżanką?) musiała pokazać swoje wdzięki, które, wcale nie zachwyciły mnie, naodwrot, stały się powodem ostatecznego zerwania.

Niezmiernie przykro mi że muszę poruszać ten niewdzięczny temat i tak brzydko pisać o kobiecie, a najbardziej przykro mi że zmuszony jestem poruszać swoje intymne sprawy i w dodatku jeszcze dzielić się z innymi....

Niestety, gdy powiedziało się "A" należy dopisać i "B". Otóż moja tajemnicza współniczka (do niezbyt czystych moralnie rzeczy) plusem do swojej urody, posiadała jeszcze, całusięńkie ciało, wymalowane różnymi tytużami (jak na portretach, czy obrazach słynnego Picasso). Na piersiach dużymi literami widniał napis (ten napis widziałem u wielu mężczyzn - Rosjan w Obozach pracy) "Matuszka zaczem ty minia rodziła" i dwa skrzydła anioła dotykające piersi, na obu rękach imiona męskie jak; "Iwan" "ARKADII" (widocznie chciała sobie utrwalić na pamięć) natomiast na nogach, napisy idące od łydek do ud i wyżej, była cała mozaika kolorowych kwiatów i węży....., a już dla większej atrakcyjności pod samym brzuchem wspaniała hasło jak w "SOLIDARNOSCI"... "UMRU ZA GORIACZUJU LUBOW" i bardziej swoisko, że gotowa jest umrzeć za gorący stosunek..... A kolorowe strzałki dodawały smaku, zwłaszcza przy ruchach mięśni... OHYDA!

Sądze że wszelkie uzupełnienia będą już zbędne, że wtenczas nawet zlekceważyłem swoje serdeczne chęci, żeby ją kopnąć na koniec naszego tajemniczego współżycia, w ten malowany, brudny tyłek. Rozstaliśmy się bez najmniejszych zgrzytów. Walentyna zrozumiała że po tej otwartej scenie musi ~~odejść~~ odejść. albo ja. . .

Jeszcze tego dnia wieczorem miałem długą rozmowę z Makarem, odrazu zaczynając rozmowę, powiedziałem; Drogi Dziadku, nadszedł czas że muszę swoją duszę wyłożyć przed Wami na ławę. Bez żadnego upiększenia powiem Wam co mnie gnębi i proszę mnie wysłuchać i zrozumieć;

Wierzcie mi Drogi Dziadku, że już mnie nie imponuje, nie ciekawi ta cała wasza Cudowna Przyroda, to nasze przeurocze miejsce zamieszkania, te czyhające każdego dnia dzikie zwierzęta, na nas i na nasze koniki, to wszystko już nie odpowiada mnie i moim myślom, które są & gdzieś daleko od "MAKAROWKI"... Dziadku, zrozumcie mnie, ja się poprostu wykańczam, mam wielki ciężar na sercu i że w końcu "PIEPRZE" taką zsyłkę. Mam po wyżej uszu całej tej okropnej TAJGI, tego wstretnego towarzystwa z kryminału i zadrypanych kołchozów, tego niesamowitego chłodu idącego od wszystkiego co mnie otacza... Byłbym może spokojniejszy zabierając WAS ze sobą, ale niestety muszę odejść sam. Po raz trzeci w swoim życiu będę próbował ucieczki, (dwie ucieczki zaliczyłem od Hitlerka..) Poradźcie mi dobry ojciec, co ja mam robić? gdzie mam iść?

Nie sądzę, żeby ktoś nie znający psychiki ludzkiej, mógł tak szybko znaleźć jednoznaczną odpowiedź...? Rozmowa nasza była długa i nadzwyczaj szczerą..., teraz czekałem z wielką niecierpliwością, na odpowiedź Dziadka, jak zareaguje na moją buntowniczą spowiedź? O zgrozo! Wprost nie do uwierzenia. Dziadek Makar sam mi poradził... U C I E K A Ć... Nie spodziewałem się takiej odpowiedzi od swojego jak by nie było ZWIERZCHNIKA, byłem raczej pewny jakiegoś serdecznego pocieszenia, jakiegoś pouczenia, ale przenigdy zachęty do ucieczki, do opuszczenia miejsca zsyłnego.?

Co za wspaniałe człowiek, co za duszewny rosjanin (chyba jeden na milion?) Z ogromnego wzruszenia rozczłowałem z dubeltówki wspaniałego STARUSZKA. Doprawdy, będąc na JEGO miejscu czy sam mógłbym się zdobyć na taką odpowiedź? I czy stać mnie by było dać taką propozycję?

Nazajutrz skoro świt, wziawszy od Dziadka nóż myśliwski i pół bochna czerstwego chleba, wyruszyłem w kierunku SIEWIERO-JENI-SIEJSKA, do wilczego łoga gdzie znajdował się sztab NACZALSTWA. Poszedłem w nieznany świat, szukać lepszego jutra, albo...?

Jest mi teraz zupełnie obojętne, jak ze mną postąpią. Już przyzwyczaiałem się do ICH gościnności, do ICH nakazów, przykazań i wiecznych gróźb. Droge i kierunek podała mi kochany Staruszek (żeby wszyscy rosjanie podobni byli do naszego MAKARA, uwielbiałbym całą ROSJĘ i pierwszy, wcześniej jeszcze od pana KORWINA-MIKE zakładał sojusz POLSKO-ROSYJSKI.)

W tej krótkiej noweli i w prostych słowach chciałem opisać o UROKACH SYBERII, a o dalszych przygodach żołnierza AK służyć w następnych nowelach, okraszonych Z Ł O T E M ,..... autor

Henryk Jencyk
Adersheim 1990 r.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

" 1568 | I Konturs

2

Drugi fragment książki pod tytułem;

* C E A R S Y B E R I I *

Zobaczyłem złoto i co z tego wynikło. Na świecie był maj kiedy zdecydowałem się na pozostawienie swojego miejsca zamieszkania i wspianiałego staruszka, o którym mogłbym pisać b. dużo, przecież to był człowiek pamiętający jeszcze życie za czasów dobrego cara, bo już za władzy Joški Stalina, całą resztę życia, biegał stale w łapciach...., nie mając żadnych złudzeń na poprawę swojego bytu. Uciekałem sam i to bez żadnego przygotowania, leciałem jak wicher po przez tajgę, gnany determinacją i złądną nadzieją na poprawę żołnierskiego losu.

Dwukrotnie przechodziłem głębsze i rwące strumienie(a był to okres, kiedy śniegi razem z lodem spływały z gór dzikiej puszczy, chociaż już w tym czasie drzewa były oblepione kwieciami i cała przyroda ze zdumiewającą szybkością odżywała po dziesięciomiesięcznym śnie. Na moich oczach budziła się fauna i flora, pączki pękały a kwiat gęstym dywanem okraszał poszycie leśne.

Przechodząc przez nie/samowicie zimną wodę, myślałem że mi stopy odpadną odmrożone..., tarłem lodem i skakałem rozgrzewając krew.

Po południu, nade jednym rwącym potokiem, zobaczyłem niedźwiedzia jak pił sobie spokojnie wodę, na jego widok obleciał mnie taki syf strach, że nabrałem takiego tempa, które pomogło mi pokonać kilkanaście kilometrów, dzielące mnie jeszcze od misia do osady w jakiś kilka godzin. Bo już pod wieczór znalazłem się w Siewiero-Jenisiejsku w rejonie gdzie znajdowała się słynna na całą okolicę kopalnia złota. Jeszcze będąc w Tajszeckim OBOZIE, słyszałem straszne opowieści od więźniów, którzy przebywając w tym piekle, widzieli górników oblepionych białym szlamem (zwanym słańcem) i żyjących tylko kilka miesięcy po wywiezieniu ich z dołu kopalni....

W samym centrum osady, zobaczyłem wieżę kopalnianą i strażniczą, a z pod wrót kopalni wylewała się łaawa lava, taka szara masa spłukiwana miejscowym potokiem. Odnośnie szczegółów tej gigantycznej mordowni, jeszcze nie raz będę powracał w tej nowelce.

I tak 29 maja 1954 roku przyjechałem pod drzwi już nie czynnego biura NACZALSTWA i jak to się mówi potocznie z "duszycką na piętach", Bałem się nie tyle jakichś konsekwencji, co właśnie pracy w tej okropnej kopalni...Eałem się znowu zostać numerem.

Jednak mój żołnierski "los" (zawsze pechowy) sprawił mi ogromnego figla, takiego ogromnego psikusa, gdyż zamiast do TIURMY (do pudła) trafiłem prosto do miejscowego szpitala.....

Siewiero-Jenisiejsk. Do szpitala trafiłem, zawdzięczając tylko wspaniałemu człowiekowi, jakim się okazał, doktor Aleks, Yotysz z pochodzenia i sympatyk polskich żołnierzy. Już następnego dnia, dowiedziawszy się o NIM wiele dobrego, powlokłem się do Kliniki gdzie ten miły starszerek przyjmował pacjentów. Gdy tam wszedłem i zameldowałem swoje przybycie, od razu przyjął mnie jak syna swojego. Nawet nie przestraszył się że ma doczynienia ze zbiegłym ssylnym, od razu poradził ~~mi~~ ^{mi} peężycie położyć się do szpitala, jako "ciężko chory po ataku ślepej kieszki"... Co też niezwłocznie uczynił dając skierowanie do szpitala, by ~~mi~~ ^{mi} usunięto wyrostek robaczkowy (apendiks).

Już następnego dnia z samego rana zostałem zooperowany przez samego profesora, doktora AŁKSA, tego samego dobroczyńcy, który nie tylko pomógł uciekinierowi ale jeszcze schował do czystego i ciepłego łóżka, gdzie już byłem zupełnie spokojny, że mi narazie nic nie grozi ze strony Zapiduchów z NKWD...

W tym czasie tak się złożyło, że były administrator tego szpitala, tak zwany "Zawiedujuszczym Choziajstwem Raj-Bolnicy", dosłownie przepił wszystko, co tylko zdołał przepić, widocznie był rosjaninem z krwi i kości, więc przepił i poszedł pod karabinkiem na moje miejsce... A ponieważ na początku mojej dziwnej kariery, miałem wiele chęci a jeszcze więcej pomysłów, koncepcji (tych z partyzantki i z obozów) to mi robota sama paliła się w rękach. I wcale nie dostałem stracha jak przed niedźwiedziem, pomimo że cała gospodarka leżała w rozsypce, była okropnie czatalno zrujnowana. Jakby z marszu poszło mi bardzo dobrze.

Innych więźniów, z miejscowego obozu, pobrałem na lipną kartę chorobową, z których zorganizowałem brygadę roboczą, która przez lato 1954 roku, doprowadziła całe gospodarstwo do idealnego porządku. Wszystko już zostało wylizane na połysk. Nawet pokusiłem się na wybudowanie nowego pawilonu gruźliczego (co mi też się, w krótkie udało dokonać) Szpital nasz (widocznie szybko aklimatyzuje się pisząc "Nasz Szpital) Więc Szpital nasz, był jakby ostoją, taką ostateczną BAZĄ dla młodych gorników (i nie tylko) Którzy w piorunującym tempie zapełniali sale oddziałowe, a w niedługim czasie i miejscowy cmentarz.....

Przyczyną takiego zjawiska i takiego pośpiechu "PYLICA" była, najstraszniejsza choroba gorników z kopalni złota. Prawie każdy gornik (przeważnie młodzi) pracujący w tutejszej kopalni, chcąc szybciej skręcić swój wyrok, lub szybciej dorobić się jakiegoś grosza, pracował przy ścianie na sucho, i właśnie ten pył, nie czarny od węgla, a szary zwany "słańcem" szybko siadał na młode płuca, by nieco później lecieć już karetką do szpitala, z każdą najkrótszą drogą na "KŁADBISZCZE" (cmentarz)

Opowiadano mi że młodzi górnicy nie pracowali więcej, jak kilka lat, harowali strasznie i to nie rzadko pod batogiem starając się wykonywać "NORMĘ STALINA" i chcąc dodatkowo zarobić musieli rwać ten "SZANIEC" nie tylko rękoma ale i zębami..., a to zezwyczaj kosztowało swoim życiem. Młodzi ludzie różnych narodowości; Ukrainskiej, Białoruskiej, Litewskiej, Łotewskiej i Estońskiej. Polaków, na szczęście w tej kopalni nie spotkałem (widocznie nie lubili tego złota) Przeważnie z tej piekielnej kopalni Estończycy i Rosjanie (kryminaliści) szli całymi brygadami prosto ze sztolni złotka w zaświaty do BOZI....

Szpital w Siewiero-Jenisiejsku, mało że miał mnóstwo kłopotów z grzebaniem swoich i tych z kopalni, dodatkowo jeszcze musiał robić pochówki zmarłych pastuchów Komiackich, że stąd przechodzących przez osadę, z rana przychodząc do pracy często znajdowałem pod bramą zmarzniętych tubylców. W tym charytatywnym zabytku Nanajcy czy też Ewinkowie, zawsze mieli darmowy pochówek i nie potrzebowali męczyć się z grzebaniem swojego pobratymca. Ziemia w tym Zapolarnym Kręgu, była stale przemarznięta (wieczysta zmarzlina) i nie sposób było wykopać dół bez kilofa, bez ognia, wogóle bez większego wysiłku. Słyszałem, że jeszcze przed wojną, chowali swoich zmarłych, wieszając ICH na wysokich i gęstych świerkach, często po latach znajdowano takie cmentarzyska gdzie drzewka były umajone wiszącymi ludźmi (po latach zeschniętymi) jak u nas, w świecie cywilizowanym, pięknymi "bombkami"..... W ten sposób chowano swoich nieboszczyków przed zwierzętami i złodziejami, którzy obdzierali zwłoki po barbarzyńsku. Kiedyś chowano bogatrych Ewinków, razem z ICH majątkiem, zabijano najwierniejszego psa, jednego renifera, jeżeli miał samower lub broń myśliwska, również pozostawiano pod drzewkiem zmarłego. I dlatego często nasz brat RUS, łasił się na rzeczy potrzebne i w jego gospodarstwie....

Zimą 1954/55 kiedy samemu zginęły w tajdze konie, szukając znalazłem takie cmentarzysko. Straszne widowisko. Drzewka wiszące z podwieszonymi ciężarami, już bardzo cienutkimi, bo po tylu latach wyschniętymi, a na dole pod nimi rumowisko rozszarpanych skór i naczyń Dzieło czasu, dzieło dzikich zwierząt i naszych dwuhożnych stworów-podobnych szakalom....^W moje koniki naturalnie odnalazły się ale o nich opiszę w dalszej części tej opowieści.

Jak już na początku podkreślałem, przy tym szpitalu miałem ogromne roboty, czasem to i dnia nie wystarczało. Według ustanowionego z góry planu robót, doprowadzałem ten "kołchoz" do stanu normalności, chciałem by ten przybytek cierpiących został choć trochę podobny do obiektów charytatywnych jakie pamiętałem z POLSKI.

Teraz miałem przed sobą, jak by BURDELIK, takie zaniedbane podwórko, gdzie łatwiej złamać sobie nogę jak znaleźć potrzebne polano do pieca. Do chwili przyjęcia tego kołchozu przezemnie, wyglądało to mniej więcej tak; Każdy z pracowników szpitala, na własną rękę zaopatrywał się, na przykład w drzewo na opał, łamał po drodze ostatnie sztachety z płota, na podwórku jak przyjmowałem dosłownie nic nie było (oprócz zarosniętych drzewek i błota) Pustki i wielki smutek dookoła, tylko siadać i płakać....

Główny lekarz, Ordynator Szpitala (była kobietą - jak większość obsługi tego Przedsiębiorstwa) z sympatią, ale i z nie dowierzeniem przyglądała się moim poczynaniom, dlatego bardzo chciałem sprostać ciężkiemu zadaniu. Przedewszystkim udało mi się z jednego transportu byłych więźniów, przybyłego aż z Estonii, żeby kopać złoto, urwać osmiu specjalistów, których za namową pani doktor, wzięliśmy na kartę chorobową. Co to byli za wspaniali ludzie o złotych rękach, specjaliści od budowlanki i od stolarki. Właśnie to ta grupa, wybudowała nam pawilon przeciwgruźliczny w przeciągu 6-ciu miesięcy, to właśnie ONI, Ci cudowni Estończycy pomogli mi uporządkować ten "byrdelik", doprowadzając całość do takiego stanu że już wkrótce otrzymaliśmy wiele pochwał od samego Sekretarza Partii (jakby od samego Boga tej Osady) Przecież w tym kraju najmarniejszy sekretarzyna komuchów był jakby "CAREM I BCHOH".

Chorzy na płuca i na pylicę leżeli dotychczas pokotem na Oddziale Wewnętrznym razem z innymi chorymi. Po wybudowaniu nowego przyczyniłem się do przeprowadzki chorych na swoje właściwe miejsce.

A na zimę, tę dzielną i bardzo pracowitą ósemkę schowałem do lasu. Bałem się ze mi odbiorą te wspaniałą grupę Estończyków, gdy się dowiedzą, że sfałszowaliśmy karty chorobowe, przez co umniejsziliśmy liczbę wołów roboczych dla tutejszych komunistów....

Załadowałem moich pupilków do karetki sanitarnej i wywoziłem ICH na 30 kilometr, dalej na połnoc od Siewiero-Tenisiejska, gdzie szpital posiadał niewielką działkę leśną. Niedaleko od drogi stała sobie malutka chatka, wybudowana z kłoców modrzewiowych.

Przed tym w tej "izbuszce" mieszkali dwaj drwale, pijacy nie z tej ziemi, wynajęci przez byłego kierownika do zaopatrzenia szpital w drzewo na opał. Dlatego też w szpitalu był chroniczny brak drzewa. Chorzy marzli na salach, a pracownicy w swoich mieszkaniach (według umowy szpital również zaopatrywał w opał swoich pracowników)

I na nic krzyki, gróźby i stała interwencja Komitetu. Nic nie pomagało. Walka o kawałek kłosa toczyła się przez całą zimę, wciąż na doraźnym zamówieniu, a jak to wyglądało w praktyce; Główny lekarz alarmowała Komitet Partii, z Komitetu dzwoniło do Bazy Samochodowej, zbierano ochotników wśród personelu i jechano wówczas po drzewka, które też trzeba było ściąć i porąbać....Trzyjeżdżano i... niestety sami musieli piłować bo tych skurwieli przeważnie nie znajdowano w tym domku, akurat wałęsali się po okolicznych wioskach w poszukiwaniu bimbru...Natomiast po powrocie z lasu, już na dziedzińcu, odbywały się dantejskie sceny; która saniterjuszka silniejsza, która sprytniejsza, to więcej drzewek nałapała dla swojego Oddziału.

Przy naszej organizacji już nie musiano obawiać się o opał, drzewa wystarczało wszystkim jak chorym tak i zdrowym, naturalnie że bardzo wiele zawdziaczałem moim towarzyszom z lasu, którzy nie patrząc na warunki pomagali mi wyjść z tego dna.

W podziękę że ICH przyjąłem i na zime schowałem przed przy musowym kopaniem złota, zamieszkali chętnie w tej malutkiej chatynce, przez całą zimę pracowali uczciwie dla naszego szpitala, ku zadowoleniu obu stron.

Na posterunku Milicji (za wstawiennictwem mojego przełożonego) pobrałem jeden sztucer i paczkę naboí. Tę broń musieliśmy mieć do obrony naszych ludzi, przed dzikim zwierzem, a przede wszystkim przed wilkami, które przy większych mrozach grasowały stadami, napadając nawet na wioski i ludzi.

"IZBUSZKE" czyli naszą chatkę, odnowiliśmy, ściany zostały pobielone, wstawiono nowe okna, przywiozłem osiem szpitalnych łóżek materace i całą pościel. Łóżka ustawiliśmy piętami, a stół i taborety zamajstrowali sami Estonczycy. Zaprawiantowanie robiłem zawsze według ICH woli i życzenia, zarabiali przecież już dużo, chociaż nie używając alkoholu, nie mieli też wiele wydatków.

Ku wielkiemu zdziwieniu samego Sekretarza Partii, który kiedyś lustrował nasze obejścia szpitalne, ujrzał niecodzienny obrazek; otóż na podwórku szpitalnym ujrzał dwa wielkie stogi z porąbanymi polanami...Drzewo było już przygotowane na następną zimę.

wiedys pojechałem do swoich Estończyków z pieniędzmi i z pro-
wiantem, niestety musiałem pozostać na noc, bo akurat w tym czasie
przewalała się olbrzymia fala wilków, prawie przez całą noc szły
ze strasznym wyciem, z takim przejmującym skowytom, jakby płaczem,
zapowiadając srogą i długą zimę.....Nie do zapomnienia.

Znowu za drugim moim pobyciem w tajdze, nie dojechałem do
~~do~~ swoich chłopców, ponieważ niedziedź zatarasował drogę, zrzucając
ogromne głazy z góry znajdującej się nad wiaduktem, na przestrzeni
100 metrów zawałona była jezdnia. Dopiero na drugi dzień zator
został usunięty. To złośliwy MISIEK, przechodząc w poszukiwaniu dob-
rego lokum na nocleg zimowy, zaniepokojony został warkotem maszyn
ciężkich i większym ruchem samych ludzi.

Nasi robotnicy, pracując w tajdze, teraz mieć musieli broń
w pogotowiu, stale się obawiano napadu, czy to dzikich zwierząt, czy
też złych ludzi. Przed takimi stale ostrzegałem Estończyków,
mówiąc że po tych tajorznych drogach, w tej głuszy, chodzą tylko lu-
dzie; albo poszukujący chleba albo awantury....

Chyba nie minęło wiele czasu od mojego ostatniego ostrze-
żenia, a już moi towarzysze znaleźli się w dosyć kłopotliwej sytuacji,
W czasie obiadu, sześciu zeszło ze swojego stanowiska pracy, by przy-
gotować posiłek, a dwoje pozostało by naostrzyć piły. I wtedy włas-
nie zostali zaatakowani przez czterech drabów, uzbrojonych w drągi,
którymi, wyskoczywszy z zarośli, zaczęli okładać, wrzeszcząc okropnie
domagali się oddania żarcia i broni, właśnie te krzyki usłyszał
jeden z tych 6-ciu, który akurat szedł do komórki po drzewko do pie-
ca. Natychmiast zaalarmował pozostałych i całą szóstka otoczyła po-
lanę, przy której dzielnie się bronili napadnięci..., jeszcze tylko
jeden bronił się rozpaczliwie, gdyż drugi już leżał dzgnięty nożem,
Akurat nadjechałem sanitarką i pomagałem rozsierdzonemu Estonczykowi
zbierać pokieraszowanych napastników. Tak pobitych bandziorów jeszcze
nie widziałem, jak żyją takich "JATEK" nie spotykałem ani wcześniej ani
później. Tę czwórkę, sowieckiego kryminału, strasznie zeszpeconych i
mojego Estonczyka wzięłem do karetki i od razu odwiozłem do szpitala,
choć nasz towarzysz, który dostał drągiem po głowie i miał mocno
rozciętą nożem prawą brew i trochę czoła, został ślicznie posszywany
i jeszcze tego samego dnia odwieziony do swoich kolegów, by tam zdala
od wcibskich, mógł spokojnie kurować się dowoli....

Natomiast czwórka rusaków przeleżała u nas trzy tygodnie,
długo jeszcze wyglądali tak jakby powrócili z chińskiej wojny.
Ze względu na dobro całej sprawy, meldunku dla Milicji nie składaliśmy

tam więcej było bandarzy jak gołego ciała. I wcale sie temu nie dziwie, przecież moi Estończycy, wszyscy jak jeden mąż byli atletycznej budowy, a będąc na dobrym wikcie szpitalnym - napewno nie żałowali swej pary. Można było współczuć tylko napadającym.....

Ciekawe to były czasy w których musiałem żyć. Chociaż moje ostatnie miesiące nie były już pod łaskawą ochroną NKWD, jednak samodzielnie nie mogłem poruszać się, a bez zezwolenia nie miałem prawa opuszczać rejonu Siewiero-Jenisiejska. Niby pół-wolny, ale z ograniczeniem. Chociaż na swoje życie nie powinienem psioczyć, a dziękować Najwyższemu ze już nie chodzę głodny i oberwany.

Moja strona materialna była w tym czasie tak fajna, że nie podlegała żadnej dyskusji. Nawet brak porównania z życiem w Polsce dzisiejszej. Jadłem i piłem co tylko chciałem, na co tylko miałem apetyt. Będąc gospodarzem całego folwarku szpitalnego i trzech mniejszych przychodni sanitarnych, rozsianych po całym rejonie, mogłem z pewnością czuć się udzielnym księciem (zamaskowanym).

U siebie prowadziłem chów zwierząt trzeźnych, hodowle 10-ciu koni (jednego konika trzymałem specjalnie pod siodełko, a zimą zaprzegając go do maluszkich spacerowych saneczek)

Dwa razy w tygodniu przeprowadzałem, tak zwane swinio-bicie do którego pobierałem 1/2 litra spirytusu z apteki (spirytus w Zw.Radz. można nabyć wyłącznie w aptekach i tylko na recepty). Pobieranie alkoholu pod świniaka było utartym rytuałem byłego gospodarza, więc zawsze miałem świeżółtkie mięsko pod kieliszek dobrej wódki, która mi przyzadzała nowa moja matrona (lekarz pediatra, studentka z Leningradu, której tata był kiedyś represjonowany przez czerwonych i wywieziony do Minusinska, na południe od Krasnojarska. Wolałem mieć jedną kobietę obok całego haremu.....wtedy nie byłem napastowany.

Właściwie alkoholu nie nadużywałem, a jak już chciałem wypić zadawałem się wyłącznie szampanem, który nagminnie był nadużywany przez umierających górników...bo górnicy, jak już poprzednio wspominałem, posiadali dużo pieniędzy, ale za to mało czasu do stracenia. Prostu chcieli umierać na wesoło, a przy tej sprawie ja sam im w tym im pomagałem, dosłownie, nie nadążałem zaopatrywać moich "ANICZYKOW" w środek kojący. Będąc na ICH miejscu napewno robiłbym to samo, mając na uwadze nadchodzącą swoją śmierć.....

To byli bardzo biedni ludzie (nawet w sensie moralnym) Podwójnie skazani na zagładę.., raz, przez samego potwora Stalina, a potem przez zdradliwą, białą pylicę.

Co się zaś tyczy wolnych górników, werbowanych po całym imperium, to CI mieli jeszcze jakieś złudne nadzieje, że w razie choroby górniczej będą mogli przebywać na kuracji w sanatoriach, gdzie zazwyczaj tam kierowano. Natomiast nasz brat, w żadnym przypadku, już szans żadnych nie miał. Bo górnik z tych numerowanych był zawczasem spisany na straty....

Pracowałem dosyć uczciwie i bez żadnego przymusu, pomimo że mój dzień pracy nie był normowany, z wielką ochotą zawsze byłem gotów spełnić każde zlecenie mojej przełożonej, Ordynatora Szpitala. I co bym nie robił, każda robota sprawiała mi ogromną radość i satysfakcję, będąc pewnym że pracuje dla ludzi chorych, dla ludzi potrzebujących mnie. Za pracę ja i moja brygada otrzymywaliśmy same pochwały. A warunki życia naszego były bez żadnego porównania wprost bajeczne... Syci, odziani i z kieszeniami napchanymi pieniędzmi. Tak, tak, naprawdę byliśmy szczęśliwi w swoim nieszczęściu, chociaż niewielka ale bardzo kłująca zadra wciąż dokuczała sercu. Po mimo okropnego klimatu, strasznego reżymu, jeszcze można było żyć, gdyby nie NOSTALGIA...? Właśnie ta chodząca jak cień za człowiekiem tęsknota za lepszym ludzkim światem, za ciepłem, za miłością do matki, do CJCZYNY, była jakby kamieniem na naszych duszach... Nie żadko chodziliśmy jak błędni rycerze czekając^{na} finał naszego LOSU.???

Chwilami miałem już po wyżej uszu dosyć tego przestępstwa które jak zaraza wszędzie, w ludziach, w urzędach, w kulturze, a nawet zbrukana w samym słownictwie rosyjskim, gdzie na każdym kroku MAT, był rekojmią, nieuctwa, gdzie piękny kiedyś język rosyjski, przerobiono na dialektyczny język grypserów...

Brak było podstawowego światła, chociaż w Siewiero-Jenisiejsku słońca było bardzo dużo, ale cóż to za słońce, które pali przy 50-ciu stopniach mrozu? Tam na PÓŁNOCY zawsze nam było zimno, znajdowaliśmy się w Kręgu Zapolarnym, gdzie nawet tajga już była bardziej skarłowaciała, bardziej żółta i wcale nie podobna do tej pięknej tajgi, którą poznałem będąc nad ANGARA w Kraju nad Bajkałem.

Może kilka słów o samym Siewiero-Jenisiejsku, jest to prastara Osada z czasów dynastii Cara. Jeszcze w początkach dwudziestego wieku Anglicy za pozwoleniem Imperatora założyli fundamenty pod Kopalnię Złota, a JEJ świetność była każdego dnia ogłaszana wystrzałem armatnim, świadczącym o wydobyciu " PUDA cennego kruszca"....

Z relacji pewnego starszego obywatela tej miejscowości (który pamięta jeszcze początek świetności tego źródła drogiego krusz-
ca) Była ładna Osada a ludzie żyli dostatnio, gdzie złoto miało cenę
nie krwi i potu, ale było podstawowym źródłem dobrych zarobków.....
Po rewolucji, zmieniono władze a wszystkich zasobnych górników i nie tylko,
powsadzano do więzienia. I od tamtego czasu nastąpiły Rządy prze-
mocy, które przetrwały aż do dzisiejszego dnia.....

Rejon Siewiero-Jenisejska był obszarem o wiele większym od
naszej Polski. Jadąc na północ w kierunku IGARKI mieliśmy ponad 600 km
Trawie tyle kilometrów w kierunku południowym, do portu w BRIANSKU nad
rzeką, Jenisej, a już na wschód po przez olbrzymią puszcę, określano
na (1000 z górą wiorst). Często jeździłem karetką pogotowia w różne
strony tego olbrzymiego rejonu i nie zawsze służbowo... Dlatego miałem
możliwość poznawania ludzi i ich otoczenie w których się znajdowali..

Kiedyś przydażył mi się dość dziwny przypadek, otóż, jadąc do
chorej kobiety, która w następstwie zabraliśmy do szpitala, ponieważ
miała rodzić... W tym czasie nasz kierowca pan Gonza (Ukrainiec prze-
siedlony z pod Kijowa, zapalczywy wróg SYSTEMU, a partyjniaków zawsze
nazywał CZERWONYMI PAJĄKAMI) więc jak było w Jego zwyczaju, na dłuż-
szych trasach wypijał wiele stakanów alkoholu, którego było w brud w
każdej karczmie, czyli zajazdu dla kierowców, rozsianych w tajdze co
kilkaset wiorst, i teraz spał snem sprawiedliwego na noszach wewnątrz
karetki, a ja sam musiałem przyjąć pacjentkę, posadzić JĄ obok siebie
w szoferce i wyruszyć w drogę powrotną...

Jeszcze nie minęła godzina jazdy, gdy moja chora zastrzegła sobie,
prawie nakazała; że bym nie jechał po samej drodze, a zboczył i wiozł
JĄ po kępach, po bezdrożu..., twierdziła, że jak JĄ dobrze przeczesie
to i poród będzie o wiele łatwiejszy...? Była SYBIRACZKA.

Czego jeszcze nie nasłuchałem się od tej "herod-baby".....
jakimi wulgarnymi wyzwiskami nie obdarzała nasz męski ród ???

Już dawno, nawet w CBOZACH, tak ohydnie i takimi epitetami
nie obdarzał mnie, jak ta zafajdana rusaczka z piekła rodem...
Dopiero po dwóch godzinach, gdy się obudził moj pijaczek-odetchnąłem
z ogromną ulgą. Po tym całym incydencie, dałem sobie słowo że długo-
długo jeszcze nie wezmę kierownicy w ręce.

Natomiast pan Gonza, szybko poradził sobie z tak bezszczerłą
kobietą, Już przed rozmową, sybiraczka oberwała po pysku i to tak
dokładnie ze piekielnicę jakby zamurowała, bo do samego szpitala
milczała uparcie..., a rodziła dopiero na 4-ty dzień po przyjeździe.

Może po miesiącu, albo trochę dłużej, znowu naszemu kierowcy

panu Gonzie przydały się znów dosyć makabryczny przypadek, kiedy wyruszył w daleką drogę, po zamordowanego człowieka. Nasz szpital został powiadomiony przez Milicję, że w porcie BRIANSK, został siekierą, zabity kierownik tartaku i że teraz zaistniała potrzeba przywiezienia denata, na sekcję zwłok...

Prawie tysiąc wiorst w obie strony, więc nasz pan kierowca z nudów urozmaïcał sobie drogę alkoholem..., odwiedzając co jakiś 200 w. spotykane "ZAJEZDNIĘ", gdzie wszyscy kierowcy z trasy raczyli się CZAJEM..., i nie tylko..., bo kiedy już do karetki załadowano trupa..., szczegółów nie pamiętał.... Zaraz za tym portem jadąc już w naszym kierunku, ciągnęło się olbrzymie wzniesienie, gdzieś na przestrzeni 5-ciu kilometrów (tubylcy nazywali tę górę, "CIANIGOZ") Już będąc na samym szczycie, kierowcy zazwyczaj przełaczali biegi i bardzo wolniótka wjeżdżali na sam czubek góry, właśnie w tym samym czasie, jakiś autostopowicz wlaź bez pytania do jego karetki..., i proszę sobie wyobrazić zdumienie, a nawet trwożne "ochłapusa" Gonzy, kiedy wjechawszy na tą górę, po przepaleniu skręta (machorka, zawinięta w kozią nóżkę, do czego nadawała się wyłącznie "PRAWDA MOSKIEWSKA") i gdy zaczął spokojnie ćmic..., naraz odsunęło się okienko, odzielające kierowcę od pomieszczenia gdzie znajdował się nieboszczyk..., usłyszał jak ktoś woła; DAJ PRIKURIC (daj przypalic) Pan Gonza, jak później sam opowiadał, na początku zdrętwiał, i miał uczucie jakby mu wszystkie włosy poszły w górę na jeża, stały w zupełności dęba, już nie mówiąc że od razu wytrzeźwiał..... A gdy powrócił z drogi to widzieliśmy skutki tej całej i dość śmiesznej przygody, na głowie naszego bohatera pozostały na zawsze dwa pasma siwiutenkich włosów (a przecież miał dopiero trzydzieści lat)

Opowiadał jeszcze że tego niespodziewanego intruza, mocno obić, prawie do utraty przytomności bity pięściami ucząc faceta by się pakował do samochodu ^{nie}przedzając właściciela.

Zima 1954 roku pojechaliśmy razem z moją panią doktor na inspekcję, gdzie mieliśmy skontrolować jeden z pododdziałów naszego szpitala, a pojechaliśmy po mojej propozycji, saneczkami zaprzęgnięte przez dwa koniki. Cóż to była za frajda, za wspaniały kulig..... Każdemu wolno osądzać naszą eskapadę źle i dobrze..., ale proszę mi wierzyć że było fajnie, było podobne do malowanych na obrazach, gdzie lecąc końmi w tumanach śniegu drogą wiodącą przez przepiękną TAJGĘ, pokonywaliśmy swoją trasę przez trzy dni i trzy noce, koczując w przydrożnych "C Z A J C H A N A C H"....

Jeszcze i dziś odczuwam na twarzy śnieżne odpryski z pod kopyt końskich..., lecieliśmy wtenczań jak na skrzydłach, a dobre i syte koniki same dostawały siłę i ochotę, bo bez bata pokonywaliśmy wiorsty lecąc w puszystym śniegu wśed wśród dzikiej przyrody... a na zapytania mojej pani; czy wiem napewno dokąd lecimy.? - z uśmiechem odpowiadałem, że tak. Lecimy przecież do samiutkiej cudownej W A R S Z A W Y.

Kiedyś znowu jechaliśmy z kierowcą GONZA do Osady, która nazywała się TEJA, taka nie duża Osada, nie wielka miejscina z bardzo wielką elektrownią, opalana drzewem (a tego drzewa połykała dzień-nie z 330 metrów sześciennych) W latach 1940-ch TEJE zamieszkiwali polacy, przywiezieni przez żołdakow Stalina. Sporo polaków wyjechało na apel gen. Sikorskiego, ale jeszcze kilkadziesiąt rodzin nadal juciło się w nędznych barakach, prowadząc żywot bardziej zwięzocy.. Pracowali w strasznych warunkach, właśnie przy tej elektrowni i w tajdze, przygotowując paliwo dla tej żarłocznej elektrowni, która zasilała prądem Siewiero-Jenisiejsk. Napotkani ludzie chodzili b. smutni i jacyś obdarci, a na nasze pytania nie chcieli nawet odpowiadać.

Dla potwierdzenia rzetelności opisanych wyżej fragmentow z życia polakow, właśnie jeden z tych, co tam byli zesłani, powrócił do Polski już z nie kompletna rodziną. Pan Władysław Mazur, który utracił tam swoją ~~młodość~~ = młodość, ale nie stracił dobrej pamięci o złym traktowaniu polaków na tej NIE LUDZKIEJ ZIEMI.....

I dzisiaj razem ze mną pragnie opisać swoje "napiękniesze" wrażenia z pobytu nad JENISIEJEM, nazwana przez KATORŻNIKOW "RZEKA ZYA". Po tej właśnie okropnej rzece "Stalinowskie Karawany zbierały swoje żniwa", szczególnie w okresie wielkich mrozów i śnieżnych burz (nad tą, nie mile wspomianą rzeką, nasz pan Mazur utracił swojego malutkiego braciszka)

JAK ZNALAZŁEM SIĘ NA DALEKIEJ SYBERII

Ja Władysław Mazur, urodziłem się małej Polskiej wiosce w ZUZANOWCE, gminy Litwinów pow. Podhajskiego a Województwa Tarnopolskiego, urodziłem się w dniu, chyba nie bardzo szczęśliwym..?

Dnia 10 lutego 1940 roku, wczesnym rankiem, gdy było jeszcze szaro na dworze i wszyscy spali, ktoś mocno zastukał do drzwi i głośno wołał; "CHOZIAIN ODKROI DZWIERY"..... Cjciec kiedy otworzył ujrzał ruskiego oficera, który bez żadnego tłumaczenia, wpakował się do chaty. Za oficerem weszli trzej cywile, którzy byli uzbrojeni w karabimy.

Oficer kazał nam się, zaraz ubierać, a ojcu polecił zaprzęgać konie do sanek. Później zawołał wszystkich do pokoju i odczytał nam; "PRYKAZ WIERCHOWNOGO SOWIETA", który wyraźnie głosił, że teraz będziemy z całą rodziną przesiedleni do innej miejscowości..../, bo tutaj jakoby nam ^{zagroza} wielkie niebezpieczeństwo od ukraińców i kazał nam szybko się pakować....." W domu zapanowała straszna rozpacz, matka głośno płakała a my razem z nią..., a oficer wciąż podpędzał radząc zabierać dużo żywności, chociaż już sanie były załadowane workami maki i kaszy, ubrania i pościel również były dobrze zapakowane, kiedy w tym czasie do nas na podwórko wpadł drugi oficer i zaczął zwałć wszystkie ciuchy i make z san, prosto w śnieg leciały poduszki i worki... Krzyczał mocno, że nam nie wolno wszystkiego zabierać? lecz nasz oficer skoczył do niego z pistoletem i przygroził mu, przytym powiedział; że on tu rządzi a nam kazał ponownie ładować na sanie.

Rodzina nasza składała się z ojca, matki, z 17-letniego brata i dwóch braciśzków mniejszych, jeden lat 10, a najmłodszy 6 miesięcy. Była to wielka polska rodzina, pod przymusem przygotowana do nieznannej i straszliwej drogi..... Gdy wyjechalismy na drogę wiejską zobaczyliśmy, że cała już wieś, jest załadowana na saniach, a nawet kilka rodzin ukraińskich też było do wywózki, pamiętam, że byli to dobrzy ludzie. ~~Przed~~ Przed wyruszeniem w drogę, zostaliśmy ostrzeżeni, żeby nikt nie odważył się, uciekać, gdyż będą strzelać.....

Stacja kolejowa do której nas wieźli, była oddalona o 4 km. a jak przyjechalismy to wagony już były poźstawione. Naszą rodzinę załadowano do małego wagonu, gdzie mieściło się, od 40 do 50 ludzi, a do dużych ładowano po 80. w końcu ludziom pozwolono wziąć żywność i pościel, ale byli wśród nas też ludzie, co nie mieli nic, tylko ubranie na sobie..., widocznie to byli pacjenci od tamtego, drugiego oficera, tego rusaka bez żadnych skrupułów i serca.

Wagony pozamykano, a luki okienne zaciągnięto drutem kolczastym (zamiast firanek-dop. autora) a przy każdym wagonie i w budkach hamulcowych znajdował się uzbrojony SAŁDAT, żołnierz Najwspólniejszej i humanitarnej Armii Świata.

Zima tego roku, nie była przychylna dla polskich rodzin, bo mroź że wiatrem dochodził do 30 stopni po niżej zera. POLSKA żegnała nas chłodem (a może nakazywała polakom przyzwyczajać się do złych warunków)? (

Tak nas w tym pociągu, dowieziono do stacji w Tarnopolu, z ką
nieco później doszlusowaliśmy do następnej stacji Sarny gdzie
przeładowano nas wszystkich na wagony ruskie (na szerokie tory)

Dopiero na 4-ty dzień podróży otrzymaliśmy zupeł z makaronem,
i duże białe bułki, co pewien gospodarz ukraińskiej narodowości
skomentował; a widzicie, jak tu nas witają? Od tej chwili prze-
kroczyliśmy granicę Polsko-Radziecką, jeszcze dodał; że dopiero teraz
pożyjemy-taka wyżerka....?

Lecz to był niestety jeden jedyny raz w tym zadrypanym
kraju, żeby nas tak dobrze karmiono.....Zaraz po przejechaniu kilku-
nastu kilometrów, zobaczyliśmy przez szpary w lukach okiennych, takie
zabiedzone wioski, o małych domkach krytych słomą, a ludzi widzie-
liśmy w łachmanach i bardzo przygnębionych, kiedy akurat pociąg
zatrzymał się pod semaforem, zobaczyliśmy dzieciaków poobwijanych w jak
jakieś szmaty...Dzieciaki podbiegały do wagonów i wołały; Polak daj
chleba", znaczyło to że już nie jeden transport przejeżdżał przez tę
miejsowość,? Sołdaty, którzy nas konwojowali, odpędzali biednych i
głodnych dzieci od pociągu. Już w następnych dniach podróży otrzy-
mywaliśmy tylko jeden raz na dzień zupeł i chleb. Lecz ten chleb był ta
tak stary, ciemny i gorzki, że nikt go prawie nie jadł, był podzu-
cany dla głodujących dzieci najbogatszego państwa w Europie.
Wieziono nas trasą na Kijów, a z tego miasta, już jechaliśmy nocami
w kierunku Uralu. Gdy minelismy góry, skierowano transport do Azji,
a droga nasza coraz bardziej wydłużała się, miasta były oddalone od
siebie tys.kilometrów. Jechaliśmy przez Czelabińsk, Nowosybirsk,
a potem aż do Krasnojarsku. W tym dużym mieście wyładowano nas i
zapędzono jak bydło do baraków, takich brudnych i zasypanych śniegiem,
a zimno było straszne, bo wiatr hulał w oknach bez szyb...Ludzi było
dużo, z wielu transportów, ale przeważnie z naszych stron, z tej ogól-
nej wywózki, która się zaczęła w pamiętny 10 luty 1940 roku, według
"PRYKAZU WIERCHOWNCOGO SOWIETA"... Już od kilku dni wieziono naszą
grupe, saniami po zamrażniętej rzece, po strasznym JENISIEJU.

Ja z matką, z młodszym bratem i z najmłodszym jechalismy a
ojciec i starszy brat szli pieszo przy saniach. Na trzeci dzień od
wyjazdu z Krasnojarska sanie z nami przewrócili się i ten malutki,

sześciomiesięczny braciszek został uderzony przez drugiego konia, kopytem w samą głowę, a już w następnej nocy umarł, nie otrzymawszy żadnej pomocy, bo i z kąd? Później, to każdego ranka jak zbierano się do drogi, także zbierano trupy, a od strony strażników wołano; KTC POMIÓR? TAK DAWAJ JEGO SIUDA... I wtedy składano umarłych do najbliższej szopy.., a gdy już odjeżdżano od tego smutnego miejsca, ktoś pobiegł ze starszych do tej szopy i zobaczył dużo trupów zmarzniętych już, a wszyscy pokojnicy byli nago i pozrzućeni na kupe jak wwiory.....

I od tego dnia, często działy się podobne sceny, z każdego transportu umierali wycieńczeni ludzie, przeważnie ludzie starsi i małe dzieci. Najwięcej dzieci. Nasze małe pociechy nie były przyzwyczajone do tak trudnych warunków, a były przecież tak źle ubrane, półgłodne i nie mogli fizycznie tak ^{wytrzymać} trudnej drogi..., piekielnej drogi... Do Jenisiejska dojechaliśmy na saniach, a z Jenisiejska do Władimirowki (gdzie była również kopalnia złota) odległej od Jenisiejska o 400 km. gdzie dowieźli nas ciężarówkami. wpakowano znowu do baraków, do jednego pomieszczenia, po cztery metry przestrzeni na jedną rodzinę. Już na drugi dzień po przybyciu, mój ojciec z bratem musieli pójść do pracy przy wydobywaniu złota z rzeki. Pracowali przy ogromnych kranach, zwanych STATKI-DRAGI, które przepłukiwały piasek. Urobek był wówczas bardzo mizerny, z tą i zarobek mojego ojca i brata był mizerny i nie wystarczał na wyżywienie całej rodziny.

Pierwsza zima na wygnaniu w roku 1940/41, była strasznie mroźna przeżywaliśmy wielką falę zimna, która dochodziła do 60 stopni... a przecież żaden z Polaków nie posiadał ani ciepłej bielizny, ani watowanej odzieży, ani też odpowiedniego obuwia (walonek), nawet sam klimat też był nie przyjazny dla naszego narodu..., bo już wiosną 41-go zaczęto chorować na tyfus i szkorbut, co w następstwie tych plag, wiele rodzin całkowicie wygineło.....Może i dlatego mój ojciec, zdecydował się porzucić pracę w kopalni i zmienić miejsce zamieszkania..?

Wyjechaliśmy na TEJE (właśnie na owej TEI w dziesięć lat później ja zbierałem kwiatki dla dzisiejszego BUKIECIKU..... Przyjechaliśmy do takiej osady oddalonej od poprzedniej o 35 km. Tam już ojciec pracował jako drwal w tajdze, przygotowując drewno do Elektrowni w TEI, natomiast brat poszedł pracować do Sowrudniku, do kopalni złota, a było to latem 1941 roku, obaj całymi dniami harowali by móc zarobić na utrzymanie całej rodziny. Bieda była straszna u nas i u drugich polskich rodzin, zupełna wegetacja.....

W roku 1942 w marcu znowu wyruszyliśmy pieszo w drogę (tym razem to był pomysł naszej rodziny) ojciec zrobił sanie, które ciągnęliśmy, wraz z całym naszym dobytkiem, był to ogromny majątek dwie pierzynki, cztery poduszki i trochę ciuchów-szmatek....., wybraliśmy się w daleką drogę z nadzieją że dobrniemy do zamierzonego celu (była to ucieczka do Polskiego Wojska, do Iranu) chodziło oto mojemu ojcu by się połączyć z wujkiem, który już tę drogę odbył i znalazł się w Taszkencie, z kąd też pisał, rysując dla nas trasę, jak mamy iść rzeką do Krasnojarska, a później kolejną na Południe Azji, do samego Taszkintu.....Pisał/żeby do niego jechać jak najszybciej, gdyż ma tam o wiele lepiej jak nad Jenisiejem i że nie musi już głodować...

Ciągnąc sanki dobrneliśmy do Csady portowej w Briansku, wiele razy ten Port będzie przeplatał się w moich notatkach) Byliśmy szalenie wyczerpani i już nie mogliśmy o własnych siłach podążać dalej, według swojego planu, tu już, na tej trasie, jak po szosie.., zamarzniętej rzece) jeżdżono samochodami, chociaż żaden z kierowców nie chciał zabierać pasażerów bez zapłaty i przeważnie wszyscy domagali się o alkohol.., wódki majesz ? wódkę, posiadasz to pojedziesz, stałem niedaleko jednej maszyny i widziałem, jak pewien kierowca zabrał dwie rodziny na samochód, i zauważyłem jeszcze, jak schował flaszkę wódki pod siedzenie.., wykorzystując moment nie uwagi kierowcy, ukradłem wódkę i dałem drugiemu szoferowi, który z wielką ochotą zgodził się nas podwieźć dosyć daleko, bo aż do miejscowości USPIT, a to już było nie daleko Jenisiejska (opodal Krasnojarska)

Pamiętam że święta WIELKANOCNE roku 1942 spędzaliśmy w drodze, ciągnąc sanki ze sobą, piechotką uciekaliśmy z SYBERII, uciekaliśmy od głodu, od chorób i od śmierci.....

Do Jenisiejska dotarliśmy w końcu kwietnia, chociaż jeszcze trwała zima a po drodze przewalały się śnieżne zadymki, które strasznie utrudniały nam ciężką drogę...

Ojciec musiał zatrzymać się w Jenisiejsku, znaleźć jakąś pracę, by zarobić na przekarmienie nas i na bilety kolejowe... W tym mieście mój ojciec i matka musieli pójść do roboty w elektrowni, przy wyrąbce odpadów w miejscowym tartaku, a ja z młodszym braciem pomagaliśmy przy układaniu stosów drzewnych, ponieważ i ta elektrownia też opalała się drzewem.

Starszy brat poszedł pracować do młyna, odległym od Jenisiejska o 15 kilometrów. Zarobki były wtedy okrutnie małe, jak też

normy chleba; dla pracującego 500 gramów razowca a dzieciakom dawano po 200 gr. przecież nie pracowali i nie musieli tyle zjadać.

Ale tu, w Jenisiejsku było już o wiele cieplej i rosły nawet pokrzywy...szczaw..a pod koniec lata wyrastały młode kartofelki. Już było łatwiej żyć i ludzie chodzili nie tacy głodni i jakby mniej smutni....

W roku 1943 starszego brata zabrano do Polskiego Wojska, (jak mówiono, że do wojska Wandy Wasilewskiej) poszedł braciszek do 1-ej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Od tego czasu zaczęto nas traktować zupełnie inaczej, już otrzymywaliśmy paczki od cioci UNRY a w związku z nowymi wydarzeniami pożuciliśmy myśli o przedostaniu się do wujka do Taszkientu....

W 1944 roku przewieziono naszą rodzinę na Ukrainę do "Sowchozu" w okolicach STAROBIELSKA Cherkowskiej Obłasci. Tu już byliśmy bardziej szczęśliwi, bo wyczuwaliśmy bliskość naszego Kraju... Do POLSKI powróciliśmy w roku 1946, gdzie od razu skierowano nas na ziemię odzyskaną, do powiatu BIAŁOGARD.

Mój starszy brat również powrócił do Ojczyzny, przybył z wojny cały i zdrowy, za co dziękujemy Bogu Wszechmogącemu.

I tyle w większym skrócie opowiedział mi, moj znajomy z Białogardu pan Władysław Mazur. Opowiedział nam historie bardzo bardzo smutną, wręcz tragiczną, w swojej wymowie, ale czy nie była to HISTORIA podobna do tych jakie przeżyły wielkie tysiące innych polskich rodzin... Do dziś nie jest dla mnie zrozumiałe, dlaczego w tamtych latach, zaczynając od 1939 aż do 1945 roku i później, byliśmy (my, ludzie z terenów Polski Wschodniej) tak nieludzko traktowani? Dlaczego setki tysięcy polskich rodzin z Wilenszczyzny, z Podlasia, Polesia, Wołynia i Podola zostało pozbawione swojej OJCOWIZNY..? I dlaczego w najbrutalniejszy sposób zostali deportowani do Rosji, do ich najdalszych i najzimniejszych zakątków Północy, Azji i okrotnej Syberii..? Dlaczego?

Nadal szukamy tej właśnie odpowiedzi od komunistów rosyjskich od wszystkich Sowieckich Partyjnych Działaczy (tych starych) żeby zdali rachunek przed własnym narodem, że swoich zbrodni dokonanych na Polskim narodzie, ja byłem żołnierz Armii Krajowej, oskarżam prawie wszystkich Rosjan, którzy w latach 39 -55 byli Naczelnikami Obozów Więzien, Kolonii Karnych, Kopalń węgla, uranu, złota i innych wyrobisk, gdzie nasz brat był zamęczony a nie rzadko i konał pod podkładem kolejowym na monstrualnej trasie Kotłas - Workuta - Salichard, lub został przywalony drzewem w piekielnej TAJDZE... Oskarżam tych wszyst-

kich rosjan, którzy uczestniczyli w kompaniach i bataljonach wartowniczych, pilnując "polaczków" na tysiącach więź wartowniczych. Wy mierni bohaterowie z pod znaku NKWD, sami wyplujcie zeznając; ile to zastrzeliliście lub raniliście Polaków w swoich polowaniach na kaczki.? radzi tylko jakiegoś plugawego odznaczenia, przepustki czy też krótkiego urlopu..? (niezadługo, o ile mi pozwoli Redakcja, opisz zbrodnie żołdaków Nkwd, dokonanych na więźniach w CZIORNYM LAGRZE, w Cbozie na 124 km od Tajszetu w kierunku Bracka, Irkuskiej Obł. (Obszaru) Nawet wbrew logice, obwiniam wyłącznie Rusaków, którzy jak nie osobiście znajdowali się w ~~ten~~ tych "ISTREBITELNYCH BATALIONACH" to napewno musieli być przełożonymi lub wykładowcami Szkół NKWD w Leningradzie lub w samej Moskwie... w tamtych czasach, jedna połowa narodu rosyjskiego była w mundurach, pod bronią, a druga w oczekiwaniu na represje od tej pierwszej połowy, żyjąc w wielkiej nienawiści do ludzi z zachodu...

Towracając do TEI i idąc za tematem o syberyjskich sprawach wsiadamy do samochodu by trochę zjechać z drogi powrotnej do SIEWIERO-JENISIEJSKA, chcemy z kierowcą Gonzą zobaczyć jak żyją pastusze reniferów. Było zimno ale widoczność dosyć dobra, bez wiatru. Po godzinie jazdy w końcu wpakowaliśmy się w sam środek obozowiska. Gonza twierdzi że jadąc wczoraj tym traktem, jeszcze wioski tubylczej nie było. Csada eskimoska pobudowana z samego śniegu, jak na obrazku) kilkanaście "JURT" obłożonych lodem, bez żadnego schematu, gdzie kto chciał, to sobie taki domek postawił i przez kilkanaście dni lub dłużej mieszkał z rodziną. Pastusi mieli tylko jedno zmartwienie, żeby renifery miały co jeść, a pokarm znajdował się pod śniegiem, który z wielkim sprytem wygrzebywały sobie z pod większego śniegu. Na sezon letni, przemieszczali się dalej na północ, pod ocean.

Tę zimą roku 1954 mróz trzymał siarczysty, tak gdzieś w granicach 40-50 stopni. Zatrzymaliśmy samochód dla nabrania wody, już na początku tej wizyty, mój kierowca uprzedził mnie; żeby nie wychodził z karetki i nie wchodził do żadnej jurty...., w zasięgu mojego wzroku stał taki nieforemny domek, okryty plantą, który był obsypany grubo śniegiem i polany wodą, bo się iskrzył jak bryła lodowa, (jeszcze kiedyś, na początku mojego niewolnictwa, widziałem w Salichardzie podobne domki, pobudowane z samego lodu, to były piękne jak z bajki rzeźbione chatki Eskimosów..?)

Chociaż miałem szaloną ochotę zajrzeć do środka jurty, ale Gonza straszył mnie, że tam wewnątrz, jest okropnie brudno, że tam nie przestrzegają w ogóle higieny, jedzą palcami obrosnietymi brudem, a sami mieszkańcy, będąc nadzwyczaj gościnni, potrafią podzielić się swoim dobrem, a nawet wyłącznie ze swoją żoną.... Smród okropny w

wewnątrz jurty, bo podstawowym pokarmem są ryby lub mięso już zwiędnięte, tak zwane; "mięso wialene", okropnie śmierdzące bo pokrajane w paski, złożone w worki skórzane, mogą znajdować się na saniach pod tyłkiem pśtuch, dłuższy okres czasu, i tylko zimnemu klimatowi zawdzięczając że takie mięsiwo nie zdażyło zgnić.. Natomiast mięso świeże, jeszcze ciepłe i krwawe jedzą w sposób dosyć oryginalny, powiedziałbym nawet barbarzyński, chwytają nie duże ochłapy czerwonego mięsa w zęby i tuż przy ustach odcinają nożem odpowiednie kawałki..br.br.

Ale nie o tym miałem pisać, (opowiadanie kierowcy) gdy tak siedziałem w szoferce, to widziałem jak ^{jedną} pewną z tych kobiet, (choć do dziś nie wiem do jakiego szczepu to plemię należało, ponieważ w tym Okregu znajdowało się wiele mniejszym narodowości, jak ; Nanajcy, Ewinki, Eskimosi i jakies Niency, pozostałych już nie pamiętam, żałując, że wtenczas nie prowadziłem zapisów o tych ludziach zacofanych w rozwoju pod każdym względem...) wychodząc z tego śnieżnego domku, wyciągnęła swoje małe dziecko z worka, które miała na plecach i zaczęła tarzać to malenstwo w śniegu... (dziecko naturalnie było gołe i jakies ciemne) przechodzący akurat kierowca zaczął krzyczeć na taką matkę.. Szto wy dziełajecie.., zaczęłam malenkiego rebionaka kidajecie w śnieg ? (co robicie kobieto, dlaczego to malenstwo rzucacie po śniegu) Na replike pana Gonzy, otrzymaliśmy szybką i ostrą odpowiedz; "niczego, niczego - wiedz jemu zarko" (nic po waszych uwagach, przeciez jemu jest goraco)

Jeszcze tego popołudnia widziałem, jak dwóch małych pedraków wyskoczyło też nie ubranych z jednej jurty do drugiej..... czy i dla tych podrostków również było zarko.?

Sami rosjanie napewno żyli w bardziej ludzkich warunkach, jednak i CNI w wielu przypadkach pozostawali podobnymi do tych strasznych dzikusów..., co jeszcze nie raz udokumentuje w swoich wspomnieniach.

Widziałem tych skośno-okich ludzi, okrytych wilczymi czy też renifera skórą, szytych na podobie futer, czy poprostu worków, futerka mieli też i na nogach, które po wyjściu z jurty makali w wodę i odrazu makali w śnieg.., a gdy to wszystko zastygło mogli biegać za stadem przez cały dzień. (w ten sposób obuwania się w zimie na Syberii, uczył nas Dziadek Makar)

Pamiętam jeszcze, że na twarzach tych zacofanych ludzi, nie widziałem ani jednego uśmiechu, ani też żadnego objawu radości..? (a może i nie mieli z czego się cieszyć ?)

Ale na ogół, widok tych biednych ludzi, tego szczepu, który zajmował się wyłącznie hodowlą reniferów, zrobił na mnie ogromne wrażenie, i długo jeszcze pod wpływem widzianego w tej osadzie, bo nawet we śnie często widziałem gołe dzieci tarzające się po śniegu w słoneczny i mroźny dzień.

Bardzo współczułem nie okrzesanym Eskimosom, że nie znają lepszego świata i nie wiedzą co to jest prawdziwe ciepło i jakaś ludzka kultura...? Później, zupełnie inaczej patrzyłem na tych ludzi, a gdy przyjeżdżali do nas do szpitala, starałem się by każda sprawa z którą, przychodzili była dla NICH załatwiona pozytywnie. Nieraz wspominałem ten łudek koczujący z rozzewnieniem

Ponieważ byłem częstym klientem w sklepach i w gastronomii, więc nie sposób ominąć te obiekty. W latach 1954/55 sklepy spożywcze i przemysłowe w Siewiero-Jenisiejsku, były zaopatrzone dobrze, a towarami podstawowymi znajdowały się; pieczywo, cukier, masło i smalec w beczkach mrożone, konfiety, sól i nafta, papierosy, śledzie, ryba mrożona wina i bardzo dużo wódki.....

Natomiast w sklepach tych lepszych dla ludzi o delikatnych podniebieniach, widziałem najlepszą wedlinę, wysoko-gatunkowe wódki i frykasy z południa Kaukazu, najlepsze koniaki, likiery i szampan...

W sklepach przemysłowych wisiały nawet ludzkie ubrania, (ubrań takich nie widziałem w żadnym sklepie na mojej więziennej drodze na przestrzeni dziesięciu lat) w sklepach Siewiero-Jenisiejska zobaczyłem dosyć ładne ubranka i to różnych rozmiarów, były produkcji przeważnie Węgierskiej, Niemieckiej z NRD i Polskiej, Chociaż te ciuchy nie miały dużego zbytu, bo ludziska kupowali przeważnie kożuchy, waciaki, swetry i buty filcowe, walonki. Po cóż człowiekowi letnie ubranie, kiedy zima prawie na okragło. Śnieżne i mroźne zimy umilają życie mieszkańcom zapolarnym rejonów, tak że tylko praca i ich miejsce zamieszkania pozostają, ostoją i sensem całego życia.

W gastronomii, gdzie dosyć często zachodziłem na kołduny z baraniego mięsa, kiedyś byłem naocznym świadkiem sceny jak z westernu; otóż na salę wpakował się pewien gość, był jakby trochę zakurzony, mocno obrosnięty na gębie i po same uszy okutany w waciaku oberwanym i cześciowo przypalonym, ale z jakąś wielką fantazją uderzył w stół barku, żądając dla wszystkich obecnych na dwóch salach, po butelce wina. Sam widziałem jak na ladę rzucił samorodek...

Leżał taki duży jak pieść męska, kawałek złota, Sarmanka nie straciła komsomolskiego tupetu i od razu zadzwoniła na posterunek Milicji, która naturalnie szybko się zjawiła i faceta zgarnęła.... Ale po jakimś czasie ten "tramp" (nazwijmy go tak według jego wyglądu) powrócił do restaurantu, by być konsekwentnym z powiedzianego słowa, w rękach dzierżał zwitek banknotów, które mu wymieniono w Milicji i które nie omieszkał przepić jeszcze tej nocy.....

O samym klimacie można pisać bardzo wiele, jak również można streścić w kilku słowach; śniegi, niby wiosna, spływają w koncu maja, a już w lipcu, jak sam zaobserwowałem, zima od nowa zaczyna swój start. Ja sam na żywo przekonałem się, kiedy 15-go lipca 1955 r. urządziłem w swoje imieniny i urodziny taką nie dużą "majóweczkę" zapraszając młodszy personel szpitala. Do dziś w posiadaniu zdjęcie, z tego pikniku, gdzie są widoczne na kocu, poustawiane talerze z kanapkami i stoją flaszki z szampanem i jak na to wszystko pada pukszysty śnieg, zapowiadając właśnie nowa zime.....

W końcu już tegoż miesiąca doczekaliśmy się huraganowej, śnieżnej burzy, która była też przyczyną odwołania lotów do Krasnojarska i z powrotem, by w kilka dni później przywitać raptowną odwilż mokre nogi i ogólny katarek....

Samo miasteczko przy kopalni złota, usadowiło się po obu stronach wzgórza, wzdłuż jedynej i szerokiej ulicy, nawet nie brukowanej przy której przycupnęły nachylone domki i baraki (takie pomieszczenia dla kilkunastu rodzin). Nie powiem, były również i lepsze domy, bardziej funkcjonalne, ale były domki prominentów i ICH wysokich urzędów. Właśnie, z myślą o partyjniakach i o rodzinach pobudowano ciepłe domy i luksusowe sklepy. Komuniści mieli nawet w tych warunkach życie winem płynące, nie doznając nawet żadnego uszczerbku na zdrowiu, przecież mieli po dziesięć miesięcy ciepłarnianej pracy, oprócz podwójnej płacy jeszcze dodatkowy jeden miesiąc pobytu na Krymie czy na innym uzdrowisku dla ludzi Stalina....

Osada gdzie dużo sklepów, a jeszcze więcej urzędów i różnych biur handlowych. Natomiast "komsumy" z luksusowymi towarami przeważnie były usytuowane przy Komitetach Partyjnych (jak miejski, kopalniane, przy Milicji, przy Straży Więzniów i przy Urzędach Miejskich) Cóż to za podział dóbr materialnych w państwie robotników..? Ci panowie to mieli naprawdę dobrze, nawet na codzien oferowano im w ich komsumach owoce cytrusowe, cebulę, (która w warunkach Półn. Syberii była na wagę z ł o t a....) nie mówiąc już o świeżych bułeczkach przysyłanych bezpośrednio z Moskwy, wszelkie nowalijki były też sprowadzane dla Sekretarzy i pułkowników NKWD aż z południowych eg

Republik. I w tych specjalnych sklepach,wyładnie dla komunistycznych Prominentów (jak kiedyś w Polsce "niur fiur deusche") znajdował się ogromny wybór wysokogatunkowych win,wódek,koniaków,likierów i szampana, sprowadzanych z Polski, z Gruzji i Armenii.....

Jak Ci wielcy dygnitarze nomenklatury partyjnej mieli dobrze niech świadczą i te dane; Oprócz bardzo wysokich pensji, dodatkowo płacono "klimatyczne", "Rozłakowe" " wysługę lat w Partii i podobne apanaze, nie spotykane na kuli ziemskiej....

.....,a robotnik w tym czasie zarabiał, i to pracując dla NICH, straszna "PYLICE" i zarabiał na zwykły krzyżyk...

Niektórzy górnicy (z tych górników najemnych-półwolnych) też potrafili prowadzić życie na wesoło, takie życie hulaszcze jak ich czerwoni panowie, bawili się szastając pieniędzmi na lewo i na prawo. Słyszałem o takim jednym co kupił sobie ayto (nowego moskwicza) i nie zadługo podpiszwszy sobie, przejechał się z wielkiego zbocza po przez płoty i ogrody aż do rzeczki gdzie spływa to świnstwo, pozostałe po złocie (urobek po splukaniu kruszca) gdzie też i zginął.

Przepuszczam ze tym wybrykiem, górnik chciał udokumentować że złoto i ruble nie zawsze dają człowiekowi szczęście, a ci co mieli umierać jutro, już dziś pływali z szyderstwem na swoich naczelników

Na wstępie opisu o sklepach Siewiero-Jenisiejska, chciałbym zaznaczyć, że w każdym spożywczym sklepie znajdowało się dużo wódki, całe morze wodziuni, bo wtedy wódka była podstawowym atrybutem każdego Kierownika, który tak kierował swoim podwładnym, że ten był wciąż jakby na haczyku u swojego Naczelnika, dlatego szerzyło się pijaństwo i niewiara w sprawiedliwość, w ludzkość i w beznadziejność opuszczenia danej placówki.., a podstawowym pieniążkiem była ~~tylko~~ tylko wódka z ręki pana kierownika.

W Siewiero-Jenisiejsku, w osadzie gdzie przeważnie przebywali robotnicy, jedna bieda goniła drugą, jeszcze gorszą biedę, często łaziłem po ludzkich, "bieda-szyby", gdzie mieszkali górnicy z rodzinami, były najlepszym odbiciem jak może żyć człowiek tak bardzo upokorzony przez tych co byli u góry. Gdzież się podziały te ideologiczne hasła Marksa, Engelsa, Lenina ? że wszystko dla ludu, miałyby państwem robotników..? Niestety już wtenczas tysiące biedaków przecierało oczy, widząc wszędzie "CZERWONA BURZUAZJE", która swoimi ciemnymi mackami zgniatała nie tylko narody Zw.Radzieckiego,

ale także narody z podbitej wschodniej Europy. W tym czasie miałem już wiele znajomych (przeważnie przez szofera Gonze) lubiłem przy "czajku" pogawędzić sobie z ludźmi starszej daty. Ludzie, gdy poznaliśmy się bliżej otwierali swoje dusze opowiadając dziwne historie, jak za czasów "batuszki Cara" tak i o współczesnym POTWORZE..., pomimo że w niedalekiej IGARCE wystawili ogromny, granitowy postument STALINA, nie był CN lubiany przez tutejszych muzyków (naturalnie bezpartyjnych)

Bardzo często lubiałem gawędzić z dziadkiem który miał przeszło 90 lat i jeszcze pracował u Angielskiego Kierownika DRAGI, a było to wiele lat przed rewolucją, październikową. Więc opowiadał jak złoto szukano w syberyjskich rzeczózkach i jak pracował na tych DRAGACH, które jak pływające kaczki były wkomponowane w malutkie leśne potoki... Właśnie te olbrzymie "kaczki" połykały jakby wszystko co miały przed sobą, szły na większej głębokości, prosto robiąc pod sobą, pokazny basen, do którego same wpływały, połykając piasek, następnie przeżuając GO by następnie po obu stronach DRAGI wypluć niepotrzebny bałast A niepotrzebny piasek odzucały daleko robiąc wielkie hałdy. Opowiadał, że w tym czasie połowy były dobre, albowiem każdego dnia, rozlegały się armatnie wystrzały, zwiastujące; że danego dnia wydobyto "pud złota" (szesnaście kilogramów)

Na podobieństwo tamtej DRAGI w Siewiero-Jenisiejsku również stała sobie taka armatka, która też głośno zwiastowała ten "pud złota", a dziś jakby zamilkła ze wstydu że nawet gigantyczna kopalnia nie daje tyle drogiego kruszcu...

Za to, przez Osadę płynie sobie taka siwo-niebieska lawa, uboczne świnstwo po skruszeniu i po opłukaniu drobnego piasku złota, spływa sobie leniwie do innych syberyjskich rzek.....

Rosjanie, jak i inni tubylcy, chodzący około tego złota, upornie twierdzili, że się tego drogiego kamienia boją, ponieważ samo złoto bardzo wiele krzywd przyniosło obywatelom całego ZWIĄZKU RADZIECKIEGO... Pamiętano jeszcze te czasy, kiedy kochana Władzunia apelowała do narodu o zbiórke złota na Fundusz Obrony Narodowej.... I z relacji sympatycznego staruszka wynikało że nikt wtedy nie kwapił się z oddaniem tego, co przez całe swoje życie skrzętnie chował,? Wtedy pomysłowili komuniści zorganizowali coś takiego na wzór polskich *PEWEKSÓW*, a w Rosyjskiej Federacji to się nazywało "TORGSIMY" i "MEGASAMY", w ~~językach~~ których można było kupić, co tylko dusza rosyjska zapragnie..., ale pod warunkiem że wyłącznie

za złoto i za wyroby złotnicze....Gdy tym czasem tu obok w sklepikach normalnych na półkach znajdowały się podstawowe artykuły; spiczki, kerasin, kanfety i od czasu do czasu cukier, chleb po normie i sało z przypadku (lata dwudzieste)

W sklepach "ZYCIODAJNYCH", nawet medykamenty były na wymianę na złoto..., chociaż w tej całej tranzakcji, znalazło się małe "ALE"..? Otóż, u nas w takich sklepach, kiedy dokonuje się kupna tego czy innego towaru, każdy może sobie kupić według życzenia, zapłacić dolarami, względnie markami i może spokojnie odejść, gdzie oczy poniosą....

Natomiast w tej Wasieji, niestety takie zakupy odbywały się zupełnie inaczej; gę grażdanie za towar płacili złotem i musieli też podawać swoje nazwiska....., i jeszcze na tym nie koniec,?

Po iluś tam latach, proszono takiego klienta (dokładniej, naprzykład, kupującego medykamenty dla chorego) do CZEKA (specjalna komisja od Nadurzyć i Przystępstw) - (Nczelnikiem CZEKA był wówczas nasz rodak-KRWAWY FELUŚ pan Dzierżyński....

i wtedy przypominano delikatnie obywatelowi o jego wielkim przestępstwie, jak mógł, posiadając złoto, robić zwykłe zakupy, a nie oddając GO na OBRONĘ KRAJU ? Tak, tak, Ci ludzie w ten sposób powiedziałbym bardzo perfidny, \$ dawali się złapać na lep, tracąc swoje oszczędności i jeszcze zostali surowo nakazani, w najmniejszym stopniu ukarani, przesiedleniem na Syberię....

Dlatego opowiadający mi te herezje staruszek, gorzko płakał, wspominając ile to zła i przeżyć przyniosło Jemu, "JEDEN MAŁY ZŁOTY PIRSCICNEK"; który dostał od ukochanej matki...

W małej Osadzie Michajłowsk, (gdzie przed pójściem w "długą" musiałem znajdować się przy wyrąbie tajgi..) spotkałem pewnego myśliwego, który miał polkę za żonę, a kiedy sobie podpiał, to się znęcał nad kobietą, że była polką, (w dalszych opowiadaniach z cudownej Syberii, napewno wspomne o losach naszej rodaczki) Ten awanturnik również był zesłany na wygnanie za posiadanie nie-dużej ilości złota, wysłano GO do takiego rejonu gdzie miałyby okazje dać więcej złotego proszku dla UMIŁOWANEGO PAŃSTWA.

Dlatego nie darmo rusacy psioszą, nazywając ten kruszec
* KRAWYM ZŁOTEM * (z skąd wzięłem tytuł dla niniejszej noweli..)

Po już tylu latach strasznego zagubienia, prawie chorobliwym staje się to bolące uczucie "TĘSKNOTA"...ta przeogromną tęsknota za domem rodzinnym, za swoim Krajem...Już zacząłem tęsknić wogóle za wszystkim, co pozostało najdroższego tam na zachodzie.....

Gdzie samo życie było bardziej ludzkie i bardziej kulturalne, gdzie wszystko napewno było cieplejsze i delikatniejsze....?

U mnie tesknota pojawiła się, jakaś inna, nie tutejsza i powoli przeradzała się w mroczną * NCSTALGIE *... już zaczynałem się obawiać, że jeśli nie znajdę natychmiast jakiegoś wyjścia popadnę w straszną depresję, zacząłem nie dowierzać sobie, jakby bojąc się swoich myśli. Wciąż, ostatnio chodziłem w jakimś stanie wielkiego podrażnienia, a chwilami podrywało mnie do zrobienia jakiegoś głupstwa, a może do ponownej ucieczki? Nie to żebym się bał, wcale nie. Tchórzem chyba nie byłem, i nic z tych rzeczy, ale jak uciekać i dokąd wiać znajdując się od Polski tyle tysięcy kilometrów??

w tym czasie mnie się już wydawało że do NIEBA jest o wiele bliżej... naprawdę wtedy czułem się dziecinnie bezradny nie znajdując w niczym i w nikim żadnej pociechy czy też porady (jaką zawsze otrzymywałem od niezapomnianego DZIADKA MAKARA).

My ludzie z zachodu, szczególnie mocno przeżywalismy te napady tęsknoty (jak ja to nazywałem) Może dlatego że pochodziliśmy z innych gniazd, przecież od dzieciństwa, od samej kolebki z matczynym mlekiem dawano nam szczęście wspaniałego życia w rodzinie i w *OJCZYZNIE*

A teraz będąc tyle "wieków "na obczyźnie, odczuwaliśmy tylko wszędobylskie macki komunistów, już nie mówiąc o całym piekle tego systemu, który prowadził nieuchronnie do apokalipsy.....???

Ale dopuki nadejdzie ten czas, jak komuna rozpadnie się, jeszcze wciąż byliśmy w ich szponach, bez żadnej nadziei, a nawet po śmierci samego BELZEBUBA, wydostania się żywymi....?

Przepraszam czytelników za moje niewyparzone słowa, którymi okładam byłych swoich katów, chociaż wiem dobrze że i WY będąc na moim miejscu nie dażylibyście większą sympatią tych potworów.

wracając jeszcze do czasu mojego niewolnictwa, a mówiąc szczerze, nie przypominam sobie takiego dnia (a było ich 4000), żeby dla mnie, jakaś rosjanka podała kawałek chleba, przecież nie zawsze byłem gospodarzem szpitala i nie zawsze miałem "niebo w gbie"? Przez bardzo długie lata chodziliśmy więcej głodni jak syci, ale o tej nędzy i całej katordze napewno napisze w dalszym różnaku wspomnień. Właściwie to "CYKL SYBERIADY" dopiero zacząłem i o ile mi szanowna redakcja pozwoli, będzie się ciągnął długo-długo, jak się ciągnęło całe moje młode życie.....

Napomknąłem o "litościwych" niewiastach rosyjskiego plemienia, zupełnie nie przypadkowo, chcąc tak bardzo porównać do naszych kobiet, do naszych kochanych żon i matek, które odejmując od własnych ust

narażając się nie raz, dokarmiały rosyjskich żołnierzy a później i żołnierzy niemieckich, przeganianych po wszystkich drogach naszego kraju... dlatego jestem dumny ze swojej narodowości, jestem szczęśliwy że nasze kobiety są bardziej szlachetne i takie dobre, bo nie zwracając na kolor mundurów, zawsze szły z pomocną ręką do głodnych i spragnionych..., a może i dlatego zawsze się znajduje nasz naród w pierwszych szeregach walczących o Wolność i Demokrację.

Zimą roku 1954/55 zacząłem starania o wyjazd do Polski. Przedewszystkiem musiałem znaleźć człowieka umiejącego jeszcze pisać po polsku...? Przypadkowo dowiedziałem się o jednym pseudo-inżynierze, o Polaku, który gdzieś tam na setnym kilometrze od Siewiero-Jeniesiejska, buduje niewielką hydro-elektrownię...?

Długo nie zastanawiałem się. Marty na nogi i o świcie ruszyłem drogą do Michajłowska i dalej... Gdzieś około obiadu znalazłem się w posiadłościach pana Stanisława Horanina. Był to Polak z Kresów z Grodzieńskiego powiatu, (kiedyś był księdzem na probostwie, ale już będąc w Obozie strasznie poniewieranym, pozucił sutannę i zaczął majsterkowanie) W końcu swojego wyroku, został prawą ręką budującego elektrownię na rzece Uda, więc po zwolnieniu, zaryzykował prowadzić samodzielnie prace przy budowie niewielkiej elektrowni na gorskiej rzeczce w Krasnojarskim Kraju, gdzie Go właśnie znalazłem.

Nasze przywitania i zapoznanie się było bardzo serdeczne, były też bratnie uściski i nie kończące się rozmowy rodaków do późna nocy.... Na tym pierwszym spotkaniu, jakoś z pisaniem dosyć dobrze, powiedziałbym, zgrabnie szło, układając niewielką petycję do naszej Ambasady w Moskwie. Pan Stanisław bardzo wiele mi pomógł, a pismo jak wypieszczone pofrunęło z prośbą o wolność...

Żyliśmy nie długo z nadzieją na oczekiwaną odpowiedź.., bo już po miesiącu, ku naszemu ogromnemu rozczarowaniu, otrzymaliśmy odpowiedź, pisaną stylem przekazu; Konsulat Polski odmawia wszelkiej pomocy ze względów prawnych, gdyż my znajdujący się na Syberii, pozostajemy w gestii Władzy Radzieckiej, i tylko ONA ma prawo... itd.. itd. może nawet amnestiować.... Dobrze że jeszcze nie odpowiedziano nam w języku tak bardzo umiłowanym przez nas wszystkich.....

Zrozumieliśmy dokładnie że to w dalszym ciągu przekładanie różnych nieporozumień i niepowodzeń Polaków na wschodzie i że nasze państwo nie jest nasze i że okropne wpływy Moskwy i w Polsce, osiągnęły swój cel.

Chociaż to nie była ostateczna maksyma, potwierdzona przez jakiegoś tam bubków z Konsulatu.., bo już następnego półrocza, zosta-

Byłem uhonorowany jako obywatel Polski (do dziś nie wiem kto przy-
czynił się do naszego cudu...) przy tym trafiając na listę repatriantów,
a na dowód że tam właśnie byłem (jak w dobrej bajce) żyłem, byłem
i miody zdrowotne spijałem....,niech potwierdzi moja ostatnia pa-
miątka,taka nie duża i bardzo czerwona, legitymacja ze Związków Zawo-
dowych, stwierdzająca że niejaki Gienadii Jencyk przebywał w latach
1954/55 w Siewiero-Jenisiejsku, Krasnojarskiego Kraju, gdzie pracował
w charakterze Kierownika Gospodarczego w Rejonowym Szpitalu.

Gdzie za swęta swoją pracę naturalnie już otrzymywałem
płace,co miesiąc wypłacano mi w rublach według stawek państwowych,
Ale do dnia dzisiejszego czekam na odpowiedź; kto mi zapłaci za tamte
5 lat przy budowie 501 strojki i drugie 5 lat pracując przy wyrębie
tajgi pod dzisiejszy Kombinat Celulozy i Gigant Brackiej Hydro-elek-
trowni.? Kto mi zapłaci nie tylko za katarzniczą, harówkę ale i za
straconą młodość ? Za 10 lat wielkiej krzywdy i upokorzeń....
Wiec mój rachunek,wobec nastraszniejszego wroga mojej Ojczyzny,
pozostaje nadal otwarty.

Bezapelacyjnie, stale będę upominał się o zadośćuczynienie
dla mnie i dla tych rodaków,ktorzy umierając tam na ziemi obcej, na
ziemi nieludzkiej powierzyli mi te straszną misję.....

Może jeszcze słów kilkanaście o wspaniałym człowieku
który wszystkim pomagał, pouczał, i zachęcał do ponownej nauki jezy-
ka polskiego, do nauki o naszej najdroższej Ojczyźnie, którą nam
rozdrapano, przecież po przybyciu do Siewiero-Jenisiejska na wyg-
nanie, z wielkim sercem włączył się do pracy na rzecz malutkiej
ale też naszej "POLONII"; już po roku został mianowanym Kierownikiem
i jako inżynier budował Hydro-elektrownię, wykorzystując nie wielki
potok płynący z gór. Po jakimś czasie, wycięta przez Jego ptzesieka
przez tajgę do samego Siewiero-Jenisiejska została nazwana imieniem
naszego rodaka " PROSIEKA GORANINA". Widziałem te budowle, wyglądała
okazale i byłem bardzo dumny z dzieła polaka.
Godne do podkreślenia, że nasi ludzie z Zachodu, potrafili cuda two-
rzyc, nawet wtedy gdy im wcale za to nie płacono....?

Chociaż co było dobre dla samych rusaków, a szczególnie dla
czerwonej władzy, okazało się potem hamulcem dla samego budowniczego,
Jesienią 1955 roku, kiedy już ładowaliśmy się do pociągu relacji;
Krasnojarsk-Warszawa, pana Stanisława zabrakło chociaż był również
na naszej liście repatriantów. Prostu nie wypuszczono GO z rejonu,
i pan Goranin dopiero po 4 latach powrócił do Polski, by skorzystać
z wolności

Gdy przypadkowo spotkaliśmy się w Kołobrzegu, był już człowiekiem bardzo schorowanym, chociaż jeszcze aktywny, ponieważ nadal pracował przy budowie Sanatorium (mewa) w tym że mieście. Opowiadał wiele o swoich perypetiach na Syberii, gdzie musiał wykanczać, jeszcze przez dwa lata swoją hydro-stację i podłączyć ją do ogólnej sieci energetycznej tego rejonu.

W Kołobrzegu, zaraz po przyjeździe założył rodzinę, dochował się ładnych dzieciaków, tylko zdrowie samemu nie dopisało.... Zmarł biedaczysko w roku 1981. Niestety musieliśmy pożegnać dobrego i ^znajszlachetniejszych polaków z czasów wygnania. To ten przeklęty System Czerwonych Szabłów, zniewolił tego polaka, w pełni wykorzystał, wycisnął z Niego wszystkie najlepsze soki, i już nie potrzebnego, wypłuł do polskiej sopluchy.....

Jeszcze przed śmiercią (a było to za trzecim spotkaniem) prosił mnie, żebym nie zapominał o naszych, o tych co tam jeszcze pozostali, żebym w swoich książkach stale napominał o tych co zginęli w Cbozach Pracy, na zesłaniu i zamęczeniu w Kazamatach (w tym czasie pan Stanisław już wiedział że będę spisywał KRONIKĘ PIEKŁA KOMUNISTÓW) Napewno słowa dotrzymam Drogi Przyjacielu. Bóg mi świadkiem że nie opuszczę żadnego żadnego rozdziału ani żadnego miejsca, w którym męczono naszego rodaka. Opiszę, każdy dzień z tych jedynastu straconych lat, będę się starał by nie opuścić żadnego słowa, żadnego gestu naszych braci, którzy w ostatnich chwilach swojego żywota tak bardzo prosili o przekazanie światu w jakich warunkach i męczarniach żyli i umierali...Choćby radzi pamięci samego sp. Stanisława Horanina będę pisał o tamtych bestialstwach NKWD, będę pisał aż do puki wystarczy mi sę si i zdrowej pamięci. Napewno wspomnę o wielu polakach, męczennikach i współtowarzyszach tamtej przedłużonej i bardzo strasznej drogi. Panie Stanisławie, przecież pozostawiliśmy tam na tej chłodnej i niegospinnej ziemi, a właściwie w chłodnej ziemi, (bo ONA zawsze była przemarznięta....).^P wielu polaków.

Dziwię się niepomieranie, naszym żołnierzom z Armii Polskiej ale tej od Wandzi W. dziwię się ICH mentalności, powiedziałbym nawet głupocie, że doskonale zdając sobie sprawę, że zanim ta czerwona damulka wzięła ICH pod swoją epikę opiekę, to przecież byli zwykłą szarą masą katorżników....., więc dlaczego w swoich ankietach uporczywie podkreślali i nadal opowiadają że ich "LOSZY" przezucili na daleka POŁNOC, czy też po całej SYBERII ??? Dziwie się bardzo, że WY tacy odważni, że tak brawurowo zdobywali szturmem LENINC i BERLIN, a przestraszyliście się NKWD i naszej rodzimej i bardziej plugawej Bespieki ? Coz to panowie żołnierzyki, strach WAS obleciał, gdy

musieliście odpowiadać na brzydkie i nie stosowne do tamtejszej władzy pytania,;choćby uczniom Szkół Licealnych i gdy WAS pytano; co robiliście na tej Syberii ? I jak tam znaleźliście się ? już wiem i zamiast kłamać poprostu i odważnie mówiliście naszym polskim dzieciom że WAS ~~z~~zuciły same "LOSY",nie żadne NKWD.

I jeszcze jeden dylemat, Drodzy Kościuszkowcy.., czy napewno ta późniejsza władza uchroniła przed rodzinnym kataklizmem, i czy napewno wszystkie wasze rodziny powróciły do domu ? A gdy jestem przy tym batogu to może jeszcze zamachnę się na tych Gierojow (bohaterów) którym, przed wyruszeniem na śmiertelny bój, Komisarze mówili, "IDZIECIE ODBIERAC FASZYSTOM SWOJE - OJCZYSTE ZIEMIE"...a gdyście HEROSY to uczynili, to Waszą Ojcowiznę, i tak bolszewicy zabrali i wyszliście jak "Zabłocki na mydle".....? I pomimo tych wszystkich anomalii, nadal pozostaliście przy swoich bałamutnych "LOSACH".

Niestety nie jesteście w porządku,pomimo że sami zostaliście oszukani..,po dzień dzisiejszy wielu z WAS nawet nie wie gdzie jest pochowana Jego matka, córka, czy też syn..?

Na kata Hitlera,już dawno mamy KOMISJE DO BADAŃ ZBRODNI FASZYSTOWSKICH, więc dlaczego nie tworzą się podobne KOMISJE DO BADAŃ ZBRODNI LUDOBÓJSTWA KOMUNISTÓW ? Dlaczego ?

Rosjanie i Żydzi w tych ciężkich dla polaków czasach nie okazywali nam swoją sympatię, na odwrót; na przeciągu tych lat wielkiej pogardy, kłuli nas swoją nienawością,żądza odwetu. Już od roku 1939 zaraz po przyjsciu bohaterskiej Czerwonej Armii, młodzi żydzi ponakładali czerwone opaski i byli pierwszymi pomocnikami władzy Sowieckiej,zawsze byli aktywni przy aresztach i przy wywózce polaków na zesłanie w głąb Rosji. To ONI stali się największymi oprawcami w więzienieniach i sadownictwie. Moze to dziwne, ale gdy Żydzi sami byli też deportowani,nadal polskich"GOJOW" uważali za nic. Od Rusaków sam słyshałem wiele razy ze naród Żydowski jest lepszy od polskiego,bo państwo Polskie to wielki Naród,a ONI,znaczy Rosjanie muszą teraz utrzymywać,inaczej poumieraliby z głodu, i dlatego teraz w Związku Radzieckim jest bardzo źle i mamy wciąż wielkie braki na rynku i w sklepach...,jeszcze zawsze podkreślali na każdym kroku; ze polacy sa fałszywi, że się stale buntują, że są nierobami a pracować to mogą wyłącznie pod karabinem. Polacy są jak świnie i o wiele gorsi od Niemców, których jest łatwiej ujarzmić...

A oto zapamiętane, jak by złowróżne,jak by zapowiedz najgorszego;" M^Y JESZCZO DAZD^YCM^SIA CZTC WSIE POLACZKI BUDUT RABOTAC

U NAS W SIBIRII...GIERMANCY TCZE...słowa wypowiedziane przez jednego chorego-górnika, który choć na łożu śmierci (pylica) charczał jeszcze żółcią, obzywając narody zachodu.....

Pamiętam był jeszcze taki polako-zerca, (kierownik Wydziału Handlu) Żyd który miał bardzo "zły dzień", kiedy spotkał polaka, a wyrażał się o nas niezbyt ładnie. W owym czasie, u nas w szpitalu pracowała pewna Żydowka z Litwy, gdzieś z pod Wilejki, więc znała go dobrze i mogła wiele opowiedzieć o panu SZAPIRO, (tak się nazywał ten były polski obywatel)

Ctóż pan Szapiro pochodził z Wilenszczyzny, ze SMORGON, (takie nie duże miasteczko, niedaleko byłej granicy ze ZW. RADZ.) słynące z dobrych "obwarzanek" i z natłoku Żydów.

Kiedy 17-go września 1939 roku, zalała naszą ukochaną ~~Przyrodę~~ Ojczyznę, fala czerwonych ordynków ze wschodu, towarzyszył Szapiro, również zrobił się bardzo czerwony (zresztą jak większość Żydów) i zaczął mocno dokuczać miejscowym polakom, jak sam powiadał; tym brudnym śawiniom w błyszczących cholewach". Szczególnie upodobał sobie pewnego polaka z garbem, nad którym znęcał się niemiłosiernie, a w czasie ich przemiłych konwersacji, ten kaleka obiecywał Żydowi; że jak tylko władzuchna zmieni się, to obowiązkowo przejedzie się na Żydzie konno po całych smorgoniach....O tym niecnym zamiarze.. mówiono bardzo głośno, na 100 kilometrów w okół SMORGON.

Polak z garbem miał jednak dobrego nosa, jak by przewidział że już nie zadługo, bo 22-go czerwca 1941 roku "władza znowu się ~~z~~ zmieniła".. i proszę sobie wyobrazić; nasz, już nie z czerwoną gwiazdą towarzyszył, a z żółtą na rękawie w paradnym zaprzęgu.... to znaczy że pan Szapiro w paradnym, czarnym chomacie na szyji, z pięknie wypolerowaną, uzdeczką i z cuglami w pysku (przepraszam w ustach) został przygotowany do politycznej parady. Mieszkańcy S M O R G O N mogli ujrzeć zwyciężkiego garbuska na karku pracownika Milicji, jak pępczem pogania zastraszonego Enkawudzisty, jakby urągając komunistom, że tak może zakończyć każdy oprawca.

Zabawę z tym wrednym Żydem, musiał polak zakończyć, przerwać ze względu na eksterminację Żydów przez doborowe formacje z SS. prosto polak-inwalida nie chciał być podobnym do morderców z pod znaku sfastyki.

W latach późniejszych, gdzieś jesienią 1944 roku, nasi bohaterowie jak z pod ziemi, znajdują się ponownie w Smorgoniu (Żyd przeżył w czerwonej partyzantce) Ponownie Towarzysz Szapiro jest czerwoną figurą i ponownie sprzedaje swojego "jeźdźca", organom NKWD, chociaż

już w nie długim czasie sam robi handlowe machlojki i wędruje do pudła, po sędzie jakiegoś trybunału i jakimś zrzędzeniem losu zostaje wywieziony na Syberię do Kraju Krasnojarskiego. (jakoby polak garbusek oberwał 10 lat Obozu) A jak przechował się ten Izraelita w latach niemieckiej okupacji, zanim dostał się do partyzantki? jest tajemnicą, widocznie był przechowywany przez polaków, dlatego taka mściwa nienawiść do tej nacji...

Faktem jednak było to, że "los" pana Szapiro, pozostał dla niego nader przychylny, gdyż jak wiemy z naszej historii, setki tysięcy Żydów w tym czasie ginęło od kul i gazu... Pomimo że nie byli winni niczemu i nikomu?.

A pan Szapiro znowu będzie mógł spokojnie mieszkać na Syberii i pielegnować swoją nienawiść do polaków.

Jeszcze trochę w a pożegnam ten głodny i chłodny kraj. Już za kilka dni pożegnam z OGROMNĄ RADCŐCIĄ tę PRZEKLETĄ SYBERIE, złych ruskich ludzi i tę znienawidzoną władzę czerwonych, ten ICH przeklęty SYSTEM, który miał nas za niewolników.....DLACZEGO? Dlaczego tak bardzo nie lubicie polaków?

Przecież zaczynając od roku 1939 i po pogwałceniu wszystkich paktów, zaczęliście nas mordować... a poczynając od wielkich czystek, wywózek w roku 1939, 40, 41, 44, 45, które ciągnęły się aż do śmierci tego waszego potwora Stalina. KATYŃ był drugim dowodem waszych zbrodni, a już później to WAM szło jak w ogromnym KOMBINACIE, w takim tyglu, gdzie przerabialiście nienawistnych polaczków, zaczynając od Piłsudskiego, od JĘGO żołnierzy, od Andersa, Sikorskiego i tych krnąbrnych lachów z pod znaku ARMII KRAJOWEJ.

I dzięki aniołom Berii, poznaliśmy dokładnie Wasze więzienia, sądy i obozy karne..., to zawdzięczając właśnie Waszym "Sądom" Kapturowym", mieliśmy szczęście poznać WASZ okrutny, zakratowany świat. Wystarczy pojechać tylko na Północ, gdzie na przestrzeni tysięcy kilometrów, wzdłuż nie kończącej się linii kolejowej, między Kotłas a Workutą. Między Workutą a Salihard nad rzeką OB, śterczą, w niebo straszne wieże wartownicze, a w nich mołojcy, którzy strzegą tych, co tam w dole w lipiankach, czy w barakach, przycupnęli by nabrać trochę oddechu, by kawałkiem razowca wzmocnić swój szkielet, by za jakąś chwilę, jak spadnie śnieg, na tory, znow czołgać się z łopatami do walki z żywiołem....

Opisałem tylko jedną niteczkę, tak zwaną PIECZORSKĄ, na której ginęli polacy, czy to od głodu, czy od wycięczenia, prawie pod każdym podkładem, ktoś skłaniał się do BOZI....

Napewno moja praca o charakterze wspomnień z pobytu mojego w latach 1945 do 1955 na Północy Imperium Rosyjskiego i na dalekiej Syberii, nie będzie zbyt subtelnym opisem z pobytu w "Ogrodzie Botanicznym" i nie będzie mowa tylko o kwiatkach, lub o wspaniałych i dobrych ludziach..., jakimi byli i są ludzie zwani; ROSJANAMI.

Nie mam absolutnie żadnego zamiaru wybielać brudy tamtej epoki, postaram się i w ciągu dalszym, opisywać autentyczne fakty, takimi samymi kolorami, jakie wówczas widziałem.. Nie jestem ani daltonista ani jeszcze sklerotykiem, a że niektóre opowiadania mogą być "nie po porządku", to już inna sprawa.

Z początku miałem jak najlepsze zamiary, nie straszyć czytelników i może dlatego zacząłem od najzwyklejszych opowiadań, o samej tajdze, o przyrodzie i mieszkańcach Syberii.

Już w krótko spotkamy się w puszczy "Gorkowskiej Obłazi" skąd, wyruszyliśmy na podbój Północy, do tych "przepięknych OBOZÓW", gdzie było więcej łez, jak zadowolenia.....

Moje przedługie lata "obozów", zostało niestety okupione chroniczną chorobą serca, które co jakiś czas dokucza mi swoimi, napadami ; czy to zawałami, czy też złośliwymi ~~zawałami~~ ^{wylewami} (akurat po trzy z rzędu) Po ostatnim wylewie w roku 1989 ~~zostało~~ paraliż prawej strony ciała, do dziś unieruchomił prawą rękę, bez której nie nadążam w przekazywaniu niniejszych wiadomości....

Na "SAKSY" wygnała mnie "POLSKA BIEDA" lat 80-tych i dzięki polskim komunistom, już dzisiaj poznałem "dostatnie i kulturalne życie"..... ale ~~dłaczego~~ =dlaczego teraz, przy schyłku życia, a nie na przes^{tr}żeniu czterdziestu straconych lat, gdzie jakby nadal ohydne macki sowieckie motały polskie życie, by pod strachem i przy pomocy czerwonej propagandy, niszczyć naszą gospodarkę, naszą kulturę, nasze życie.....

Nadzieja w poprawie dobrobytu w Kraju i w zdrowiu moim, jak zawsze w samym EOGU. Spieszę się nie pomiernie w pisaniu swoich wspomnień, żeby jak najwięcej przekazać potomnym ~~tych~~ ^{te} wiadomości, których jeszcze napewno brakuje do ogólnego wykazu "ZBRODNI ROSJAN" i będę szczęśliwy, jak uda mi się dołożyć dodatkowo kilka cegiełek wiedzy o deportacji Polaków i ich strasznych przeżyć.....

Jutro zacznę opowiadać o jednym plutonie Armii Krajowej który już nie szturmował bunkry pod "JEWZASZAMI" ale walczył z olbrzymi^{mi} sosnami w "SZAJMANIE", Gorkowskiej Obłazi...

Henryk Jencyk
Adersheim 1990 r.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

3

II/1568/I Kaulbars

Fragment z książki pod tytułem;

Bałagan życiowy żołnierza Armii Krajowej

Motto:

Bądź szczęśliwy, nie żałuj niczego,
Nie oczekuj niczego, to co ma CI się
Przydać, jest zapisane w księdze,
której karty odwraca ślepy wiatr
wieczności.....

Karawany jada, po własną śmierć. Tak należało by określić te długie transporty Polaków (i nie tylko...) podążających pod ochroną NKWD w głąb tego okrutnego kraju.

Ponieważ nasza KATORGA zaczęła się zaraz za Moskwą, w wielkich lasach Gorkowskiej Obłasti, więc może zaczęła od stacji WIKSA, gdzie nas w lutym 1945 roku ładowano na barki. Wtedy już byliśmy ogromną atrakcją, dla tłumów kobiet (ponieważ, trwała jeszcze wojna i mężczyźni walczyli o dobrobyt swojego państwa) które zamiast nam współczuć, jak by czynili to nasze matki, lub żony, to jeszcze za namową konwojentów, opluwano nas; złoścąc faszystom....., za krzywdy.., które niby to my im wyrzadziliśmy..? przecież byliśmy Polakami niedobrymi i wyzywano od kontrewolucjonistów. (ponieważ prawdziwi Polacy w ICH pojęciu, to byli ci, co służyli w Armii Czerwonej lub w Polskiej Armii Wandy Wasilewskiej)

W naszym ŁASZMANIE, bo tak nazwaliśmy, jak by był na wpół domem wariatów "zmieliliśmy porządek literi już mieliśmy "SZAZMAN" więc w tym SZAZMANIE, w pierwszym moim CBOZIE karnym w Zw. Radzieckim, przyjęto na 600 wystraszonych więźniów z Wileńskich "Łukiszek" i tego jeszcze dnia podzielono na podstawowe grupy (brygady) ja, będąc, przed aresztowaniem, dowódca drużyny, zostałem czasowo brygadziście, a ponieważ brygady tworzyły się samoistnie, wokół nas kilku, skupiło się przeszło 30-ka byłych żołnierzy AK. Z samego Wilna, przyszło do mnie 5-ciu, pozostali ze zgrupowania 77 Pułku Piechoty, kilku z Batalionu "Ragnera", od "Krysi", od "Ponurego" a reszta z naszego Batalionu, z nowego naboru żołnierzyków z nad Niemna.

Nazwisk naturalnie nie pamiętam, prędzej "pseudonimy", ale niektóre imiona moich drogich kolegów i do dziś pamiętam. Z tego bractwa było 450 więźniów politycznych, których specjalnie ochraniało i wyznaczając już od pierwszego dnia pobytu do brygad leśnych. Mieliśmy piłować sosny, ośmio-metrowej długości i składować przy torach kolejki. Takich podobózów było rozsiane po lesie kilkadziesiąt, o takim samym przeznaczeniu.

W naszym koncentracyjnym Łagrze, od samego początku jego powstania, ponowiał nieopisany terror, jak by anarchiści zarządzili a nie ludzie w mundurach. Naczelnikiem naszego "SZAZMANU" był kapitan Enkadziście, człowiek bez żadnych zasad i skrupułów i wraz ze swoją zgrają, z tym wilczym sztabem, poprostu okradali nas i tak już ze skromnych norm GUŁAGU (główny Zarząd wszystkich Obozów)

My głodni, o jednym kawałeczku chleba (550 gramów) i jed-

nym litrze wodnistej lury, gdzie żadko kiedy znajdował się ziemniak. I tylko przy wykonaniu sowieckiej normy można było dodatkowo otrzymać 300 gramów chleba do wieczornej kawy...

Cd rana do wieczora, piłowaliśmy ogromne drzewa, starając się w pocie czoła i w wielkiej desperacji wykonywać polecenie Komendanta, który zapewnił nas, że o ile nie będzie wykonywana norma 4 metry sześciennie, będą sankcje... Każdego, kto nie wykona polecenia i ośmieli się przyjść do obozu bez wykonawstwa czeka go KARCER (zimna cela i karny kawałek chleba 350 gr.) ale już na drugi dzień.

W tym czasie, ktoś z Polaków ułożył wiersz, po tytulem; "CHLEB", niech również pozostanie na wieczną pamięć dla potomnych, żeby pamiętali że ich praojcowie, nie zawsze tego chleba mieli dosyć.

* CHLEB *

Nie było ości w tym chlebie,
Nie miał goryczy od lebiody
Nie miał zakalca i czerstwy nie był.
Ten chleb był dobry, taki jak co dzień,
I tylko jedno odróżniało,
Ten chleb od chleba lepszych czasów,
Że wciąż, że wciąż GO było mało,
W surowych dniach młodości mojej.
Chleb był związany z trudną normą,
Z daleką, leśną działką zimną,
Ze szronem pokryta platforma,
Z huczącą, ciągle tajgą dymną.
Ten związek prosty był i groźny...
Wśród śmiechu, ostrzeżeń i przekleństw,
Drzewa po przez powietrze mroźne,
W śnieg się waliły z głośnym jękiem.
Ten związek prosty od pradawnych czasów
Początki rozpoczynał wszystkie,
Kto więcej przez dzień ściał drzew w lasach,
Ten chleba otrzymywał obficiej.
Już zapomniałem.....?
Wiatr na przestrzał,
Imiona PRZYJACIÓŹ posepnych..,

A normę kubików kilkanaście,
Nawet i dziś pamiętam.
Szli do baraków w kłębach pary
Tupały buty osniewione,
Na prycze się walili zaraz...
Nawet nie zdjawszy z nóg walonek
Chleb przynosili pokrojony,
Ważono ściśle kromkę każdą,
A każdy najmniejszy okruch kromki,
Był do niej przytwierdzony drzazgą.....

C obrazliwa gorycz chwili, kiedy wróciwszy wieczorem z pracy,
tym co nie wyrobili normy, dawali 350 gramów chleba....minęły lata
dziś być może, zasada twarda nie popłaca, a serce do tej pory
boli i trwoży; chleb i praca.

Po mimo tak ciężkiej i niewdzięcznej pracy, brygady nie
zbyt ochoczo powracały do OBOZU, gdzie oprócz pustej miski, cze-
kały na wielu z nas nieubłagane dodatkowe zajęcia, czy to przy
sprzątaniu baraków, obejścia wokół lipianek i baraków od nadmier-
nego śniegu, gdyż tamtego lutego 1945 roku zima w tym rejonie, nap-
rawdę była okrutna, a mrozy dochodziły do 40 stopni.
Nawet przy większych mrozach czy śnieżnych zadymkach, wypędzano do
pracy o zwykłej porze, pomimo że ludzie nie byli odpowiednio ubrani.
Chodziliśmy nadal w swoich żołnierskich ciuchach i w dobrych butach,
które wszyscy z mojej brygady mieli jeszcze po ostatniej AKCJI na
Cboz JUNAKOW w Kienie, gdzie maszerując jak "BURZA" na Wilno, zache-
piliśmy po drodze ten bogaty Cbozik, który dostarczył oprócz broni,
wiele ubrań i niemieckich butów, dlatego też moi żołnierzyki choć
nogi mieli suche i w ciepłe (później jadąc już na Pieczore, będziemy
napadnięci w pociągu przez sowieckich kryminalistów i częściowo
ogoloceni...Ale narazie, jeszcze chodzimy jak panowie, ku zazdrości
niektórych konwojentów, mających kierzowe szmaty na nogach.

Jedynie mój pluton trzyma się dzielnie i jakoś radzi sobie
z zaopatrzeniem..., które dokupujemy sobie w okolicznych wioskach,
handel wymienny idzie całą parą, poprzez robotników leśnych, których
jest dużo i mamy możność styczości. Również udało mi się sprzedać
krzyżyk złoty, przemycony u dołu w płaszczu wojskowym, wymieniliśmy
na worek kartofli, który pomógł na jakiś czas w dodatkowym wyżywie-
niu całej brygady. W marcu, na rynek wymienny zaczęto sprzedawać
nawet buty, które miały wysoka cenę i była możliwość wymiany na sta-
re walonki. Chęć przeżycia, była jeszcze problemem nr 1, gdyż wciąż

mieliśmy nadzieję, że z nadejściem końca wojny, napewno wyjdzie dekret o amnestii i że będziemy zwolnieni, a do domu to i bez butów dojedziemy..? Jeszcze wiele czasu mięło w oczekiwaniu, że coś się zmieni...? Ale nic z tych rzeczy, ludzie nadal harowali w pocie czoła, pomimo że były chłody, nadal męczyli się nie tylko w lesie przy wyrebie, ale przeżywali te wszystkie okropności, jakie napotykały nas w tym okropnym OBOZIE, gdzie już od samego rana do późna w nocy słyszeliśmy straszne wrzaski naszych wychowawców (t.zw. nadzierateli) którzy wyzywali się nad bezbronnym i słaniającym się więźniem więźniu, a opornych zaciągano na wartownie i wybijano kijami, jego polskość....

W ten okrutny sposób, powiedziałbym bardzo dziki sposób, CI ludożercy w bardzo krótkim czasie przemienili te roboczą kolonię w szpital..., by już po cztero miesięcznej kuracji odtuszczej, nie wielu pozostało zdrowych, około 80 % całego stanu osobowego, znajdującego się w tym piekiełku wysiadło. Przeszło 400 dopalających się "knotków" pozostawiliśmy w miejscowym lazarecie, bardzo wielu zameczono, a jeszcze więcej poodprawiano do obozów "wyzdrowieńców"

Przy życiu udało się pozostać tylko tym co nie zachorowali na żołądek i którzy byli bardziej odporni na trudy życia obozowego. Ten pierwszy przedsiönek piekła sowieckiego, przeżyli prawie wszyscy ludzie z mojej brygady, ze Zgrupowania partyzantckiego AK, z wyjątkiem jednego; zginął, a właściwie został zamordowany podczas ucieczki. Był nim żołnierz z mojej drużyny, z kompanii kap. "JACZA" (Ryszard Reiff) nazywał się również Heniek, był nie dużego wzrostu i pochodził z lewego brzegu Niemna, tam gdzie w latach 43/44 grasowały bandy czerwonej partyzantki) Ponieważ był malutki i bardzo chuderlawy, był u nas w brygadzie palaczem żęgów, jak również obsługiwał ogniska dla konwojentów. Kiedyś złapałem go, jak opiekał sobie na patyku mysz polną, a na zapytanie; dlaczego to robi? Czy jest na tyle głodny? zbył mnie jakimś mruzeniem...

Dopiero później, jak spowodował ucieczkę, zrozumiałem że mój mały żołnierz planując ucieczkę, zawczasu przygotował swój żołądek do "nie ludzkiej strawy".....

Któregoś wietrznego poranka, uzbierawszy sporo mokrych gałęzi, zapalił ogromne ognisko przy Dowódcy konwojentów, czym spowodował wielki ciemny dym, po partyzantku, zrobił sobie sztuczną, zasłonę i poszedł w las....?

Gdzieś na 5-ty dzień od czasu ucieczki, dowiedzieliśmy się,

(już od niego samego) że ucieczka z miejsca pracy udała się, całkowicie, że nawet wykiwał węszące psy, brnąc wiele kilometrów przez mokradła i rzeczki i prawie już spokojnie szedł na zachód do domu... okazał się bardzo dzielny i przebiegłym... i tylko będąc już u kresu swoich nadwątlonych sił po przemaszerowaniu gdzieś od 80 do 100 km, zaszedł do małej chatki, która stała na skraju lasu, w tej chatce miła babunia serdecznie GO przyjeła. Nakarmiła gorącym kapuśniaczką z kartoflami i ułożyła do snu na ciepłym wielgachnym piecu.

A gdy z rana obudził się, ze zdziwieniem i ze zgrozą, ujrzał w tej gościnnej chacie, oprócz czułej babuni, mrowie sałdatow NKWD..., jeszcze zdążył z tego wszystkiego, splunąć w tę niegodziwą, twarz, by za chwilę, zostać pojmany i mocno pobity.... Oberwał od tych małojców taki wycisk że już sam o własnych siłach nie mógł podążać do ponownej niewoli..., musiano już GO wieść na saniach, prawie dogorywającego przyholowali do naszego obozu, gdzie w miejscowym lazarecie, na moich rękach zmarł biedaczysko.

Gdy jestem jeszcze przy tym "szalmanie", warto opowiedzieć o pewnym wydarzeniu z niedźwiedziem, których i w tych lasach nie brakowało...

Kiedyś spiłowaliśmy ogromną, sosnę, mającą na nie wielkiej wysokości barć z miodem.., nie mówiąc już o wspaniałej wyzerce dla więźniów i ochrony, to dodatkowo, nie zdając sobie sprawy, zrobiliśmy krzywdę dla misia, który nie znalazłszy swojego ula, tak się rozsierdził, że w wielkim gniewie porozrzycał nam, całą, miesięczną pracę, mieliśmy z kilkaset metrów sześciennych drzewa poukładanych w długie sztable, wzdłuż wąskotorowej kolejki, z rana po przyjsciu na zajutrz do roboty, wszystkie bierwiona znaleźliśmy porozrzucane w promieniu kilkudziesięciu metrów..., przez kilka dni musieliśmy doprowadzać nasz magazyn drzewa, do pierwotnego stanu. Mieliśmy nawet komisję, która zaliczyła wyżej opisane zajście, jako kataklizm a więźniowie za kilku dniowy przestój, otrzymali swój przydział żywności, a na długo pozostał przy nas smak przepysznego miodu.....

Tak właśnie wyglądał, pierwszy wstępny "AKT LUDZKIEJ TRAGEDII". Jak na cztery zimowe miesiące, to napewno aż za dużo. Ale jak na początkową, zaprawę, w przygotowaniu nas do dalszego tułaczego życia, pozostało zjawiskiem więcej wielce odstrasającym. A ponieważ za tak krótki okres przeszliśmy tak dużo, to ta słynna PIECZORA nie zrobiła na nas większego wrażenia...

To był jeszcze rok 1945, w zapolarnym klimacie, wczesną wiosną, kiedy przywieziono nasz transport z Gorkowskich lasów, przez Kirow, na samą PIECZORĘ (miejsce ~~osyżki~~ zsyżki Polskiego Marszałka, (późniejszego) Konstantego Rokossowskiego.

W Europie ogłoszono koniec drugiej wojny światowej, Sprzymierzone Armie pokonały Faszystowskie Niemcy. W Moskwie, pod nogi Wielkiego Stalina, leca setki zdobytych sztandarów ze swastyką, a w poddańczym hołdzie PKWN ogłasza Niepodległość Polski (nieoficjalnie) jako 18-j Republikę Związku Radzieckiego, URA. URA. URA.

A więc tow. Marszałka już mamy, wolna i niepodległa "P" też jak by mamy, tylko naród sam jakby w kazamatach.....

Jesteśmy już ~~perłyszani~~ na kolonii nr 31, w dalszym ciągu w tej samej brygadzie, przydzielono nas do pracy w tartaku i możliwe że będziemy z tych samych sosen robić teraz tarcice i inne bale, potrzebne do budowy Pieczorskiej Osady. Ponieważ jesteśmy już ponumerowani, więc nie ma obawy że się któryś zgubi w wielkim tłoku... Sama Pieczora wygląda jak ogromny plac najezony więziami i wieżyczmi, na przestrzeni kilkunastu kilometrów pobudowano setki baraków i ziemianek w których umieszczono tysiące więźniów, jak politycznych, tak i kryminalnych szubrawców wrzucono do jednego CBOZU, który nazwano "PIECZORLAGIER". A dopiero z tam, rozchodziły się pododdziały wzdłuż całej przeogromnej linii kolejowej "KOTŁAS - PIECZORA - WOR-KUTA", którą trzeba było prawie przez okrągły rok utrzymywać, walcząc z dziką przyrodą, z przewalającymi się śniegami i wielkimi mrozami.. / Któż może zliczyć te masy ludu umęczonego, chociaż można wyobrazić sobie, przemierzając tysiące kilometrów tej Północnej Magistrali przez metr przy którym musiał ~~ścierać~~ ~~ścierać~~ jeden więzień, szturmujący górę śniegu, lub przy większym mrozie walić oskardem oblodzone tory i podkłady...do liczenia nie biorę się, chociaż te tłumy naprawdę pójdą w miliony..? Nadal, jak i poprzednio, postępowało z nami bardzo źle, mieszkaliśmy w strasznych warunkach, bo w liepiankach, w których latem było strasznie duszno, pełne pluskiew, które po największych przeszkodach (ustawialiśmy piętrowe prycze nóżkami żelaznymi w naczyniach z wodą) leciały po ścianach i suficie by następnie jak zrutek spaść na ofiarę...br..br..już nie wspominając o natrętnych szczurach, które dopiero przy 50 stop. mrozu, przemieniały się w sople, a przy większych my również...

W pracy nas też nie rozpieszczano, chociaż karmiono po staremu, ale do roboty chodziliśmy czasem po dwie zmiany.... Jestem ciekawy czy w służbie u samego belzebuba, po 16-tu godzinach

harówki o głodzie i w strasznym zmęczeniu, też bywają szczuci psami przez konwojentów? Żołnierze-stalinowcy wyzywają się..., starają się, by swoją wzorową służbą nabyć prawo do przepustki, urlopu. To byli herosi na miarę tamtych czasów, żołnierze, automaty NKWD wiarusy, którzy z zasady frontu nie widzieli, oni umieli walczyć tylko z nami, z bezbronnymi...., walczyli i zwyciężali...

Napewno i w piekle nie rozpoczynali każdego smutnego dnia modlitwą, jak to robili w torturowni Joski Stalina. Zaraz po pobudce i po lekkiej kawusi z 200 gr. chleba, wypędzano nas wszystkich przed bramą Obozu, gdzie ustawialiśmy się tak pięknie czwóreczkami w brygadach, a konwojenci policzywszy dokładnie (czasem przy pomocy swoich palców) odmawiali zawsze litanie;

Zakliuczonyje wnimanie, predupreżdaiam,
w puci śledowania na swoju rabotu,
nie razgawarywać, nie razgladywatsia,
zdiełan odin szag w storonu,
budim szczytać pobiegom...
i orużie budem prinimać bez predupreżdzenia.
konwoj k boju, zakliuczonyje w pierod marsz...

w tłumaczeniu na polski, wyglądałoby to mniej więcej tak; Uprzedzamy że w czasie marszu do miejsca pracy, nie rozglądać się, nie rozmawiać, a przy próbie dania jednego kroku w stronę, będziemy liczyli że to próba ucieczki i wtedy broń będzie użyta bez uprzedzenia. Konwojenci do boju a więźniowie naprzód marsz. Z tymi słowami i z przekleństwem w duchu szliśmy codziennie jakby ciernistą drogą, ach jak było ciężko, do bólu, do łez... I w ten sposób witaliśmy i zegnali każdy nasz katorżniczy dzień. Tam na POZNOCY, w tym okropnym czasie, słońca jakby nie widziałem, nie odczuwałem JEGO ciepła, a oile i było to napewno nie dla nas...?

Rok 1946 nadal "ukochana" PIECZORA, nadal jakby chłodniej i głodniej. Oprócz fizycznych tortur, dodatkowo jeszcze mieliśmy wiele udrek moralno-psychologicznych..., poprostu znęcano się nad nami przy każdej nadarzającej okazji... Pamiętam te mroźna, listopadową noc, w koło nas świat jakby zamienił się w piekło, tak straszliwie kotłowało, że nie można było utrzymać się na zmęczonych nogach, w dodatku silny wiatr przewalał śnieżną, zamieć (przy 40 st. mrozu) Przy takiej pogodzie, kiedy dobry gospodarz swojego psa znowa do izby..., myśmy w taka porę, okrażeni ogniskami, przy których ogrzewali się konwojenci, zaczęliśmy wyładowywać z dużych towarowych wagonów, wysmarowane smo-

Ya, bardzo ciężkie podkłady kolejowe, a powinienem zaznaczyć, że już byliśmy po dwóch zmianach pracy podstawowej w tartaku i dlatego posłano nas do rozładunku wagonów ???

Strasznie wyczerpani, senni i głodni, zmuszeni byliśmy powłazić na górę podkładów, w dodatku bardzo oblodzonych, żeby z tej wysokości w 6-ciu ledwie po jednym wyczerpać podkładzie..., i zrzucić go za burtą... Smoła zalegająca i klejąca się do wszystkiego, śnieg zaślepiający oczy. mróz dokuczliwy na całym ciele i ten złośliwy napis na desce, na przeciwko pod latarnią, "NA SOWIECKOJ TRASIE PURGI NIKOGDA NIET" (Na sowieckiej trasie, gdzie pracują, śnieżnej burzy nigdy nie bywa) A wszystko to harmonizowało się ze strasznym skowytami duszy i serca. Nie wiem, czy kto jeszcze i jak zareagował na powyższe zjawisko, ale dla mnie, pozostało zakodowane w głowie na całe życie.

Właśnie w tym wszystkim, dla mnie najgorsze, najbardziej sztywno-
cze były właśnie te kłamliwe słowa; " Na trasie purgi niet "gdy nad całą Pieczorą szalała śnieżna burza, po której nazajutrz, tysiące więźniów i poźwolnych, oczyszczało stacje tory kolejowe i całą Cсадę. Jeszcze nie raz będę podkreślał że tą trasę utrzymywana zawiadzając wielkiej ARMII NIEWOLNIKOW, którzy jak w dzień, tak i w nocy dosłownie zlizywali śnieg z tej magistrali, po której przewalały się wielkie transporty z węglem do Basieji a z powrotem te naładowane ale więźniami i przesiedleńcami....I to wszystko trwało w dużym natłoku aż do czasu jak zbudowano nową kolej (501) do SALICHARDU, do portu za Uralem i tym samym odciążając główną Magistralę przez Kotłas. W tej walce z żywiołem i z niespotykanymi trudnościami, napewno musiały być ogromne uszczerbki w potencjale ludzkim... Ile było ofiar wśród więźniów, ? nie sposób powiedzieć, chociaż starzy więźniowie twierdzili bez przesady że prawie pod każdym podkładem umierał wycieńczony niewolnik. Przecież i za mojej krótkiej tam bytności, też kilkudziesięciu zmarło przy pracy, właśnie przy torach, z tą to powiedzenie "leżał pod podkładem".

Na Pieczorze w tych tysiącach kurortach, swoje wysokie wyroki odbywali przeważnie polacy, ukraińcy, litwini, Łotysze i białorusini, ludzie Ci, przeważnie pochodzili z byłych terenów Polski, zagarniętych przez Władze Radziecką, to nie byli kryminaliści, a deportowani, poprostu wywiezieni od swoich rodzin, a wielu z nich pracowało bez ochrony.

Sama Osada Pieczory, nie była wielką miejscowością, trochę domków piętrowych drewnianych, wiele baraków a najczęściej ziemianek..... a to wszystko ogrodzone drutem kolczastym (zamiast żywopłotu) i jak okiem sięgnąć w około wieże strażnicze, przeróżne wieże i wartownie, strzegące ofiary systemu sowieckiego. Gdy się patrzyło z okien jadącego pociągu z Pieczory do Abissu, dalej na północ pod samą Workutą, to się widziało same Majdanki..., Trblinka... Krajobraz jak w Polsce za Hitlera, tylko w większej, powiedziałbym, w makabrycznej ilości..., co krok to jakieś skupisko ludzkich cieni jakby półtruposzy... Boże Kochany ileż pobudowano takich Obozów, podobozów, kolonii, nie wspominając o tych wszystkich gigantach jak Magadan czy inne stwory Architekta-Berii....

Sądząc po wszystkim co zdołałem zobaczyć, przekonany jestem; że przy tym makabrycznym temacie, napewno Stalin pobił na głowę samego Hitlera i więcej nachapał ludzi, mając do tego tak olbrzymie Imperium i milionową Armię strażników.?

Tej zimy roku 1946/47 przeżywalismy okropne mrozy, dochodzące do 60 stopni w skali niespotykanej, kilka dni mrozów, znów mały oddech oddech ale zato jak urozmańczone straszliwymi huraganami, które przeważnie przynosiły góry śniegu, zasypując nie tylko Stacje, miasteczko ale i nas w tym nędznych liepiankach... Nieraz musieliśmy ratować siebie z pod zwałów śniegu. ale i swoich "zbawców"... często też odkopywaliśmy jak i cały majdan zaczynając od kuchni i innych obiektów naszej użyteczności. Zima była trudna ale wcale nie umniejszała nam naszej podstawowej roboty przy obróbce drewna w tartaku, gdzie oprócz ciężkiej pracy utrudniał na jeszcze dzień pracy sam naczałnik tego przedsiębiorstwa, który jak jakieś dzikie zwierze, jak sadysta znęcał się nad poszczególnymi więźniami..., wystarczyło by któryś z więźniów nieopacznie schował się by choć trochę odpocząć, już był wzywany przed oblicze "czerwonego Iwana" i tak maltretowany, że po całej pracy, wracając na swoją kolonię, musieliśmy takiego denata prawie nieść na rękach. W obozie był również lekarz więzień, który znowu dawał zwolnienia z pracy za łapówki, które brał przez swojego "dniewalnego" (służbowego) Był też swojego rodzaju bydlakiem nie udzielając pomocy swoim pobratymcom bez interesownie.

Przy 60 stopniowym mrozie do roboty nie wychodziliśmy, szli tylko do robót awaryjnych, na przykład do pompowania nafty, mogli iść wyłącznie ludzie z 1-szą kategorią zdrowia i opatulemi kilkoma kocuchami i w najlepszym obuwiu. Wtedy wielu z nas modliło się w intencje by te wspaniałe mrozy dłużej potrwały....

Podczas takiego weekendu z nudów, zaczęły się bardzo głupie eksperymenty, różne zakłady, a nawet żarty... Kiedyś złapano szczura (stały obywatel w naszych pomieszczeniach) i wyżucono jego tylko z górnego otworu, który był nad drzwiami, zaraz poszły zakłady na którym metrze zdechnie ?niestety nikt nie wygrał, bo już, kiedy spadał na ziemię, był skostniały, gdyż akurat przyniesiono nam w kotle zupe, po której można było śmiało jeździć łyżwami próbowano też przeskoczyć do drugiej ziemianki, to facet musiał szczelnie opatulić głowę watowaną kufają i jeszcze wstrzymać oddech.

W te wielki mrozy często grano w karty o lepsze miejsce przy piecu, a był to cudowny piecyk zrobiony z beczki 200 litrowej opalany drzewem do czerwoności. Przy piecu było fajnie jak u kochanej mamusi pod pierzynką, ale tylko przy samym piecyku, bo już dalej pod ścianami włosy przymarzały do poważy, bliżej piecyka, miejsce ustępowano za 300 gramów chleba.

Jak mróz trochę zelżał, znów nas pognano do roboty, a w tej zimie mnóstwo było zachorowań i zgonów, od wycięczenia zmarł również białyoruski pop, taki staruszek i zupełnie nie był podobny do żadnego faszysty....

Odnosnie Rokossowskiego, dowiedziałem się od starszego bywalca, który jeszcze przebywał w latach 40/41 na Centralnej Przesyłce na Pieczorze i który dość dobrze poznał naszego późniejszego Marszałka, otóż nie był to delikwent szlony, a poprostu kryminalista, najzwyczajszym złodziejaszkiem, i za ukradzione jabłka w jakimś "sawchozie", został osądzony jakimś Ukazem i przywiezion na Północ, dopiero na początku wojny niemiecko-radzieckiej przypomniano sobie na Kremlu o Nim. Zaraz po zwolnieniu zaczął z nakazu Moskwy werbowac po całym Związku, ochotników do "sztraf roty" (takie karne kompanie) ludzie wyciągani z więzień musieli swoją brawurą i determinacją, oczyścić się od wyroku, a te karne kompanie nie raz były wielkim postrachem niemieckich żołnierzy, nazywając ICH "duchami jobany w rot".

Mieszkając w barakach, czy też w ziemiankach, zazwyczaj spaliśmy na siennikach wypchanych trocinami, mieliśmy wszystko... zaczynając od wszy, pchły, karaluchy, pluskwy, szczury a kończąc na tyfusie... A właściwie to brakowało wszystkiego i nie tylko u nas, za drutami u tych półwolnych też nie było luksusów do normalnego życia, dla nich sklepy urządzało przeważnie w prowizorycznych pomieszczeniach, a w tych sklepach z pustymi pułkami, to

podstawowym towarem był kierasyn, sól, konfety, kasza, czasami makarony i cukier, a z odzieży watowane ubrania i walonki... Kino również musiało być, chociaż filmy wyświetlano przeważnie na dworze, nie bacząc na mrozy, o ile to była pora zimowa.

Dla wyróżniających się pracowników, dziesiętników, majstrów, brygadzystów nagradzano talonem na spodnie, spódnice, ~~zabuty~~ buty, a czasem poprostu torebką, zwykłych landrynek....I z takiego wyróżnienia musieli być dumni. Przecież pracowali razem z nami dla dobra swojego ukochanego kraju Rad.

Jutro pozostawiam już Pieczore, ponieważ dowiedziałem się od więźnia pracującego w kancelarii, że zcierają większą grupę zeków na jakąś większą budowę, na dalekiej Północy, wtedy jeszcze nie wiedziałem że już organizują szkielet kadry, nowej 501 strojki, w której-kiedys później i ja też będę uczestniczył...?

Mamy krótkie lato roku 1947 przyjazd do Abissu, do takiej nie wielkiej Osady z własnym teatrem i stałym kinem, Osady leżącej na trasie do Workuty. Miasteczko podobne w każdym calu do Pieczory, a szczególnie z ponorami tych wieżyczek strażniczych.

Gdy już przyprowadzono nas z tego transportu na Kolonie nr.2 jeszcze tego dnia poznałem sympatycznego człowieka, litwina z pochodzenia o nazwisku Studzis, przepraszam, STUNDZIS, do 1939 r. był obywatelem polskim, służył w Polskim Wojsku jako oficer. I właśnie ten wspomniały współrodak (pochodziłem również z Litwy) z marszu zajął się wynędzniałym i z lekka oberwanym mieszkańcem Pieczory, przede wszystkim nakarmił (pamiętam jak dziś smaczne pączki na parze, oblewane jeszcze smaczniejszym sosem) później zaprowadził do kamery, gdzie mi wymieniono ubranie i wyfasowano nowe buty (tamte, poniemieckie sprzedaliśmy za chleb) a ponieważ sam pan Stundzis pracował na tej kolonii w charakterze starszego ekonomisty, załatwił mi pracę starzysty w swojej księgowości, mnie znającego bardzo słabo język rosyjski,? Kazał bym natychmiast, od dziś zaczął połykać AZBUKE... Musiałem się uczyć i pracować, zacząłem naukę obcego i tak nielubianego języka od nocnych rozmów z panem Stundziszem, musiałem kuć ten język jak w dzień tak i w nocy, bo to przecież była moja jedyna szansa by przeżyć, by jako-tako egzystować w tym gadzienniku NKWD.

w dzień udawałem ze pracuję, ale zato w nocy długo przesiadywałem nad dziełami Lenina (ponieważ nic innego i bardziej mądrego nie mogłem dostać w tym czasie)-(o mało i sam nie zostałem komunistą..) Chociaż tak mówiąc szczerze, niektóre wersety wielkiego Lenina podobały mi się, bo były przekonująco życiowe.)

W końcu doszło do mnie, zrozumiełem że oile nie nauczę się języka swoich wrogów i dzisiejszych ciemiezców to zginę i nie będzie już komu postawić mi krzyżyka brzoźowego, o którym w każdym pochodzie ku WOLNOSCI myślał każdy polski partyzant.

Widocznie w moim KORANIE było wypisane, jechać do Abissu by osiągnąć dwie podstawowe przedsięwzięcia, dwie rzeczy, nauczyć się języka rosyjskiego i trochę liznąć, jako-takiej księgowości..... Po kilku miesiącach wielkich wyrzeczeń i niedospanych polarnych nocy, dokonałem nie bywałych osiągnięć, zostałem "SZCZETKOWCEM", takim sobie fagasem, który już potrafi liczyć nietylko na palcach, ale też i na liczydłach.....potrafiłem też pomoc buhalterowi w zaksięgowaniu przychodów i rozchodów, a "debit i kredyt" pozostał na długo w mej pamięci i był w późniejszym czasie bardzo pomocnym w wypełnianiu zleconych mi zadań. (o których będzie mowa w następnych rozdziałach)

W między czasie zapoznałem pewnego więźnia pochodzącego z Moskwy, byłego urzędnika (bardzo niskiego) Cytadeli Kremłowskiej, od którego dowiedziałem się wiele nieprawdopodobnych herezji, opowiadał mi przeróżne historyjki z życia wielkich "BONANZÓW", w kręgu Najwyższych Czynnowników Komunistycznej Partii, opowiadał o nie wiarygodnych poczynaniach samego Urzędu Bezpieczeństwa, które znowu było podległe bezpośrednio pod rozkazy Generalisimusa-Stalina.

Mówił o masowych aresztowaniach, zaczynając już od roku 1937 o wielkiej czystki nawet wśród PARTYJNIAKÓW i o zesłaniach tych i innych śmiertelników Moskwy pod byle pretekstem....A każda średnia rodzina musiała obowiązkowo mieć jakąś wtyczkę jakiegoś agenta z ramienia NKWD. Nikt już w tym kraju nie był bezpieczny, nawet rodziny zasłużonych Komisarzy, czy też Wysokich Urzędników, nawet żonie samego KALININA (Przedsiedatel Wierchownogo Sowietu) przysłano zaproszenie do Moskiewskiego krawca, z kąd już była tylko jedna droga, na zesłanie do głębokiej Syberii.....

Mogło się zdawać że to niewiarogodny paszkwil pod adresem tak wysokich osobistości, że to jest bzdura wymyślona przez cynika, przez człowieka źle myślącego o tym Systemie...Niestety, ten wymyślony żart tego więźnia z Abissu w roku 1947 o represjach i aresztowaniu żony Prezydenta okazał się **fatem** prawdziwym faktem.

Niniejszym przytaczam jedno zdanie, jak to żona Prezydenta Kallenina będąc na Syberii, "małym grzebykiem była wszy z bielizny współwięźniów" (oile się nie mylę był taki reporter z Polityki, z roku 1988-go)

Po wielu dyskusjach z tym niewydarzonym Moskviczem, doszedłem do wniosku; że od tej władzy nie powinniśmy niczego dobrego oczekiwać? A my naiwni, stale wzdychaliśmy do Najwyższego o poprawę naszego losu..., sądziliśmy, że skoro wojna skończona i to bardzo pomyślnie dla nas wszystkich, to dlaczego ma nie być naprzykład A M N E S T I I? I dlaczego nie możemy powrócić do swojego kraju, do swoich utęsknionych rodzin .?

W Abissie poznałem dużo Polaków i Polek, pracujących przeważnie w obsłudze ogromnego szpitala, gdzie często chodziłem z panem Stundziszem, gdyż miał tam swoją sympatię, również polkę, Zabierał mnie ze sobą, mając już stałą przepustkę, a nawet dwa razy pobywałem w teatrze, razem z więźniami, stachanowcami (bo i tacy też byli w Cbozie a za swoją nadgorliwą pracę, dostawali karty wstępu do teatru lub kina)

Osobiście ciężkiej pracy na tej kolonii nie miałem, dlatego wiele czasu mogłem poświęcić na naukę języka rosyjskiego, już nie kaleczyłem potwornie słów, zniesławiając niektóre jak w przydku" przy powiedzeniu dwom paniom, zamiast jakie są, oryginalne i przeciwstawne typy, powiedziałem "Kakije prociwnyje typy" a już z dalszych spotkań napewno musiałybyć nici, bo przecież ten "palaczok balszozj durak i sowsiem nie kulturnoj"... (prociwnyje-wstretne)

Komendantem całego Cbozu w Abissie był wtedy pułkownik Artiszczew, pokieroszowany frontowik, nie zaliczał się do najgorszych Naczelników i zbytnio nie karał za małe przewinienia. A przy odejściu na wolność pana Stundzisa (mego zbawiciela = zbawiciela) wynagrodził go większą sumą pieniędzy i nowym garniturem, żeby mógł wyglądać podobnym do człowieka, swym gestem pan pułkownik, (ormianin po narodowości) zyskał sobie ogromną sympatię reszty więźniów. Chociaż o Jego podwładnych, mówiono bardzo źle, a szczególnie mówiono z wielką odrazą o zastępcy pana Naczelnika, który był uczestnikiem wielkich Łapanek w zachodniej Białorusi, zresztą i wyglądał na "zбира",,

Jak również podobni byli do bandytów z batalionu ochrony, CI Rosjanie, byli jakby podobni do tych żołnierzy RCA (Ruskaja Oswobodzicielna Armia) która częściowo grasowała i u nas w Polsce podczas okupacji Hitlerowskiej. Według mnie to Rosjanie są potencjalni przestępcy i gdzie by nie przynależeli pozostaną bandytami... Dla przykładu podam nie wielki urywek z książki pana Eugeniusza Paukszty, proszę przeczytać str. 162 "Z POD SZCZESLIWEJ GWIAZDY", a oto jego treść i wymowa;

Zaskoczyło ich to, jak zaskoczyło większość mieszkańców wioski. Wieliczni tylko zdołali uciec, w ostatniej chwili niemal, udało się wprysnąć z powrotem w zbawcze lasy. Pogończyli za nimi kule, któryś pozostał w połowie drogi..., inni już nie mieli tej szansy, Własowcy z dwóch stron okrążyli wioskę.

Zajazgotały automaty, zaraz potem zajął się jakiś dom, podłożonym płomieniem. Psy ochrypły od naszczęku, kule goniły za nimi, tak samo bzykając, jak pszczoły wracające do ula z ładunkiem nektaru..., tak, wtedy właśnie pomyślał o pszczołach, nie wiedzieć czemu, jakby na przekór prawdzie chwili.

Kiedy spędzono ich wszystkich w przerażoną, dygocącą, gromadkę, matka Katarzyny nie mogła już dotrzymać kroku innym... Jakiś młody Rosjanin doskoczył, trzepnął starowinę w twarz, podganiał kopniakami. Cos się w Kamieju zarwało, nie bacząc na nic, doskoczył do młodzika, zamachnął się pięścią, która wylądowała na jędrnej gębie. Potem, już nie bardzo uświadamiał sobie kolejność wszystkiego. Ktos do niego chciał strzelac, ktos inny podbił tamtemu broń, aż kule zaświergotały, pnąc się ku jasnemu, jak rzadko niebu... Ktoś ręce mu wiązał, jeszcze inny osobno spędzał rodzinę Kamiejów, przed własny ich dom, przed nowe wrota wiodące na podwórze. Naradzali się Własowcy, zwoływali swoich, śmiali się radzi z pomysłów.

Gdzieś za nimi sypały się strzały, dziesiątkami góneli ludzie, dalszy dom zajął się ogniem. Ale wszystko to jawiło się, przed Kamiejem, jakby zasnuła jakąś przesłoną. Siła, rozwierając jemu usta i Katarzynie, pakują w nie jakieś cuchnące szmaty, e omal że się nie dusza, rozpaczliwie wysysają i wsysają powietrze, nosami. Pierwsi zginęli starzy, matka i ojciec Katarzyny.....

Cni stali i musieli na to patrzeć. Próżno się wił, szarpał więzy na rękach, nieotudzony ciosem kolby przez plecy. Pilnował ich ten młody i ładny, którego trzasnął pięścią po gębie. To chyba jego był pomysł z tą zabawą? Jego pomsta za uderzenie, które sińcem znaczyło się teraz w około oka. Bokiem odwracał się od jarzącego słońca. Potem poszły dzieciaki. Marysia rączki składała, wielkie, wie lkie były JEJ oczka. A chłopak, naprawdę się nie bał. Stał chmurny z zagryzionymi ustami, patrzył im prosto w gęby.

Starzy zmarli odrazu, dzieci musiały umierać powoli, jakby na raty... to było najokropniejsze,, ten młody stał przy Komiejach i tylko wciąż się cieniutko uśmiechał.....

W dalszej części tej tej smutnej opowieści..., kobiecie, ponieważ zerwała knebel i krzyczała nieludzkim głosem, obcęgami obcięto język. A operacji dokonał młody Własowiec - ROJANIN. ⁵ Mój osobisty dopisek; W czasie drugiej wojny światowej, miliony żołnierzy, kryminaliści, z tysięcy Obozów, byli werbowani do Karnych Kompanii i jakoby ich werbował sam Rokossowski, który et odmykając cele wielu więzień, propagował "Kozackie życie na froncie, obiecując ; "GRUDŹ W KRESTACH ILI GOYCWA W KUSTACH"...

Później jak się dochrapał stopnia Marszałka, często wspominał "SZTRAFNYJE ROTY", które nie mało przyniosły wspianych zwycięstw i wiele efektów w zdobywaniu wręcz niemożliwych pozycji, Właśnie to CNI, straszni w czynach a straszniejsi w słownictwie i zamiast tradycyjnego "URA" gnali ze słowami " JOBANY W ROT "(słowa nie nadają się do przetłumaczenia) W swoich Karnych Kompaniach i Karnych Batalionach (oficerskie) zdobywali w kilkuset twierdze, które całą dywizją, wzięść nie mogli.....Ale CI sami bohaterowie po za linią frontu, wsławili właśnie ROSJE, swoim okrucieństwem, grabieżami, gwałtami i bardzo częstymi morderstwami.....

A cóż dobrego można było powiedzieć o tych rosjanach, co byli naszymi ANIOŹAMI - STRÓŻAMI na tych wieżach i na szlakach do pracy ? Dlaczego i do nas strzelano jak do kaczek ? Do ludzi bezbronnych....., widzących w nas samych KAMEJOW. ? Dlaczego ?

Jeszcze Abids i nadal nie zatarte wspomnienia z pobytu w Obozie, chociaż nie tak groźnym jak na Pieczorze, jednak można jeszcze dużo opisywać o niedobrych ludziach i o całym SYSTEMIE.

Zaraz po wyjeździe porucznika Stundzisa, jego miejsce zajął były księgowy, któremu nakazano organizować, jak by sztab do prowadzenia całej gospodarki, ewidencji i sekcji żywnościowej dla nowo utworzonego transportu, przeznaczonego dla nowej budowy pod kryptonimem "501 STRCJKA". Właśnie od nas iz dalekiej Pieczory eg organizowano ludzi, przede wszystkim zdrowych i silnych. Pomimo że sama organizacja chciała dobrać na tę budowę najlepszych fachowców, ludzi na których można było polegać,? Tak jednak nie wyszło..., gdyż każdy Komendant z poszczególnego Obozu, starał przede wszystkim wypchnąć ze swojego IAGRU jak najgorszych co później okazało się że na tą nową budowę przybyli sami kryminaliści, bandziory z pod najciemniejszej gwiazdy,..... Co w konsekwencji, był to najlepszy kontygent do zrobienia RE-WOLTY ale może o samym powstaniu napisze nieco później.

Jesienią 1947 roku wyjechałem z Abissu wraz z całą kolumną więźniów, dalej na północ pod samą WORKUTE. Nasz transport był rozmieszczony w 40 dużych wagonach, naturalnie że w towarowych, Prawdopodobnie byliśmy pierwszym transportem podążającym na tą nową budowę. Byłem w tej grupie więźniów którzy mieli przepustki i mogli poruszać się tylko wzdłuż pociągu w obawie że można pozostać w karłowatej tundrze. Naszym zadaniem było, podczas postojów pociągu, w okolicznych stacjach czy Obozach, pobierać żywność, a raz na dobę dostarczać gorący posiłek. Mielśmy do tego odpowiednie atestaty, wszelkie upoważnienia i skierowania, Dowódca całego transportu był naznaczony kapitan SKOCZKOW, późniejszy mój zwierzchnik, ~~Komendant~~ Komendant Obozu w którym przyjdzie mi się mieszkać. Narazie dojechalśmy do Stacji INTA, z której w dalszą drogę, pojedziemy ciężarówkami, a ponieważ my jako pierwsi musimy przebiec się przez góry URAL i przejść czy przejechać jak się uda aż pod samą LABATNANGE, gdzieś okolo tysiąca kilometrów a może i więcej? Kto wie?

Kiedyś będąc jeszcze na PIECZCZCZE straszono więźniów tą nową STRCJKA, choć przyznam się wcale nie nadarmo... Bo to, co ujrzelśmy przed sobą okazało się bardziej straszonym, przed nami pietrzyły się strome góry, całymi dniami silne wiatry utrudniały prace przy przekopie drogi, po której transport mógł jako tako przejechać i przejść, znajdowaliśmy na lichej i wąskiej drodze

dobrze nie przetarte drogi, którymi przeganiano ogromne stada reniferów, nawet po tej drodze znajdowano szkielety ludzkie i zwierzęce. Za nim weszliśmy w same góry zaczęła się "nastojaszcza zima", która swoimi chłodnymi wiatrami najbardziej dokuczała.... Ubrani byliśmy już o wiele lepiej, nawet wielu więźniów posiadało kozuski i ciepłe obuwie. Karmimy siebie dosyć dobrze jak narazie chleba i sucharów nam to nie brakuje... gorzej z przygotowaniem gorącej strawy, ponieważ stale jesteśmy w ruchu, nawet biwaki na nocleg, zmieniają swoje miejsce postoju. Roboty przy przekopach postępują powoli ale z każdym dniem posuwamy się do przodu.

Wydzielone brygady topograficzne już dawno wyruszyły przez góry dla wyznaczenia miejsc dla poszczególnych Kolonii i wytypowanie samej trasy po której będzie biegła nitka nowej kolei, od INTY do do samego Salichardu nad rzeka CB, przy ujściu do morza.

Prawie każdego dnia mijają nasze pierwsze zgrupowanie, następne grupy więźniów ze sprzętem ciężkim, już nie raz ominęły nas czołgi, tylko zamiast luf od dział, zobaczyliśmy dobudowane skrzynie na balast, sądzimy, że mając teraz taki sprzęt i materiały wybuchowe, napewno nie będą straszne ani góry ani też tereny bagniste dalej poza górami. Niby to straż więzienna nadal pałęta się między brygadami, ale rozluźnienie w dyscyplinie wielkie, chociaż każdy więzień wie dobrze że musi jak najszybciej forsować góry by prędzej znaleźć się w swoich Cbozach, by do zimy z mrozami mieć już dach nad głową,,,,,

Kryminaliści są z nami, ale każdego dnia widzimy jak się organizują w bandy, jak rozmawiają tylko grypserią i jak często napadają na innych spokojnych więźniów, zaczynają odbywać się bójki i kradzieże. Naszych wspólnych składów pilnują już żołnierze, boimy się że mogą rozkraść nam naszą żywność i możemy pozostać огоłoceni aż do następnej dostawy, aż do wiosny.

Z mojej brygady z "SZAJMANU" nie wielu żołnierzyków AK widze w niektórych brygadach..., jak mogę, staram się im pomagać, jak to się mówi, pocieszać, dodawać ducha, jak również skupiać ICH znowu do jednej sekcji, tak żeby znajdowali się pod ręką.

Jeszcze w grudniu 1947 r. całe nasze zgrupowanie z Abissu, dostało przykaz wyruszenia w dalszą drogę na wyznaczone miejsce. Na podstawione ciężarówki załadowaliśmy ludzi i cały majdan i wraz ze swoją Kópanią Ochrony wyruszyliśmy już po przetartej drodze do Łabadłagi (po tylu latach nie jestem pewien, czy dokładnie napisałem nazwę tej miejscowości?) Na 240 kilometrów, nie dojeżdżając do Salichardu, wyładowano; gdzie z marszy zaczęto rozbijać namioty...

Wnoszę poprawkę do nazwy tej Komiackiej Csady, jest to Zobotnanga gdzie narazie zamieszkują sami tubylcy w swoich, jakby rzeźbionych w kryształach, domkach (poprostu z lodu)

Zaczęliśmy wszystkie roboty od zaraz, stawiać namioty, organizować gospodarstwo i już wyznaczać brygady do pracy do kopania, do sypania nasypów, do ładowania i zwózki ziemi, wszędzie była ziemia i tylko ziemia, wytężona praca i pot ludzki... Na naszym odcinku, budowaliśmy, gdzie były potrzebne, nasypy ziemne pod torowiska, lub przekopy na wzniesieniach terenu, niekiedy i łopatami nie można było przebić wieczystej zmarzłej ziemi, wtedy brano łomy, albo oskardy, a wszystko odbywało się w warunkach księżycowych...

Z początku prace poszły w kierunku rzeki Azjatyckiej OB, do której doprowadzono linie kolejową, a już od marca zrobiliśmy wtył zwrot i powtórnie mieliśmy azymut na góry URAL, chociaż o tym jeszcze napiszę po porządku.

Swją Kolonie sami ustawiliśmy, najpierw wielkie namioty, w których sami będziemy mieszkali..., akurat budowaliśmy namioty przy ogromnym huraganie, setka więźniów nie mogła utrzymać plant-deki w czasie wbijania kołków zabezpieczających, po wielu krzykach i perswazji, ledwie jeden namiot do wieczora został ustawiony i w tym namiocie na noc napchano kilka set więźniów. A już z rana byliśmy zasypani śniegiem na amen, cały Obóz razem z ochroną został pokryty metrowym śniegiem.

W pierwszych tygodniach, dopóki nie doprowadziliśmy kolonii do należytego porządku i nie pobudowaliśmy obiektów gospodarczych, żyliśmy jak prawdziwi niewolnicy w czasie caratu, jakoby tak za cara Piotra Pierwszego, budowano Pietrograd na bagnach i po trupach...

Wtedy, w tych czasach pionierskich, jakby wszystkie złe siły zostały sprzysiężone przeciwko człowiekowi, to znaczy, przeciwko nam. Cała przyroda była nastawiona, żeby zniszczyć nasze życie, strasznie dużo było śmiertelnych wypadków, zamrożeń i ranień obu kończyn.....

A już pod wiosnę na szkorbut zachorowało większość więźniów, w samym obozie jeszcze panował wielki chaos, brak porządku i dyscyplin więźniowie silniejsi znęcali się nad słabszymi..., szczególnie rej w katowaniu prowadzili kryminaliści, widząc rozluźnienie samej władzy i ochrony. Naczelnikiem naszej Kolonii został Kapitan SKOCZKOW, chodzący wiecznie pijany a na sprawy, jakie powstały w Obozie patrzył przez palce. Ludzi słabszych, nie zorganizowanych, mordowano za byle ubranie, sweter lub poprostu za kawalek razowca....

Nie wiem dlaczego ale władza na te herezje i nie tylko u nas, na naszej Kolonii ale i na pozostałych placówkach, zupełnie nie reagowała, poprostu przymykała oczy.

Pracowałem nadal w charakterze księgowego i jako buchalter chodziłem, między Kolonię i do sztabu Kierownictwa jako pół-wolny, mając przepustkę, musialem dwa razy w miesiącu zdawać sprawozdanie w Oddziale, który się znajdował 3 km. od naszej Kolonii, pamiętam dobrze, że już miał po wyżej uszu, tego bałaganu, tych bandziorów i całej mojej pracy, w której ostatnio nie dawałem sobie rady, jakos to wszystko spychałem do jutra..., aby fizycznie nie pracować i nie chodzić głodny jak inni..... Wiele mi już płacze się po głowie, czasami się gubię w nazwach... A czasem to mi się wcale nie chce wierzyć, że ja osobiście mogłem takie coś przeżyć? Jednak zze starych notatek widzę że ta cholerna 501-sza STROJKA była naprawdę...I naprawdę przeżyłem tamte straszne lata, przeniosłem te okrutne kajdany Stalinowskich Oprawców. Razu pewnego, jakby w marcu, też znalazłem się w opresji, i tylko pewnemu tubylcowi zawdzięczam że jeszcze żyje i teraz mogę opisywać tamte dzieje. Szedłem na raketach (szerokie i krótkie narty) na Kolonie 242 i kiedy zerwał się gwałtowny wichur, a w okolicy zapanowała ciemność, po przez ten zalepiający oczy śnieg pogubiłem ~~sobie~~ drogę....Prze dobre kilka godzin ~~chodząc~~=~~przechodząc~~ chodziłem jak błędny naokoło jednego wzgórza, strasznie się plątałem w tym puszystym śniegu i słabłem..., tak, że mnie już bardzo wycięzonego podebrał właśnie przechodzący dobrodziej i zaprowadził do najbliższej Kolonii, gdzie mnie naturalnie aresztowano.

Dopiero po rozmowie przez selektor (telefonów w owym czasie jeszcze nie było) z moim Naczelnikiem, Kapitanem Skoczковым, nazajutrz za dnia odwieziono do Kolonii 240, z samego numeru można wywnioskować że nas, na tej MORDOWNI było bardzo dużo..... I tak, nadszedł koniec marca 1948 roku, kiedy niespodziewanie wybuchło powstanie. Właściwie, to nie była żadna niespodzianka, bo po tym co się działo we wszystkich PODOBCZACH, po tym wielkim rozprężeniu można było już od dawna spodziewać się jakiegoś wyskoku kryminalnych band...

Powstanie zaczęło się na Kolonii 246 gdzie kryminaliści, nożami i siekierami wyrzneli całą załogę i do wieczora przechodząc po kolei jeszcze wymordowali kilka Kolonii i mając już broń pozabijali żołnierzy z jadącego transportu.... Napady, morderstwa, gwałty nie trwały zbyt długo...

Wkrótce byliśmy świadkami jak bohaterski desant NKWD spadał na spadochronach na nasze Obozy i place robót. Przez cały kwiecień 1948 roku, żołnierze i miejscowi obywatele, a szczególnie Partyjni robili wspólne obławy i wyłapywali jak szczurów z różnych zakamarków przestraszonych i okropnie pobitych uciekinierów.....

To była niecna sprawa samych kryminalistów i my polityczni nie chcieliśmy nic wspólnego mieć z bandziorami. Ale, pomimo że władza wiedziała, że to powstanie tylko złodzieje zrobili, jednak wkrótce i nas wszystkich "POLITYCZYCH" od razu zebrali w jeden transport i wywieźli, narazie w góry, do pewnego OBCZU dla "Niebezpiecznych" a dopiero latem przewieziono na Syberię.

Właściwie, jak ta słynna "STROJKA" zakończyła się, nie wiem i więcej o NIEJ nie słyszałem. Nas, jak już na wstępie mówiłem załadowano na samochody i wywieziono w góry. Otrzymaliśmy Kolonie, w których już były nowe baraki i nowy duży magazyn z owocami, przy którym częściowo znaleźliśmy dla siebie pracę, a cztery brygady robocze skierowano do układania torów na przygotowane już nasypy. Zamieszkaliśmy niedaleko "DOLINY ŚMIERCI", która dostała ten szyldzik jeszcze z przed dwudziestu laty i jak powiadali miejscowi; Kiedyś, kiedyś Komiacy przeganiali przez tą dolinę ogromne stado reniferów, było akurat jesienią, kiedy szaleją burze śnieżne, więc i to stado dopadła podobna wichura i w swej potęgze trwała zbyt długo, dużo więcej jak mogły wytrzymać zwierzęta i ludzie, którzy pomimo że się okopali w śniegu i poprzytulali się do reniferów....., jednak ją zamieć zmogła ICH...zmiotła z tego życia jak pastuchów tak i całe stado reniferów. Po nich właśnie widzieliśmy bielejące kości, a tą przełęcz nazwano "DOLINĄ ŚMIERCI".

z daleka, widok niesamowity, jak na poboju pod Stalingradem.

Przebywając na tej Budowie, i to w wielu Obozach, w trakcie różnych przeprowadzek i po przyjeździe do tego Obozu w górach, często widziałem dzikich zwierząt i dzikich ludzi..,ale z takim wandalizmem, z okrutnym ludożerstwem spotkałem się po raz pierwszy; A było to tak, pewna grupa, również kryminalistów (8-miu straceńców) zaplanowała sobie, nie zadługo po powstaniu więźniów, ucieczkę przez przełęcz górskie w kierunku rzeki OB.

Właśnie ta grupa złodziei zabrała ze sobą oprócz ostrych narzędzi, jeszcze jednego młodego towarzysza, jako...:"SPIŻARKE", taki zapasik na wypadek głodu... A gdy po 15-tu dniach w obławie złapano ich, (pieciu zastrzelono w tundrze) to już ten młody nie żył...był zjedzony przez towarzyszy....

A. to wszystko działo się w połowie XX wieku, w roku pańskim 1948 w głębi Związku Radzieckiego.

Nie daleko Workuty, na niedużej węzłowej Stacji INTA. załadowano nas, więźniów politycznych, do dużych wagonów towarowych (z napisem na wagonie "chleb") by przewieść niewolników z jednej "budowy sowieckiej" do drugiej podobnej na Syberii.....

Droga, wybędzniałych niewolników ciągnęła się przez długie dwa miesiące, a jechaliśmy znów przez znajome miejscowości, z tysiącami smukłych wieżyczek..., przez ABISS, PIECZORE, KOTŁAS, KIRÓW, SWIERDŁOWSK, CMSK, NOWOSYBIRSK, KRASNOJARSK, TAJSZET, BRACK.

Cóż za wspaniała wiązanka miast, wokół których niezliczone Kolonie Osadników pod karabinkiem....

Już na setnym kilometrze, nie dojeżdżając Bracka, wyładowano nas, nad rzeką UDA, wpadającą do rzeki CZUNY. Obóz na 124 km, był pusty, po jeńcach japońskich, więc szybko zapelniliśmy go i z marszu brygadami pognano nas na robotę przy wyrębie TAJGI.....

Może jeszcze kilka słów z samej podróży, jest do podkreślenia fakt, jak to nasza "ochronka" zupełnie nie certoliła się z więźniami, jak trzymano katorżników na suchej dietce, jak strzelano do "rak" które z wielkiego pragnienia chwyciły małe krople z dachu pociągu i jak to bez pardonowo i nie poludzku wyrzucano na pomniejszych stacyjkach kolei państwowych, sztywnych więźniów, którym akurat zachciało się do BOZI....., a nie odrabiając swoje wielkie wyroki.

Już z powyższego można wywnioskować że człowiek dla NKWD to tylko nr. a szczególnie, kiedy był więźniem.

Jesteśmy jakby na miejscu, drugiej naszej "PIECIOLATKI" Tu już mamy te słynną, od pokolenia carskich katorg, straszna SYBERIE... Po tamtych nieszczęściach pozostały tylko prochy, a nam pozwolono zająć ich miejsca na barłogu i przy sosnach z siekierą w rękach...

W tym Cbozie, gdzie Komendantem był major PACHOMOW (frontowik) z racji znania "biegle" rosyjski, otrzymałem funkcję brygadzysty, z warunkiem że sam dobiore ludzi do swojej brygady. Przedewszystkim odnalazłem swoich - Polaków a w dalszej kolejności przyjmowałem Litwinów, Łtyszy i kilku Uzbeków, żeby nie posadzono że dobieram samych rodaków. I tak po jakimś czasie nzwano naszą brygadę "LITWINAMI".

Co do Polaków, po Fieczorskiej gimnastyce pozostało już nie wielu z mojej byłej brygady, kilku zmarło z wycieńczenia, będąc gdzieś tam pod WORKUTĄ, kilku pozostało w lazaretach, po kilkunastu towarzyszach ślad zaginął... tu na 124 km. odnalazłem tylko trzech i to z Batalionu Ragnera. Natomiast, przyszło do mojej brygady, siedmiu chłopów w starszym wieku z Wilenszczyzny, polubiłem ich też. Naszą brygadę, jak i siedem podobnych, skierowano do wyrębu tajgi, do pracy wychodziliśmy przed siódmą, trzy kilometryw do promu, a po przejeździe rzeki UDA, jeszcze kilka km. szliśmy w jej puszcze, gdzie zostały wydzielone tereny dla poszczególnych brygad. Normy w pracy były wielkie, a dzień roboczy nieskończenie długi, a przeważnie zależało od naszego władcy, od Naczelnika Konwoju, od jego osobistych kaprysów, a przeważnie piłowano las aż do zmroku....

Jeszcze za kadencji majora Pachomowa, będąc prawdziwym żołnierzem, ten Rosjanin, względnie dobrze obchodził się z więźniami. Nawet z większym poszanowaniem odnosili się do swojego Naczelnika, podwładni jak również wewnętrzna służba Cbozowa, w tym wielu więźniów. Ja też byłem częstym wzywaniem gościem pana Naczelnika, a przede wszystkim dlatego że umiałem rozmawiać po rosyjsku lepiej od innych i dla samej ciekawości, chciał głębiej poznać życie Polaków od których, będąc na wojnie, na terenach Polski, był nieraz przez Polaków i Polaki dobrze traktowany, z stąd widocznie ta gorąca sympatia do nas...Wiele razy opowiadał (a szczególnie gdy był mocno wstawiony) jakie miał CN i jego żołnierze do pretensje do Generała Żukowa, że po skończeniu wojny, jakie to miały być APANAŻE dla zwyciężczych żołnierzy, czego nie naobiecowali dla nich... Aż w końcu skończyło się na Batalionach do Ochrony Cbozów. Był mocno nie lubił swoich Zwierzchników, bo nie wiele dobrego o NICH opowiadał. Przez to pozostał w poszanowaniu najzwyklejszych śmiertelników.

A kiedy przysłano innego o stokroć gorszego, wtedy o mało nie płakaliśmy po dobrym Majorze PACHOMOWIE....(właśnie podczas urzędowania drugiego, zaczęły się represje i katowanie więźniów..... (choć o tych strasznych sprawkach, może napiszę trochę później)

Jest zima roku 1949/50, już podano nam stały adres zamieszkania i po raz pierwszy oficjalnie pozwolono nam pisać listy do swoich rodzin. Mój adres wtedy brzmiał; Henryk Jencyk, CZIORNY ŻAGIER 124 Tajszet, Irkuckoj Obłasti.

Niby to i przed tym, też mieliśmy pozwolone prowadzenie korespondencji, ale cóż z tego kiedy nasze listy dalej nie szły jak strażniczej bramy, tam te listy były poddawane "obróbki" i więźniom z terenów zagarniętych pozwalano raz w miesiącu napisać i jeden raz w miesiącu otrzymać list lub przesyłkę, natomiast dalej, do innych krajów cenzura była bezwzględna, przeważnie, jak powiadał pan major Pachomow, listy "niepewnych" szły do kosza....

A ja, naiwniak, przez tyle lat żyłem nadzieją, że dostanę odpowiedź; czy to z Czerwonego Krzyża, czy też od znajomych, bo od swoich nie spodziewałem się ponieważ jeszcze znajdując się w Wileńskim więzieniu, powiadomiono mnie że matka i siostry mają być repatriowane do Polski...? Ponieważ wszyscy pisali, więc i ja pisałem, tracąc czas i drogi papier.

Mając na uwadze, przyszłe Budowy wielkie, jak Hydro-elektrownia Bracka i Gigant Celulozowy ~~ek~~ do wykarczowania wiele setek km. tajgi pod te nowe "Strojki" potrzeba było znowu tysiące ROBOLI...., a z ką ICH brać, ? Dopiero wojnę zakończono, która pochłoneła miliony Rosjan i Sybiraków, a z ką brać "ROBOZY KZAS" jak nie z zaprzyjaźnionych krajów ? Już od 1948 zaczęły spływać transporty z więźniami; Polakami, Niemcami i Małdowanami z Rumunii. Prawie każdego dnia, około naszego 124 przelatywały pociągi naładowane ludźmi z Zachodu... Do nas również przywieźli 2 transporty z Berlina, to już było na jesieni 1949 roku, Niemiecka Republika Demokratyczna też oddała swoich małych faszystów, w tym wiele Profesorów i lekarzy... (jakim diabelskim prawem, albo jakim bezprawiem, Polskie Władze w Warszawie, a NRD-owskie w Berlinie, wydały na pastwę MCSKALOM, swoich obywateli ? Przecież według Prawa Międzynarodowego, każdy Rząd u siebie nakazuje i edukuje, a nie sprzedaje swoich ob. do niewoli....

W tych transportach przybyło do naszego CBOZU około tys. Niemców, w zupełności nie roboczych, przeważnie byli to pracownicy naukowcy, wysłannicy lekarze i wiele urzędników ze służb policyjnych, byli wśród nich nawet przestępcy wojenni (którzy też powinni podlegać pod Trybunał Międzynarodowy, a nie prosty układzik, fifty-fifty ze Stalinem. ? Według mózgowania tamtejszych komunistów, my wszyscy byliśmy ANTY i jako wrogowie CZERWONYCH winniśmy ponieść zasłużoną karę..., a kara ma się rozumieć musi być tylko ciężka. Więc i wymyślono piekielne roboty w najokropniejszych warunkach.....

Dzisiaj, po tylu latach, gdy wspominam swój pobyt w CBOZACH, nieraz zastanawiam się, dlaczego większość Polaków, znajdując się w okropnych sytuacjach, też mogła iść jakby "na rękę komunistom" i tak, jak pan Franciszek Bujnowski, były partyzant AK poszedł im na lep i przeżył te wszystkie okropności.....

Może sam artykuł, tego pana z Białogardu, lepiej naświetli nam; jak to rosjanie byli bezpardonowi w likwidowaniu Polskich oficerów i żołnierzy. Te zapiski również włączyłem do swojej książki panie R Franciszku, a szczególnie podkreśliłem słowa Kapitana (pracownika sowieckiego w CBOZIE jenieckim w CSTASZKOWIE)..; że "na polecenie Stalina wszyscy uznani za piłsudczyków mają być rozstrzelani"... Zbierając materiały do ks." KCZIELSK-KATYN 1939-1940 rok. każda wzmianka o eksterminacji naszej Armii jest na wagę złota i pański felieton przekazany przez redaktora Lesława Buzisza będzie dodatkowym gwoździem do trumny naszych katów. A oto i sam artykuł mego kolegi;

Świadek Tamtych Czasów.

=====

Wykłada na stół, w swoim Białogardzkim mieszkaniu, dokumenty, z których wynika, że ON, Franciszek Bujnowski, pseudo "JASTRZĄB" z Okregu AK WILNO, zarządzeniem Londyńskiego Szefa Sztabu Głównego, Ministerstwa Obrony Narodowej został odznaczony po raz pierwszy i drugi Medalem Wojska Polskiego, a za żołnierski wysiłek, na rzecz Polski Podziemnej 1939-45 uhonorowany Krzyżem Armii Krajowej. Pokazuje też Medal za udział w Wojnie Obronnej jak również Krzyż Partyzancki.

Wojna zastała go na pograniczu Prus Wschodnich. Razem z Pułkiem Piechoty przybył z Trok, jako rezerwista KOP.

Po rozbiciu przez Niemców polskiej obrony, wycofywali się na Węgry, tu został ranny jego kolega, tak jak i ON zwiadowca. Próbując wynieść kolegę z pola ostrzału, zobaczył z tyłu niemiecką czołg. Był tuż za nim... Nagły wybuch przysypał go ziemią.., po jakimś czasie skonstatował, że jeszcze żyje, odszukał rannego i na koniu dopędził swoich. W Brześciu, w szpitalu pozostawił rannego współtowarzysza, sam w tym tumultie, cofającego się wojska i uciekinierów, kierował się na Kowel. Za miastem zatrzymały ICH radzieckie czołgi. Przyjaciele; "dajcie prikuryć", zaproponował jakiś umurusany radziecki czołgista, wyjąłem paczkę papierosów-wspomina rozmówca, i poczęstowałem niespodziewanych gości. Ten który pierwszy poprosił o papierosa, powiedział, żebyśmy się wrócili do Kowla, skąd po złożeniu broni, będziemy

mogli udać się do domu. Na rynku w Kowlu pełno było polskiego wojska, zdającego broń. Zabierano IM konie, prowadzono wrywkowe rewizje. Franciszek zachował pistolet i dwie paczki naboju. Zauważył to stojący obok cywil z karabinem i z czerwoną opaską na rękawie i natychmiast powiadomił oficera, zapytaniem, czy rozstrzelać? Nie trzeba odpowiedział wojskowy.

Zadowano ICH pod strażą, po kilkudziesięciu do wagonu na Stacji w Kowlu i wieziono w nieznaną...

Pociąg zatrzymał się po raz pierwszy, po kilku dniach podróży, w Smoleńsku. Pozwolono im na torach załatwić fizjologiczne potrzeby, dostali po trzy batony chleba na jeden wagon.

Kresem podróży był OSTASZKÓW, leżący nad jeziorem SELINGER. Z wagonów wyładowali się do barek, którymi dopłynęli do wyspy CHACZIN. Wyspa była strzeżona w dzień i w nocy. Znajdowała się tu cerkiew, przycerkiewne zabudowania gospodarcze, oraz sklecone z drzewa i dykty szałas, Franciszek otrzymał prycze na czwartym piętrze w szałasie.

W Obozie wprowadzony był system dziesiętny. Wyznaczono z posród więźniów-dziesiętników. Według takiego systemu odbywał się fasunek chleba i cukru. Głównym pożywieniem były zupy z ryb oraz ziołędzie. Zaraz po przybyciu do Obozu, rozpoczęły się przesłuchania. Budzili ICH w nocy i prowadzili do cerkwi na spowiedź... Pytali o przebieg służby wojskowej, udział w wojnie, o przekonaniach politycznych. Franciszek chcąc ocalić, zadeklarował się jako sympatyk Władzy Radzieckiej. Przydzielono GO, do grupy zaopatrzenia Obozu w żywność. Codziennie rano przepływali barką do miasta OSTASZKÓW, pobierali chleb i cukier, dostarczali do Obozu i dzielili, wychodziło w pierwszych tygodniach po półtora bochenka na dziesięciu dziennie, później całe dwa chleby.

Porcje chleba były skromne, a zupa wodnista, ciągle więc byłem głodny, mówi Dujnowski. Pewnego razu wracam z miasta, przysiadłem się do kapitana barki, zwierając się, jak bardzo chce mi się jeść, ..., to ty nie wiesz co robić? Odłam po kawałku chleba z bochenków które wieziemy, zrób gwoździem dziurę w worku z cukrem i najedz się do syta..., i w ten sposób zaprzyjaźnił się z kapitanem....

W zimie zaczęli Polaków wywozić na roboty do lasu i co noc odjeżdżały wagony do nowych miejsc zakwaterowania. Daleko ICH wiozą? spytał Franciszek kapitana w czasie jednej podróży po chleb. Ten nie odpowiedział od razu, ale później tak się wyraził;

"Podpisałeś u politruka tajemnice pobytu, wiem że jesteś sympatykiem naszej Władzy, powiem CI więc, że na polecenie Stalina wszyscy uznani za piłsudczyków mają być rozstrzelani"

Informacja ta była dla Franciszka szokiem. Dowiedział się też że nie jest zaliczany do piłsudczyków i że nie za długo zostanie zwolniony do domu.

I rzeczywiście, w zimie Franciszka odstawiono do Witebska. Tu na stacji, wraz z grupą 30-40 osób zwolnionych z Cbozu, uczestniczył w poglądowej lekcji na temat; "Wyzysku przez kapitał proletariatu". Bedący z nimi politruk pokazał IM plakat narysowanego na nim z brzuchem, niby byczka, siedzącego na workach z pieniędzmi człowieka, obok niego przykute do taczki ludzkie szkielety.....Przepytani, prawidłowo wskazywali kapitaliste i proletariuszy. Czy tak wyglądało życie w Polsce za Piłsudskiego? brzmiało ostatnie pytanie egzaminów? Tak odpowiedzieli, chórem.

Wrócił do miejscowości Sorok-Tatary pod Wilnem, wrócił do swojej żony. Był świadkiem ucieczki Rosjan z miasta i wejście Niemców. Niedługo po tym, w lutym 1942 roku, za namową brata stryjecznej żony, wstąpił do ARMII KRAJOWEJ.

Nasz Oddział, mówi, liczył około pięciuset ludzi. Napadaliśmy na Niemców, zabierając im broń, pieniądze, żywność, odbijając zakładników. Pamięta ważniejsze akcje, jak; napad na posterunek Żandarmerii w NOWYCH TRÓKACH, rozbrojenie niemieckiego patrolu w PCGIRACH, wysadzenie w WOJCZUNACH bunkra, ochraniającego most kolejowy na trasie WILNO - LIDA, jak również minowanie torów kolejowych.

Wiosną 1943 roku, sołtys powiadomił GO, w WILNIE przedstawione zostaną dowody "bolszewickiej zbrodni w KATYNIU". Na ulicy Mickiewicza zgromadził się tłum ludzi, jeden z dwu przemawiających, w mundurze oficera polskiego, wyjaśnił zebranym; "ze w Katyniu odkopano masowe groby polskich wojskowych" znaleziono przy nich dokumenty, listy i inne pamiątki, eksponowane były w ulicznej gablocie. Wśród nich Franciszek zobaczył legitymacje SADOWSKIEGO, zawodowego oficera z Pułku Kawalerii w Wilnie, znajomego z okresu służby wojskowej w latach 1932-33.

Opowiada dalej o wyzwoleniu WILNA przez ARMIEJ KRAJOWĄ i Armieję Radziecką, o wielkiej radości mieszkańców i wojska Podziemnej Polski, a zarazem o niepewnościach jutra...?

Chcieli być Niemców razem z żołnierzami Armii Radzieckiej, wyzwalać swój Kraj. Niestety, po wyzwoleniu WILNA stosunki między Oddziałami AK a Rosjanami zaczęły się pogarszać.

Otoczeni przez Oddziały Radzieckie, na zgrupowaniu w Miednikach, musieli złożyć broń... (o drobinę wcześniej panie Franciszku) Okres bezpośrednio po wyzwoleniu zapisał się w pamięci Franciszka Bujnowskiego jako czas Stalinowskich represji. Aresztowano GO w wigilię Bożego Narodzenia 1944 roku, starając się ustalić, czy był w "białych bandach" ?

Podczas jednego z przesłuchań, wydano na NIEGO wyrok śmierci... Prowadzono na miejsce rozważki..., zawrócono i..... puszczono do domu. ? (a co wówczas przeżył....?)

Po paru miesiącach, przyjechano po NIEGO samochodem NKWD, Ponownie szczegółowe śledztwo miało wykazać, że jest przeciwnikiem Władzy Radzieckiej, że w czasie wojny współpracował z Niemcami. Przepytany w tej sprawie, niezmiennie odpowiadał, że jest niewinny. Zdenerwowany Enkawudzista wypalił do NIEGO z pistoletu. Kula przeszła obok czoła, może rzeczywiście jesteś niewinny skoro CIĘ nie trafiłem..., usłyszał i znów był wolny.....

Odetchnął nieco dopiero po 1954 roku, w czasach Chruszczowa, z szeregowego kołchoznika w SOROKACH-TATARACH, awansował na Przewodniczącego Kołchozu. Właśnie wówczas zdejmowano w Kołchozach portrety Stalina, zburzono jego pomnik w WILNIE, zmieniono nazwy ulic. " roku 1956 na zaproszenie kuzyna przyjechał do Polski. I tu już pozostał. Pracował we młynie w Białoogardzie, skąd w 1975 przeszedł na rentę.

Pan Franciszek, mimo swoich 79 lat, żywo interesuje się zachodzącymi w Kraju i w Zw. Radzieckim przemianami. Cieszę się (mówi) że nasza partia a także KPZR w swoich uchwałach zapisały walkę z pozostałościami stalinizmu, za krzywdy wyrządzone niewinnym i ludziom będą naprawiane i że o swoich wojennych i powojennych losach mogą dziś mówić pełnym głosem. (z artykułu pana Lesława Eudzisa)

Od autora;

Czytając przygody pana Franciszka Bujnowskiego, całym sercem wchłaniałem jego historię wielkich przeżyć, Jego umiejętną walkę z żołnierzami NKWD..., chociaż nie każdy mógł się zdobyć na najłżejsze przymierze z katami....

Ja DROGI panie Franku, nie znalazłem w sobie, tej odwagi, żeby pójść na kompromis. Szedłem drogą, bardziej ciernistą, razem z towarzyszami Armii Krajowej, do samego końca razem z nimi

jechałem po przez TUNDRE PÓŁNOCY, AZJE i SYBERIE,,,od naszego WILNA poczynając w roku 1944, gdzie po roku wsadzono nas do straszego pociągu i pod karabinem, przez długie-długie 10 lat wleczono mnie po całym piekle JOŚKI STALINA...

Swój bałagan życiowy, żołnierza AK opisałem w kilku książkach, chociaż temu zebrało się w głowie na kilkanaście tomów. Dziś zbieram materiał w temacie KATYNIA, ponieważ mój ojciec, przebywał w 1949 roku w Kozłelsku, (choć przeżył i walczył u Sikorskiego) z tą moją olbrzymią zainteresowaniem, martylogią Polaków u "naszych przyjaciół". Musimy w dalszym ciągu świadczyc/faktach, które na własnej skórze odczuliśmy, dopuki jeszcze żyjemy ~~trzeba~~ pisać, pisać i pisać panie Franciszku, by nasze pokolenia wiedziały, kim byli Rusacy w latach wielkiej pogardy w czasie ostatniej wojny dla Polaków, a nawet jeszcze długo po wojnie.....

I tym ponurym akcentem zakończę rozdział trzeci.

W następnym opisie "POLCOWANIE NA KACZKI", taką brzydką zabawę w Indian, jak to żołdacy NKWD zarabiali sobie na urlopy, strzelając do bezbronnych żołnierzy AK i nie tylko do żołnierzy..?.....

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Henryk Jencyk
Adersheim 1990 r.

© ARCHIWUM WSKOŃNIE

4

II | 1568 | I Konkurs

Fragment z książki pod tytułem;
"KARAWANY POLSKIE IDA PO WŁASNA ŚMIERĆ"

PRZEDMOWA; Deklaracja Państw Sprzymierzonych, podpisana w Moskwie 30 października 1943 roku, miała na celu;

a/ ukaranie członków niemieckich sił zbrojnych, odpowiedzialnych za popełnienie okrucieństw, masakry, egzekucji, zabijanie zakładników na okupowanym obszarze; sądzonych i ukaranych na miejscu popełnionych zbrodni;

b/ ukaranie głównych zbrodniarzy wojennych przez wspólną decyzję rządów alianckich.

Karta Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze wyrażała istniejące przepisy prawa narodów, potępiające wojnę następną jako akt nielegalny i zbrodniczy.

Główny artykuł 6 Karty dokładnie określał przestępstwa przeciwko pokojowi, przestępstwa wojenne i przestępstwa przeciwko ludzkości. W przestępstwach przeciwko ludzkości wymieniał; mord, eksterminacje, niewolnictwo i inne nieludzkie czyny, dokonane przeciwko ludności cywilnej przed i w czasie wojny, prześladowanie z powodu rasy, politycznych i religijnych przekonań.

Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych rezolucja nr.96/I stwierdziło, że ludobójstwo stanowi zaprzeczenie prawa do istnienia całych grup ludnościowych i jest zbrodnią w prawie narodów.

Uchwalona rezolucja nr.2609III o ludobójstwie i zaakceptowana jednomyślnie stała się podstawą Konwencji o Zapobieganiu i Karaniu Przestępstw Ludobójstwa, przedłożonej do ratyfikacji 9 grudnia 1948 r. Konwencja ta nabrała mocy obowiązującej z dniem 12 stycznia 1951 roku.

Artykuł I konwencji potwierdza stanowisko Zgromadzenia Ogólnego, iż ludobójstwo popełnione w czasie pokoju lub wojny, stanowi zbrodnię w obliczu prawa narodów. Artykuł drugi określa definicję ludobójstwa; którykolwiek z następujących czynów, dokonanych z zamiarem zniszczenia w całości lub części grup narodowościowych etnicznych, rasowych lub religijnych;

a/ zabójstwo członków grup, b/ spowodowanie poważnych obrażeń cielesnych lub psychicznych członków grup; c/ rozmyślne stwarzanie dla członków grup, warunków życia, obliczonych na spowodowanie ich całkowitego, lub częściowego zniszczenia fizycznego; d/ hamowanie przyrostu naturalnego grup; e/ przymusowe przekazanie dzieci członków grup innej grupie".

Artykuł IV podkreśla aspekt osobistej odpowiedzialności; osoby popełniające zbrodnie ludobójstwa, będą karane bez względu na to, czy są one władcami konstytucyjnymi, urzędnikami administracji państwowej, czy też osobami prywatnymi.

Sygnatarjusze konwencji przyjmują, że wszystkie zbrodnie o charakterze ludobójstwa, popełnione na ich terenie, nie są sprawą wewnętrzną jurysdykcji, lecz zagadnieniem prawa narodów. Każde państwo będące kontrahentem, ma prawo do żądania interwencji organów Narodów Zjednoczonych w wypadku zamierzonych lub dokonywanych aktów ludobójstwa.

Artykuł VII określa, że ludobójstwo nie jest uważane za akt przestępstwa politycznego, co wyklucza możliwość uchylania się od ekstradycji.

Kontrahenci zobowiązali się do wprowadzenia przepisów ustawodawczych wewnątrz państwa, niezbędnych do wykonywania postanowień konwencji, a także zobowiązali się do karania winnych ludobójstwa.

Reżym byłej PRL nie interesował się losem Polaków pozostałych w Związku Radzieckim, a żyjących uważał za obywateli sowieckich, dlatego można przypuszczać, że nadal moi rodacy znajdują się w warunkach urągających ludzkiemu bytowaniu....Dlaczego dzisiejszy Rząd Mazowieckiego, zdawało by się już nie komunistyczny, a bardziej ludzki, tak mało wyraża troski o swoich obywateli..?Dlaczego nie tworzy Komisji do Badań Zbrodni Komunistów w latach 1939 -1956 ? A może też czekają wspólnie z Moskwa na wymarcie ostatnich świadków, którzy jeszcze dychają i mogliby coś nie coś powiedzieć i co nie daj Panie Boże, mogliby popsuć zgniłe fundamenty Gorbaczowskiej pierestrojki....? Chociaż ta cała pierestrojka jest jakby parawanem, za którym , te świńskie mordy nadal czekają, aż się w świecie trochę przefermentuje, przeфарbuje(jak dziś w Rumunii) i znów do"Mainnych " dobiorą się jak za dobrych czasów,gdy hulało NKWD.

Za wzór,jak się walczy o Niepodległość i o swoich obywateli, podaje taki nie duży kraj,jak LITWĘ, która nie jest jeszcze we pełni neutralna a już domaga się swoich meższczyzn z Armii Sowieckiej...?

Na zakończenie swej przedmowy zwracam się z jednym pytaniem do pana redaktora; czy WY tam w POLSCE nadal wierzycie prezydentowi, byłemu wychowankowi Moskwy, koledze Honnekera, człowiekowi, który bez żadnych skrupułów wypowiedział wojnę. - własnemu narodowi w 1981 r. ? i to ma być ten Prezydent, co potrafi zarządzać od rosjan -zadośćuczynienia dla polaków,którzy byli prześladowani przez Jego kumpli ? Odpowiedzi naturalnie nie otrzymam, przynajmniej oficjalnie, ale jak powiadają nasi polonusy z Braunschweigu "Jaruzelski nie zasługuje nawet na najbardziej złośliwą uwagę".

POLOWANIE NA "KACZKI". Pomimo wynędzniałego ciała, po pięciu niewolniczych latach, byliśmy już jakby zahartowani i bardziej odporni na wszelkie szykany i bestialstwa naszej "OCHRONKI" i już nas nie straszyła "PURGA" ani też "miliardowe" muszka, która przy swej ilości i sile ukąszenia, konia waliła z nóg.....

Żyliśmy teraz w samym sercu tajgi Syberyjskiej, około sześciu tysięcy kilometrów od Moskwy, niedaleko wielkiego jeziora "BAJKAL", z tad też nasz adres "AZIERNY YAGIER". Zimy również podobne do tamtych polarnych, może bardziej suche i mniej kaśliwe (50 stopni poniżej, \ominus nie przekraczały ludzkiej wytrzymałości) Zimy, trwające nie dłużej pół roku i przeważnie słoneczne. Cpady śniegu też wielkie, chociaż bez porównania do tych szalejących śnieżnych burz z "PIECZORSKIEJ MAGISTRALI"... Już mieszkaliśmy w barakach z kłoców drzewnych, gdzie włosy nie przymarzały do ścian, i gdzie, same warunki bytowania jakby lepsze, bo mieliśmy już łaźnie sanitarjaty, kamery do suszenia odzieży, stołówkę przy kuchni, świetlicę a nawet nie dużą bibliotekę, naturalnie o profilu propagandy sowieckiej, z literaturą wybitnych geniuszy; jak Engelsa, Marksa, Lenina, Stalina...)

Cały "OBÓZ" składał się z 20 baraków i kilkanaście innych pomieszczeń gospodarczych, o sześciu wieżach strażniczych, dwóch bramach wjazdowych i kilku pomieszczeń strażniczych, a całość pięknie otoczona drutem kolczastym i dziesiątkami ogromnych reflektorami-ktorów, które jak białe cienie łażyły za więźniami po zakamarkach obozowych... Ten "OBÓZ" był jakby spuścizną po jeńcach "JAPONSKICH", którzy odchodząc w nieznane, pozostawili nam swój ogromny cmentarz, jaki w końcu maja 1949 roku musieliśmy porządkować, przed Komisją Międzynarodową, gdyż był zdewastowany...

Lato na Syberii jest bardzo ładne, powiedziałbym nawet, że czarujące, jak w mojej pierwszej noweli pod tytułem; "CZAR SYBERII"; ale nie radziłbym nikomu odwiedzać JA w czasie letnim, gdzie miliardy maleńkich "muszek", jak niesamowite obłoki opanowują, nie tylko przyrodę ale również człowieka, krowy, konie i psy... My, w tym czasie, chodziliśmy w nakomarnikach, takich workach z lekkiego płótna i z siatką na twarzy, a nie zawsze i ta siatka była zbawienna, bo musieliśmy dodatkowo twarz smarować smarem-dziekiem... i chodziliśmy strasząc się wzajemnie... ?

Przez kilkanaście godzin dziennie, te syberyjskie paskudztwa, jak ogromne ciemne chmury wisiały nad nami, wpijając się w nas, jak bzykając żądliły nieszczęśników, zadając nieraz niesamowite udreki, do bólu, do krwi, a bardzo często do opuchlizny całego ciała... Ludzie kochani. Ile tego świństwa było? Czasami jak szarańcza spadała na brygadę, jak zły obłok opatulał ludzi i wtedy człowiek już nie widział własnej ręki..., na nic machania różgą, na nic ucieczka do ogniska, to cholerstwo wszędzie więźniów dopadało... I właśnie w takich warunkach, źle ubrani, głodni, (nadal pozostawały normy pracy i normy wyżywienia) musieliśmy karczować tę straszną, i przez nas wszystkich przeklętą puszcę. Od samego rana z wielką desperacją piłowaliśmy ogromne sosny, jodły i modrzewie, a szczególnie te ostatnie okropnie drwalom dawały się we znaki, bo modrzew, było drzewem bardzo twardym i pod piłą zostawiał taki ciemny ślad, a nam się wówczas zdawało że to drzewko również krwawi i płacze jak my....

Piłowaliśmy i karczowaliśmy TAJGĘ przez 3 lata, przez "TYSIĄC DNI" walczyliśmy siekierami, by pokonywać wielkie normy, walczyliśmy ze straszną przyrodą, z klimatem, narażając się stale na JEJ kaprysy, a także "wojowaliśmy" z naszą, kochaną, "OCHRONKĄ", która każdego dnia, jak w pacierzu odnawiała przykazania swoich zwierzchników, żeby umilać życie codzienne niewolników, żeby na każdym kroku przypominać nam o jarzmie, jakie to, humanitarne państwo komunistów nałorzyło na swoich wrogów.

Napewno wszyscy więźniowie odczuwali trudności CBOZOWEGO ŻYCIA i napewno nie jeden z nas porównywał swoje z życiem "tamtych" z "OSWIECIMIĄ", chociaż nasze, napewno było twardsze bo umilane cięższą pracą, i nieludzkim klimatem.... I że w "OSWIECIMIU" łatwiej było o śmierć..., przecież w naszym "OZIOBNYM" nie było jeszcze (pomijaj Pani) "KAMER GAZOWYCH" i oficjalnie nikt jeszcze pod "SCIANKĘ" nie stawał, ale ~~katów~~ z obu "CBOZÓW" miliony Polaków porównywali do "PIEKŁA".

Lata niewoli, mimo naszej woli, wciągnęły nas w ten KIERAT katorżniczych robót, nie obejrzeliśmy się, jak powstał ogromny plac pod budowę fabryki CELULOZY, od razu organizując tartak dla powstającego Przemysłu drzewnego. ~~W~~ Od 1949 do 1952 zaczęły intensywnie nadchodzić transporty z zachodu, wielkie place budów potrzebowały świeżych niewolników... Chociaż prasa sowiecka w tym czasie podawała "NA NOWE STROIKI W SYBERII PODAJĄJA, KOMSOMOLCY Z MOSKWI I LENINGRADU" Właśnie na taki sam "APEL" pobudowano ; Gigantyczny Biełomor-Kanał,

Cgromne miasto Komsomolsk, Igarka, gdzie oprócz kilku-nastu wolnych inżynierów, majstrów i naturalnie ochronki z NKWD, zatrudnionych było kilkaset tysięcy niewolników.

W ten sam komsomolski sposób zaczęły napływać, jak rzeka wielkie eszafony więźniów z Berlina, z Warszawy, z Mołdawii i z Jugosławii....

Do naszego CEOZU na 124 km. od TAJSZETU (przed BRACKIEM) przywieźli również kilka transportów z Berlina Wschodniego, przeważnie Niemców, ludzi wziętych z domów i z więzień Berlińskich. Do mojej brygady też przydzielono dwóch starszych facetów (doktorzy nauk humanistycznych) i chyba przez złośliwość samych konwojentów, nie dano IM nakomarników, bo już pierwszego dnia po wyjściu do pracy, zostali tak pokąsani przez "muszkę", że tego jeszcze wieczoru zaprowadzono tych panów do lazaretu...Były to dwie bryły mięsa, zamiast twarzy, a także wielki ubaw i radość dla konwojentów, bo zobaczyli swoich wrogów pokieraszowanych przez malutką muszkę....

Pamiętam dokładnie ten dzień, kiedy zaprowadziłem biedaków do ambulatorium, to w izbie przyjęć opatrunki robił ICH kolega z transportu Berlińskiego, który nie poznawszy zapytał; "WIE IST DEINE NAMEN"?.....

Wtedy przybyło do naszego sanatorium kilka tysięcy Niemców, przeważnie, ludzi nauki, wiele profesorów, lekarzy, wyższych urzędników, a nawet złodziei i policajów. Do dziś nie mogę sobie uzmysłowić, czy ci ludzie naprawdę nadawali się do ciężkiej pracy w TAJDZE. ? Sądzę, że prędzej był to materiał do zagłady, ale dlaczego wieziono tych Niemców aż 6 tysięcy kilometrów w głąb Syberii ???

Jako brygadzysta, więzień starej daty, byłem, trochę lepiej traktowany przez nadzór obozowy, bez przepustki mogłem w dzień pójść do Naczelnika, czy zajrzeć do osady i pobliskiego kołchozu, co też często robiłem. Szczególnie po pracy udawało mi się często zaglądać do okolicznych wiosek, w których oprócz zrujnowanych kołchozów i ludzkiej biedy nic dobrego nie widziałem...CKROPNOŚĆ.

Małe wioseczki, pamiętające jeszcze cara i zesłanych na katorgę Polaków (właśnie Irkuckaja Obłast była Syberyjskim Rejonem, gdzie Polacy z ostatnich powstań byli spędzeni) których niewielu potomków pozostało przy życiu, Takie nie wielkie osady, gdzie małe drewniane chatki, przycupnęły przy jednej szerokiej drodze, pełnej błota i połamanych drewnianych chodników, które jak i skrzywione sztachety przy lilipucich ogródkach dawały pełny obraz nędzy i rozpatrzy.....

w tych okolicznych wioskach, teraz przebywali wywiezieni z Rumunii, mordowani i kilka rodzin Bessarabow, byli zatrudnieni w Kołchozach i przy wyрубie lasów, gdzie zarabiali bardzo mało. Przeważnie widziało się kobiety i dzieciarnie, których również zatrudniano przy robotach polnych. Ci ludzie wegetowali nie mając dobrych warunków ani do dobrej pracy, ani do właściwej płacy. Dlatego tam śmierć miała większe plony jak Przewodniczący Kołchozu w swoim polu ?

To też miejscowy cmentarzyk wyglądał bardziej okazale, jak sama osada, która już wtedy chyliła się ku upadkowi tego "SYSTEMU".

Naczelnik CBCZU major PACHOMCOW ku naszej ogromnej rozpatrzy odchodzi a na jego miejsce przysłano p.pułkownika Kondraszowa, takiego zbira z pod ciemnej gwiazdy, z tych zbirów co mordowali naszych w Obozach Jenieckich lat 40-tych. Już w niedługim czasie, jego kadencji, zdesperowana czwórka więźniów, przeslizguje się pod drutami na drugą stronę obozu i ucieka w tajgę....., a dla zmylenia swoich śladów idzie brzegiem UDY aż do bagien, w kierunku wschodnim, a nie jak wskazuje logika na zachód do swoich...

Szaleńcy, poszli w burzliwą, śnieżną, noc, która już od kilku dni zrywała nam dachy nad głowami, kiedy leżeliśmy pokotem zmęczeni na swoich pryczach w barakach. Była wczesna jesień 1951 roku, kiedy Ci najodważniejsi przeslizgnęli się, pod drutami i poszli na niechybną, śmierć.....

A nas pozostałych w tym obozie, podniesiono ALARMEM i wszystkich jak kto spał w bieliźnie, boso lub w skarpetkach (o ile ktoś jeszcze posiadał) wygnali nas na "PLAC DEFTLADY" pod główną bramą, i kazano nam położyć się, twarzą, w śniegu śniegu....., rewizja po wszystkich barakach i sprawdzanie ewidencji trwało przeszło dwie godziny, co w zupełności wystarczało, by nikt już nie czuł swoich członków...? Znowu miałem trochę szczęścia, leżeć około pewnego sybiraka (rosjanina z OMSKA, dezertera z Czerwonej Armii) który mi poradził, żebym się schował głębiej w śnieg, gdzie naprawdę było o wiele cieplej i przytulniej. Akurat aleje nie były uprzątnięte po spadłym śniegu i takiej pierzynki wystarczało dla przebiegłych...

Skutki tego nieludzkiego potraktowania więźniów przez służbę nadzorczą, nie dały długo na siebie czekać..? Bo już nazajutrz, od samego rana ogromna rzesza skazanych "szturmowała" lazaret,,, gdzie też kilkaset pozostało z odmrożeniami kończyn a wielu i z zapaleniem płuc... Śmiertelnych przypadków było kilkanaście, a późniejszymi inwalidami pozostali..., w tej liczbie i ja też pozostałem uszkodzony, bo oprócz schorzeń serca, mam dotkliwy reumatyzm obu nóg..., do dziś muszę rozgrzewać stopy..., sypiając w skarpetach

nawet w letnie upalne dni... Mnie i innym zmyślnym "sybirakom" uratowało życie, właśnie to wkopanie się do śniegu...jeszcze pamiętam że leżąc w tej "pierzynce" odczuwałem jakiś błogi stan, że było nawet ciepło i chciało się bardzo spać.....

Cdnośnie uciekinierów, niestety, przywieziono po 10 dniach trzech zabitych (o czwartym niewolniku pozostała tajemnica) leżeli na saniach jak kłody drzewa zmarznięci i jacyś powyginani..... Na postrach dla pozostałych więźniów leżeli jeszcze długo pod główną bramą, CBOZU Karnego, jakby tym samym świadcząc o okrucieństwie Władzy Radzieckiej.

I ta właśnie ucieczka przed śmiercią, i do ŚMIERCI, była jakby zapowiedzią, strasznych dni, które czekały więźniów tego CBOZU.

Z każdym miesiącem za panowania tego "WATAŹKI" Kondraszowa, odczuwaliśmy nasilający się reżym, z dnia na dzień przybywało potrzebowanych niewolników, lazaret nie nadążał przyjmować pobitych i pokaleczonych, nad którymi znęcali się konwojenci, jak w pracy tak i podczas przemarszu z Cbozu i do Cbozu.

A już zimą 1952 roku zaczęły się na dobre represje. Żołdacy BERII radzi najzwyklejszej przepustki, potrafili podstrzelić więźnia, bez poniesienia żadnej odpowiedzialności...,cà i innych rozochocili do tego stopnia, że zaczęły się MORDERSTWA notoryczne, każdego poranka, konwój przyjmował więźniów do pracy według nowego regulaminu, już bardziej rygorystycznie podchodził do każdego z nas, rewidując osobiście i uprzedzając że za małejsze przewinienie w marszu i na miejscu w pracy będzie używał broni bez uprzedzenia. W czasie długich przemarszy, bywaliśmy bardzo często karani dyscyplinarnie, zaczęto wprowadzać rygor wojskowy, jak na mustrze, w lewo w prawo, padnij, powstań.... i nie patrząc na "PCGCDE" kazano nam ; kłaść się w każde błoto, w każde gówno, a po takiej gimnastyce, czy można było mówić o dobrej i wydajnej robocie ? Każdy z nas, zaczynając od brygadzysty kończąc na kuchciku, szukał jakiejś dziury, żeby się schować od brutalnego żołdaka..., wtedy ONI, TE bestie Stalina, wyłapywali któregoś z więźniów (nasze dane były wypisane na miniaturowej kartotece, które, każdy starszy konwojent miał u siebie)

I wtedy zaczynała się zabawa "INDIAN W POLOWANIE NA KACZKI" wzywano jakiegoś litwina lub polaka i wysyłano "nieszczęsnego" po suche drzewo do poprzedniego miejsca pracy, a gdy taki przekroczył "ZONE", linie ognia, strzelano ze wszystkich stron, właśnie jak do kaczki...., a który z morderców trafił, dostawał nagrodę, w postaci

przepustki, urlopu czy też awansu lub medalu, choć dla nas to, wyglądało na dobrą zabawę, czerwonoarmiejców, którzy z olbrzymią satysfakcją urządzali "wojenkę" z bezbronnym niewolnikiem, po zranieniu, czy zastrzeleniu więźnia, pozorowano ucieczkę, podrzucając siekiere, lub nóż..." pierwszym dniu po zabójstwie litwina z naszej brygady, zmówiłem paciorek prosząc BOGA, by zwrócił "STENA", bym mógł jeszcze przed swoją śmiercią, zabić kilku bolszewików..... A ponieważ moje modlitwy nie zostały zrealizowane, nasze stosunki z niebem, jakby do dziś wiszą, w przestrzeni...

Przez wielką dekadę, przez strasznych dziesięć dni, Obóz pod numerem 124 przeżywał masakrę bezbronych ludzi, nie wiem w podliczeniu ile faktycznie zginęło więźniów, gdyż pobitych zastrzeżonych nie oddawano do CBOZU, nawet ranni, albo byli dobijani albo wywożeni do innych szpitali...? Po podliczeniu w poszczególnych brygadach, ponad dwadzieścia więźniów z "OZIERNOGO ŁAGRU" zostało ofiarami NKWD.

W końcu tej czarnej dekady, mieszkańcy CBOZU-124 zbuntowali się i nie wyszli przed bramę do pracy. Uchwalono we wszystkich brygadach że zakładamy milczący protest i do pracy nie wyjdziemy, dopuki z Moskwy nie przyjedzie Komisja do zbadania tej zbrodni i dopuki nie zostaną ukarani oprawcy.

Widocznie te ponure zabójstwa, dotarły do Władz, szybciej od naszych sygnałów, bo już w następnym tygodniu mieliśmy w swoim Obozie wielką Komisję. Przyjechało z Moskwy kilkunastu w takich dużych papachach z czerwonymi obwódkami i zaczęły się komiczne scenki jak w cyrku; Śledztwo poszło w kilku kierunkach;

Jedna grupa z tej Komisji, łaziła po barakach; dopytując się więźniów o powody zaistniałego konfliktu wokół tych zdarzeń, dociekali, jak my żyjemy? czy jesteśmy nakarmieni? I czy Naczelnik i jego sztab prowadził z więźniami pogawędki polityczne? Czy organizowane były sekcje teatralne i muzyczne?

Druga grupa, urzędowała na wartowni, wzywając poszczególnych więźniów na "DOPROSY".. I tam pytania stawiano konkretnie, ustosunkowując się poważnie do potwornej zbrodni, jakiej dokonała "OCHRONKA" nad więźniami. Śledztwo trwało przez cały miesiąc, a za ten czas, gdzieś zniknął najważniejszy oprawca; p.pułkownik KONDRASZEW. Natomiast cały garnizon Ochrony został przeniesiony a na jego miejsce przybył nowy batalion NKWD. Generałowie w dużych papachach też wkrótce znikli ^{w ślad} za karatelnym batalionem, pozostawiając gorycz z niefortunnego procesu, (przecież wyżsi Kaci nie mogli karać mniejszych oprawców).....

Jakby cały CBCZ odetchnął pełną piersią, jakby nowe siły weszły w te chodzące "widma ludzkie"; nazajutrz, po wyjeździe "GENERAZOW" śmiało "wo wieś rost" (nie zgarbieni) wyszliśmy brygadami do swej harówki w tajdze....Pomimo ciężkiej i niewdzięcznej pracy, znowu musieliśmy karczować swój kalendarz...Dnie i miesiące przechodziły pod znakiem głodu, ~~peya~~ potu i przeogromnej tęsknoty za Krajem, za domem i za matką, która przez tyle lat, wyglądała za synem, nardaremnie przez 3650 dni oczekując na jakąś kolwiek wieść.???????

Nowa "CCHRCNA" nowe porządki, a że przyszli żołnierze z frontu (jak sami twierdzili) to i stosunek do więźniów był już zupełnie inny..., były przypadki że właśnie CI nowi żołnierze, podrzucali brygadam zabite psy (a jednego razu i Łosia oddano do zjedzenia) które naturalnie jako najsmaczniejszy przysmak zjadaliśmy w "try miga".

Ale, nie tylko konwojentom dostało się i Nadzorowi, bo też nie zadługo kilka brygad rozpałcelowano (a w tym i moja) i przewieziono do innych CBCZÓW. Ja ze swoją Wileńską brygadą, zostałem przeźucony do Obozu, znajdującego się dalej o 100 km. w głębi tajgi, Kolonia do której przywieziono nas wąskotorówką, znajdowała się w niewielkiej wiosce, wśród wielkiej puszczy z kąp już było daleko; jak do Boga, tak i do Naczalstwa....

Praca, do której już nazajutrz wymaszerowaliśmy, była jakby dalszym ciągiem tej harówki w "OZICRNYM". Było to w końcu lutego 1953 roku wspaniałych wydarzeń....(o których opisze z przyjemnością poniżej) "OBCZ"; jak tysiące innych sowieckich "mordowni"; baraki z niewielkimi okienkami i ziemianki obrosnięte mchem i lodem.....

Na robocie, przy wyrębie tajgi, przydzielono do naszej brygady, młodego rosjanina, który pochodził z rodziny "rozkułaczanej" i naturalnie wywieziony "W SYBIR", do tej wioski, gdzie znajdował się nasza Kolonia, z marszu, jak to się mówi; zaprzyjaźniłem się z dobrym człowiekiem, który bardzo dużo pomógł mi i moim ludziom z brygady, przynosząc po kryjomu to ziemniaki to znów chleb, który był wówczas skarbem....Często przy pracy rozmawialiśmy, nie zawsze o lesie i o wspólnej złej władzy...

Kiedyś, śniło mi się, że jestem w gabinecie u Naczelnika KOLONII i widzę, że portret Stalina wiszący na ścianie jest ozdobiony kirem, taka dekoracyjna czarna wstążeczka...? Nazajutrz, przy pracy opowiedziałem o swoim śnie dziesiątnikowi, temu sympatycznemu ruskowi, który razem ze mną cieszył się "głupim snem".

Ale gdzieś po tygodniu, wychodząc z brygadą, przed bramę, usłyszałem donośny głos naszego dziesiątnika, jak wołał przekrzy-

kując innych;"GIENKA"(tak mnie nazywał)"TWOJ SON IZBYZSIA".?..
co w Polskim języku brzmiało by mniej więcej tak; Henryku, Twój
sen sprawdził się. A już po przyjsciu do miejsca pracy,niezadługo
przylecieli z Kolonii i oznajmiono nam, że "JOSKA STALIN sam
poszedł do piekła".....

W naszym, a moim ostatnim CBOZIE, działy się niesamowite
rzeczy, cała Kolonia ze swoimi barakami i ziemiankami trzęsła się,
od wrzawy, od krzyków rozradowanej hałastry więziennej, którzy
sciskając się i całując wiwatowali na cześć "zdechłego potwora"
Z początku była obawa że "Ochronka" zacznie strzelać do wiwatują-
cych więźniów, jednak nie zdecydowali się na taki krok,bo pamię-
tali jeszcze Komisje z Moskwy, która rozgromiła podobną "Ochronkę".

Już nie zadługo dobrnął, szczęśliwie do końca tej całej,
"zafajdanej potańcówki ze śmiercią". Nie zbyt dużo, jednak za dob-
rą, pracę wyróżniono mnie i zwolniono przed terminem. Chociaż załat-
wianie wszelkich formalności przeciągnęły się dobrych kilka miesięcy.

Przedewszystkiem odtransportowano moją osobę pod strażą
do więzienia w KRASNOJARSKU, gdzie wpakowano mnie do wspólnej celi
z kryminalistami....Dosyć długo dobijałem się do samego Naczelnika,
zanim w końcu dowiedziałem się od niego że, będę znajdował się w
więzieniu tak długo, aż będzie gotowa droga, po której zostanę od-
transportowany dalej na PÓŁNOC.

Gdzieś po miesiącu dodatkowej odsiadki, wezwano mnie do
samego Naczelnika więzienie (w randze pułkownika) i ten dostojnik,
dopiero powiadomił łaskawie, że jestem zwolniony z odbycia kary;
"dziesięć lat CBOZÓW KARNYCH", ale zanim opuszczę więzienie, muszę
dodatkowo podpisać dokument, że nikomu i nigdzie nie będę rozgła-
szał, gdzie byłem i co widziałem... I na koniec, przedłożył mi do
podpisu, przygotowany już kwestenariusz na wyrażenie zgody na prze-
siedlenie, mnie Henryka Jencyka, do Północnego Rejonu Syberii,
znaczyło to, że od czasu ukończenia "AKADEMII NKWD", będę już w
charakterze Z E S Ł A Ń C A przebywał pod nadzorem MILICJI w Rejo-
nie SIEWIEROJENISIEJSKA aż do odwołania, co do pewnego stopnia
znaczyło; przedemną wieczysta katorga, aż do śmierci.....

I tak, jeszcze za żywa wlażłem do swojego karawanu..,nie
wiem, nie pamiętam...Ale napewno minę miałem bardzo głupia, i chyba
nie lepsze samopoczucie od umierającego gruźlika...Serce moje zatrzy-
mało się. A świat cały zawirował w oczach moich...ktoś mnie pocie-
szał,ktoś inny podawał w tym czasie jakies krople, wodę,.....coś
podpisywałem i przez kogoś byłem stale popychany.....

W końcu, na dobre przyszedłem do swoich zmysłów siedząc jeszcze kilka dni pod celą, gdzie zapoznałem się z polakiem niedawno przyjechawszy z Centralnej Polski, gdzie przesiadywał w więzieniu Mokotowskim, a w późniejszym czasie przekazany do dyspozycji NKWD. Nazwiska dokładnie nie pamiętam, coś w brzmieniu Kowala...? Był oficerem Wojska Polskiego (służył w Armii Berlinga) podejrzany o szpiegostwo. Śledztwo w Polsce było prowadzone pod nadzorem ŻYDA RÓZANSKIEGO, na którego sumieniu znajduje się tysiące polaków, więzionych i pomordowanych.

Ponieważ te makabryczne wspomnienia piszę w 1990 roku, nieodzowne jest przytoczenie pewnego artykułu pana Włodzimierza Pazniewskiego pod nieznaczącym tytułem;

RÓZANSKI W STAROBIELSKU =====

Na marginesie historii często trwa licytowanie się liczbami, bardzo chętnie powiada się, np..., że represje stalinowskie w Polsce nigdy nie osiągnęły rozmiarów, jakie przyjęły w ZSSR, czy choćby na Węgrzech, gdzie reżym Rakoszego posłał do więzienia 1,5 miliona ludzi, na 8 milionów mieszkańców.

Takie pocieszanie się liczbami jest właściwie bez sensowne. Represje w Polsce były potworne. Dość powiedzieć, że w okresie tym aresztowano 150 tysięcy niewinnych ludzi, wydano 2500 wyroków śmierci, z których prawie wszystkie zostały wykonane. Bierut, który tak chętnie fotografował się z dziećmi lub z sarenkami, nie miał zwyczaju korzystać z prawa łaski. Częściej to czynił wobec zwykłych przestępców niż wobec AKowców.

I jeszcze jeden szczegół; kiedy zbliżał się termin amnestii skazanym na śmierć żołnierzom podziemia, przyspieszano termin egzekucji, ponieważ amnestia zmieniłaby im wyroki na dożywocie..... Czym to świadczy? A no o tym, że; czy to się komuś podoba, czy nie, SYSTEM istniejący w PRL w pierwszych latach pięćdziesiątych miał charakter zorganizowanej zbrodni i tak zostanie zapisane do historii.

Sprawcami, byli ludzie Bolesława Bieruta, na różnych stanowiskach i różnych szczeblach.

Przegląd głównych wykonawców represji, zaczynamy od pułkownika ROZANSKIEGO, właściwie Józefa Golberga, Naczelnika Wydziału Sl. a następnie; Dyrektora Departamentu Śledczego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. W galerii przestępców stalinowskich, ROZANSKI zajmuje miejsce specjalne.

Urodzony w 1907 roku w Warszawie, pochodził z rodziny inteligenckiej, ojciec jego pracował jako dziennikarz w żydowskiej gazecie "Hajut", siostra Judyta zginęła w Warszawie w 1943. Podzony brat Różańskiego, Jerzy Borejsza, major Wojska Polskiego i Naczelnicy Redaktor "Rzeczypospolitej", zaliczał się do szarej ~~emfene~~ eminencji życia kulturalnego.

ROZANSKI ukończył w roku 1929 prawo na Uniwersytecie Warszawskim. W odróżnieniu od prymitywów, jakim był pułkownik Józef Dusza, przyszły Dyrektor Departamentu Śledczego, zdawał sobie, jako prawnik sprawę; że represje jakie stosują w śledztwie podległe mu w strukturze Bezpieki, naruszają prawo. Od 1936 roku ROZANSKI pracował w Warszawie jako adwokat.

Kariera ubecka ROZANSKIEGO zaczęła się po 17 września 1939 roku, kiedy znalazł się na wschodnich terenach Polski, odrazu w Rownem, potem w Kostopolu, gdzie ~~ppppetrzał~~ rozpoczął służbę w NKWD. W roku 1940 został przeniesiony do Lwowa. Pracował wówczas w Oddziale Politycznym NKWD, do spraw jeńców polaków z 1930 roku. WSPÓCZUDZIAŁ. C tym okresie życia ROZANSKIEGO wiemy niewiele..? Bardziej rzucała się w oczy rola, jaką odgrywał jego brat Jerzy Borejsza we Lwowie, zwłaszcza w pacyfikowaniu polskiego środowiska ludzi sztuki. ŚWIATŁO po swojej ucieczce na Zachód, określał Różańskiego w sposób jednoznaczny; " W chwili wkroczenia Armii Czerwonej, na Polskie ziemie wschodnie, znajdował się we Lwowie i tam sływał z donosicielstwa".

Sam fakt że pracował w specjalnym Oddziale Politycznym NKWD, do spraw jeńców polskich, daje wiele do myślenia...To ON przygotowywał listy osób do wywózki(do wywozek) dokonywał również selekcji tychże jeńców. Napewno zajmował się również oficerami polskim. Jak wiadomo, we Lwowie dostało się do niewoli rosyjskiej wielka grupa oficerów polskich. Cdnależli się w grobach KATYŃSKICH, a inni przepadli bez wieści...?

W życiorysie, jaki napisał RÓŻAŃSKI 7 września 1944 roku, kiedy rozpoczynał pracę w polskich Organach Bezpieczeństwa, znajduje się zdanie mówiące bardzo wiele; "Po rozpoczęciu działań wojennych w 1941 r. wyszedłem z NKWD ze Lwowa do Stanbrel'ska, (obóz jeńców) zdaje się, że w nazwie tej jest pomyłka. Nie było obozu jenieckiego o nazwie Stanbrel'sk. Natomiast wiadomo, że istniał obóz jeńców pol. w Starobielsku, niedaleko Charkowa, w którym przebywali oficerowie polscy. Co się z nimi stało? Nie wiadomo do dziś.

Nie ulega wątpliwości, że nie żyją, ponieważ nie powrócili do domu. Wszystko układa się w pewną logiczną całość. RÓŻAŃSKI specjalizował się w sprawach jeńców polskich, skierowano go więc jako funkcjonariusza do miejsca gdzie tacy jeńcy przebywali. Ale jak wiadomo wywózki oficerów polskich, z trzech obozów; KOZIELSKA, STAROBIELSKA, OSTASZKOWA zaczęły się w kwietniu 1940 roku a zakończyły się w maju 40 r....

Ten ślad STAROBIELSKI w przestępczym życiorysie RÓŻAŃSKIEGO daje wiele do myślenia..? Czy skierowano go do STAROBIELSKA, bo wcześniej zajmował się sprawami jeńców? Fakt pozostaje faktem, że właśnie w STAROBIELSKU przebywało wielu oficerów-jeńców ze Lwowa... Być może RÓŻAŃSKI, miał jakiś wpływ na ich dalsze losy, wiele nie jasności, a jeszcze więcej pytań???? SADYSTA, kiedy czyta się materiały o działalności RÓŻAŃSKIEGO w Polsce, a zwłaszcza materiały z procesu jaki JEMU wytoczono, każdego muszą uderzyć sadystyczne skłonności Dyrektora Departamentu Śled. który nie tylko wydawał polecenia, znęcał się nad aresztowanymi, podległym sobie oficerom, ale chętnie, własnoręcznie katował zatrzymanych.

O tym jak wyglądały przesłuchania w królestwie RÓŻAŃSKIEGO, w więzieniu Mokotowskim, najlepiej świadczą zeznania świadków; Halina Siedlik tak opisała dla Sądu swoje przeżycie; po upływie około ośmiu dni wszedł na przesłuchanie RÓŻAŃSKI, chciałam go o coś zapytać, a ON zwrócił się do Kierasa z następującymi słowami; "poruczniku, to ona nie wie, że ma milczeć, że niewolno jej odzywać się"...., powiedział do Kierasa że postępuję ze mną, zbyt łagodnie, podszedł do mnie i z całej siły uderzył w lewe ucho, a następnie powiedział że z tą k....tak należy rozmawiać i wyszedł z pokoju. Po wyjściu RÓŻAŃSKIEGO, Kieras natychmiast podszedł do mnie i zaczął mnie bić rękoma po ~~zw~~ twarzy, po głowie, krzy-

cząc; słyszałaś co mówił pułkownik, poczym zaczął mnie bić rękoma, linijką, nogą, od krzesła, pasem wojskowym.....
Od tego bicia miałam sińce na całym ciele, musiałam wykonywać setkę przysiadów w czasie jednego przesłuchania. Kieras, wkładał mi ołówki między palce rąk i ścisnął swoimi rękoma.. wyrzywał mi włosy z głowy, tak że byłam prawie łysa (.....)
Podczas przesłuchania Kieras wybił mi dwa zęby, a kiedy indziej znów kopnął mnie tak silnie w krocze, że dostałam krwotoku... w grudniu, w czasie przesłuchania, wszedł RÓŻAŃSKI z DUSZĄ, (nie swoją, gdyż jej nie miał), przyjrzał mi się i powiedział; jak ta k.... wyłysiała, chodźmy majorze, bo mam ochotę powyrwać jej resztki kłaków.....

Cpiący przesłuchania, przeprowadzonych przez RÓŻAŃSKIEGO i JEGC ludzi, są przerażające, nic dziwnego że zdarzały się samobójstwa podejrzanych, na przykład; wyskoczenie przez okno z pokoju przesłuchań. Naturalnie, takie wypadki skrzętnie tuszowano, co było prostym zabiegiem, ponieważ działalność tzw. Organów Bezpieczeństwa nie podlegała żadnej kontroli, mimo istnienia Komisji Bezpieczeństwa z Bierutem i Bermanem na czele.

Wszystko to wyszło na jaw po śmierci STALINA i po upadku BERII, których sługusem był, funkcjonariusz polskiej Bezpieki, ŻYD RÓŻAŃSKI. Okazał się bardzo pojętym uczniem MOSKWY, o czym już po roku 1944 mogli przekonać się więźniowie PRL-u.

Od autora;

Dlaczego jeszcze po naszej męczeńskiej -świętej ziemi chodzą sobie spokojnie tysiące RÓŻAŃSKICH ? Dlaczego nie rozliczono Komunistów polskich, zaczynając od JARUZELSKIEGO ?
I dlaczego polska prasa milczy nie dając odpowiedzi na prowokacyjny " list Otwarty" pana Janusza Korwin-Mikke z dnia 9 stycznia 1989 roku, który śmie twierdzić że w NKWD, w tym krwawym aparacie, nie było Rosjan, a sami Gruzini i Żydzi...Przez 11-cie lat pobytu na "ZIEMI NIELUDZKIEJ", spotykałem tysiące "bezpieczniaków" ze szkół Leningradzkich i Moskiewskich, a byli to przeważnie rdzenni Rosjanie....., i my byliśmy w niewoli u Rosjan a nie u Gruzinów czy też Łotyszy....(według mnie i znajomych z tu-tejszych polonusów, po przeczytaniu artykułu pana Korwin-Mikke, powiało śnieżnym smutkiem i bezczelną, rusowszczyzną.....

Więzienie w KRASNOJARSKU. Nadal pozostaje w tym "przytułku" NKWD, w oczekiwaniu na transport, który powinien mnie odstawić na nowe miejsce katorgi... Właściwie powinienem cieszyć się z zakończenia jednego i jakże strasznego rozdziału mojego życia...., aże czy mogę, czy stać mnie na "radość", mając na uwadze to nowe, przymusowe przesiedlenie, które już jutro mnie czeka? Obawiam się nie tyle nowych przygód, co reakcji samego zdrowia, czy wytrzyma moje serce, czy podoła nowym próbom walki z wszystkimi przeciwnościami..... z okrutnym klimatem i z całą, ogromną i dziką, przyrodą...???

Otoczający mnie "KLIMENCI p. BERII" strasza, opowiadając herezje, niesamowite wprost scenaria z życia Północnej Syberii, zskąd do władzy daleko i do IOZI dróg nie ma...

W końcu już na dobre przyszedłem do siebie, siedząc w ciężarowym samochodzie podążającym na wspomnianą POLYNOC. Jechaliśmy wielką karawaną, samochodów pod ochroną, żołnierzy NKWD (rosjan) a droga prowadziła po zamarznętej rzece JENISIEJU w górę, w kierunku IGARKI (słynnego miejsca zsylnego, słynnego potwora Stalina) Jechaliśmy jak po dobrym asfalcie i gdyby nie silne śnieżne wiatry, można było sądzić, przy zamkniętych oczach, że posuwamy się po naszej Marszałkowskiej... Coż za naiwne porównania?..

Od tej chwili byłem już tylko najzwyklejszym "ZESYLANCEM" i jak za dobrych "CESARSKICH" czasów, jechałem o mały nie w dybach, na swoją, straszliwą katorgę... Zostawałem nadal więźniem Stalina, chociaż ten oprawca wykończył się, jednak Jego ludzie są namacalni, jak groźne upiory pozostały po Nim, wszelkie dekrety, nakazy, przykazy i temu podobne zbójceckie testamenty... A sądząc po wszystkim, co nas nadal otaczało, jeszcze długie-długie lata ten Szarlatan będzie przewodził nad ruskim światem, nad ludzkimi umysłami, nad ich mentalnością... Przecież ta zła "KREATURA" w swoim gniewie zniewoliła cały naród rosyjski, jak robotników tak i chłopstwo, a szczególnie chłopów w kołchozach, gdzie żaden pracownik tej przegniłej Organizacji nie posiadał nawet dowodu tożsamości (widocznie żeby nie mógł opuścić miejsca swojego kieratu)

Ten temat będę poruszał wielokrotnie w swoich notatkach, ale to już później, teraz muszę podążać wraz z innymi zsylnymi do wskazanego celu, gdzie mi pozwolą pracować i nadal żyć.....

w drodze na miejsce zssylne, kilkanaście razy zatrzymywaliśmy się dla nabrania oddechu, w takich przydrożnych, strasznie upiornych..., "czajchanach", takich obskurnych i brudnych barakach, gdzie oprócz insektów, nie było nic do jedzenia, wszyscy podróżni jedli to, co sami powyciągali ze swoich "żelaznych zapasów", były to przeważnie potrawy z kaszy i konserw mięsnych lub rybnych...., po których pozostawał wyłącznie smród i na długie godziny przemarszu, dokuczliwa czkawka... Konwojenci wbrew przepisom, przez całą drogę upajali się złym alkoholem i pod jego wpływem dokuczali więźniom-zssylnym...

Przeważnie straszono nas, że nie dojeżdżając Siewiero-Jenisiejska, powykończają nas zanim to zrobią, wielkie mrozy i jeżeli ktoś jeszcze ma jakieś przedmioty drogie to może wykupić swoje życie, chociaż wiedzieliśmy że "CCHRONKA" tylko blefuje, strasząc ludzi, ale samopoczucie nasze nie było zbyt dobre i w takim makabrycznym nastroju dobijaliśmy do swojego przyznaczenia.... Wesoło nie było, i nie jeden z nas już rozmyślał o brzydkim końcu swego żywota....

Do Siewiero-Jenisiejska pozostało jeszcze około 50 wiorst, jak strasznie pomarzniętych powyżuczano nas z ciężarowych wozów, prosto na zasypaną śniegiem szeroką ulicę w osadzie MICHAJŁOWSK, gdzie, mieszkający tam ludzie podebrali nas, zmeltretowanych podróżą, nie mogących o własnych siłach znaleźć schronienia przed śnieżną burzą, która akurat rozszalała się nad MICHAJŁOWSKIM..... Mnie i kilku innym nieszczęśnikom pomógł pewien Białorusin, zesłany jeszcze w latach 1940-tych, za to że za dużo widział o działaniu Smoleńskiej NKWD i bez żadnych hamowań rozповідаł sąsiadom o represjach jakie stosowali NKWDziści wobec polskich oficerów w więzieniu Smoleńskim.

Następnego dnia zostaliśmy wezwani przed oblicze miejscowego władcy (naturalnie komunisty-rosjanina) i poinformowani że od dziś jesteśmy "grażdaninami", podwładnymi bezpośrednio Jemu i tylko u niego dostaniemy pracę w charakterze drwali. I już jutro z rana po otrzymaniu stosownej odzieży, obuwia, narzędzi pracy, konika z sankami i po zaprowiantowaniu nas na dwa tygodnie, wyruszymy na podboj tajgi pod przewodnictwem dziesiątnika. Mnie znającego leśny przemysł i umiejącego pisać i czytać po rosyjsku, wyznaczono brygadzystą. Tym samym otworzyła się nowa strona mojej jeszcze nie ukończonej KSIĄZKI

lęki i nadzieje Polaków. Jesteśmy jakby następcami, tamtych dawnych zesłań, jakby dla potwierdzenia ciągłości historii, odnowa zasiedlamy tę okropną ziemię.....Syberyjską ziemię, ze swoimi okropnymi mrozami i straszną przyrodą...Tak, tak, nad całością, nad Syberyjską tajgą panuje niepodzielnie "dzied moroz" który jak zły demon pomaga dla sowieckiej władzy, ujarzmianie ludzi z zachodu, to ten sam "generał mróz", wielki bohater rosyjskiej epopei...To właśnie Jemu; zawdzięcza Rosja, a później i Związek Radziecki, niejednokrotnie uratowały swój byt, a nawet samo istnienie...Przecież, już w roku 1812 "GENERAŁ MRÓZ" rozwalił najlepsze pułki Napoleona Bonaparte, który po wielkich i wspaniałych zwycięstwach w całej zachodniej Europie, uległ w mroźnych warunkach Moskwy i Borodino.....A już w roku 1941/43 ten sam błąd popełnia HITLER, nadstawiając swoją potężną Armię, właśnie na działania MRÓZU i śnieżnych zamieci, i tylko zawdzięczając tylko warunkom polarnym, nie zdobył Moskwy, tym samym zapoczątkował następne przegrane pod Stalingradem (gdzie więcej zginęło żołnierzy niemieckich od zima, jak od pocisków) Leningradem, Krymem, Kurskiem, ORŁEM, Lenino....Mówią i obszernie piszą, o wielkiej pomocy militarnej Ameryki, która ze wszech miar pomagała Rosjanom w wyżywieniu, w uzbrojeniu, w technice i w motoryzacji..... chociaż to jeszcze niebyło ostatecznym wpływem na zwycięstwo. Przedewszystkiem i to na pierwszym planie, stawiać należy na bohaterkę, walkę samych Rosjan, ich determinację i milionowe ofiary, następnie stawiałbym właśnie na klimat. W ten czas, przy tych wielkich mrozach, przy śnieżnych burzach, które potrafiły hulać tygodniami po rosyjskich polach i bezdrożach....., które potrafiły zmiotąć wszystko i wszystkich na swej drodze. Jeszcze nikt nie wymyślił uniwersalnych maszyn, czołgów, samolotów by dostatecznie chroniły żołnierza i same nie ulegały awariom...Obie Armie Zachodu przegrały swe wojny, zanim przekroczyły klimatyczny rubikon...Tak, tak "Dziadku Mróz" jesteś "wszechpotężnym-Bezkonkurencyjnym" zjawiskiem.

I jeżeli ta czerwona, zgniła w swych fundamentach STRUKTURA, wkrótce sama się nie rozwali, to śmiało można mówić o następnych partiach w zasilaniu SYBERII z Zachodnich Państw Europy...jeszcze nie jeden "żabojad", czy też "dzemojad" poznają uroki SYBERII i zabójcze ramiona "Dziadka Mroza"...? My Polacy (co czwarty obywatel Wschodniej Rzeczypospolitej Polski) już mamy wielką, prąży okazję, odczuwać rozkoszną siłę tych zim w warunkach obozowych.

Do dziś jeszcze, tysiące ocalałych cudem żołnierzy polskich, może potwierdzić, że nie tyle głód, brud, choroby i inne plucactwa, dały się mocno nam we znaki, co samo zimno...., do pracy przecież chodziliśmy źle ubrani, odpoczywaliśmy przeważnie w przemarzniętych pomieszczeniach..., a nawet, podczas tych syberyjskich, słonecznych miesięcy (niby lato) też nam było stale zimno... Chryste Panie, ile było tego zimna...???

Było nam i zimno i okropnie tęskno za WAMI Kochani, za Polskim Krajem, za ziemią rodzinną, której dydekuję też wierszyk;

Ziemia Wileńska, ziemio miła,
Jakże daleko Ty jesteś dziś daleko
Schowałaś się przede mną, skryłaś,
Za siódmą górą, za siódmą rzeką.

Twoje miasteczka, wioski, pola
Osnuła mgła, jak czas przedranny;
Nie widać wcale, Antokola,
Ani wierzyczek Świętej Anny.

Próżno wyteżać w przestrzeń oczy;
Nie widać Wilii, ani Niemna,
Ani Dryświatów, czy Naroczy,
Wszystko zakryła mglistość ciemna.

Lecz kiedyś prysnie mgieł zasłona,
I przyjdzie czas, co wszystko zmieni,
Wroga, co wygnał nas, pokona
I zło doszczętnie wykorzeni.

Stanie przed nami ścieżka złota
I doprowadzi nieomylna,
Przez góry, lasy, morza, błota,
Wprost do Cjczyzny, wprost do Wilna.

Pójdziemy znów do Ostrej Bramy,
I pomodlimy się tam chwilę,
Dziękując, że dom znów mamy,
Gdzie człek-człowiekowi nie jest wilkiem.

Między Józiuki, Hanki, Franki,
Pójdziemy po Wileńskim bruku,
Kupować świeże obwarzanki,
Kupować serca na Kaziuku.

I widnokręgiem nas otoczy
Kochana, swojska, niezawisła,
Uśmiechem wpadając w oczy
Ziemia Wileńska, ziemio miła.

/

W rzeczywistości Syberyjska małeńka Csada była zasypana wielkim śniegiem, a my wygnańcy samego Boga, zbieraliśmy się znowu, może po raz ostatni do walki z przyrodą, do walki by przetrwać... Jutro już będzie w nowym odcinku mojej książki pod tytułem; "CZAR SYBERII" o dalszych przygodach, wcale nie dzielnego żołnierza Armii Krajowej, który mając nie wszystko po porządku w swej głowie, przemieszczał swoje nowele, nie według kolejności transportów NKWD a prosto, podawać swoje opowiadania czytelnikom, zaczynając od piękna przyrody samej Syberii, by później stopniowo, wchodzić w martyrologię polaków, skazanych przez SYSTEM BOLSZEWIKÓW w latach 1939 - 1956.

Będą to opisy widziane moimi oczyma i zasłyszane od towarzyszy niedoli. Nie mając żadnego wykształcenia (oprócz Leninowskiego) i będąc inwalidą 2 grupy, po trzech zawałach i tyłuż wylewach, mając sparaliżowaną prawą stronę, dosłownie; jednym palcem u lewej ręki, staram się, z resztki siły wejść do grupy SYBIRAKÓW by razem z nimi przekazywać wszystkie wiadomości i zdarzenia o naszych ludziach, znajdujących się w latach niewoli u komunistów rosyjskich, będę nasświetlał, opisując potomstwu polskiemu, wszystkie bestialstwa żołdaków NKWD jakie sam widziałem i na sobie odczułem, znajdując się przez jedenaście lat w raju sowieckim.....

Więc ninieszym proszę z góry o przebaczenie mi moich błędów lub niedociągnięć w polskiej pisowni. Dziś, będąc na obczyźnie i nie mając większych możliwości w szlifowaniu mojej pisowni, proszę usilnie panów redaktorów o wszelkie koregowanie błędów i wykreślanie niestosownych słów lub całych zdań, z potoku gniewnych i bolących kart mojego życia, a będąc na "Nieludzkiej" ziemi, przez tyle lat, proszę nie dziwić się, że oprócz krwi, pluje jeszcze żołącią, a na widok ruskiego żołnierza, same palce ściskają się w pięść.....

Do lat 1990 wciąż jeszcze miałem nadzieję, że przy wspólnej konsolidacji Państw Europy Zachodniej przy tym gnilnym procesie, jaki zachodzi w konającym "KOCOSIE", znajdzie się taka siła, że rozprawi się z "DEMONEM" wszystkich nieszczęść Europy Wschodniej, że w najprostrzy sposób ukarze drugiego potwora xx wieku.....

Przy moich luźnych rozmyślaniach, przy wielkiej konsternacji bardzo często zastanawiam się; dlaczego Wielcy Władcy Zachodu, wiedząc i widząc co się obecnie dzieje w Związku Radzieckim (już, jakby nie za drutów zasłona) zamiast dokończyć tę zdychałą bestię..., jeszcze wspomagają, złotem, markami, dolarami, liry, frankami i funtami...? Dlaczego, zamiast pewnych restrykcji, jakichś sankcji, czy innych bezwzględnych form ukarania tego strasznego potwora, który zaczynając od swojej krwawej rewolucji 1917 roku, postawił całą "CYWILIZACJĘ" pod "ŚCIENKĄ".....

Dlaczego przez 70 lat przyglądano się ze zgrozą, tworzeniu systemu "NIEWOLNICTWA" i nawet palcem nie poruszono w obronie, tych małych Państewek (Litwa, Estonia, Łotwa 1940 r) które padły w ofierze hegemonii rosyjskiej, jak również i nasze rubierze wschodnich województw zostały pochłonięte przez te same macki-żarłocznej ośmiornicy z Moskwy....I dlaczego dziś/ gdy nadeszła nieuchronna samo-zagłada tego "POTWORA" tego przeogromnego, zgniłego "KOCOSA" tej rozkładającej się "czerwonej zarazy", która przecież miała wypisane hasła (wróżące kataklizmem dla świata) na swoich sztandarach i w pieśniach "międzynarodówki" * GDY ZWIĄZEK NASZ BRATNI..., OGARNIE CAŁY LUD *....., dlaczego dziś nie postawić komunistów rosyjskich pod TRYBUNAŁ, żeby wspólnie z komunistami polskimi odpowiedzialni za zbrodnie dokonywane na swoich narodach (przedewszystkim)

Corbaczew i Jaruzelski napewno sami nie są zbrodniarzami, ale kryjąc innych...., i będąc sekretarzami generalnymi tych partii, napewno czystych sumień jako Rosjanin i Polak, nie mają,?..... Chociaż, czy nie jest przestępstwem, będąc Przywódcą Związku Radzieckiego, doprowadził ten kraj do ruiny gospodarczej i jak sam pisze w swojej książce; "CZAS NADZIEI", neoglobalizm, doprowadził Jego i satelitarne Państwa (jak Polskę, Czechosłowację, Bułgarię, Rumunię, Węgry) do bezwzględnej klęski....? Radzi potwierdzenia moich wywodów, będę zmuszony zacytować kilka rozdziałów z tej poczytnej i bardzo pouczającej książeczki;

DLA KOGO KORZYSTNY JEST "NEOGLOBALIZM". (str.198)

Drugim bardzo ważnym środkiem, za pomocą którego zachodni przede wszystkim amerykańscy strategowie starają się osłabić pozycję międzynarodową ZSSR, jest wciąganie naszego kraju w szerokie geopolityczne współzawodnictwo z USA. Przy tym stawia się zarówno na znaczną przewagę Stanów Zjednoczonych w dziedzinie gospodarczej, finansowej, w handlu zagranicznym jak i nierównoprawny charakter amerykańskich stosunków gospodarczych z państwami rozwijającymi się. Można powiedzieć, że pomoc wojskowa i gospodarcza, jakie udzielają Stany Zjednoczone pró-amerykańskim reżimom w trzecim świecie, opiera się na swoistym "rozrachunku gospodarczym"; zyski, które ciągną corocznie korporacje amerykańskie z krajów rozwijających się, wielokrotnie przewyższają sumę nakładów ponoszonych przez USA w rezultacie uwikłania się w konflikty regionalne. Pomoc Radziecka dla rządów postępowych ze zrozumiałych względów nie może liczyć na taką "rentowność" i z ekonomicznego punktu widzenia, ma z reguły charakter "planowo deficytowy".

Doświadczenie ostatnich dwóch dekad stosunków wzajemnych ZSSR z krajami rozwijającymi się pokazały, że radziecka pomoc wojskowa i ekonomiczna najczęściej nie przynosi oczekiwanych rezultatów na płaszczyźnie wpływów politycznych. W latach osiemdziesiątych byliśmy świadkami tego, jak nawet najbardziej konsekwentni spośród naszych sojuszników (na przykład; Angola, Mozambik, Etiopia i inni) zaczęli aktywnie poszukiwać kontaktów politycznych i gospodarczych z Zachodem. Powstaje sytuacja, w której Zachód przeznacza główny ciężar wydatków na ZSSR, na utrzymanie "stabilności politycznej" w tych krajach, a sam czerpie z tej stabilności korzyści ekonomiczne. Niekiedy sytuacja staje się absurdalna; na przykład w Angoli żołnierze kubańscy częstokroć bronią obiektów amerykańskich korporacji naftowych przed atakami band UNITA finansowanych właśnie przez USA. Jest wiele przyczyn takiej niekorzystnej dla nas tendencji. Po pierwsze - obiektywna ograniczoność środków, jakie mogą być wydatkowane w formie pomocy gospodarczej. Po drugie - niewystarczająco elastyczny i skuteczny mechanizm samej pomocy, kładzenie głównego nacisku na "gigantomanię" (budowa ogromnych kompleksów przemysłowych i energetycznych, które amortyzują się przez dziesięciolecia, długi okres realizacji projektów, mniej ścisłe kontakty z kadrami narodowymi itd. Po trzecie - nie na naszą korzyść pracuje porównanie z jednej z jednej strony współczesnego poziomu rozwoju gospodarczego

krajów Zachodu i ZSSR, z drugiej zaś dwóch grup państw rozwijających się (orientujących się odpowiednio na Zachód i na ZSSR). Obecnie zachodnią propagandą w większym niż poprzednio powodzeniem sugeruje przywódcom krajów trzeciego świata, że socjalistyczny system gospodarczy w tej formie, w jakiej istnieje w ZSSR, ustępuje kapitalistycznemu. Jako przykład efektywności różnorodnych rynkowych "modeli", stawia się im kraje "nowego kapitalizmu" (Korea Południowa, Hongkong, Singapur, Brazylia, Meksyk, Wenezuela i inne), doświadczenia ChRL w ostatnich latach, a jako negatywne przykłady - niekorzystne tendencje w rozwoju gospodarczym wielu krajów, które wybrały niekapitalistyczną drogę rozwoju (Laos, Birma, Gwinea, Tanzania).

Rzeczywiście, naszą pomoc dla krajów rozwijających się, zarówno gospodarczą jak i wojskową, zbyt często (albo wcale, dop. aut.) daje jedynie krótkotrwały efekt, głównie w czasie walki o władzę i podczas pierwszych lat istnienia tego czy innego postępowego rządu. Następnie, w miarę nastania, można powiedzieć, powszednich dni budownictwa gospodarczego, młode państwa coraz bardziej zaczynają zwracać się w stronę Zachodu ze wszystkimi wynikającymi stąd konsekwencjami politycznymi. Doświadczenie pokazuje, że przewyciężenie określonej powyżej tendencji jest możliwe jedynie przez udzielenie tym krajom przez ZSSR zakrojonej na szeroką skalę pomocy, równoznacznej z bezwrotnym subsydiowaniem całej ich gospodarki.

Problemy te nie występowały z taką ostrością w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy ZSSR udzielał poparcia głównie lewicowym siłom opozycyjnym w krajach rozwijających się, a USA były głównym gwarantem społeczno-politycznego status quo. W latach osiemdziesiątych role zmieniły się; teraz ZSSR w wielu regionach popiera znajdujące się u władzy rządy narodowodemokratyczne, a USA dąży do ich destabilizacji. Oczywiście, taką zmianę rol można uważać za świadectwo umocnienia naszych pozycji w rozwijającym się świecie, ale stawia ona przed nami nowe trudne problemy.

USA umiejętnie wykorzystują okoliczność, że w "konfliktach małej intensywności" nakłady na pomoc dla ruchu partyzanckiego są nieporównywalnie mniejsze od nakładów związanych z pomocą dla reżimu rządowego. Nic więc dziwnego, że koncepcja "nowego globalizmu" i "konfliktów małej intensywności" zyskały taką popularność wśród

amerykańskich przywódców. Oczywistym przykładem "ekonomicznej efektywności" podobnej polityki, z punktu widzenia USA, stał się konflikt w Afganistanie. Na prowadzenie działań wojennych w tym kraju ZSSR tracił rocznie 5 mld rubli, podczas gdy USA wydawały na pomoc dla afgańskich sił antyrządowych nie więcej niż 1 mld dolarów rocznie, czyli 6-8 razy mniej. Przybliżony stosunek amerykańskich i "indukowanych" radzieckich wydatków obserwuje się, według szacunków zachodnich, również w konfliktach w Nikaragui, Kampuczi, Etiopii, Angoli.

W rezultacie, Związek Radziecki ponosi znacznie większe wydatki związane z pomocą wojskową niż USA. Według danych statystyki międzynarodowej, w połowie lat osiemdziesiątych, łączne rozmiary takiej pomocy (wojskowej i gospodarczej) udzielanej krajom rozwijającym się (łącznie z Wietnamem) z Kubą, wynosiły ~~1,4~~ 1,4 proc.PNB ZSSR, podczas gdy w przypadku USA analogiczna pomoc była mniejsza niż 0,3 proc.PNB.

Przy tym Stany Zjednoczone prowadzą systematyczną kampanię mającą na celu zdyskredytowanie pomocy radzieckiej, wskazując na jej głównie wojskowy charakter, polityczne uwarunkowania i niski poziom naukowo-techniczny. Według ocen amerykańskich, właściwa pomoc ekonomiczna stanowi mniej niż 10 proc. ogólnej wielkości pomocy radzieckiej, podczas gdy w przypadku Stanów Zjednoczonych około 40 procent.

W ten sposób pod względem wielu parametrów Związkowi Radzieckiemu coraz trudniej konkurować w trzecim świecie z krajami Zachodnimi. W tych warunkach bezpośrednio czy pośrednio uwikłanie w "konflikty małej intensywności" oraz próby stworzenia nowych możliwości wpływu przez zwiększenie poziomu mobilności naszych sił zbrojnych, mogą jedynie pogłębić istniejące trudności.

ODPOWIEDŹ_ZSSR.

Międzynarodowa sytuacja polityczna, jaka ukształtowała się od połowy lat osiemdziesiątych, dyktuje nagłą konieczność poszukiwania nowych dróg przeciwdziałania globalnej ofensywie imperializmu. Jak się wydaje, nasze możliwości odpowiedzi na to wezwanie, sprowadzają się do dwóch podstawowych wariantów;

Pierwszy wariant zakłada kompensowanie względnego osłabienia naszej gospodarki przez zwiększenie udziału wydatków na politykę wojskową i zagraniczną. Wariant drugi sprowadza się do tego, by przy zachowaniu lub redukcji wydatków związanych z polityką zagraniczną, zmniejszyć rozpiętość między naszą gospodarką a polityką zagraniczną i przez to odciążyć pierwszą i umocnić ekonomiczne podstawy drugiej. Używając języka wojskowego pierwszy wariant oznacza "utrzymanie pozycji za wszelką cenę, aż do oczekiwanego nadejścia posiłków"; podczas gdy wariant drugi jest równoznaczny z "odejściem na wcześniej przygotowane pozycje w celu zminimalizowania strat i zgromadzenie sił".

Aż do zmiany kierownictwa kraju w 1985 r. w naszej polityce zagranicznej, wydaje się, dominował pierwszy wariant reagowania. Polityka zagraniczna nierzadko wyglądała ~~wygląda~~ na próby "przełączenia się" ze skomplikowanych i nie rozwiązanych problemów wewnętrznych na efektywną działalność międzynarodową, na kompensowanie stagnacji wewnętrznej aktywną, ofensywną polityką zagraniczną. Próby takie mogły przynieść jedynie krótkotrwały skutek; tendencje zastoju w gospodarce radzieckiej i w życiu społeczno-politycznym nieuchronnie odbiły się również na radzieckiej polityce zagranicznej i na między-narodowych pozycjach ZSSR.

W obecnym okresie w związku z opracowaniem koncepcji "nowego myślenia" w naszej polityce zagranicznej umacniają się elementy drugiego, bardziej elastycznego wariantu reagowania. Niemniej nie można zapewne uważać, że dokonano ostatecznego wyboru. W związku z tym ważne wydaje się przeanalizowanie możliwych następstw dwóch wymienionych wariantów. Przy zachowaniu orientacji głównie na pierwszy wariant reagowania Związek Radziecki może w najlepszym liczyć jedynie na krótkotrwałe sukcesy w polityce zagranicznej. Ponieważ do chwili obecnej wszystkie nieekonomiczne środki umocnienia naszej polityki zagranicznej zostały już w istocie wyczerpane, to ich aktywizacja, nie poparta potęgą ekonomiczną, będzie najprawdopodobniej kontrproduktywna. Zwłaszcza aktywizacja czynników wojennych może doprowadzić do wzrostu napięcia na świecie, a aktywizacja czynników ideologicznych-

do dyskredytowania naszej ideologii. Mało też prawdopodobne by możliwe było przejście od obecnych tendencji informacyjnego "otwarcia" społeczeństwa radzieckiego do czasów utajniania i nieprzeniknionej "żelaznej kurtyny".

Zwiększenie wydatków wojskowych związanych z polityką zagraniczną, z czym łączy się wariant pierwszy, przyniesie oczywiste szkody gospodarce cywilnej, zagrozi programowi jej modernizacji i przez to pozbawi nas nadziei na "szybkie nadejście pokoi". Oprócz tego może to również doprowadzić do spadku poziomu życia ludności, a rezerwy cierpliwości w tej dziedzinie nie są ~~ograniczone~~ nieograniczone. Już obecnie pod względem udziału w dochodzie narodowym wydatków na cele wojenne i pomoc innym krajom znacznie wyprzedzamy USA, a pod względem udziału (nie mówiąc już o wielkościach absolutnych) wydatków na najważniejsze potrzeby socjalne-pozostajemy daleko w tyle.

Należy także wziąć pod uwagę to, że w ponoszeniu zwiększonych kosztów przeciwstawiania się przeciwnikowi, ZSSR, w porównaniu od USA, nie może liczyć na jakąś odczuwalną pomoc sojuszników, stosunek potencjałów gospodarczych przeciwnych bloków, rozpatrywanych w całości, jest jeszcze mniejszy, mniej korzystny niż między ZSSR i USA oddzielnie. Według wskaźników ekonomicznych Układ Warszawski ustępuje NATO 2,5 raza, a NATO i Japonii łącznie 3,2 raza. Oprócz tego Zachód ma wciąż wznastającą rezerwę w postaci szybko umacniających się krajów "nowego kapitalizmu". My natomiast praktycznie jesteśmy takiej rezerwy absolutnie pozbawieni. Nowa strategia międzynarodowa mogłaby zawierać między innymi solidne uzasadnienie ekonomiczne, oparte na realistycznej ocenie stanu dzisiejszego i wiarygodnej prognozie przyszłego rozwoju gospodarki naszej, a także naszych głównych przeciwników i sojuszników/ Powinny być ponownie rozpatrzone z punktu widzenia większej wybierności cele i zobowiązania zagraniczne ZSSR.

Szczególnie celowe byłoby stopniowe odejście od praktyki współzawodniczenia z USA na całym świecie i od kosztownego popierania niepopularnych reżimów, ruchów politycznych, partii i itd.

Dop. aut. I tak towarzyszu Gorbaczow, sami prawie doszliśmy do sedna "gdzie jest zakopany zdechły pies"... , a teraz radzi naprawy tego, coście przez 70 lat psuli, skomlecie u swoich byłych wrogów o marki, o dolary, franki, jeny, liry i funty, żeby ten naród, którego doprowadziliście do absolutnej ruiny.., nie wykończył się z głodu....

Jeszcze w tedy, będąc na "niegościnniej ziemi" i widząc to "ZYC" w rozpadającym się gospodarstwie, prawie byliśmy pewni, że koniec rosyjskiej komuny nadchodzi i że przy najmniejszej ruchawce tego uciemierzonego ludu, nie wytrzymają przegniłe fundamenty ideologii (trójcy świętej) Marksa, Lenina, Stalina..., tylko może w jednym, popełniliśmy błąd, myśląc że naród rosyjski będzie pierwszym, który weźmie na siebie walkę z komuną...Ale to błąd satysfakcjonujący nas polaków, ponieważ to nasza, wspaniała "SOLIDARNOSC" uderzyła pierwsza i jak za bohaterskich czasów 1920 roku, rozwaliła polskich komunistów, dwa miliony PZPR-wców, rozpierzchnęło się niby horda tatarska, która od 1945 r. zniewoliła Polskę ustanawiając swoje barbarzyńskie prawa i na wzór swoich przyjaciół ze wschodu, próbowała zniszczyć współrodaków, tych co nie chcieli pójść na lep bolszewickiej propagandy, zapełniając w pierwszych latach po wojennych więzienia i nieznane do dziś cmentarze....

Dumny jestem, że to właśnie polacy pierwsi przerwali ten zaklęty kordon i narażając się nawet na krwawe stłumienie przez wojska sowieckie, dobrnęli do roku 1989, do pierwszych wyborów, ~~z~~ kąd już śmiało i śmiało rozprawić się z pozostałą, nomenklaturą, zaczynając od Belwederu gdzie znaleźli sobie schowek towarzysze; Jaruzelski, Czyrek, Rakowski, Urban (nieporozumienie xx wieku.... A szczególnie bulwersuje "polonusów", osoba tego karła Urbana, którego, na dobrą sprawę powinni postawić pod TRYBUNAŁ SĄDOWY, za Jego złośliwe kpiny z polskiego narodu, za Jego sprośne artykuły w stosunku do naszej religii, w których w sposób wyrafinowany w każdym zdaniu "Jana Rema" upokarza polaków, nie tak myślących jak Jego Naczelny Wódz, a zarazem Generalny Sekretarz Komunistów polskich towarzysz Wojciech Jaruzelski. Mam przed sobą, wycinki gazet z "Trybuny Ludu", gdzie Jerzy Urban, onże Jan Rem, publikuje w latach osiemdziesiątych swoje paszkwile, że niby i jako Minister miał wielkie prawo wypowiadać się w obronie szlachetnych zasad i samej konstytucji, uchwalonej przez władze komunistyczne w latach represji i w latach strasznej pogardy do wszystkiego co polskie i ludzkie. Może kiedyś w przyszłości, znajdę trochę cierpliwości i spiszę w jednej książce wszystkie brednie tego niewydarzonego człowieczka; by utrwalić dla potomnych "słowną karykaturę" Rzecznika Rządu w latach "CHWAŁY PZPR" w PRL-u.

Przykro mi niezmiernie, że odbiegłem od podstawowego tematu, zajmując się śmierzącą sprawą komunistów Kremla i Belwederu, za przedługi "rozwovor" z towarzyszem Gorbaczowem - przepraszam.

Henryk Jencyk
Adersheim 1990 r.

5

© ARCHIWUM WSCHODNIE

II | 1568 | I Kultura

POWRÓT Z SOWIECKIEGO RAJU

Fragment książki pod tytułem;
*Polskie Karawany jada, na Wschód
po własną śmierć*.....

Mroźna zima 1955 roku, zastała nas Polaków, na pośpiesznych przygotowaniach do wyjazdu, do powrotu z "ziemi nieludzkiej" do Polski. Już w grudniu zaczęliśmy pakować swoje nędzne manatki, ponieważ otrzymaliśmy z Komendy Milicji termin naszej repatriacji, to jest; na pierwszą dekadę grudnia 55 r.

Z przeogromną radością żegnaliśmy tę przeklętą Syberie, Jej straszny klimat, dziką przyrodę i podobnych do tej przyrody, dzikich i półdzikich mieszkańców...A przede wszystkim ze "Wzami" żegnaliśmy "czerwoną władzę" która jak w dzień, tak i nocą, czuwała nad swoimi niewolnikami. Przez 4000 mrocznych dni, CI towarzysze z piekła rodem, opiekowali się moim ciałem i duszą, chcąc przerobić na swoje kopyto, a co im w zupełności nie udało się...I pomimo; stawiania mnie pod ścianę pod czas śledztwa, (Kontrwywiad Śmierzy 1944 r.)po mimo; Strasznych 10 lat w różnych CBOZACH sowieckich i po mimo Ich przeklętych tortur psychicznych..., jakoś udało mi się, na wpółżywym, jak cień-cienia ludzkiego, wyrwać się ze szponów NKWD.....

Jeszcze przed samym wyjazdem, miałem wielki problem ze zdaniem całego majątku, jaki mi został powierzony w roku 1954. Zaczęła się gorączkowa bieganina w poszukiwaniu nowego zarządcę, Niestety, odpowiedniego człowieka nie znaleziono, więc po mojej propozycji, cały ten majdan przyjął odemnie, mój pracownik z lasu „Estończyk - wspaniały człowiek i specjalista w gospodarce) w owym czasie miałem sympatię, panią doktor, pediatrę, Anna Kozmina, Rosjanka z pochodzenia, chociaż matka była Buriatką, z Abakanu, południe Krasnojarskiego Kraju. I właśnie ta lekarka zaproponowała mi, nie wielki odpoczynek u swoich rodziców, naturalnie, ~~ze się~~ chętnie na to przystałem, mając w kościach "Dziesięcioletnie zmęczenie"...Fani Anna wzięła urlop i już z początkiem listopada wylecieliśmy samolotem, do Krasnojarska, ~~z~~skąd przesiadaliśmy na pociąg zdążający do ABAKANU, a później promem przejechaliśmy na drugą stronę Jenisieju do MINUSINSKA. Spejalnie podkreślam te dwa miasta, te dwa Ośrodki w których skupiało się setki rodzin polskich (z przesiedlenia lat 1940) (w moim posiadaniu kilka zbiorowych zdjęć z polonii Abakańskiej)

Abakan, wielki Ośrodek dla deportowanych różnej maści i narodowości. W tym mieście przebywałem do końca listopada 1955r. więc o wielu sprawach dotyczących Polaków dowiedziałem się.... Wielu Polaków zaraz po wojnie, powróciło do Kraju, ale i bardzo dużo pozostało na cmentarzach tego Kraju. Nawet poznałem kilka

rodzin, pożenionych z rodzinami, byłych "katorżników" z czasów "caratów" i tego, znajomego nam dobrze, "Łotra Stalina", napewno nie będzie mylnym moja wersja że tam, w rejonach Minusinska i Abakanu pozostało do dziś jeszcze sporo Polaków, pozbawionych opieki naszej Ambasady w Zw. Radz. którzy i nadal oczekują zbawienia i ratunku.

W końcu listopada 1955 roku, otrzymaliśmy telegram od znajomego pani Anny, że już od 2-go grudnia tego roku, zacznie się zbiórka Polaków z listy repatriacyjnej na dworcu głównym w Krasnojarsku, więc długo nie namyślając się, powracamy, by na czasie być na tym dworcu. W dniu 3 grudnia 1955 r. z samego rana na dworcu ogromny ruch (choć było bardzo mroźno, ponad 40 stop.) ludzie biegali rozgorączkowani, wielu w samych marynarkach..., przeważnie stłoczeni przy odprawie dokumentów i przy bufecie...

Nagle usłyszeliśmy, jak przez megafony, tubalny głos obwieszcza; "Wniamanie, wniamanie, pojazd...nr...z Krasnojarska do Warszawy odpuskajetsia z perona.....?"

W Polaków, jakby "piorun" trzasnął, na jakiś czas zamrowało wszystkich, a kobiety rozplakały się w głos, dzieci również..., coż to był za rozczulający widok...ludzi ściskających, się całujących, a nawet tarzających się po zasypanych śniegiem peronach, co sam w ten czas robiłem, ? nie pamiętam ale chyba, nie byłem "dżentelmenem" i również szalałem z radości razem z innymi.

Przez dwa dni trwała odprawa i sprawdzanie listów repatriacyjnych, również wymieniono obligacje pożyczki narodowej (oile ktoś posiadał) A kto miał pieniądze uskupeczniał sobie zakupy, nie tyle jedzenia co wódki...która była później następstwem przykrych zająć, A wogóle to zaczęło się "szaleństwo w picciu alkoholu i szafowaniu przekleństw, (takich "przepięknych wiązanek"- jakich nas sami Rosjanie nauczyli) pod adresem Władz Radzieckich i Rosyjskiego Narodu.

W ten, niezbyt kulturalny sposób zegnaliśmy Stolicę, tego niegościnnego Kraju, w ten sposób dziękowaliśmy ROSJANOM, za nasze Łzy, za nasze długoletnie życie w męczarni i poniewierce, za nasze przeogromne krzydy.

Nasz ostatni transport, byłych więźniów "GUZAGU", teraz podążał w kierunku odwrotnym, jakby z samego piekła podążał do Polski, do rodzin, do wysnionych marzeń z naszych tysiąca snów.....

Jechaliśmy przez wiele Csađ, Miasteczek, Miast a które po latach zacieraają się w ludzkiej pamięci a pozostają, wyłącznie te duże, jak; KRASNOJARSK, NOWOSYBIRSK, CMSK, CZELABINSK, później przez URAL i w około MOSKWIY i przez większe miasto sowieckie Kijow (ostatnie)

Pociąg nasz teraz leciał jak na skrzydłach, a my sami siedzieliśmy w luksusowych-połskich wagonach (PFW) a na wagonach pisało, że to z Wrocławia, zdzielano w Polsce...

Wyżywienie podczas podróży mieliśmy wspaniałe i zupełnie nie podobne do pokarmu, jakim futrowano nas przez lata niewoli....???

Jazdę umilaliśmy dodatkowo wojskowymi piosenkami, przeważnie były to piosenki legionowe. Moskwę okrążaliśmy kilkakrotnie (dwie doby na około, nie wiadomo dlaczego?) następnie skierowano pociąg w kierunku na Kijow, a jadąc po przez tereny KOZIELSKA, wspomnieliśmy pomordowanych polskich Oficerów, którzy zginęli w "Mrocznym KATYNIU" i w trzy minutowej ciszy "UCZCILIŚMY PAMIĘĆ" ofiar SYSTEMU sowiec.

Na dworcu głównym w KIJOWIE przywitano nasz transport bardzo uroczystie, była orkiestra dęta i były wywieszane transparenty; że; " WITAJĄ, POLSKICH REPATRIANTÓW POWRACAJĄCYCH DO KRAJU".....

Podczas obiadu zadawano nam mnóstwo pytań; z jakich miejscowości jedziemy, gdzie pracowaliśmy i jak dużo pieniędzy zarobiliśmy? itp.

A ponieważ i tu nie byliśmy zbyt grzeczni, odpowiadając że jedziemy z katongi i że wiozą nas prosto z ~~Węgry~~"SYBIRU"...Naczalstwo z naszego pociągu jakby straciło głowę i czym prędzej podstawiono transport do odjazdu....Jeszcze tego dnia"przekroczyliśmy" maszą, starą granicę, a i już jechaliśmy na LWÓW i PRZEMYSŁ, gdzie była nowa granica, łaskawie dana POLAKOM przez samego Stalina.

W czasie przesiadania na pociąg PKP (do takich małych wagoników jak za czasów Cesarza Wilhelma) urządziliśmy jeszcze coś w rodzaju manifestacji, wiwatując na chwałę Polski (jeszcze w ten czas nie wiedzieliśmy, że właściwej-naszej Polski, już od końca wojny niema...)a z ogromnej radości wszyscy całowali ziemię Czystą i przez długie chwile podzucali polskiego żołnierzyka, z Cchrony Pogranicza. Również żegnając, obelżywając i nawet plując na tych co nas przywieźli..(nie wiem, czy akurat CNI byli winni, służąc takiemu SYSTEMOWI..?) I w ten sposób pożegnaliśmy przedstawicieli, niezbyt gościnnych rusaków.

A nasze porachunki pozostały nadal z kontem otwartym i wobec Komunistów Sowieckich będziemy pretendowali do zapłacenia nam za nasze męczarnie i za nasz darmowy trud w karczowaniu tajgi w kopalniach i na wszystkich kolejach północy i Syberii.....

Nocą, przywieziono transport z Krasnojarska na punkt Repatriacyjny gdzieś około Giżycka. Dopiero po kilku dniach i po dokładnym spisaniu naszych danych, mogliśmy rozjechać się do swoich domów.

Jestem już w swoim domu i dobrze mi jak u MAMY, a wszędzie, gdzie przebywam witany bywam jak przybysz z innej planety. Po mimo że jest koniec grudnia i jak mówią, mroźnik dosyć dobry, nie odczuwam zupełnie i chodzę lekko ubrany, jak wiosną, na Syberii..... Po badaniach lekarskich, nie zadługo byłem już skierowany do sanatorium, widocznie mój strasznie wychudzony organizm, nie wytrzymał krytyki polskich lekarzy i po kilku dniach znalazłem się pod opieką, pani doktor Jasińskiej, (sanatorium w Tolanicy zdr.) która potrafiła szybko okryć moje kości, nowym mięsem. Gdy powróciłem do Korzeniewa byłem już zdolny do rąbania nawet drzew, a już w roku 1956 oglądałem się za ładną buzią.

W lutym tego roku, musiałem meldować się w RKU w Malborgu. Zostałem, mocno indagowany przez ob. majora (był bardzo podobny do tego żyda ze Smorgoń) a przy wypełnianiu ankiet, pan oficer Ludowego Wojska Polskiego, był tak łaskaw podkreślać, że CNI (to znaczy Władza Ludowa) mają, w dupie mój skromny stopień wojskowy i całą, moją, Armię Krajową.?.....Za powyższe wyróżnienia szczególnie podziękowałem "towarzyszowi" majorowi i odmeldowałem się posłusznie do swojej mamy.

Jeszcze tego samego dnia, wracając z Malborga do Kwidzyna, widząc kolejkę wpakowałem się do sklepu (okazało się, że to konsumy) niedaleko Komendy Milicji Obywatelskiej, będąc zdławiony obfitością wędlin i innych prod. spożywczych, kiedy w owym czasie, sklepiki zwykłych śmiertelników przeważnie świeciły pustkami..... Gdy przyszła moja koleja zakupu, sprzedawca zarządał, jakąś kartę konsumcyjną,? (później dowiedziałem się, że takie karty mieli wyłącznie, pracownicy URZĘDU BIEZPIECZEŃSTWA, MILICJI, PROKURATURY.

Nie wiem, być może wyszedłem z siebie, gdyż zacząłem krzyczeć głośno i wyzywać całą Władzę Ludową, od faszystów, od złodziei, ponieważ poprostu nie mogłem pojąć, jak to mogło się wydarzyć, żeby w roku 1956, w jedenaście lat po wojnie, w wolnej Polsce, hulało jeszcze hasło "NUR FÜR DEUTSCHE"; jak za dobrych czasów okupacji hitlerowskiej?.....W kolejkę jak by szlag trafił, wszystkich odrazu wymiotło ze sklepu, widocznie nikt niechciał być świadkiem takiej rozruchy, na skalę dzisiejszych demonstracji. Wtedy byłem tylko sam. Kierownik sklepu, jednak mnie obsłużył, ale prosił żebym więcej do TEGC sklepu nie zchodził.....

Po powrocie do domu, musiałem mocno tłumaczyć się swojej matce że nie ukradłem tych "specjałów", że po prostu, kupiłem lepszą wędlinę i masło w "komsumie"; w sklepie dla lepszych ludzi o czerwonych podniebieniach, powiedziałbym więcej, kupiłem towar delikatesowy w sklepie, dla polskich "NADLUDZI"..., i to w państwie praworządnym, socjalistycznym i sprawiedliwym.....

Był to rok w moim życiu, pełen wydarzeń, przygód i miłych sercu niespodzianek.

Wiosną 1956 roku, poznałem na miejscowej poczcie w KORZENIEWIE, bardzo ładną i smutną kobietę, która tak mi przypadła do gustu, że od tamtej chwili, znowu wpadłem w "NIEWOLĘ", tylko z tą różnicą, że w takiej niewoli chciałem już żyć, do końca swego wieku. Jak młody sztubak, mając już 33 lata zakochałem się w kobiecie, która już była mężatką. Pochodziła z rodziny niemieckiej, a zamąż wyszła bardzo nie szczęśliwie, ponieważ dobrała sobie takiego człowieka, z którym już od wielu lat nie chciała współżyć, ponieważ okazał się bardzo przykrym i ordynarnym współmałżonkiem. Pracował w ciągłej delegacji po całym Kraju, a kiedy raczył odwiedzać ich dom, to wyłącznie po nowy zapas żywności i żeby okazać swoją wyższość polaka nad zahukaną niemką. Ciągłe awantury i burdy po pianemu tak dokuczyły biednej rodzinie, że w końcu, przy pomocy rodziców, wyzucono "ropiejący wrzód" z domu. A ja, korzystając z okazji, naturalnie zaproponowałem poznanej pani swoją pomoc i z czasem małżeństwo. I tak, niedawna i zniechęcona przez p. Koksę kobieta, wkrótce (po rozwodzie w Gdańsku) została moją kochaną żoną. W tym że jeszcze roku, w poszukiwaniu pracy, udałem się do Białogardu. A razem ze mną pojechała również Krystyna, moja najdroższa pocieszycielka, mój nieoceniony skarb... (a jaki to był "SKARB" okaże się dopiero po 30 latach szczęśliwego-małżeńskiego współżycia...) Ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego wzięliśmy w Białogardzie, gdzie znaleźliśmy oboje pracę w handlu. Nowe życie zaczęliśmy od przysłowiowej łyżki, którą również musieliśmy kupić, rodzice też nam pomogli ale w trochę późniejszym terminie. Wszystko musieliśmy zdobywać, nawet z dostaniem mieszkania mieliśmy dwa worki olbrzymich kłopotów..? Ale wielka i dobra miłość, wynagradza i przynosi zawsze ukojenie. Po prawdziwej gimnastyce z urzędnikami PRL-u udało nam się wcisnąć do dużego mieszkania, po wyjeżdżających Niemcach, którzy za prośbą mojej żony,

tymczasowo przyjęli nas na sublokatorów...." Wigilię Wielkiej Nocy 1957 r. próbowano nas siłą wyzucić z pomieszczenia, które należało do Zakładów Energetycznych w Białogardzie, dopiero na interwencje Sekretarza Powiatowego Komitetu ob. Makochonika, pozostawiono nas w spokoju a eksmisję zawieszono do 3 tygodni. Wtedy zaczęła się moja pierwsza walka z biurokracją PRL-u, a mając kartę repatriacyjną i odcinek "Trybuny Ludu", gdzie informowano o prawie zakwaterowania przyjeżdżających repatriantów z ZSSR, na miejsce wyjeżdżających Niemców. Na podstawie tych dwóch papierków, odwołałem się do Wojewódzkiej Komisji Lokalowej, skąd w niedługim czasie, otrzymałem wezwanie na rozprawę. W imieniu Zakładów Energetycznych wystąpił Radca Prawny, żydek z Białogardu, onże Radca Prawny ze Spółdzielni "SPCZEM" w której ja sam pracowałem, Rozprawa nie trwała zbyt długo, ponieważ po wywodzie Przewodniczącego Komisji i po konkretnym zapytaniu pana Radcy "właściwie kogo CN broni? Czy murów Zakładu Energetycznego (w którym mieszkalem) czy też interesów pracownika Spółdzielni w której pracowałem a Radca był u nas na pół etatu? A ponieważ w tamtych czasach ludzie byli stawieni wyżej od zwykłych murów, więc przy pomocy przebiegłego i zacnego pana Przewodniczącego, sprawę wygrałem, otrzymując "decyzję na mieszkanie, po wyjeżdżającym Niemcu p. Reinke.

Gdy się zameldowałem w Białogardzie, automatycznie otrzymałem ^{wezwanie} do RKU. Musiałem odbyć dłuższą rozmowę z Naczelnikiem Władzy Wojskowej (podobnej do rozmowy za pierwszym razem w Malborku) mam szczęście do tych ludzi... Przyjął mnie pan major Fajenzynski który tak a zaaregował na moje zastrzeżenie, co do formalnego wetknięcia do dupy mojej Armii Krajowej i mojego stopnia wojskowego.., "nu panie Jencyk, teraz czasy się zmieniły i wszelkie skrzywienia będą naprawiane.." Na co ja odpowiedziałem towarzyszowi majorowi że "niedobre czasy w Polsce jeszcze nieraz będą się zmieniały"; ? jak bym chciał zostać jakimś prorokiem...???

Muszę jeszcze powrócić do roku 1956, bo przecież od tamtych dni w Poznaniu zaczęły się w Kraju działać ewolucyjne przemiany, tym razem rodzime czołgi usmierzały robotników wołających o wolność i chleb... Jak "warchoły", co się rzuciły na Komitety PZPR i Urzędu Bezpieczeństwa (którym, w swym radiowym przemówieniu, obiecywał Premier Cyrankiewicz, "ręce odrąbywać"..... Do władzy przychodzi, więzień U.B. Władysław Gomułka, jakoby nowa i miękka miotła ??? Nawet przez kilka miesięcy naród polski zachwycał się tym dostojnikiem, do czsu, kiedy wezwano GO do Moskwy..., skąd powrócił znowu "czerwoniutki", by rządzić nami według wskazówek komunistów.

W polsce jest rok 1970 bez większych u mnie wydarzeń. Nadal jestem zerem, takim zwyczajnym obywatelem czekającym na lepsze czasy....Mam już mieszkanie, rodzinę i pracę, która nie satysfakcjonuje nas, nie dając żadnej gwarancji na dostatnie utrzymanie rodziny, która już składa się z "ładnej piątki" z trójki dziewcząt; Maria, Renata, Beata, z dwójki chłopaków; Kazimierz (nasz wychowanek) i Waldemar. Były to bardzo trudne czasy, a dla utrzymania tak wielkiej rodziny, żona moja też musiała pójść do pracy, ~~przejmując~~ opiekę nad dziećmi powierzyliśmy rodzicom mojej Krystyny, których przywieźliśmy z Widyńskiego. Mając teraz dom pod dobrą opieką już mogliśmy spokojnie oddawać się pracy zarobkowej.

Jest trudno materialnie, ale my jesteśmy szczęśliwi, że burze, przechodzące obok nas i naszego domu, nie przynoszą nam innych zmartwień....,bo słyszymy stale że kogoś zabrano, kogoś aresztowano..., że już w Radomiu robotnicy strajkują. Nawet protestowała Warszawa (Ursus) gdzie towarzysze z Komitetu Central. PZPR, znowu wyzywali strajkujących tak po chamsku "WARCHCZYAMI" dlaczego? dlatego że chcieli tylko poprawić swój byt?

Na "Polskiej Drodze" zaczęło się pojawiać wiele znaków zapytania???

Narazie nasz dom bezpieczny, na jak długo? Kontakt ze swoimi przyjaciółmi nie tracę, z tymi co odbywali również wielkie wyroki i z tymi co jeszcze pozostali na wygnaniu. Miałem wspianego druha, który razem ze mną powrócił do Kraju. Był nim kapitan Jan Piątek (Czarny) któremu udało się przewieść przez granice, dużo swoich prac, notatek i wierszy... Szczególnie utrwalił mi się wiersz poświęcony kolaborantom, dzisiejszym "patriotom" polski, którzy po dzisiejszy dzień szukają "Przyjaźni u towarzyszy Moskali"

"Za coż was kochać, krwawi przyjaciele,
Za kazamaty, katorgę wśród lodów?
Za tajgę, Sybir, za ofiar tak wiele,
Za życie milionów, przepadłe od głodu.?"

Nie ma przyjaźni, gdy dzieła mogiły,
Gdy las KATYŃSKI o pomszczenie woła,
Gdzie całe wieki nienawiść rodziły,
Gdzie krew, gdzie łzy, gdzie cmentarz dookoła.

Hanba temu, kto szuka z katami przyjaźni,
Kto liże dłanie, naszą krwią zbroczone,
Kto nie zna naszych bohaterów KAŻNI...?
Kto nie chce spojrzeć za drutów zasłone...?

Jak głęboko jest ujęta straszna prawda, w tych kilku wierszykach, Zaledwie w kilku zdaniach Jan Piątek ujął ogrom tragedii POLAKÓW i tragedii całej POLSKI. Czy i dziś jeszcze miłośnicy Moskwy nadal chcą przekonywać swój naród, że to nie prawda..., że nie ma żadnych "białych plam" na stosunkach polsko-radzieckich...

I coż pan na to, panie liberale, panie Januszu Mikke-Korwin ?

Pomimo, że już sami śmielsi historycy Radzieccy, poczynają przebąkiwać o tym i o owym z ponurych czasów Szatana Stalina, co nie sprawia wiele przyjemności i satysfakcji dla naszych zatwardziałych popleczników U.B. i NKWD.

Nasz dom jest pełen młodych i szczęśliwych ludzi. Córki obie wyszły za mąż i rodzinka powiększyła się o dwoje ślicznych wnucząt. Jeszcze przed kilku laty żył z nami, taki mały Kajtuś (wychowanek) później, po szkołach, nazywaliśmy go Kazio, a kiedy już wyrósł i ożenił się z piękną panną Grażynką z Białogardu (córka Władysława Mazura, mojego cichego bohatera z nad Jenisieja), Obecnie nasz syn już Kazimierz Hoefl, łowi sobie rybki po całym świecie.

Jest nam dobrze, rodzina zdrowa w komplecie i chociaż już nasze córki pracują, nadal mieszkamy razem i cieszymy się życiem. Cboje z żoną przeszliśmy już na renty chorobowe, ja z powodu kilku zawałów i tyłuż wylewów otrzymałem drugą grupę, a moja ukochana Krystyna też z nie wydolnością serca i reumatyzmem obu nóg, dostała trzecią grupę i teraz jesteśmy na żebraczym prawie chlebie.... Przy pomocy zarobków naszych dzieci prowadzimy skromny żywot i już bardziej przychylnie patrzymy na poczynania polskich robotników... W atmosferze polskiej daje się wyczuwać wzrost napięcia....Świąt robotników zaczyna szemrzeć..., zaczyna śmieiej wołać o poprawę bytu, o sprawiedliwość społeczną, widząc obok wspaniałe życie niektórych "towarzyszy", rozmyśla już o buncie..., o rozprawie z komuną....

Jeszcze się w Polsce nie uspokoiło po wydarzeniach lat siedemdziesiątych, a już słychać o wielkich mityngach, o zebraniach i o nowych i to wielkich aresztowaniach jakichś działaczy wolnościowych, którzy jakoby w obronie robotników, walczą w konspiracji i teraz narażają się na aresztowania...

Nasze życie nadal płynie swym trybem, renty są już nie wystarczające, by normalnie żyć...Jedynie można egzystować trzymając się kupy, razem żyć z kilkoma rodzinami przy jednej kuchni. Ludzie chodzą bardzo przygnębieni i zatroskani, dlaczego teraz w naszej Polsce jest tak bardzo źle ? Dlaczego tak nagle wszystko drożeje.?.Dlaczego ludzie w Zakładach pracy tak mało zarabiają ? I dlaczego czerwoni uzurpatorzy wciąż tak mocno trzymają władze w swych rękach ?

Rok 1980. Nareszcie doczekaliśmy swojej rewolucji. Zaczął GDAŃSK, ze swoją stoczną im.Lenina, później stanęła Stocznia im.Warskiego w Szczecinie, a już po nich, stanęły prawie wszystkie Zakłady w całym Kraju. Utworzono wszędzie Komitety Robotnicze, które weszły w układy z Rządem. Podpisano UMCWY. Może teraz będzie w Polsce lepiej, lżej żyć, może już nie trzeba będzie bać się komunistów i ich Urzędów Bezpieczeństwa.?.

1980 rok. Pełen politycznych wydarzeń i przemian z pogrzebami wyłącz- nie...Ale zanim powstała nasza, robotnicza, wymarzona "SOLIDARNOŚĆ", może króciółtko straszczą, ostatnie przemówienie radiowo-telewizyjne Pierwszego Sekretarza PZPR, Edwarda Gierka, który prawie ze łzami ją wygłosił w dniu 18 sierpnia 1980 r. a oto i ono;

"Szanowni Obywatele, Rodacy, Drodzy Obywatele, Obywatele, Drodzy współobywatele, Rodacy..,wydarzenia ostatnich tygodni, a zwłaszcza ostatnich dni przejmują nas wszystkich głęboką troską. Przerwy w pracy licznych Zakładów, występujących kolejno w różnych regionach Kraju naruszają normalny bieg życia, dezorganizują produkcje, rodzą napięcia...,itp...,itp.,itd.....(nawet największym przywiązaniem do praworządnego działania władz, wobec obywateli, nawet największymi obietnicami nie udało się sławetnemu górnikowi ponownie zaskarbić zaufania u mas klasy pracującej, ponieważ polacy uznali GO za zdrajcę spraw polskich...

Już od sierpnia 1980 roku zaczyna się nowy rozdział POLSKII Nowy Rząd, nowe Związki Zawodowe "SOLIDARNOŚĆ". Ogromne strajki robotników w Gdańsku, Szczecinie, Jaszczębiu-Zdroju, w Gdyni, Warszawie i w wielu innych miastach naszego Kraju....

Na czele Rządu, nowo mianowany Premier, Józef Piłsudski, naturalnie człowiek ze starej nomenklatury) a oto cytat z Jego jedyne- go przemówienia na Sejmie PRL-u;

" Pełnienie obowiązków Prezesa Rady Ministrów zostało mi

powierzone przed niespełna dwoma tygodniami, w wyjątkowo trudnej chwili, gdy szczytowemu zaostreniu uległy w kraju nastroje społecznego niezadowolenia. Dziś stoję przed obywatelami posłami przeniknięty poczuciem wielkiej odpowiedzialności, aby zdać sprawę z tego co Rząd już uczynił i przedstawił co zamierza na najbliższy okres, obecne posiedzenie Sejmu odbywa się już w atmosferze pewnego odprężenia, Csiągnięto porozumienia z Komitetami Strajkowymi, społeczeństwo przyjęło z wyraźną ulgą i z nadzieją że znajdziemy wyjście z obecnej sytuacji społeczno-gospodarczej, że rozwiążemy powstałe trudności. Dążyliśmy do tych porozumień cierpliwie i konsekwentnie, kierując się nadrzędnym interesem narodu i dobrem Polski Ludowej, wychodząc na przeciw życiowym potrzebom ludzi pracy...."(wygląda na porządnego człowieka, jednak, myślę że na tym stanowisku nie długo zagrzeję miejsca, jest za słaby..?)

Jeszcze dobrze grzyby nie obrodziły a już jakaś KANIA wyłazła...Kto to jest? Że polska partia komunistów musi mieć przewodcę to fakt, ale z kąd tego faceta wytrzasnęli..? Jakoby był kiedyś w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, był także pracownikiem Bezpieczeństwa (polskie NKWD) właściwie mógłby nadawać się dla dalszej osłony prominentów...A może został przysłany w portfeliku przez batiuszkę, Breżniewa w zamyśle za zmarłego Rokowskiego? U góry w Białym Domu, zmian żadnych nie zanotowano, również w polityce, żadnej odnowy, nadal popierają skompromitowanych, przeżucając ich z jednego końca polski w drugi...Chociaż te wszystkie machinacje nie wyjdą im na dobre, a "SOLIDARNOSĆ" czuwa.

Kania rozrabia.., już zdążył na zjeździe ^{xxvi} wyrazić się w imieniu opinii całego Narodu Polskiego; że Polska zawsze będzie lojalna, wierna i że żadna kontrewolucja w polsce nie przejdzie. Kania zastrzegł się, że ma dość siły i woli...

"SOLIDARNOSĆ" jest dziś najpiękniejszym słowem, jakie ostatnio się słyszy na ulicy i w każdym polskim domu. A sami Związkowcy tak mądrze mówią, piszą..., a jakie piękne hasła głoszą...Oby tylko były prawdziwe i weszły na stałe do naszego-polskiego życia. Niech by już rządzili i niechby już ten LECH z FIASTÓW, zaczął mądrze myśleć i rządzić (powyższe słowa mam zanotowane na bieżąco w latach organizacji "SOLIDARNOSCI"-1980 rok)

Ciekawi mnie styl pracy wicepremiera Jagielskiego, jest człowiekiem oblatanym, jakoby z wzięciem i jest niezłym politykiem, a jak wszyscy politycy też niezłym kłamcą, oto przykład z rozmowy p. Jagielskiego z Przewodniczącym MKS w Gdańsku Lechem Wałęsą. Cytaty pod tytułem; " Z kim rozmawiamy"...

Panowie. Rozmawiacie z innymi ludźmi, nie z tymi, którzy w grudniu 1970 roku, na pytanie; "POMOCZECIE"- odpowiedzieliśmy pomożemy.., Jesteśmy inni, bo przez ostatnie 30 lat nauczono nas, że obietnic się nie dotrzymuje. Jesteśmy inni, gdyż zrozumieliśmy, że mówiąc o uzdrowieniu gospodarki, myśli się o tym, jak nas oszukać. Z kim rozmawiamy? Postawiliśmy to pytanie w nagłówku. Odpowiedź wydałaby się prosta, z Komisją Rządową. Z Wicepremierem PRL-u. Tymczasem na sali obrad MKS, pan Premier, najczęściej wypowiada słowa; ja nie wiem, ja się tymi sprawami nie zajmuję, ja nie zdążyłem się dowiedzieć... Doszło do tego, że na pytanie jednego z członków Prezydium MKS, "czy pan Premier czytał wczorajszą "Trybunę Ludu" Jagielski odpowiedział,- nie zdążyłem" Szczerą odpowiedź. Sala przywitała tę szczerą odpowiedź-śmiechem. Czy tylko na takie "szczerę" odpowiedzi stać pana Premiera.?

Podstawowa sprawa dla ludzi, których reprezentuje MKS jest utwarzanie nowych Związków. Dialog na ten temat wygląda nader osobliwie. Przedstawiciel MKS mówi; my chcemy wolnych Związków Zawodowych, Premier odpowiada, zgoda my również jesteśmy za modernizacją ruchu związkowego. MKS powstała z uporem, "nie chcemy modyfikacji starych skostniałych struktur związkowych.

Jagielski na to; oczywiście wszystko się zgadza, uzgodnijmy więc zasady na których ma nastąpić reorganizacja Związków Zawodowych..? Przypomina to dyskusję baby z dziadem w Mickiewiczowskiej Balladzie "strzyżenie - golenie", gdzie; baba-strzyżenie, dziad-golenie, dziad się zdenerwował i babę utopił. Ona nawet topiąc się pokazuje palcami ruch nozyczek-strzyżenie...Ta krótka dygresja nie jest oczywiście próbą sugerowania, że ktoś kogo będzie topił, wróćmy jednak do sprawy. Dialog, a właściwie dwa odrebne monologi, komentowane były z sali huraganowymi wybuchami śmiechu, jaka modernizacja? jaka odnowa? Dlaczego pan Premier nie słyszy? dlaczego nie słyszy tego, co mówi Prezydium MKS? Dlaczego nie słyszy żywiołowego, serdecznego śmiechu, szczerze ubawionych ludzi pracy zgromadzonych na sali ~~obrad~~ obrad.

Atmosfera na tej sali jest zupełnie inna, niż kilka dni temu. Wiele się zmieniło, co raz częściej ludzie po prostu śmieją się. Szczerze się śmieją. Trzeba byłoby się zapytać, jak są odbierane słowa p. Premiera, który ciągle powtarza o swojej szczerości i prawdomówności, a czy pan Premier nie wie o wiekokrotnych zatrzymywaniach, aresztach, o pobiciach zatrzymanych przez MO i SB ? osób związanych z opozycją demokratyczną, na terenie całego Kraju. Pozostaje zadać pytanie; O czym wie nasz Premier ? Jeszcze w piątek rozrzucono ulotki podpisane przez Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodu z następującym tekstem; uczestnicy strajków nie poniosą żadnych konsekwencji, jeżeli nie dopuścili się czynów nie zgodnych z ustawodawstwem PRL. Dziś nikogo nie zdziwiłaby ulotka o treści "osoby rządzące nie poniosą żadnych konsekwencji jeżeli nie dopuściły się czynów niezgodnych z wola i interesem robotników polskich.

* WYWÓZKA ŚMIECI *
 =====

1X zjazd PZPR oczyścił swoje szeregi z brudów po Gierkowskiej polityki, pozostali wyłącznie sługusy PRZYJACIOŹ za MOSKWY na czele; z Jaruzelskim, pozostał jeszcze Kania, Rakowski, Barcikowski, Siwak i bydle Olszowski, niezbyt wiele dla dalszego działania w/g Moskiewskiego sterowania, chociaż wystarczająco by jeszcze dużo-dużo krwi napać polakom dążącym do Wolności i Demokracji.

Edward-Gierek
 Jęgo-goryl-
 Mieczysław-Jagielski
 Stanisław Kania
 Piotr-Jaroszewicz
 Wojciech Jaruzelski
 Władysław-Grudzien
 Mieczysław-Mozer
 Władysław-Bafia
 Roman-Ney-
 Zdzisław-Kurkowski
 Józef-Kłosa
 Henryk-Kisiel
 Stefan Olszowski
 Kazimierz-Guwa--
 Bogdan-Jachacz
 Franciszek-Kaim
 Józef-Pinkowski
 Iwan-Waszczuk
 Jerzy-Zasada-
 Aleksander-Kopece
 Tadeusz-Grabski
 Alfred-Kowalski

Tadeusz-Wrzaszczek
 Zdzisław-Zandarewski
 Teofil-Kłonna
 Jan-Szydłek-
 Kazimierz ministrowi za dyche
 Grzegorz
 Andrzej-Zabinski
 Władysław-Kruk
 Władysław-Kozdra
 Roman-Malinowski
 Edward-Babinec
 Kazimierz Barcikowski
 Alojzy-Karkoszka
 Władysław-Kruezek
 Jerzy-Zukaszewicz
 Maciej-Szczepanski super złodz
 Alfons-Szyszek
 Jadwiga-Zokaj-
 Jerzy-Putrament-
 Franciszek-Prokopiak
 Andrzej-Werblan
 Włodzimierz-Łejezek
 Eugeniusz-Patyk

Z najwyższym uczuciem odrazy wycinam w pień ludzi, którzy przyczynili się do zdrady Rzeczypospolitej Polski, wymazując ich przy pomocy lipcowego zjazdu PZPR.

A oto dalszy ciąg listy czerwonych diabłów z Komitetu Centralnego PZPR, których 1X zjazd pozbawił prawa, dalszego rządzenia Polską.

Adam-Glazur
Stanisław-Kulesza
Zenon-Biażeełji-
Ireneusz-Brych
Leon-Brzezdz
Ireneusz-Crygiel
Marian-Hebda

Albin-Siwak Albin Siwak
Bronisław-Koperski
Leon-Kotarba-
Iwan-Majchrzak
Albin-Pożownik
Henryk-Jabłonski

Przeszło 30-tu byłych, pierwszych Sekretarzy PZPR (mam na myśli sekretarzy Komitetów wojewodzkich) nadal przechowuje, nowy K.C. lub poupychał to ścierwo na placówki zagraniczne... (ładny schowek)

Ktoś kto przyjechał do nas z Gdańska po tych strajkach, powiedział, że zapachniało "powstaniem", ale "SOLIDARNOŚĆ" to nie jest przecież A.K. To wyłącznie wielki ruch społeczeństwa, który napewno wyklaruje się i będzie tym, na co my wszyscy oczekiwaliśmy przez 30 lat, dzień i noc wyglądaliśmy na cud z nieba.....? Nareszcie mamy już "SOLIDARNOŚĆ", ale co dalej będzie z tą piękną, "jaskółką" wolności @ ? My się nie boimy. Mimo wszystko musi się udać. Lech Wałęsa kiedyś powiedział; " że nie ważne, kto rządzi, byle rządził dobrze", a wogóle ten, Przywódca strajkujących z Gdańska jest do rzeczy i napewno nadal będzie ten Związek Zawodowy prowadził, czego życzymy dla niego i dla całego Związku "SOLIDARNOŚĆ" dużo dobrego. Pomysłnych wiatrów Panie Lechu(zapisane w sierpniu 1981 roku w Białogardzie)

Ku pamięci potomnym; Święte słowa 1-go Sekretarza, Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, towarzysza Wojciecha Jaruzelskiego wygłoszone na v Plenum Komitetu Centralnego;

* Nie może być niepodległej, o sprawiedliwe granice opartej POLSKI bez socjalizmu. A jednocześnie nie może być socjalizmu bez partii, bez spełniania przez nią, historycznej misji.

Świadomość tej współzależności powinna nam - patriotom polskim polskim komunistom - nieustannie towarzyszyć * Amen.

Czy tych słów, nie można było przypomnieć posłom na SEJM, dzisiejszej kadencji, roku pańskiego, kiedy w swoim zaślepieniu wybrali tego "małpizsona w mundurze" na prezydenta Rzeczypospolitej Polski. Niech ten rok 1989 również będzie, tragicznym rokiem polskiej CDNOWY. Ale, czytajcie dalej czcigodni posłowie, co wówczas powiedział, Wasz dzisiejszy Prezydent ;

Szanowne Towarzyszki, i Towarzysze. Od czwartego Plenum minęło zaledwie kilka dni. Ale jego oceny, jego wnioski stale potwierdzą,

życie- nie musimy więc dzisiaj ich powtarzać, musimy je z całą konsekwencją realizować. Dlatego też proszę nie traktować tego wystąpienia jako zasadniczego zwrotu referatu, ale raczej jako informację i kilka uwag na tle aktualnej sytuacji, jako ogólną propozycję, stanowiska partii wobec najbliższego posiedzenia Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Sprawa zasadnicza, konsekwentne wdrażanie Uchwały 1X Zjazdu. Uznaliśmy na 1V Plenum iż generalna linia wytyczona przez 1X Zjazd jest słuszna i trwa, sprawa zaś zasadnicza jest jej konsekwentne i skuteczne wdrażanie. Ponieważ takiego gadania zebrało się na całą stronę "Trybuny Ludu" z dn. 30.X.1981 roku, ujmę w większym skrócie cytując niektóre ciekawsze pozycje; Partia wzywa realistyczne siły "SOLIDARNOSCI" do zaprzestania polityki negacji. Proszę towarzyszy, powstały nowe straty, Polska stała się uboższa zarówno o tę godzinę przestoju, jak i o wiele dniowe strajki trwające nadal w różnych regionach kraju, paralizujące niektóre niezwykle ważne dziedziny gospodarki- jak chociażby strajk w zagłębiu siarkowym i jego groźne dla chemii, dla rolnictwa, dla eksportu skutki. W imię najwyższego dobra, w imię ocalenia narodu, partia wzywa "SOLIDARNOSĆ", jej realistyczne siły, do konstruktywnego podejścia do przerywania strajków, do zaniechania nie kończącej się negacji, do zdjęcia blokady.

Pomoc radziecka dowodem przyjaźni. Największy niepokój, budzi obecnie niedostateczne zaopatrzenie w mięso. W tej krytycznej sytuacji znów przychodzi nam z pomocą Związek Radziecki. Mimo wielkiego nieurodzaju i związanych z tym trudności, specjalna decyzja kierownictwa radzieckiego, jeszcze w tym kwartale dostarczonych nam zostanie 30 tys. ton mięsa. Oto jeszcze jeden dowód przyjaźni, internacjonalizmu, zadający kłam antyradzieckiej szarlatanerii na temat wzajemnych stosunków ekonomicznych.

Współdziałanie z patriotycznymi siłami uznającymi realia socjalizmu. Szanowni towarzysze, to szerokie otwarcie naszej partii na aktywne działanie ze wszystkimi patriotycznymi siłami, powinno dawać narodowi jak największy pożytek, podnieść autorytet partii, zwiększyć ekonomiczne szanse, skuteczność tej linii, tego otwarcia na zewnątrz- będzie tym większa, im partia wewnątrz będzie bardziej zwarta i jednolita, będzie pryncypialna w swej marksistowsko-leninowskiej postaci.

PZPR wymaga aktywności i zdyscyplinowania wszystkich swych członków. Dziś partia szczególnie wymaga sprawnego, ofiarnego kierownictwa, przestrzegania przez nie leninowskich norm. Towarzysze. Przypadło nam działać w niezwykle trudnym czasie. Teraz najpewniej sprawdzają się ludzie, ich ideowość, ich rzeczywiste wartości. Przed nami czas może jeszcze trudniejszy. Ale przyszłość należy do naszej socjalistycznej sprawy, (napewno?) do socjalistycznej Polski. Dla jej obrony musimy oddać wszystkie siły. Musimy nieustannie pamiętać, że nie może być niepodległej o sprawiedliwe granice opartej Polski bez socjalizmu. A jednocześnie nie może być socjalizmu bez partii, bez spełniania przez nią historycznej misji. Świadomość tej współzależności powinna nam patriotom polskim, polskim komunistom - nieustannie towarzyszyć. NIC DODAC, NIC UJAĆ. I taka jest rzeczywistość w Kraju, w którym stawiano i nadal stawia się "ideologie czerwonych" za wzór, nawet kosztem "zdrady" swoich współrodaków, albo "zdrady" Kremla.....

Lato 1981 r. Coraz częściej pojawia się w środkach masowego przekazu, wołanie o odpowiedzialność Związków Zawodowych za losy kraju, funkcjonowanie gospodarki w myśl założeń reformy, która jak dotąd daleka jest jeszcze od wprowadzenia, nie trzeba dużo, by obarczyć odpowiedzialnością, za zaistniałą sytuację nie kogo innego, jak właśnie nowe Związki Zawodowe, wywalczone przez społeczeństwo w momencie, gdy wszystko dosłownie przestało funkcjonować normalnie.

W tej sytuacji korzystne byłoby "podzielenie się odpowiedzialnością". Jak że jednak można mówić o odpowiedzialności za sytuację przez społeczeństwo "NIEZAWINICNA". Przewidywana reforma Gospodarcza, zakłada rozłożenie odpowiedzialności na całe społeczeństwo. Wymaga to delegowania uprawnień władczych na całe społeczeństwo. Chodzi bowiem o to, by wszelkie decyzje istotne z punktu interesu ogólnospołecznego, nie były podejmowane po za społeczeństwem. Stąd też, jeżeli mowa ma być o odpowiedzialności, to dotyczyć ONA może społeczeństwa (a w tym i nowych Związków Zawodowych) tylko wtedy gdy będzie ONO władne podejmować i egzekwować wszelkie decyzje jego dotyczące. W tej sytuacji władze nie mogą być jedynym podmiotem. Aparat państwowy pełnić ma jedynie rolę "komitetu zarządzającego" który na bieżąco kontrolowany byłby przez całe społeczeństwo. Dopuki jednak nie zostanie to zrealizowane, doputy odpowiedzialność ogniskować będzie wyłącznie wokół władz partyjno-rządowych.... I gdzie tu granice odpowiedzialności, zapytuje gazeta "SOLIDARNOŚĆ".

W naszym/zyciu pojawiła się nowa, wielka wiara i nadzieja, że "SIERPIEŃ" roku 1980 przyniesie polakom wolność i prawdziwą, demokrację, że zjednoczy wszystkich polaków w braterskich szeregach "SOLIDARNOSCI" i że pozwoli narodowi wyzwolić się z pod komuny...W Tobie widzimy, "LECHU", mesjasza, który przyniesie Polsce koronę, a ludziom swobodę i dostatnie życie. Od chwili jak powstała "SOLIDARNOSC" nasze serca ~~prę~~ biją w rytm życia tej wspaniałej organizacji i JEJ odważnego PRZYWÓDCY, który ośmielił się przeskoczyć ten mur, mur polskich niemożliwości....Który, jak heros, ruszył w pojedynkę do walki z czerwonym smokiem. Być może wiele czasu jeszcze przejdzie, zanim dożyjemy realizacji swoich marzeń..? Ale dziś już jesteś niepodzielnym bohaterem, który odważył się naruszyć spokój KREMLA... Dla wielu rodaków pozostajesz głupiótkim utopista, który z motyka polazł na księżyc, dla mnie pozostaniesz najwspanialszym żołnierzem, moim kumplem, który w kompanii "JACKA" szturmował bunkry pod Wilnem, Kiena, Dworzyszczce i pod Jewłaszami (porównałem do akcji kompanii "JACKA"(Ryszard Reiff) gdzie podobni do Ciebie drogi LECHU również walczyli o tę POLSKĘ.

My tu sobie marzymy z Przewodniczącym "SOLIDARNOSCI" o świetlanej przyszłości naszego Kraju, gdy tymczasem komunisci zbierają nowe siły, by rozbić jedność "10-milionowej" organizacji, cała prokomunistyczna prasa PRL-a, huczy i syczy jadem przeciw działaczom nowego Związku, szczególnie na łamach "Trybuny Ludu" komuchy już od kilku miesięcy przygotowują społeczeństwo, że rząd i partia musi znaleźć należyty odpór, na ataki manipulantów..... artykuły "Trybuny ludu" z roku 1981 niech świadczą o obawach i reakcji PZPR-ow ; Dyskusje członków KC z 19.10.1981 r. 25 rocznica VIII plenum, z 21.10.1981 r. "Cena strajku zapłaci całe społeczeństwo" tryb.ludu z 26.10.81 r. Przeciwdziałanie władzy...Rząd podejmie zdecydowane działania 23.10.81 r. Na przekór linii porozumienia z 26.10 1981 roku, itd itp.....

A co na to sami robotnicy.? Chciał^bym przedstawić pewną ~~reza~~ rezolucję w małym skrucie;
My robotnicy wydziału Montażu Ciągnika w ZM "URSUS", zebrani w dniu 22.09.81 r. wyrazamy zdecydowany protest przeciwko stwierdzeniom zawartym w oświadczeniu Biura Politycznego KC PZPR, Rady

Ministrów PRL, oraz KC PZPR i Rządu Sowieckiego. Nie pozwolimy obrażać siebie, ani naszej organizacji związkowej. Nie jesteśmy kontrrewolucjonistami.., kontrrewolucjonistami i antysocjalistami są, rządzący, którzy wypaczyli historię, zniszczyli kulturę, zepchnęli kraj na krawędź nędzy. Nam robotnikom, dobro ojczyzny głęboko leży na sercu. Naszych przywódców związkowych, wybraliśmy z pośród nas w demokratycznych wyborach. Dzielenie ich na radykałów i liberałów, na dobrych i złych jest wymysłem załganej i skompromitowanej propagandy. "SOLIDARNOSCI" zarzuca się niekonsekwencje, brak zaangażowania w obronę interesów pracowniczych. To nieprawda. Od początku swego istnienia Związek stał się obiektem ataków ze strony władzy totalitarnej, antyludzkiej i antyrobotniczej. Naszą walką, jest obrona Związku, jest obrona społeczeństwa. Stoimy na gruncie poszanowania konstytucji PRL.

Dlatego właśnie dążymy do realizacji konstytucyjnego zapisu, iż "władza w PRL należy do ludu pracującego miast i wsi" Realizujemy to organizując prawdziwy samorząd robotniczy. Przesłanie nam grozić. Uświadomcie sobie, kto na was pracuje. Uświadomcie sobie, że żołnierze polscy to krew z naszej naszej krwi, kość z naszych kości. Nie będą dziś do nas strzelać. Poznań i Wybrzeże były dla żołnierza polskiego wystarczającą lekcją. Żołnierz polski będzie wiedział, przeciwko komu zwrócić bagnet. Rządzący. Nie zwiodą nas wasze słowa. My wiemy o co wam chodzi. Was nie interesuje nasza wspólna Ojczyzna. Was interesuje tylko wasze przywileje, dochody i płace.

I dlatego boicie się "SOLIDARNOSCI". Dlatego boicie się ludu polskiego, starającego się, uchronić kraj przed dyktaturą czerwonego reżimu...,nie damy się zastraszyć. "SOLIDARNOSĆ" i robotnicy będą konsekwentnie walczyć o swoje słusne cele. Nigdy więcej nie rzucicie nas na kolana-prędzej padniemy w walce. Po naszej stronie jest prawda. ZWYCIEŻYMY. Niech żyje POLSKA. Niech żyje "SOLIDARNOSĆ".

Rezolucje załoga przyjęła jednogłośnie.

Posiadam wiele materiałów dotyczących rozwoju "SOLIDARNOSCI", które z czasem napewno posłużą do opisanego wspaniałego etosu ruchu wolnościowego. Przecież to był początek swoistej rewolucji w Europie Wschodniej. To zawdzięczając, walecznym ludziom z "SOLIDARNOSCI"; z Lechem Wałęsą na czele, mamy już dziś POLSKĘ, bez komunistów. I oile Reforma Gospodarcza da wyniki pozytywne i oile naszym Państwem będzie rządził prawdziwy polak (pokładamy ogromną nadzieję na naszego LECHA) wątpliwości niema że w naszym KRAJU, w krótko będzie tak dobrze, dla rodzin robotniczych, jak ja mam teraz w NRF.

A że jestem obecnie w Niemczech, to również, po tej smutnej przyczynie, że w kraju było źle, że panował terror i że nad POLSKĄ nadciągnęły " CZARNE CHMURY".....
I 13-go grudnia 1981 roku Generał Armii, onże "Bóg Wojny" wraz z gniazdem "WRONIM"; onże Premier Rządu PRL. onże 1-szy Sekretarz PZPR, wydał wojnę - swojemu narodowi.

"STAN WOJENNY" został proklamowany i podpisany przez bohaterskich generałów i przez Radę Państwa, za wyjątkiem jednego trzeźwego polaka, jakim okazał się; Radny, poseł na Sejm, pan Ryszard Reiff (mój najzacniejszy, najodważniejszy dowódca kompanii A.K.)

Czy musiało dojść do tak strasznej tragedii ???
Niestety, nie widzę, żadnego usprawiedliwienia ? Napewno "przyzwoiciej" wyglądały by czołgi sowieckie na ulicach naszych miast...
przecież można by było przy pomocy Rakowskiego, Kiszcza, Urbana podstawić jakiś wcześniejszy "CKRĄŻY STOLIK" i po krzyku...?.....

Karty "wychowanka Moskwy" zostały rozdane bardzo brzydko i partia została przegrana, po dziewięciu latach bez żadnego atutu a "SOLIDARNOSĆ"; ta rozbita, umęczona, sponiewierana- *WYGRAZA*1989r. już dając narodowi polskiemu, przysmak wolności i demokracji, która w niedługim czasie pozwoli na prawdziwym podłożu, wybrać swój polski PARLAMENT, (bez żadnych czerwonych naleciałości) który by z kolei nam ^{pozwolił} wybrać odpowiedniego PREZYDENTA.

Ale, zanim ziszcza się marzenia wielu milionów Polaków jeszcze opiszę kilka kart polskiej historii lat osiemdziesiątych.

Niezadługo po wypowiedzeniu wojny Polakom, ten że sam generał, będąc też generalnym Sekretarzem polskiej partii komunistycznej, daje "prikaz" strzelać do górników, znowu są ofiary, znowu leje się krew, panika w kopalniach...Tysiące robotników, członków "SOLIDARNOSCI" zostaje aresztowanych, wiele tysięcy tej że orga-

nizacji ucieka z kraju, szukając schronienia za granicą. A szczególnie nasza młodzież, nawet ta wykształcona opuszcza swój dom-rodzinę, żeby uniknąć represji od polskiego NKWD. Tak właśnie polscy komuniści rozprawiają się z opozycją...?

Nasza rodzina też już siedzi na spakowanych walizach, w Polsce, przy tym stanie nie widzimy normalnego życia ???

Przez 30 lat razem ze swoją żoną, pracowaliśmy za uczciwie w Polsce ludowej, chociaż z tego "dorobku", nie wyszło zbyt wiele. Po tylu latach beznadziejnej pracy, nie dorobiliśmy się absolutnie niczego. Ani domku, ani samochodu, ani też żadnej książeczki oszczędnościowej. A w pracy dla komunistów, straciliśmy swoje zdrowie, dostając jedynie renty inwalidzkie. Jedynym i najlepszym naszym dorobkiem pozostała duża i kochana rodzina. Przy tej biedzie, trzymamy się do tych czas razem, pomimo że dzieciaki powychodziły za mąż i ożenili się, nadal pozostają z nami w naszym mieszkaniu. I jak mówiłem na wstępie tego opowiadania, że moja żona jest skarbem, teraz w ciężkiej dla nas chwili, otworzyła swoje złote serce powiadając, oile w Polsce teraz nie mamy żadnych widoków na polepszenie swego bytu, więc CNA, to znaczy moja żona, jako Niemka, jedzie do NRF i nie zadługo ściągnie całą rodzinę. i jak w bibli, słowo-stało się ciąłem. Już od ponad roku przebywamy w Niemczech. Już mamy ładne cztery pokojowe mieszkanie, umeblowane i ze wszelkimi wygodami. Najmłodszy syn ukończył kurs języka niemieckiego, dostał pracę w przemyśle ciężkim, zarabia b. dobrze (17 marek na godz.) już ma mieszkanie i na raty kupił odpowiednie meble i samochód... Syn Waldemar jeszcze w Polsce założył rodzinę, teraz razem z żoną i śliczną córeczką, mieszkają obok nas w tej samej miejscowości. Z nami zamieszkała narazie tylko jedna córka Renata z dzieckiem, męża straciła w ubiegłym roku (umarł mając lat 27 po operacji na raka) żyjemy wspólnie nie znając już goryczy ani utrapień jakie nas prześladowały w Polsce przy rządach komunistów. Tu ludzie naprawdę wiedzą, po co żyją.

Pomimo że już mam poza sobą trzy zawały i trzy wylewy i dzięki wspaniałej opiece tutejszego lekarza i mojej żony-anioła, czuję się względnie dobrze. W pośpiechu nadrabiam stracony czas opisując dzieje swojego żywota. Dopuki pamięć nie zawodzi, muszę w książkach i w nowelach opowiedzieć światu, kim byli komuniści, których spotkałem na bardzo długiej drodze w marszu po krajach

Związku Radzieckiego, gdzie więcej widziało się ogrodzeń z drutów kolczastych jak zywołotów i gdzie "DZIED MCRZ" przewodził polskie szeregi na wygnaniu....Dziś, znajdując się w zacisznym ustroniu pięknego landu, mogę w spokoju wspominać i przeżuwać lata bytności w "zgniłym, nieludzkim ustroju komunistów"; gdzie wyłącznie czerwona propaganda i terror NKWD i rodzimych "bezpieczniaków", dominowały w umysłach zahukanych obywateli. Bez żadnego porównania (bo takiego i nie może być) oddycham teraz pełną demokracją, w wielkim poszanowaniu tutejszego prawa i na początku, wszystkiemu się dziwić. Chcę powiedzieć kilka słów o semych Niemcach; pomimo niezapomnianych y urazów, z lat okupacji "Generalnej Gubernii", dziś są to ludzie inni i zupełnie nie podobni do tamtych w stalowych kaskach, uzbrojonych orężem i podkutymi buciorami (sądzę że nie jednemu Polakowi przypomni obrazki lat czterdziestych) i z pasem gdzie widniał, szyderczy napis "GOTT MIT UNS"...., dziś, Niemcy są narodem wielkiej demokracji, połączonej z kapitalistycznym ustrojem, gdzie wyłącznie dobra praca i pieniądz górują w pojęciu każdego obywatela.

Naturalnie że w pierwszych latach powojennych pomógł IM plan "MARSCHALLA", chociaż tę wielką, "odbudowę" swojego kraju, zawdzięczają, wyłącznie swojej znoej pracy... Ale pracy postawionej na najwyższym poziomie.., CNI robią wszystko z kulturą i głową, zaczynając od swojego podwórka, pracują nad stałym polepszaniem dobra całego narodu. Mieszkam na wiosce, gdzie na ulicy trudno jest znaleźć słomę, lub inne śmiecie. Dziwna wioska, gdzie krowy nie ryczą, świnie nie kwiczą a kure nie zobaczysz na ulicy, gdzie zamiast skrzyń i różnych wysypisk, stoją przy każdej większej ulicy pojemniki na makalaturę, papier, szkło, butelki i naczynia plastik. stoją budki telefoniczne z książkami abon. (zawsze jak nowiótkie) automaty ze słodyczami i automaty z papierosami, trzody, bydła, drobiu nie chowają, bo IM to się, wcale nie opłaca. Gospodarze zajmują się wyłącznie uprawą niskiej pszenicy i buraków, według planu Gospodarczego Państw Zachodniej Europy (do której i Polska powinna już należeć). Natomiast mleko i gąskę w pięknym opakowaniu, mogą nabywać w swoich sklepach, dostarczonych w/g tego planu z poblizkiej Holandii. Adersheim, wioska w której mam przyjemność mieszkać, zupełnie nie jest podobna do tych wiosek rosyjskich ani też

polskich...Przedewszystkim różnią się od siebie samym wystrojem budynków mieszkalnych i gospodarczych, Tutaj, domy są już od początku swego istnienia, z urbanizowane, z pełnym zabezpieczeniem wszelkich wygód dla ICH mieszkańców, w jakiej to wiosce, np. w Rogowie pod BiaŁogardem, gospodarze posiadają; gaz i elektryczność, piece ogrzewcze też gazowe, wanny, kuchenki gazowe, pralki automatyczne, telewizory kolorowe, meble z miejscowego sklepu i telefon w każdym domu, przy którym obowiązkowo stoi co najmniej jedno auto, służące gosposi w codziennych wożach po zakupy....

Wioska, w której mieści się bank, klub seniora, kilka sklepów, kioski z artykułami pierwszej potrzeby, restauracja i dwie kawiarnie. A oprócz swoich sklepów dobrze zaopatrzonych, dodatkowo przyjeżdżają samochody dostawcze; ze świeżym pieczywem, wędlinami i z wielkim wyborem ryb... Wioska, w której ludzie pracują jak przy-słowiowe "mrówki" i w której również bawią się, a mając swoją orkiestrę dętą (strażacka) potrafią urządzać częste festyny i tańce.

Jest również siedziba pani sołtys i posterunek policji, chociaż żyje już w Adersheim około roku, policjanta jeszcze nie widziałem, co się ^{by} bardzo kłóciło z obrazami widzianymi w PRL-u? Skarbem naszej wioski jest także stadion sportowy i dwa korty tenisowe, są dwie drużyny piłki nożnej, do której i mój syn należy, klub sportowy "Arminia" jest oczkiem w głowie tutejszych mieszkańców, jest też wielka stadnina koni, gdzie przy obsłudze i woltyżerze młodzież miejscowa i z poblizkiego WOLFENBÜTTEL.

A liczba mieszkańców chyba nie przekroczy dwóch tysięcy, dla dzieci żeby nie biegały po ulicach porobiono place zabaw i ogródki, coś w rodzaju naszych przedszkoli. Według mnie, wioska Adersheim jest ładną, osadą, domy mieszkalne w różnych stylach, przeważnie w kolorowych tynkach "pruskich murów" w ogólnej panoramie wioski wyróżniają się "GROMNE STODOZY" i około nich nie mniejsze maszyny rolnicze. Cuda nowoczesnej techniki. Podwórka wszystkie wyłożone piękną kostką, zadbane do przesady, jakby wylizane..., ulice również czyste, szerokie i z chodnikami, mnóstwo kwiatów w przeróżnych wazonach, wazonikach, w starych kołach czy też w innych bednarskich, starych naczyniach.

Społeczność naszej wioski, w większości narodowości niemieckiej, składa się z wielu rodzin tureckich, Czech, rumuńskich i polskich, a wśród nich i nasze dwie polskie rodziny.

Stośunek ludzi do siebie, a w szczególności Niemców do nas, jest jak najbardziej dobry, z wielkim poszanowaniem prawa i obyczajów miejscowej ludności. Razem, tworzymy jakby społeczność dążąca do jedności, co wyczuwa się przy zwykłych codziennych spotkaniach, a "GUTEN MORGEN" wypowiadamy z przyjemnością, ciesząc się ze spotkania, zdrowego po nocy, sąsiada, czy nawet osoby przyjezdnej. Tutaj ludzie się cieszą że żyją i że ten, otaczający nas świat jest dobry i piękny. Jak też nadający się by inni ludzie miłujący dobrą pracę i dobre współżycie przyszli do nas, kiedy znikną granice i wszelkie bariery hamujące jeszcze by wolna Europa była dla wszystkich Europejczyków. I czego z całego serca życzę Polakom. Szczególnie te życzenia przesyłam wszystkim ludziom z "SOLIDARNOSCI" na czele z JEJ Przewodniczącym panem Lechem Wałęsą.

Panu, panie Lechu, życzę pokonania ostatniego "muru", jaki jeszcze dzieli Pana od osiągnięcia najwyższego miejsca, godnego wyłącznie Polakom pańskiego pokroju.

Z radia dowiaduję się o pańskim postanowieniu ubiegać się o ten wspaniały MANDAT i w tej walce wyborczej, napewno nie zabraknie sojuszników z braci "SOLIDARNOSCI" i ICH sympatyków, nie powinno zabraknąć żołnierzy Armii Krajowej i wszystkich ludzi sponiewieranych przez reżimy Moskwy i Warszawy w latach żałoby narodowej. więc do dzieła Panie Kandydacie, a w dążeniu tak wzniosłym, prosimy nie żałować siły i swojej mądrości. By już, będąc PREZYDENTEM z błogosławieństwem samego ~~PAPIEŻA~~ PAPIEŻA poprowadzić polski naród do źródła ICH marzeń, do dobrobytu, do pojednania, do zniesienia wszelkich granic i przeszkód, stojących na drodze do wolnej i demokratycznej "WOLNEJ EUROPY".

I tym najlepszym życzeniem, zakończę tę nowelę, te swoje popłatane rozmowy i opowiadania.

Jutro zacznę opowiadać; o swej przygodzie, jaką przeżyłem w latach 1942/43 będąc robotnikiem Adolfa Hitlera w trzeciej rzeszy....

Szanownego Pana redaktora nadal proszę unizenie o wszelkie potrzebne korekty w moim strasznym piśmiennictwie. Za co już z góry serdecznie Bóg zapłać.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

II/1568/I Konturs

6

Henryk Jencyk
Adersheim 1990 r.

Fragment z książki pod tytułem^o

* NAD WILIA - PO POLSKU *

* NAD RENEM - PO CHAMSKU *

ZA "motto" mojej niewielkiej opowieści o tym, jak bardzo chcia-
łem zniszczyć "faszyzm" od środka, niech posłuży skromny wierszyk
rodaka mojego z nad pięknego Narocza, pana Tanka;

Lubię ludzi, którzy wierzą
W bociany, co przynoszą nam wiosnę,
W wodę, co zaspakaja pragnienie,
W ~~ziarno~~ ziarno, co kłosi się w polu,
W miłość, co gwiazdy zapala,
W ogień, co grzeje nasze serca,
W drogę, co do słońca prowadzi,
W nieśmiertelność swojej ojczystej mowy,
W legendy wszystkich narodów świata,
W przyjaźń, co rece jednoczy.....

I unikam jak mogę,
Tych ludzi, w co nic niewierzą....

Niech i moja "legenda" o podbojach trzeciej rzeszy, zostanie przy-
jęta przez czytelników z przymrożeniem oka i wspólnie ze mną, niech
będzie zapomniana, "zła strona z opisu złodziejstwa niesfornego
wilniuka", który, nie świadom swoich czynów, pragnał swoimi małymi
sabotażami, uszczuplić potencjał militarny pana Adolfka...
Ale, zanim jeszcze wyjadę na tą "dywersję", powinienem przedstawić się;
zanim zostałem "wilniukiem", musiałem się urodzić.
Więc, urodzono mnie w roku 1921 w środku lipca (z kąd mam podwójne
święto ur. i imienin) na najpiękniejszej ziemi WILEŃSKIEJ. W Koście-
niewiczach, w miasteczku graniczącego z Państwem Sowietów, w granicach
którego znajdował się mająteczek mojego ojca Jana Jencyka-Tołoczko,
z pochodzenia białoruskiego, majątek ŁOPATOWO (pod samym Mińskiem)
zaraz po rewolucji odebrano a JEGO rodziców, na progu własnego domu
rozstrzelano. Matka moja, pochodziła z rodziny niemieckiej von SCHEF-
ler, a zamieszkując przy drodze (Przasnysz-Mława) po której przecho-
dziły bohaterskie pułki Legionów Polskich..., znalazła swoje przez-
naczenie. Ojciec mój, po roku 1920, po wygnaniu bolszewików z ziemi
polskiej, powrócił na Kresy znajdując pracę w policji państwowej w
Wilnie, gdzie przez 19 lat służył jako dzielnicowy na Zwierzyńcu,
na Kalwaryjskiej w IV komisarjacie i na Ławalnej w I kom.
Jak jeszcze sięgam dokładnie pamięcią, to już w 1935 roku
mieszkaliśmy w Wilnie przy ulicy Piwnej, na rogu zaułka Rossa, a

ponieważ, w tym czasie zmarł Marszałek Polski, Józef Piłsudski, a kondukt pogrzebowy z sercem Wielkiego Człowieka i Wodza, miał przechodzić naszą ulicą i nasz dom przeszkadzał, więc został ~~przeniesiony~~ zniesiony a rodzina nasza otrzymała zastępcze mieszkanie w dzielnicy żydowskiej, na ulicy, przy tej samej nazwie.

Na pogrzebie również brałem udział, jako harcerz. trzymaliśmy szpaler przy placu Zamkowym, a kiedy niesiono "URNE" z sercem Drogiego "DZIADKA"; płakaliśmy jakby ze stratą własnych dziadków. Kondukt pogrzebowy i ludzie, jak wojskowi, jak i cywile byli ubrani przeważnie na czarno, co włącznie ze strasznie smutną orkiestrą pozostało na bardzo długo zakodowane do naszych głów... "SERCE" Wielkiego Polaka złożono w mauzoleum przy grobie matki Marszałka, natomiast z prasy i radia dowiedzieliśmy się, że ciało zostało pochowane na Wawelu, a mózg przekazano Akademii Nauk w Warszawie. Odnośnie pogrzebu w Krakowie, ciało Wodza, kilkakrotnie zostało sponiewierane przez duchowieństwo Diecezji Krakowskiej, jakoby sam Arcybiskup Sapieha, zarządził przeprowadzkę nie świętych prochów, które nie mogły jakoby leżeć wspólnie z prochami KROLÓW POLSKICH, przecież był socjalistą, a że oswobodziciel, ? to mało ?

W latach późniejszych, w związku z powtarzającymi się profanacjami zwłok Marszałka, osobiście, pracując czasowo na poczcie w Podbrzeziu, woziłem telegramy kondulencyjne dla Pani Marszałkowej, do majątku Pikieliszki około Wilna, gdzie też i poznałem przeurocze córki, panny Wandę i Jadwigę.

Pomimo wszystko, dla nas ON pozostał Wielkim i Walecznym Wodzem Legionów Polski, który, po tylu latach niewoli, wyzwolił nasz Kraj od trzech drapieżnych ciemiężców, a szczególnie powinniśmy CZCIC Marszałka Piłsudskiego i Jego dzielną Armię, za ZWYCIĘSTWO nad hordami bolszewików. ~~Wieczna CHWAŁA~~ tym żołnierzom co dali nam WOLNOŚĆ.

Przy zmianie miejsca zamieszkania, musiałem opuścić szkołę nr.5 przy Pivnej, naprzeciw Cytarza Katki Boskiej Ostrobramskiej, (tylko od tylnej ściany). Musiałem ze smutkiem opuścić swoją ciepłą, klasę/ fajnych kolegów, nawet żal mi było zostawić panią od Geografii, nazwana przez nas "ZYRAFA" (co nie odpowiadało rzeczywistości-była, bardzo ładna i wcale nie duża...)

Zarzecze, dzielnica nad Wilenką, siedziba mojej nowej szkoły. Szkoła nr.11 była moim podstawowym fundamentem edukacji, tam właśnie poznawałem tajniki nauki obu historii, geografii i polskiego, już nie mówiąc o magicznej arytmetyce, włącznie z matematyką. A nad całym tym, skomplikowanym programem, zawsze górowała dziecięca zawziętość, robienia czegoś "na złość wszystkiemu i wszystkim".....A szczególnie moje swawole typu "Kmicica, czy pana Zagłoby, musiały przewyższać, nie tylko "przymusów" szkoły numer 11, ale i pomniejszych "żulików" na trasie szkoła-dom. Chyba w tym czasie byłem, niezgorszym urwisem, skoro każdego dnia stawałem na "dywaniku", czy to u pana dyrektora, czy w domu, przed strasznym tatą... Sam nie wiem do dziś, dlaczego miałem wstąpić do szyb, a szczególnie do szyb żydowskich, które, każdego dnia musiałem niszczyć..., do tego mając obszerny poligon; jak na początku zaznaczyłem, że mieszkaliśmy w dzielnicy żydowskiej, dwa domy rodzin polskich urzędników, a wokoło cała "Jeruzolima"..

Udawając nie do powtórzenia, prawie każdego dnia siadałem po turecku i z rogatki wypuszczałem pociski, gdzieś, w kierunku okien moich wymyślonych wrogów..., a szczelałem do puty aż nie usłyszałem "BRZEK" wybitej szyby..., po czym uspokojony i wielce zadowolony, szedłem odrabiać codzienne lekcje. Ta zabawa trwałaby napewno dłużej, gdyby nie szybka reakcja delegacji panów w jarmułkach u mojego tyrana, który pasem, wybijał mi moje chuligańskie wybryki a za każdym razem kazał jeszcze liczyć wybite okna/ Bardzo długo po ojcowskich batogach, nie mogłem spokojnie siedzieć, a na żydowskie szyby spoglądałem już bardziej po ludzku. Czasem rozmyślałem sobie, że jak się szkło bije, to nie zawsze przynosi szczęście.? Będąc przy tym temacie szklannym, nie sposób też ominąć jeszcze jednego skandalu z wybiciem olbrzymiego okna w teatrze "iosną, przed kanikułami, cała klasa ze szkoły 11 -tej poszliśmy do "LUTNI" i już wchodząc po wielkich schodach^{na} balkon, wykombinowałem sobie przyjemną przejażdżkę po marmurowych schodkach na drucianej wycieraczce w dół, ale traf chciał, że moje, niezbyt luksusowe siedzenie, umknęło mi z pod tyłka i prościósienko w ogromną, tafłę szyby, jaka była wyłożona cała ściana tylna budynku, teatru letniego "lutnia" przy ulicy Mickiewicza. I coż mi pozostało do zrobienia lepszego, jak tylko wiać z miejsca, moich akrobacjii. Będąc z zasady uczniem krnąbrnym, wcale nie myślałem iść na rękę dyrektorowi i od razu przyznawać się...wyłącznie wspólna odpowiedzialność całej kla-

sy, zmusiła mnie pójść do ojca do Komisariatu i prosić o azyl w areszcie..,znowu były baty tegie,wielki Łzy i najgorsze,bo upokarzające przeprosiny profesorów. Jednak ta ostatnia,dobitna nauka nie poszła w las, ponieważ już później w życiu, nie przypominam, by podobne ekscesy powtórzyły się.

Po ukończeniu tej pięknej szkoły, miałem jeszcze kilka prób dostania się do gimnazjum, dwa razy oblewałem właśnie z matematyki,a już po kilku latach repetycji, nie zdążyłem dojść do uniwersytetu z prostej przyczyny; Wybuchła wojna 1939 roku. Moje siostry, miały więcej szczęścia,więcej w swoich ładnych główkach miały rozumu, bo/,starsza siostra Janina ukończyła Uniwersytet Stefana Batorego, na fakultecie Prawa, a druga, Halina zaliczyła gimnazjum "Nazaretanek" również w Wilnie.

Wilno, najcudowniejsze miasto w mojej wyobraźni,kołębka rodowodu wielkich ludzi,a idąc śladami naszego wieszczą też chce się krzyczeć; Litwo, Cjczyzno moja. Ty jesteś jak zdrowie. Iłe Cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto Cię stracił.....
Dziś piękność Twoja w całej ozdobie, widzę i opisuję, bo tęsknię po TOBIE. Cóż za wspaniałe miasto z przepiękną architekturą,kościółów,katedry, cerkwi,synagog i wiele innych wzniosłych budowli. Piękno mojego miasta, podkreślały zielone zagajniki, parki, skwery, a to wszystko zostało wkomponowane we wzgorza, otaczające Wilno ze strony Kalwarii, Bołtupia, Zwierzynca, Zakretu, Ponar, Pohulanki i Antokolu... Miasto mojej młodości i mojej miłości.
Strata,nieodwracalna jest dewastacja Zabytku Kultury Wileńskiej, gdzie komuniści, barbałyńcy Moskiewscy,z Katedry urządzili magazyny-muzeum ? A być może sprytny "Michaił" znowu pozwoli ZAMIESZKAĆ dla naszej BOZI ??? I gdzie wówczas będą składowane archiwa humanitarnej NKWD, w których napróżno szuka śladów, grupa polsko-radzieckich historyków o zbrodniach bolszewików, dokonanych na polakach i litwinach. A ponieważ są to sprawy lat późniejszych, (zagalopowałem się) wracam do Wilna roku 1939/41.

Z ojca Białorusina i matki Niemki, to kim właściwie powinienem być ja ? Nie wiem dlaczego, moje pytanie, kim jestem, kojarzy mi się z anegdotą z lat 1980...,z Gdanska...;

Kto ty jesteś ?- mały kmiotek,

Jaki znak twój ?- sierp i młotek.

Gdzie ty mieszkasz ?- w polskim rajku,

Znasz smak szynki ?- niet,nie znajdu...

U mnie pozostała tylko jedna odpowiedź; wychowany na bruku Wileńskim w jak najodpowiedniejszej wylegarni, mogę być tylko polakiem.

Już od młodych lat uczono mnie; w domu, w szkole, a z dużą dozą i w harcerstwie. Ze wszystkich stron "obkóowano" młodego Wilniuka, do miłości swojej Ojczyzny, swojej ziemi. Uczono mnie historii, podkreślając za każdym razem, że sąsiedzi nasi są odwiecznymi wrogami i że stale, my młodzi winniśmy być czujni i gotowi do obrony swojego kraju. Właśnie, to tylko IM zawdzięczam, swoim rodzicom, opiekunom, wychowawcom i przełożonym harcerstwa, dowódcom organizacji "strzelca".^{ze} Z tej szkoły wyszedłem takim jakim jestem (o swych żołnierskich - wyuczonych praktykach opisuje aktualnie)...

Kiedy już, po wielu trudnych latach powróciłem do kraju, to swoich byłych nauczycieli, zupełnie niepoznałem? Prawie wszyscy ONI, jak nie odpoczywają na "ROSSACH", czy "POWAŻKACH" (lub na innych cmentarzach).., to są na pięknych stanowiskach i zupełnie^z innymi^z hasłami, zupełnie niepodobnymi do tych, co kiedyś nas karmiono.... Kiedyś z taką dumą, głosili; "bij Niemca, bij bolszewika" Co do nauki o miłości do Ojczyzny-zgodzę się, ale droga po której chciano nas wtedy prowadzić, wyprowadziła do nikąd....

Do pewnego stopnia, moje pokolenie nie zdołało zupełnie pobić swoich wrogów, bo jeszcze do tej pory, nasze niektóre ziemie znajdują się w bolszewickich mackach....

Iat nawarstwienie, krete ludzkie losy,
Pieśń i historia-a któż by to zliczył?
Mijają pokolenia i nadchodzą nowe,
Idą na zmianę nam-i może ONI

Piękniejsi będą, śmielsi, z większą pasją,
Prawdziwsi, bardziej szczerzy i otwarci,
No i weselsi. A ta mądra ziemia
Nie ośmieli się zrównać z ICH mądrością.

Ach jakie radosne pokolenie.
Jakie silne. Ale nawet ICH może
Podtrzymać w życiu nasz wiersz staromodny,
Ta pieśń śpiewana byle jak, ochryple,
Ta pieśń stworzona w marszu, na biwaku...

Te kilka słów niech posłuży młodym Polakom i Litwinom za hasło do zmiany warty.



U góry arkusza zamieściłem nie wielkie zdjęcie, katedry Wileńskiej, na tle zamku Gedymina, jak również wkomponowałem swoje zdjęcie, by zademonstrować swoją miłość do tego miasta, z żalem wielkim że sam osobiście, nie mogę znaleźć się, obok drogich ludzi na ROSSACH...

W lipcu 1939 roku, zaprowadziłem swój ukochany rower, (balony-firmy Niemen) do wojska, by służył cyklistom polskim, na wypadek wojny z Niemcami, która już od dłuższego czasu wisiała na przysłowiowym włosku... Miasto zamarło w zdenerwowaniu i oczekiwaniu strasznych wiadomości, które, każdego dnia napływają z Warszawy... Hitler, domaga się od Polski, Pomorskiego korytarza, oddania Wolnego Miasta-Gdańska...? Na co w odpowiedzi, nasza generalicja mówi; a guzik, bo "jesteśmy silni, zwarci i gotowi."....?

Niestety, nadszedł ten ponury dzień 1939 r. w którym już w godzinach popołudniowych, czarne krzyże pojawiły się nad Wilnem i zaczęły od bombardowania Zarzecza, Zawalnej i dworca kolejowego... Wojsko polskie opuszcza koszarę i razem z policją wyruszają z miasta. Przy pożegnaniu, ojciec mój daje ostatnie wskazówki, odnośnie pilnowania mieszkania, pociesza, że jeszcze powróca, że jakoby Francja pomoże.., i z ostatnim namaszczeniem, wręcza mi pistolet, bym miał, czym bronić naszego Wilna.

Przez kilka dni miasto było bez żadnej władzy i aż do wejścia bolszewików, na ulicach panowała pełna anarchia, rabowano sklepy żydowskie, oczyszczono hale targowe i nie które domy. Ten chaos panował do 17-go września, do przyścia Czerwonej Armii pod wieczór weszły pierwsze oddziały, nie napotykając większego oporu.

Przygotowania do obrony Wilna, ale przed bolszewikami, bo to CNI zamiast Niemców, wjechali czołgami do miasta, były tylko w niektórych dzielnicach, naprzykład; przy "OSTREJ BRAMIE" i ja znalazłem się ze swoim pistoletem, gdzie widziałem kilka gniazd karabinów maszynowych, obsługiwanych przez żołnierzy i kolejarzy, a ponieważ czołgi przez bramę przejść nie mogły, więc i bitwy wielkiej na tym odcinku nie było....Do samego rana słyszano strzelaninę, a już od godzin porannych po całym mieście rozbrajano polskich żołnierzy. Przed mostem "zielonym" stały ogromne czołgi z gwiżdża, które nie mogły przedostać się na Kalwaryjską, z powodu, że były zaciężkie i w swych gabarytach nie pomieściły się w przesłach mostu....

Widziałem też jak kilku młodych żydów z czerwonymi opaskami na rekawach, biło po twarzach naszych żołnierzy, za to tylko, że nie chcieli pozdejnować orzełków z swoich czapek i że wogóle nie chcieli się kłaniać władzy sowieckiej.

W trzy dni po przyjściu nowej władzy czerwonych, zostałem aresztowany przez NKWDzistów pod pozorem niebezpiecznej dywersji, jakoby z naszego domu ktoś strzelał..,na wszelki wypadek zatrzymano aż dziesięciu mieszkańców naszego domu. Widocznie dowodów było mało, gdyż po tygodniu wypuszczono mnie na wolność. To był, jakby przedsmak tego co mnie miało czekać w latach 40-tych.....

Miasto w odmienionej szacie, wszędzie czerwone chorągwie i mnóstwo portretów wodzów komuny. Wszędzie wiece i zebrania, ulice demonstrantów, a na każdym placach, placach trybuny, na których towarzysze Komisarze w swych przemówieniach, propagują wartość ideologii komunistów i jak to w kochanym Zw.Radzieckim "wsio jeść, nawet fabryki są" i że samo życie w tym raju, prawie miodem płynące".... A w kilka dni, po przyjściu bohaterskiej Armii i po tych cudownych przemówieniach, na nasze biedne miasto zwała się horda ludu sowieckiego z workami, a szli aż z pod Mińska za chlebem...,widocznie do tego miodu, jakim smarowali komisarze. Drugie 100 złotych (za pierwsze 100 zł.kupiłem rower) w z moich oszczędności, wymieniono mi na trzy kilogramy słoniny....? Już po tym ostatnim zakupie, przestałem wogóle oszczędzać, aż do dnia dzisiejszego.

W polityce zaczęły się dziać b.dziwne zjawiska. Przed wszystkim w/g jakiegoś tam historycznego dekretu, nasze WILNO przekazano Litwie, na co wyszło że już następnego dnia wstaliśmy pełnoprawnymi obywatelami LITWY. Chociaż, prawdę mówiąc, poprawa materialna, była widoczna odrazu, ale nie na długo, bo już po

kilkunastu miesiącach samodzielności, Państwo Litewskie przestało istnieć. Znowu jakimś tam dekretem Leninowskim i za prośbą całego narodu Litewskiego, Związek Radziecki przyjął nową Republikę do swojego serca. Była Litwa i nie ma Litwy.???

I od tam zaczęła się "STACHANOWSKI RUCH"....., pociągi ze wschodu, takie leciutkie, takie szybciońkie z piękną melodią w kółkach "szpiczki, szpiczki, szpiczki" (zapałki) spieszyły na Litwę, by zaraz z tamąd wracać, ale już naładowane ciężko, dużo, ciężko, dużo, skóra, manufaktura, skóra, manufaktura....., a ponieważ Litwa, nie jest duża, więc szybko przeprowadzono wymianę towarów...? i coraz częściej pociągi powracały z opornymi litwinami i Polakami. Po dzień dzisiejszy KAZACHSTAN jest zasiedlony ludźmi z lat 1940-tych To była wielka heca, makabryczna. Majstersztyk STALINA.

Ten sam diabeł, który podpisał "sojusz" z Hitlerem, co ułatwił komunistom sowieckim, wbić nóż w plecy żołnierzom polskim, walczącym przeciw Niemcom....I to nie była czysta AGRESJA ??? W konsekwencji tych bandyckich najazdów, połowę obszaru naszego Państwa zagrabili. Wszystkie nasze Wschodnie Województwa, zaczynając od Wileńskiego, Grodzieńskiego, Pińskiego, Iwowskiego, ^{Województwa} ~~Tarnopolskiego~~ kończąc, bez żadnego plebiscytu zagrabili, a byłych obywateli polskich zniewolili, przewożąc ICH na Syberię do wyrebu tajgi i do kółchozów Republik Azjatyckich. Wywózki były planowane i cała deportacja milionów ludzi, przechodziła według "UKAZU WIERCHOWNEGO: SOWIETA", Żołdacy NKWD i ich żydowscy pechołkowie z entuzjazmem uwijali się, aż do czerwca 1941 roku.

Z tych właśnie, połapanych i wywiezionych niewolników, zorganizowano później, dwie polskie armie. Jedna Armia Generała Sikorskiego, która odeszła do Iranu i druga Armia była organizowana przez polskich komunistów pod wezwaniem "andy Wasilewskiej. Dzięki tym "patriotom", dalsze partie katorżników dostały się ^{do} Wojska Ludowego. warto zastanowić się, a czy ci ludzie napewno zasililiby polskie armie, gdyby takiej wojny nie było? Napewno karczowałiby las pod IRKUCKIEM, czy też umieraliby z głodu na polach KAZACHSTANU. Z dwojga złego, napewno też wybrałbym "wojenkę", czym gnąć w niewoli...Czy nie sądzicie, moi kochani, że ta wymyślona przez STALINA rozszada, nie była podobna do najazdów tatarskich? ~~W~~Wtargneli, wzięli milionowy "JASYR", pognali w dalekie stepy..., a gdy przyszedł czas wojny, ^{zadaw} uczynił z tego nieszczęsnego ludu, "tarczę uderzeniową" która z okrzykiem determinacji, rozbijała fronty pod Lenino, War-

-szewą i Berlinem...i zawsze z haniebnym okrzykiem; "ZA RODZINU, ZA STALINA, URA, URA, URA. I właśnie, te dywizje zdeterminowanych żołnierzy polskich, jak również tysiące "kompanii i batalionów karnych", tak zwane; "sztraf roty" i "sztraf Bataliony"; szły jak taran na wroga, zdobywając twierdze, w myśl hasła, Konstantego Rokossowskiego; "ili gładź w krestach, ili że, gołowa w kustach", dla przykładu, podam informacje z frontu (korespondenta TASS)p. Siemionowa, w której zanotowano, w bitwie o pewne wzgórze pod Mińskiem, naszpikowane bunkrami, prawie całym korpusem, przez tydzień szturmowania, nie mogli zdobyć, a wystarczył tylko jeden "karny batalion", żeby wykurzyć Niemców, nie bez tego, żeby batalion przestał w ogóle istnieć....Po samym LENINIE również Polaków poległo wielu, po trupach Rosjanie szli do zwycięstwa, w tym polska ofiara w ludziach była ogromna....

Pisząc o WILNIE, nie sposób pominąć o JEGC przepięknych, kamiennych z zewnątrz, a przytulnych w środku, KOSCIOŁACH. Ja również miałem, swój ulubiony przybytek święty w niedużym kościółku, pod wezwaniem Świętej Anny, przycupnięty obok swego brata, Pobernadyńskiego, nad uroczą Wilenką, wijącą się wzdłuż "mojego" parku botanicznego, skąd rwałem przepiękne róże, chowając za koszule, by nie, co później, obdarowywać jeszcze piękniejsze Wilnianki... Ulubionym miejscem do spacerów, był "Cielentnik", jak również wypadły na wilenskie wzgórza, z "Trzema Krzyżami", "Górą Zamkową", czy też do "Zakretu" nad Wiliją, gdzie przeważnie w pojedynkę rozmyślałem o fantastycznych przedsięwzięciach, o dalekosieżnych planach "Don-Kischota", zdobywającego na koniu, dwie nienawistne twierdze, jak "REIHSTAG" i "KREML".....I przy tych dziwnych, powiedzianych cudacznych rozsterkach zastała mnie i moje pokrzywowe myśli...nowa wojna..., ku mojemu, ogromnemu zdziwieniu; Hitler wypowiedział wojnę Stalinowi, co się bardzo kluczyło z "PAKTEM O NIEAGRESTII" jaki zawarli, przecież ^{to byli} wielcy sojusznicy, w rozgromieniu naszej Ojczyzny. Wprost nie do wiary. Ale okropna rzecz stała się faktem, czego potwierdzeniem było, lawina żelazstwa, przewalającego się z zachodu na wschód...Jezus, Maria, czegoś podobnego, nawet na największych-bali- stycznych filmach nie oglądałem...; Przez LITWĘ szła największa potęga świata, zmiatając przed sobą doborowe pułki Czerwonej Armii...

Pancerne dywizje niemieckie, jeszcze nie zdążyły swoimi tabo- borami przejść przez Wilenszczyznę, kiedy już słyszemy przez radio o zajęciu Mińska...widocznie Rosjanie potracili głowy, oddając bez większej obrony miasta swoje. Wermacht, każdego dnia informował o zajęciu dalszych miast...

A już jesienią, 1941 roku, pancerne Armie Niemieckie podeszły pod Moskwę i Leningrad..., a co było dalej historia sama później dopisze... Tymczasem ja i mój najlepszy przyjaciel wyruszyliśmy na zachód, niby to na podbój faszyzmu, ale w zasadzie, w poszukiwaniu pracy....

Zimą roku 1942, w charakterze rototników, wyjechaliśmy z wynędzniałej Litwy (do czysta wymiecionej przez Moskale..) na zachód w poszukiwaniu roboty. Po uzyskanej informacji w biurze wileńskiego Arbeitzamtu wyruszyliśmy do zachodnich Niemiec, do zagłębia Renu, gdzie o pracę było najłatwiej. Choć zima była dość mroźna, a droga daleka, już po tygodniu dowieziono nas do miasta WORMS.

Swoją Ojczyznę Litwę, opuściliśmy 21 marca. Ja autor niniejszych zapisanych wspomnień, Henryk Jencyk i Kolega Edmund Przeradzki, wyruszyliśmy pod "usłownym nadzorem" w SWIAT, by poznać GO i zdobyć ~~prawo~~ jakieś prawo do życia.

Już na byłej Pruskiej granicy Wirbały/ musieliśmy przeładowywać poległych niemieckich żołnierzy z wagonów towarowych do pociągu osobowego. Większość żołnierzy zamarżnięta, ja osobiście, nie widziałem, przenosząc trupy, żadnego zakrwawionego człowieka, przeważnie byli skostniaли (bardzo możliwe że był to transport z pod Moskwy). Po wykonaniu ponurego-grabarskiego rozkazu, ruszyliśmy dalej w podróż w nieznaną....?

Jechaliśmy przez Clshtyn, Gosselerhauzen, Hochen, Briesen, Schehonze, Torun, Inowrocław, Mogilno, Trzemeszno, Gniezno, Widau, Pudewitz, Rossgarten, Halle, Weimar, Erfurt, Niederdorf, Gotha, Herstfeld, Fulda i nasze przeznaczenie WORMS.

Nazajutrz po przybyciu do tego miasta, zaprowadzono nas do Arbeitzamtu, z kąm dostałem się pod kuratelę mojego pracodawcy, bambra, który mnie jakby wykupił, za ileś tam srebników... Ale wykupił, nie przeczuwając, że na swoje nie małe zmartwienie.....

Dziś, patrząc na to, z perspektywy tamtych lat, serdecznie współczuję, byłemu mojemu gospodarzowi, Franzowi Besemir, ponieważ w późniejszym czasie miał ze mną setkę pociech, a jeszcze więcej kłopotów tym związanych....

Choć na moje szczęście, okazał się człowiekiem dobrym, Niemcem o niespotykanym łagodnym usposobieniu, ponieważ wcale nie

reagował na moje chuliganskie wybryki. W przypadku znalezienia się pod opieką, jakiegoś "nazi" napewno nie jeden raz wisiałbym na środku wioski BESCHTHEIM, pamiętam dobrze że za swoje sienkiewiczowskie swawole, byłem tylko karconym, mocno ruganym... Jeszcze do dziś słyszę, ochrypły głos pana Franza, jak miotając się po olbrzymim podwórku klnie swojego parobka, jak bluzga, nie zbyt delikatną niemieczyzną..." donerweter, faflukter, kručefiks die nudell, Schweinerei, noch ejn mall." i temu podobne, sprośne życzenia pod moim adresem..., przeważnie na tej łacinie i kończyły się nasze poranne spotkania przy obróbce trzody chlewnej, krow i koni. Były to zarazem, pierwsze lekcje języka niemieckiego... Pracy mieliśmy strasznie dużo i nie tylko przy samym obejściu w oborze, w chlewie, w stodole i w dużej winiarni, usytuowanej w piwnicy, podstawowym zajęciem w polu, winnica, kilkadziesiąt akrów wspaniałych winorośli, jak przeogromny sad wyglądały krzewa winogron na całym wzgórzu, opodal wioski Beschtheim. Moją gospodarz, bamberek, jak GO nazywałem, jeszcze po pierwszej wojnie światowej, pozostawał inwalidą, ciężko poturbowany na froncie rosyjskim, chodząc, ciągnął lewą nogę za sobą, jakby kuśtykał... Wilniuki, napewno nazwali by, kuternogą.., był w starszym wieku, ale w pracy mógł dorównać każdemu młodemu, wciąż widzę staruszkę jak pomrukując wciąż się grzebie, czy to przy koniach, czy też przy hakaniu wielkiej plantacji, Dzień pracy ciągnął się szalenie długo, urozmaicony czterema posiłkami. Karmiono mnie, jak na te wojenne czasy, bardzo dobrze, gospodarz, nie żałował mięsiwa, ani również swojego wina, które naturalnie, nadużywałem przy każdym posiłku.., i nie tylko....., Piszę teraz o tamtym baorze, specjalnie podkreślając Jego dobry charakter i bez żenady chwalać walory tej zacnej rodziny . Czego prostym dowodem pozostała jeszcze do dziś korespondencja z Państwem Bezemir (w latach osiemdziesiątych odnowiona) Nawet w roku 1980, w bardzo ciężkich dla nas czasów, otrzymywałem paczki żywnościowe...A szczególnie po tym, co im kiedyś narozrabiałem.?(Można wnikać w każdą sytuację ludzi, ale w tym przypadku zupełnie nie rozumiem śmiesznej "mentalności" rodziny Baze-mir..? za cóż chcieli pomagać mi teraz, kiedy, ja przed laty

przysparzałem dla NICH tyle kłopotów, jak ogromne straty musiały IM przynosić moje wygłupy, moje bezmyślne "sabotaże"; bo chyba tak powinniśmy określić niektóre wyczyny, wojowniczo nastawionego do Niemców gówniarza... jak można nazwać inaczej, przebicie~~m~~ gwoździem kilku beczek z winem, które leżakowały dziesiątki lat..?

A jak określimy wyczyny umyślne skaleczenie konia "perszona" który przez miesiąc nie był zdolny do pracy,? I czy dokarmianie bydła - żelaznymi wiurami i innym świństwem też można pochwalić chłopaka, bojowo nastawionego jak do Rosjan, tak i do Niemców..? Niemal każdego dnia, ~~jakby~~ systematycznie podkradałem jajka i to nie dla konsumpcji, a dla najzwyklejszej draki, radzi swej młodzieńczej i jak bardzo głupiej fantazji. W końcu, żeby wogóle nie pracować, urabiałem sobie palec u lewej ręki...(o samym wypadku, napisze później)

W pracy, "stachanowcem" napewno nie byłem i wiele godzin nadliczbowych spędziłem pod krzaczkami, korzystając z nieobecności baera. Drugie śniadanie, zazwyczaj przynosił mi gospodarz, i każdorazowo dużą butlę wina (taki koszyczek z trawy morskiej) o ile wino miało smak wina wczorajszego z winiarni, jeszcze spokojnie wydoiłem, w przypadku, kiedy okazało się o smaku cierpkim, zdejmowałem buty i spokojnie myłem IM swoje nogi, co widząc pan Frenz ze skóry wyłaził, klnąc mnie w swoim żargonie...A kiedyś, gdy mnie za dużo zdenerwował tymi przekleństwami, powiedziałem; po polsku, "żeby mnie pocałował w dupę"...I jak myślicie, jak zareagował Niemiec? Najspokojnie w świecie, zawrócił do wioski i poszedł....., w pierwszej chwili pomyślałem sobie; no Henryku, chyba przesoliłeś? Przecież to jest NIEMIEC i za obraze napewno poszedł na posterunek Żandarmerii, z kądem jedną tylko drogą, na szubienicę, gdzie już nie jeden "oporny" dyndał na sznurku..... Wprost nie do uwierzenia,? nasz zacny szwejk z pierwszej wojny św. kuśtyka z powrotem i w dodatku tylko sam, z dala krzycząc; "ICH WEIZ SCHON IST DA, CALUJ MNE W DUPA"...okazało się, że mój zacny gospodarz, nie poleciał ze skargą do władz, poprostu z ciekawości, biegał aż do baraków Ukraińców, gdzie mu lojalnie przetłumaczono. Po tym nie wielkim incydencie, mój pan jakby zmieł i już było mniej tych niemieckich przekleństw, a tym samym ten człowiek dawał się jakby lubić....?

Pewnego dnia, przechodząc przez mostek na nie dużej rzeczce, zobaczyłem w wodzie, metalowe rurki, więc powyciągałem JE i po przyjściu, na swoją plantację, wziąłem się do rozkręcania, beer, który był przy mnie i widział moje manipulacje, w strachu odszedł, niby za potrzebą, w tym czasie już wyostałem z tego metalowego opakowania, zwoje papieru, banknoty niemieckie i kartki "rauch karte" i "lade karte" (proszę nie zwracać uwagi na moje błędy) Ten cały majdan był widocznie zrzucony przez Anglików. więc oddałem gospodarzowi, żeby odniósł na posterunek. Widocznie pana Franza mała wzruszała druga wojna światowa, bo mędować nie poszedł, kartki razem z pieniędzmi wrzucił spowrotem do rzeki.

A znowu kiedyś, chyba w poniedziałek, bo zawsze w niedziele, wychodziłem prawie na całą noc, do pobliskiej weinschtuby, gdzie już przy smacznym starym wunku, gaworzyłem z sympatyczną barmanką..., tak że nazajutrz, napewno byłem do niczego, gdy w tym czasie mój baer, całą noc z niedzieli na poniedziałek lubiał spędzać noc przy kartach. więc łatwo sobie wyobrazić; ranne rozmowy, po "guten morgen", kto konie zaprzęgnie i kto ten cały karawan poprowadzi na pole.?. Wóz był bardzo ciężki, przy pomocy hamulców zjeżdżało się z góry, dwa konie "perszony" po tonie wagikażdy... I tak, prawie każdego poniedziałku wsiadaliśmy jak do katafalku, Heinrich, musiał brać lejce, bo gospodarz zabierał się chrapania, chociaż, za pierwszą górka i ja już byłem daleko od Beschheim.....Konie, widocznie zakretu z górki, (bo akurat było po deszczu) nie wzięły, a my z panem Franzem wylądowaliśmy, ja w krzakach przydrożnych, natomiast niemiec w samym środku wielkiej kałuży....., czyste miejsce na twarzy, było tylko w pozostałościach po okularach... więc leży staruszek i pyta się; "was ist das"-"was ist loss" ? odpowiadam, jak najuprzejmie, że było bombardowanie, że angielskie lotnictwo nie daje nam spać... Upust złości wylądował w litanii pięknych słówek, jednak na skargę do Żandarmerii, nie poszedł. Gdy później, po latach opowiadałem, biednym warszawiakom, to mi nawet zazdroszczono "takiego" gospodarza..., a ja i takiego nie uszenowałem.?

Po pół roku ciężkiej harówki przy gnoju, przy codziennym obrzędku całego gospodarstwa i przy tej całej tęsknocie za matką, za moją ukochaną Wileńszczyzną, coś się we mnie zbuntowało, i w swej wielkiej desperacji, poszedłem do drwalni i uciąłem sobie palec (z początku pomyślałem o całej ręce, lub wogóle o samobójstwie) miałem wszystkiego dosyć, nawet takiego zafajdanego życia..(myślałem też o spaleniu się w tej ogromniastej stodole..?), zrezygnowałem, nie widząc żadnej korzyści z takiego czynu, więc poprzestałem na pierwszej myśli i pozwoliłem się zawieść do Krankenhaus w Lampertheim, gdzie dzięki wspaniałej opiece siostr zakonnych, przeleżałem przeszło miesiąc.

Moi gospodarze wcale nie pogniwiali się na mnie, wręcz przeciwnie, każdej niedzieli pani Bezemir z córką, przyjeżdżały z koszami, pełnymi dobrych wedlin(wyrób własny pana Franza) i zawsze Erna, córka gospodarzy, przywoziła kilka flaszek Reńskiego. W swoim jeszcze młodym żywocie, już próbowałem przeskakiwać różne przeszkody, zazwyczaj wpadałem w tarapaty, chociaż w tym czasie, jacyś wspaniali ludzie, chwilowo dawali mi mały azyl, dla złapania oddechu. Napewno odważnym nie byłem, prędzej idiotą, ale zawsze w sobie miałem jakiegoś "chochlika", który,przez całe moje ciężkie życie, jakby podganiał, zagrzewał do czynów nie,zgodnych z cnotami normalnego człowieka.

Leżąc w szpitalu, obok chorego, który bez pytania, w noce księżycowe, łaził sobie po szpitalnym dachu, wymyśliłem nowy plan ucieczki od tego gnojowiska. Postanowiłem namówić swojego przyjaciela, pracującego też we wsi, położonej niedaleko Beschtheim, sadziłem że pracując w warunkach nie lepszych od moich napewno poprze ryzykowny projekt.?

Dzisiaj wspominając i analizując tamte dni, przychodzę do wniosku, że wtedy postąpiłem bardzo źle, powiedziałbym bardzo brzydko, jak zwyczajne prosię....Ale z perespektywy lat wojennych, nie wolno mi było zapominać, że jestem z innej krwi, że jestem jakimś małym pionkiem na polskiej szachownicy i że w końcu, również musiałem przyczynić się do upadku faszyzmu..... Przed opuszczeniem szpitala, jeszcze byłem świadkiem dziwnego bombardowania, a mianowicie; Już nad ranem, pewnego słonecznego dnia, nadleciała eskadra angielskich samolotów, które zrzuciły na miejscowe lotnisko, zwykłe kloce drzewne, bo się okazało że i sam obiekt, również był "komuflarzem", jedna z pracownic mówiła o wojennych "fałszywkach" jakie zaczęli stosować hitlerowcy.

Ctóż, od pewnego czasu, na tym lotnisku porobiono złomowisko, starych- uszkodzonych "junktorsów", czy "Messerschmitów", pobudowano z dykty hangary i ustawiono atrapy działek przeciwlotniczych....Jednak hitlerowski "kawał" nie bardzo się udał, bo nie za długo doczekali się i bombek podobnych do swojego teatru. Widocznie angielski wywiad pracował na bieżąco.?

Pierwsza ucieczka.

Z chwila powrotu mojego ze szpitala, z marszą, żeby nie mieć czasu na rozmyśły, od razu wzięłem się do realizacji planu ucieczki od krów, koni...(o których, będąc, (trzy lata później) w niewoli sowieckiej, zmieniłem zdanie-marząc o powrocie do Beschtheim i żałując bardzo, że się nie urodziłem normalnym człowiekiem...?

Po pierwszej i konkretnej rozmówce z kumplem, doszliśmy do wspólnego porozumienia, że jeszcze w lipcu 1942 roku, potajemnie opuścimy swoje wioski i udając pilne zakupy w Wormsie, wsiaść do nocnego pociągu w kierunku zachodnim (dla zmylenia śladów, przecież byliśmy ludźmi wschodu i tam chyba powinniśmy podołać...) Nawet, bez większych zapasów żywności, wyruszyliśmy w nieznaną nam świat, jak w filmowym scenariuszu, rozegraliśmy swoje role, a nie znając dobrze języka niemieckiego, udawaliśmy połyglópków, udających się do lekarza, znajdującego się w następnej miejscowości..,by w ten najprostrzy sposób, dojechać aż do MEINZU. Napewno mieliśmy więcej szczęścia jak....., żeby tak spokojnie i to w czasie wojny, rozjeżdżać się pociągami po Trzeciej Rzeszy.? Nie będąc indagowani, nawet przez służbę kolejową, dojechalismy bez bólu do Meinzu, gdzie jeszcze tego dnia, zgłosilismy się do Urzędu Zatrudnienia (Arbeitsamt) w którym, zamiast pracy, jak sadziliśmy, otrzymaliśmy wezwanie na POLIZEJ, z kąd już była tylko jedna droga do...wiezienia...

I czy tu można mówić o udanej ucieczce ? Chyba nie. Kiedy człowiekiem zawładnie wszechpotężna głupota, nie ma mocnych na powstrzymanie, u młodego, zawsze idea, brawura, ryzyko są na poczekaniu...Dziś, na samo wspomnienie, tego co straciłem, ile dobrego i pięknego ~~strawiłem~~ pozostawiłem w czasie gdy na całym świecie świecie przewalała się straszna wojna.?, mam nie małe wyżuty sumienia...Przecież byłem pod kuratelą dobrych, zacnych Niemców, którzy karmili mnie i dogadzali, jakby własnym synem zaopiekowali się...Na zawsze straciłem "cichy i ciepły dom"....

Dlaczego uciekałem ? Czy tylko od smrodu i ciężkiej harówki przy gospodarce ? No tak, ale wtedy jeszcze, nie znałem prawdziwej pracy ^{przy} wyrębie tajgi i nie miałem żadnego, absolutnie żadnego porównania, sytej pracy przy gnojku i winoroślach, z orka człowieka, na wpolgłodnego i zawszonego, człowieka, długimi latami męczzonego na nieludzkiej ziemi.??

Nie wiem dlaczego, ale słowo "ideowiec", kojarzy mi się dziś ze słowem "idiota"....

W więzieniu, w Meinz, zajęto się nami bardzo gorliwie, zaczynając od podstawowego śledztwa. I jak to bywa w każdym kryminalnym przytyku, bardzo długo nas sprawdzono, wyjaśniając każde nasze tłumaczenie się czy też kłamstwo... Śledztwo trwało, bardzo długo, mordobicia i straszenie pętlą też stosowano na porządku dziennym... W końcu, mój kumpel i ja doszliśmy do wniosku, że bezpieczniej będzie, przyznać się do zwykłej ucieczki od bererów z pod Wormsa, jak mamy zostać powieszonymi za szpiegostwo, co nam cały czas sugerowano (wówczas było bardzo modne u faszystów) więc, z dwojga złego, wybraliśmy to pierwsze. Naturalnie, że po sprawdzeniu, odbyła się "jednoaktówka" i chłoptysie z Litwy, oberwali po trzy miesiące więzienia, za samowolne opuszczenie miejsca pracy (wielkim atutem było, dobrowolne zgłoszenie się do Arbeitzamtu w MEINZU, jakby usprawiedliwieniem) Takie dziecinne ukaranie, pozostało zwyczajną pestką dla straceńców- myślących o wiele gorszych następstwach...

Przez czas odsiadki, prawie każdej nocy, przeżywaliśmy bombowe naloty eskadr angielskich i polskich, a co kilkanaście dni, odbywały się regulaminowe przemarsze alianckich maszyn, zwanych "dywanowymi" i wtedy po mistrzowsku, jak fryzjerzy wycinali przez całe miasto długie ulice, które, nazajutrz nazywaliśmy; "hitler strasse"... W czasie tych wielkich bombardowań, nasi dzielni strażnicy chowali się do schronów, natomiast my w tym czasie musieliśmy być przymusowymi obserwatorami efektownych widowisk... Pamiętam, siedzącego z nami, komunistę z Barcelony (Hiszpania) (nasza duża cęła znajdowała się na trzecim piętrze, przy dużych, weneckich oknach, z kąd w zasięgu wzroku, mieliśmy pół miasta) ten czerwony człowieczek, skakał jak diabeł z radości, a po każdej spadniętej bombie, niesamowicie ryczał; "Heil Hitler"!

Przed samym wyjściem naszym z Więzienia, jedna z tych większych "pigulek" zleciała jak z nieba, na lewe skrzydło gmachu więziennego i naturalnie ścieło GO na amen do samych piwnic,

Z ogromną satysfakcją braliśmy udział w wydobywaniu naszych "aniołków" z piwnic, tym samym życząc wszystkim faszystom podobnych pogrzebów.

Po raz drugi, przez Arbeitzamt, skierowano nas obu, ale już jako litwinów (widocznie po przez nasze pochodzenie z Włoch, przypisano nam ten piękny kraj) Zaprowadzono do baraków, mieszczącego się za dworcem kolejowym, gdzie już przebywali robotnicy z całej Europy, zastaliśmy internacjonalistyczny komplet jak w cyrku, bo już byli ludzie z Francji, Włoch, Jugosławii, Litwy, Polski i Ukrainy.....

Nas przydzielono do grupy roboczej, która pracowała przy rozładunku wagonów na stacji towarowej, niedaleko dworca głównego w Meiñzu. Co to była za praca, a jaka frajda?...Całymi dniami, po dziesięć godzin i więcej przeżucaliśmy różne towary na samochody i odwrotnie, a najwięcej to mieliśmy robotę przy odgruzowywaniu wszystkiego co poprzedniej nocy zburzono nalotami...Co "dżemojady" i nasi rozwalili swimi bombkami, to my musieliśmy oczyścić...

Przy tej "planowanej przez anglików" robocie, nieraz udawało się nam zajadać jajecznicę z tysiąca jaj, a rozbitych wagonów, a wielkim ubawem, był widok kaptu kumpli ubabranych marmoladą, ale zajadających łapczywie pomarańcze i tłustą żołnierską konserwę, co też było późniejszym wyszcigiem w miejsca ustronne....

Sprzątaniem naszej stacji rozładunkowej, zajmowaliśmy się przeważnie w czasie roboczym, za dnia, natomiast nocami (b.często) uprawialiśmy zupełnie inny "sport". Nocny czas, urozmaicaliśmy sobie wędrowkami, po pustych zazwyczaj ulicach miasta (pod czas nalotów, posłuszni obywatele musieli obowiązkowo przebywać w schronach) A nasze nocne "igraszki" polegały na mało skomplikowanym przedstawianiu budek z papierosami, nie były uciążliwe i dawały się z łatwością przenosić w inne miejsce, a zawartość tych budek, w postaci; cygar, cygaretek, tytoniu i fajek - przekładaliśmy spokojnie do swoich walizeczek.... Czy to również nazywało się kradzieżą? Chyba nie. Przecież nad nami szalała wojna, a myśmy brali tylko swoje przydziały, tyle że bez reglamentacji i bez żadnego zezwolenia. Prostu zdobywaliśmy je sobie w odwet za wszystko "złe" co w tym samym czasie faszyci skutecznie realizowali w naszych krajach, przecież tego "zła", naprawdę było dużo...

I tak sobie żyliśmy, trochę z ryzykiem, trochę dla humoru, ale zawsze w jakimś opętaniu i stale pod strachem Boga....A dziś, nieraz zastanawiam się; czy napewno byłem w porządku wobec ludzi i siebie? Niech mi młodzi wybaczą, ale wiele dałbym za to tylko, żeby móc odwrócić, poprzestawiać czas, ludzi i wydarzenia minionej epoki.

I pomimo tych niepokojnych wydarzeń, pomimo wszystkich niebezpieczeństw, unoszących się stale nad nami, z mojej głowy, nigdy nie wychodziła natarczywa myśl o powtórnej ucieczce od hitlerka, nawet przy najbardziej skomplikowanym zajęciu, uparcie rozmyślałem; jak by tu zwać?....

W nocnych wypadach widziałem już, jak można dojść do zabezpieczenia w środki najniezbędniejsze, potrzebne przy ucieczce, przede wszystkim, zacząłem handlować z Włochami, którzy w 3 baraku byli kucharzami i właśnie z nimi robiłem wymianę cygaretek na wino, które dla nich przysyłano z Włoch. Tym sposobem, już latem 1943 roku, miałem już przygotowane dwie walizki, jedną z wyrobami tytoniowymi a drugą z dobrym winem i kilka konserw z sucharami. Wiałem sam. Już nie namawiałem swojego przyjaciela, pamiętając jeszcze następstwa pierwszego i to niezbyt fortunnego rajdu do wolności...

Górną wzięła moja ambicja i pryncypialność zamierzeń, chciało mi się dokonać raz już postanowionego wyczynu, poszedłem na całego. Co też było sprzeczne z logiką normalnego człowieka. Przeradzki, mój kompan z pierwszej ucieczki, myślał zupełnie inaczej, niechciał więcej ryzykować i narażać swoje życie i nie poszedł w "długą". I tym samym, mój przyjaciel był bardziej przewidującym, okazał więcej rozsądku. W końcu ON wygrał te wójnę, ponieważ był mądrzejszy i w tym czasie gdy ja karczowałem w tajdze sosny i to bezpłotnie, mister Przeradzki był już wysokim urzędnikiem w Australii.....

Wybrałem najbardziej perfidną formę ucieczki..., po dłuższej obserwacji pociągów podążających na wschód, któregoś wieczora wpakowałem się do "urlaub cug" wiozącego żołnierzy niemieckich z urlopu na front wschodni, włączając do przedziału "nadludzi" zaproponowałem ofertę, niby handlowa, mówiąc wprost; ~~pieni~~ że pewien litwin, przy ich pomocy chce powrócić do domu, na "heimat" a w zamian otrzymają pełną walizkę cygar i cygaretek i że będę im stawiał wino przez całą drogę aż do Gubernii. Naturalnie, że zgodą zapadła chorałna, nawet z zapewnieniem, że będę od tej chwili bardziej bezpieczny niż u mamy, że mi żendarmi polowi nic nie robią, bo ich to wcale nie powinno obchodzić, a kolejarzy, oile będą niegrzeczni i ciekawi, poprostu wyżuca z pociągu.....

Jechaliśmy bardzo swobodnie, popijając mocne wińsko i paląc luksusowe "nocne cygara" a miasta niemieckie przelatowały ze śpiewem "Hailu-Haila" i "Lilli-Marllen"...by, po spokojnej prze-

siadce w Berlinie przy Fridrichstrasse, do drugiego pociągu, jadącego przez Warszawę, znowu śpiewać o jakiejś tam Maryji co pod latarnią stała... Nie powiem, w dobrym towarzystwie to i czas szybko zleciał... Zanim dopiliśmy ostatnią butelę.., jak by nadleciała Warszawa. Właściwie, to na dworcu głównym wysiadłem tylko sam, żeby kupić polską wódkę (która i do tej pory kupuje..) Młodzi Niemcy (fajne chłopaki z nad Renu) musieli już sami podołać pod swój STALINGRAD, jakby do własnego grobowca.....?

Wracając do tej sielankowej "wycieczki", pamiętam jednego podoficera, który przy dobrym humorze, to z uporem maniaka, w końcu twierdził; "że Niemcy są już kaput" i że ta cała zafajdana polityka faszystów doprowadzi całe Niemcy do katastrofy... i mówił jeszcze o tym, że już walczą nie tylko z Rosjanami, widział już na froncie samochody amerykańskie, giwery "ami" (skrót amerykana) a nawet widział żarcie, puszki z amerykańską szynką...

Być może, tym samym jakby prorokował rychły koniec, a może i zagładę ery hitlerowskiej? Przecież zeznaczył młodszy oficer niemieckiego wermachtu, że walcząc z potęgą sojuszników, rady nie dadzą, i wojny tej nie wygrają, i że w końcu ich Armie wykończą straszliwy klimat i Śmiertelny mróz.

Jeszcze tego samego dnia udałem się w poszukiwaniu swojego wujka (brata mojej matki) Bronisława Schefflera, pracującego w Polskiej Policji, gdzie służył w "drogowce": w samej Warszawie. W pierwszym Urzędzie Pocztowym, nadałem z wielką satysfakcją i zadowolaniem, telegram do towarzysza niedoli w MEINZU, takiej treści; "OPERACJA UDANA, CIOTKA ŻYJE I JEST SZCZĘŚLIWA".

Następne odcinki moich dalszych przygód wojennych znajdują odzew na partyzantckich szlakach.....

© ARCHIWUM WSCHODNIE

autor

Henryk Jencyk
ADERSHEIM 1990 r.

© ARCHIWUM Wschodnie

II/1568/I Kaulbars

7

Fragmenty wybrane z książki pod tyt;

* Bałagan życiowy, żołnierza Armii Krajowej *

lata 1943 - 1945

PRZEDMOWA. Zbyt wiele książek i materiałów poświęcono na opisanie strasznej okupacji wojsk Faszystowskich w Polsce w latach 1939-45, chociaż, mając nadzieję, że i moja "kropla w morzu" przysporzy dodatkowo wiadomości o działaniu partyzantckim, o konspiracji, o akcji "BURZA," widzianej oczyma uciekiniera z robót od Hitlerka..

Dopóki jeszcze pamięć nie zasnuta mgłą, będę się starał po 47 latach powrócić do Generalnej Guberni, by ponownie przejść razem ze swoim Batalionem UBK, przez kordony oprawców, jak w Warszawie, tak i po wielu drogach naszego KRAJU.

Będę opisywał wydarzenia minionej epoki, bez żadnej okrasy i żadnego przygotowania pisarskiego, poprostu mają to być relacje spisane po żołniersku, jakby bezpośrednio z marszu..... Naturalnie, że niektóre, (nawet -wersje) zaczerpnięte wiadomości od niektórych, wielce szanowanych przeze mnie autorów, będą jakby cenzurą w porównywaniu z moimi, co pozwoli bardziej uwiarogodnić dzieje tamtego okresu.

Do dnia dzisiejszego uważam się za "szczęściarza"; ponieważ w tamtych ponurych czasach, mogłem służyć w bojowej 2-giej kompanii Warszawskiego UBK, gdzie dowódcą był (i chwała Najwyższemu-jest) kapitan "JACEK" (Ryszard Reiff)-(zaliczany do najodważniejszych oficerów naszego 77 Pułku, gdzie dorównywał legendarnemu bohaterowi "PONUREMU") A dziś słuchając radia, nieraz dowiaduję się; że mój dowódca, nadal jest aktywnym bojownikiem o Demokrację i że bez * STENA*, potrafił walczyć z całym stadem "WRCNIM" i że będąc w roku 1981 w Belwederze (w Radzie Państwa) ON jeden odmówił podpisania "Stanu Wojennego".....I czy tym samym nie potwierdził, że jest * ODWAŻNYM *, że jest pożądanym obywatelem i najlepszym synem tej Ojczyzny.

Kiedyś, będąc w szeregach walczących z CKUPANTAMI, jakoś bardziej umiałem obchodzić się z karabinem, jak obecnie z piórem..? Poprostu jestem jak małe dziecko bezradny i w tym natłoku myśli nie potrafię sobie poradzić, by te wszystkie wspomnienia pokolei przelewać na papier...? Jak ogromnie zazdroszczę p.Romanowi Bratnemu, (mojemu Drogiemu rodakowi)lekkiego, wspaniałego pióra..., a czytając "reportarze z tamtych dni" Cezarego Chlebowskiego, rozpliwam się w zachwycie, nad JEGO pięknym udeokumentowaniem walk Polskich Oddziałów, A już do prawdziwego rozczulenia, doprowadza mnie "ZOSINE" wspomnienia Pani Kobyłaskiej (mojej szanownej koleżanki z UBK) Dlaczego mnie Bozia nie dała takiego talentu, jak mają pan B.pan Ch. i pani K. ? Pisał napewno będę, gdyż muszę. Ale za większe "byki" nie odpowiadam.

Generalna Gubernia, roku strasznego 1943, przyjechała mnie, uciekiniera z Faszystowskich Niemiec, nie zbyt gościnnie i zamiast chorągiewek, jakichś kwiatów, uwidziałem ogromne afisze, deklaracje, wykazy polaków aresztowanych i podlegających do wywózki, lub, jako zakładników, do rozstrzału, w razie śmierci jednego niemieckiego żołnierza, ginąć musiała aż setka polaków? Cóż za makabryczna proporcja i czy naprawdę życie ludzkie straciło na swej wartości? Przecież nie do takiej Polski uciekałem, gdzie na każdym kroku czyhała kostucha, lub co najmniej PAWIAK ???

W Warszawie, zacząłem od poszukiwania Bronisława Scheflera (rodzonego brata mojej matki) który ~~małże~~ miał pracować w Policji Polskiej, w Ruchu Drogowym...., i właśnie idąc po tej drodze, odnalazłem GO, stojącego na skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich z Marszałkowską, gdzie w paradnym mundurze, nadal kierował "RUCHEM". Policja Polska w czasie okupacji hitlerowskiej, przeszła w swym granatowym umudorowaniu na służbę niemiecką, chociaż większość policjantów, należała do polskiej konspiracji, do ZWZ. Wujek mój również należał do organizacji, co mu ułatwiło zdobycie potrzebnych dokumentów. Zajął się mną bardzo serdecznie, dając chwilowo lokum, wyżywienie i odpowiednie ubranie. Już na drugi dzień, po przyjeździe, miałem nową "KEN KARTE" na nazwisko Sobolewski Jan i zameldowano mnie przy rodzinie Umińskich gdzie też mieszkał Bronisław Schefler, przy ulicy Żelaznej róg Chłodna, niedaleko Hali Mirowskiej.

Na początku swojego pobytu w okupowanej Warszawie, żeby jakoś żyć, pomagałem rodzinie Umińskich wyrabiać papierosy, które następnie sprzedawano na ulicy, czy też w kioskach. Drugą moją nocną pracą, było; wytłaczanie oleju z rzepaku, robota nie zbyt przyjemna i przez 12 godzin pod strachem nalotu na nielegalny przemysł, czy to policyjnych patroli, czy niemieckich żandarmów? Po dwóch miesiącach udało mi się wcisnąć do warsztatów kolejowych, "Warszawa-Zachodnie", gdzie remontowano, potrzaskane wagony, przez naszych chłopców z lasu.

W tym czasie, przez miasto przewalała się wielka fala terroru, zganiano wszystkich żydów do jednej dzielnicy, nazwanej później "GETTO"; z tego powodu, zaczęły się przymusowe przeprowadzki rodzin polskich, w tej akcji i my musieliśmy opuścić wygodne i ciepłe mieszkanie z Żelaznej na ulicę Sierakowską, gdzie zamieszkałem u państwa Adamczyków. Eksterminacja Żydów, była początkiem zagłady całego narodu... Nigdy nie darzyłem sympatią tych panów w "jermułkach", ale wi-

dząc te nieszczęsne gromady, (przepędzani jak było przez niemieckich żołdaków z pod znaku SS... Po ogrodzeniu murem wysokim, "GETTO" stało się jakby centralnym OBOZEM, gdzie spędzano i zwożono ludzi z gwiazdą Dawida, ze wszystkich miast Generalnej Guberni.) serdecznie współczułem tym biedakom, a później, widząc przez okna swojego domu przy Sierakowskiej 12, jak bojówki "ŻEGOTY" stawiali śmiertelny opór wspólnemu wrogowi, całym sercem byłem razem z nimi, widziałem młodych Żydów jak z determinacją obżucali granatami samochody i jak z ~~ępięciem~~ samobójcy, bronili resztki swojej godności...

Godna pożalowania była też "akcja" pomocy Żydom w "GECIE" jaka, rosjanie przysyłali, w czasie pożaru i zamiast żywności, broni, poczęstowali bombkami..., w ramach solidarności i przyjaźni, komuniści pomogli Niemcom w niszczeniu tego plemienia...

Podczas czerwcowych "Łapanek", mnie również aresztowano i przez 6 godzin pod ścianami dworca Gdańskiego, sprawdzano wiarygodność dokumentów, bardzo możliwe, że trafiłem na ludzkiego żandarm, bo moja "KEN-KARTA" okazała się w porządku i jeszcze tego dnia cieszyłem się atmosferą domową (a nie Łaźnia w gestapo)² Dziwiłem się często, widząc warszawiaków spokojnie reagujących na wrogie poczynania Niemców, czy to na ulicy, czy też w tramwajach, .. U nas na Litwie, ONI byli jakby "gośćmi"..., przyszli i poszli..., a swoje wrogie ekscesy ^{były} mniej okazywane w urzędach, na ulicy.. WARSZAWA natomiast była jakby "KRWAWĄ MASZYNKĄ"; przez którą przepuszczano masy żydowskie, polskie..., a nie żadko i padlinę okupanta... tu się kotłowało jak we wrzącym tyglu, a matuszka śmierć każdego dnia zbierała swoje żniwa. W roku 1943 dziesiątki ulic Warszawskich miały już swoje miejsce "SKAZAŃ", gdzie mieszkańcy w ofierze składali swoje życie. Jednego dnia umierając, by następnego, i to z większą furją, w odwecie, mścić swoich braci... A "AKCJE" podziemnej Armii, były już na porządku dziennym, jak nie zamach na "Kutschebę"; to inne podobne rozruchy odwetowe. Każdego dnia z drwiącym śpiewem "zakazanych piosenek" młodzież warszawska wychodziła demonstracyjnie na ulice miasta, by szydzić z okupanta, by swoją odwagą karcić przechodzącego Niemca, czy też wyśmiewać damulkę, jadącą w ~~tramwaju~~ przedziale tramwaju, gdzie wyryto; "NÜR FÜR DEUTSCHE".... W tych czasach, kiedy przeciętny obywatel Guberni zginał się w wielkim strachu przed represjami okupanta, kiedy na ustach każdego Polaka pojawiały się słowa "GESTAPO" "TREBLINKA"; "MAJDANEK", "OŚWIECIM" w tym czasie WARSZAWIACY już sięgali po broń, żeby nie pójść za strasznym przykładem ŻYDÓW..., postanawiając

bronić swojego życia, swojej niepodległości i miasta umiłowanego. O honorowej postawie WARSZAWIAKÓW należałoby ~~się~~ pisać z większym uczuciem, pisać pochwalne psalmy, a nie, w kilku zdaniach określać wielki Zryw Młodych, czy to od "Parasola"; czy od "Uderzeniowych Brygad"...Niestety, nie umiejąc, muszę pozostać przy swoich zwykłych stwierdzeniach FAKTÓW.

Mieszkając nie daleko "CYTADELI"; byłem częstym spacerowiczem w miejscowym skwerku, gdzie pewnego dnia i pewna cyganczka, wywróżyła mi z ręki;"udział w tej wojnie","więzienie","daleką drogę" i że"starości"doczekam się w"dobrobycie"u swoich nieprzyjaciół. Nieraz, siedząc przy swoich wspomnieniach i to w "dobrobycie"... , często porównuje wróżbę zwykłej cyganki do mojego niezwykłego życia ? dochodząc do wniosku, że cała nasza egzystencja wiąże się jakby z zaczerpniętym horoskopem i że ludzie idą przez swoje życie po wyznaczonej już nitce....?

Żydowską tragedię, przeżywaliśmy bardzo w naszej rodzinie a może i w wielu rodzinach Warszawy, nasze kobiety płakały widząc obrazki, znecania się "czarnych z SS " nad Żydami, czy widząc jak ich, na naszych oczach rozstrzelują...(choć to zupełnie nie koleduję z poczynaniami Żydów w Palestynie...???) Dlaczego ? Dlaczego Żydzi, po takiej strasznej zagładzie swojego narodu, dziś, sami wcielają się w bestie i z zakasnymi rękawami, znęcają się nad słabszymi arabami ? Dlaczego poszli w ślady swoich morderców ???

Chociaż oprócz żydowskich "aj-waj", mieliśmy swoich co nie miara kłopotów i zmartwień. Przecież i sami żyliśmy pod strachem, mając na karkach ciężar okupacji, sami też musieliśmy każdego dnia "wykombinować" środki do życia, wymyślać tysiące "forteli", żeby przechytrzyć okupanta, żeby zdobyć jakiś azyl, żeby przeżyć.....

Ponieważ w samej Warszawie, robiło się coraz ciasniej, a agresja niemiecka w stosunku do mieszkańców zwiększyła się niepomiernie, już jesienią 1943 r wujek mój zdecydował, że muszę opuścić Warszawę, bo z takimi papierami(ken-karta)daleko nie zajadę... więc niebawem zawiózł mnie do swoich znajomych, którzy mieszkali w RADOŚCI pod Warszawą, gdzie też w miarę spokojnie przezimowałem a moi gospodarze, państwo Strupczewscy okazali się dobrymi ludźmi. Po dość szybkim zaklimatyzowaniu się i po zapoznaniu kilku fajnych kumpli w"trzy pacierze"znalezłem się w szeregach polskiej konspiracji. Pewien Padoszczanin wprowadził mnie w arkana podziemnej pracy, by już po dwóch miesiącach znaleźć się w drużynie MARKA, który przynależał do Warszawskiego UDERZENIOWEGO BATALIONU KADROWEGO, (Konfederacji Narodu) gdzie dowódcą tego Batalionu był Bolesław

Piasecki(o którym napiszę więcej w dalszej relacji) Oddziały UBK to Oddziału walczącej Warszawy, z których pochodzi i mój wspaniały Dowódca "JACEK" (Ryszard Reiff)-(dopiero w roku 1979 poznałem prawdziwe nazwisko swojego "JACKA")

Po mimo że mieszkałem w Radości, prawie każdego dnia spływaliśmy do Warszawy, na wyznaczone kwatery, by jak w normalnych szkołach, korzystać z wiedzy wojskowej u swoich przełożonych, naturalnie że było wiele wypadków,"wypadków"i wiele ciekawych nieporozumień związanych z nauką o broni, o taktyce. W ten czas jeszcze broni osobistej nie mieliśmy, a dostawaliśmy taką wyłącznie na potrzeby nauki lub akcji zaplanowanej przez Dowódctwo(konspiracja w AK a szczególnie w naszej Organizacji, była nawet uciążliwa i tylko przechodząc szkołę Podchorążówki, mogliśmy grupowo widzieć),wiedzieć o sobie więcej jak pozwalał regulamin) Przy mojej bytności w Warszawie, udziału w akcjach, mojej kompanii nie było i dopiero poznałem dobrze karabin i wroga w terenie.

Jeszcze znajdując się w Radości, poznałem wiele polskich rodzin, a wśród nich, rodzinę państwa REMBOWSKICH, z kąd wywodzi się świetny pianista STEFAN REMBOWSKI, dusza muzyczna Radościanańskiej młodzieży,(jak nam zagra Stefanek Rembowski-zgina smutki i troski..) W tym też czasie otrzymaliśmy rozkaz zaopiekowania się, trzema lotnikami angielskimi, zestrzelonymi nad Centralna Polska, "dżemojadów", przechowywaliśmy po kolei w rodzinach zaufanych, ja również jakiś czas opiekowałem się młodym anglikiem, który miał na imię "DZEK" z kąd i u mnie rodowód pseudonimu "DZEK".

Cóż jeszcze pozostało mi w pamięci po Ładnej RADOŚCI ? Może o sympatycznej córce państwa Strupczewskich, która na widok granatów i pistoletu w mojej walizce, strasznie bladła, prosząc za każdym razem; żebym to zakopał...? A jeszcze co warto podkreślić; RADOŚĆ, miejscowość piękna, jakby wczasowa..., z najpiękniejszymi dziewczynami na cały Okręg...Pamiętam WAS, piękna ZOFIO, IRMO, KRYSTY. Nawet "głupie figle" z patrolami SS pozostały w pamięci i z uśmiechem może zacytuje; Kiedyś, przy jakiejś tam imprezie, nasz Stefanek zaprosił grono kumpli do siebie i przy dobrym i mocnym winie, każdy z biesiadników popisował się jakimiś dowcipami, anegdotami..... Mnie również przyszła myśl, by się popisać swoim czytaniem w je rosyjskiej literaturze, a wspomniawszy Turgieniewa, opowiedziałem;

chłopakom, jak to bywało za CARSKICH czasów, kiedy w wojsku służyono po kilkanaście lat i w tych Zakaukaskich Garnizonach, z nudów urządzano sobie takie niewinne zabawy; gaszono światło, towarzystwo chowało się po wszystkich kątach i za każdym meblem, a do tego, kto wychylał się i krzyczał "ku-ku" strzelano, naturalnie "krzykacz musiał się chować.../a jak nie zdażył, to wyłącznie jego strata... (nie bez tego, że po takiej zabawie, ordynansi przyg~~ę~~^W przygotowywali pogrzeby..)

A kiedy już nad ranem, wychodziliśmy z płonącymi czubami, zachciało się nam skrócić drogę do swych domów, idąc poprostu zagajnikami..., naturalnie że ze śpiewem "siekiera, motyka, bimbru szklanka"...itp.) co się widocznie nie bardzo podobało przechodzącemu patrolowi żandarmów, (była akurat godzina policyjna od 21 do 6-ej)gdyż zaczęli wrzeszczeć swoje HALT. HALT. HENDE HOCH. na co jeden z naszych bardzo szybko zareagował, dając odzew; A "KU-KU" i to kilka krotnie powtarzane przez jednego z naszych, najbardziej poominowanego winem Stefanka.../W Niemców jakby piorun trzasnął, oniemieli chwilowo z wrażenia, że ktoś o tej wczesnej porze w żywe oczy kpi sobie z WŁADZY ?..., było to tylko chwilowe zaskoczenie, bo zaraz otrzymaliśmy taki ogień z trzech SCHMEISERÓW że ryliśmy nosami w żółtym piachu zagajnika, aż do torów kolejowych, relacji Warszawa-Ctwock, i że nam udało się wyjść cało z tej opresji to jeszcze do dziś zastanawiam się nad swoim szczęściem.?

Najbardziej dowcipnym z naszej paczki okazał się MAREK, pseudonim "RÓŻA"; później "HEROD"; to ON właśnie zrobił ten KAWAŁ niemcom, najpierw żandarmom, a w 1944 sobie.., bo się powiesił..... (Po wielu brawurowych akcjach, po całej tej wojennej potańcówce, wrócić do swojego domu i zakaszys i wten sposób skończyć.? Nieprawdopodobne Marku i wcale nie podobne do Ciebie Drogi Druhu.?

Ale najlepsza zabawa musi iść w ką, kiedy O J C Z Y Z N A w potrzebie. Nadszedł rozkaz wymarszu do Prus Wschodnich... Muszę jeszcze zamieścić małą wzmiankę; że mój dobry wujek Bronisław Schefler, prywatnie, po za swoją służbą, wysadzając pociąg, zginął pod Wyszkowem. Co jest dowodem, że nie wszyscy polscy policjanci, byli w tamtych latach kolaborantami.....

Zanim wyjdziemy z Warszawy w pierwszy bojowy patrol, powinienem przedstawić z grubsza, rodowód naszego Batalionu USBK, który, razem z innymi Oddziałami Szturmowymi Warszawy i Okręgu, zostały zarejestrowane w Archiwum PZPR-u. Na podstawie książki, pod tytułem; "Oddziały Szturmowe Konspiracyjnej Warszawy". Rok wydania 1978, autora; Tomasza Strzembosza.

A oto co napisano w tej książce, o naszym Oddziale Dywersyjnym KPN; Te nie wielkie Oddziały Sabotażowo-Dywersyjne i Oddz. Dywersyjno-Bojowe, powstały w Warszawie w latach 1942-1943 w ramach dwóch bliskich sobie organizacji podziemnych ZPN i KPN, utworzonych już jesienią 1939 roku, w oparciu o środowisko kombatanckie i środowisko młodzieżowe, były w pierwszych latach okupacji, dość liczny konglomerat kilku autonomicznych członków organizacyjnych i ogarniał swoimi wpływami, poważną część Polski.

KPN (Kadra Polski Niepodległej) powstała zapewne przez usamodzielnienie się Warszawskiego Okręgu ZPN, do którego przyłączyła się nie wielka Organizacja, polityczno-wojskowa "ZRYW". (potem stronnictwo Zrywu Narodowego) Obie te Organizacje długo oscylowały pomiędzy wpływami ZWZ, ARMII KRAJOWEJ, z którymi KPN pierwsza nawiązała kontakt już w czerwcu 1940 roku, ale całościowo zcałowała swe Oddziały dopiero w 1943 r. pozostawiając z boku niektóre ugrupowania, niechętne akcji zsceleniowej (w tym Polskim KOP-em i "Mieczem i Pługiem")

W efekcie tych rozłamów, część Oddziałów KPN przeszła do Armii Krajowej, a część zachowała swoją niezależność. W listopadzie 1942 roku owa nie scalona część zachowała swoją odrębność (zapewne większość) i połączyła się ze Zjednoczonymi Organizacjami ruchu, "MIECZ I PŁUG" w którym znajdowały się wówczas odłamy KOP-u i Organizacji Wojskowej "OW", do których, dołączyli później "Gryff Pomorski" (lipiec 1943), Zakon Odrodzenia Narodowego (październik 1943) oraz kilka młodych grup konspiratorów. Inną zupełnie drogą poszła KPN w lutym 1943 roku podporządkując swoje Oddziały wojskowe ARMII KRAJOWEJ. Z Oddziałów Dywersyjnych ZPN znany jest nam tylko jeden, utworzony zapewne w 1942 roku. A teraz coś z mojej łączki;

Drużyny Bojowe "NIEDŹWIEDZIE" w Konfederacji Narodów i AK (1943-44), utworzone przez KPN, Oddziały Specjalnego Działania, pod nazwą "Drużyny Bojowe Niedźwiedzi", wiążą ściśle sytuację, jaka zaistniała po sformowaniu i przeżuceniu za BUG Oddziałów Partyzanckich "UDERZENIE" (w których i ja brałem udział)

ODDZIAŁY UDERZENIOWE, rekrutujące się w poważnym stopniu z młodzieży Warszawskiej, zorganizowane zostały z wielkim wysiłkiem przez KPN w końcu 1942 roku i w pierwszej połowie 1943. Po przeżuceniu ICH na tereny wschodnie, pozbawiło dzielnicę Centralną, wojskowego pionu KPN, najwartościowszego elementu wojskowo-bojowego. Po za tym "ODDZIAŁY" te wymagały stałego uzupełnienia, wyciągając z Warszawy, większość zdolnych do służby liniowej członków KPN i niemal całą kadre przywódcza.

Po wyjeździe Komendanta Głównego KN Bolesława Piaseckiego do walczących oddziałów, kierownikiem pozostającym na miejscu ogniw organizacyjnych, wyznaczono dr. Jerzego Hągmajera (KIEJSTUT) Podporządkując sobie całą Komendę Uzupełnień, która zdekompletowana musiała sięgnąć do nowych rezerw, aby odbudować swój stan posiadania i po drugie, szybko utworzyć pełną siłę bojową, która w razie potrzeby, można by było użyć do działań w Centrum Kraju, przede wszystkim w Warszawie. więc nic dziwnego, że zwrócono się do środowisk młodzieżowych, nie objętych dotychczas wpływami KN i właśnie ta nowo pozyskana młodzież została użyta do organizowanych w Warszawie Oddziałów Specjalnych, które otrzymały kryptonim "Niedźwiedzie". Werbunek większej ilości żołnierzy, powstał na zasadzie "znajomości", a interesujący nas Oddział przyprowadziła wiosną 43 młodzieńca łączniczka KN Alicja Kucharek, wykorzystując swoje znajomości w gimnazjum im. Gąseckiego (działającym pod szyldem Szkoły Zawodowej). Zwerbowała ona kilkudziesięciu chłopców, którzy włączeni zostali z początku do aparatu kolportażu prasy KN, a w czerwcu 1943 r. zapewne utworzyli, wraz z innymi pozyskanymi wcześniej, młodymi bojowcami, drużyny bojowe pod nazwą "NIEDŹWIEDZIE".

Dowódcą tej drużyny bojowej został Stanisław Hniedziewicz pseudonim CIGIERD, niedźwiadki, były w istocie Oddziałem dyspozycyjnym Warszawskiego Kierownictwa KN, liczącym przepuszczalnie 20-25 ludzi, chociaż sama nazwa "drużyny bojowe" wskazuje na zamiar ich dalszego rozbudowania. W pierwszym okresie istnienia Oddziału, nie wyodrębniono w nim drużyn, ani sekcji, zapewne ze względu na jego nie wielką rozbudowę, liczebność oraz brak wyszkolonych dowódców. Musiało się to zresztą wydawać nie celowe, gdyż kierownictwo KN, uważało nowo stworzony zespół, ze swego rodzaju "Oddziału Marszowego" mającego uzupełnić, walczące już Baony Uderzeniowe i dopiero później postanowiono użyć jako Ochrony Kierownictwa Konfederacji Narodów.

Szkolenie narybku, nie było zresztą łatwe, gdyż w aktualnych warunkach Organizacja Bojowa KN nie dysponowała ani odpowiednimi zasobami uzbrojenia, ani dostateczną Kadra Instruktorską.

Po ze samym Hniedziewiczem, który posiadał wyszkolenie wojskowe, nie było wielu fachowców a w Oddziale wyróżniali się aktywnością, Jan Walewski, Stachiewicz, Zbigniew Matysiak, Sowinski, Mirosław Plewczynski (ORSZA). W miarę możliwości, szkolony Oddział do walki w polu, w końcu został użyty do akcji zbrojnej w samej Warszawie. Powstanie również zaliczył.

Batalion UBK w terenie był stale uzupełniany naborem młodych Polaków na terenach Zaburzańskich, gdzie w roku 1944 w miesiącach kwiecień-czerwiec, również brałem czynny udział w szkoleniu żołnierzy z nad Niemna.

Rozkazem Dowództwa KPN, niewielkim Oddziałkiem, wyszerowaliśmy z Wyszkiwa (gdzie była koncentracja) wyszliśmy z Warszawy, dla rozpoznania terenów Puszczy Białej i przygranicznych okolic byłej Pruskiej granicy. Szefem naszego Zwiadu, wyznaczono p.porucznika "JEMIOŁE", który nie mając większego stażu, prowadził pluton, jak to się mówiło, na psi wąż, skokami i to tylko nocami, przekradaliśmy się od jednej wsi do następnej, uzyskując potrzebne wiadomości od miejscowych placówek AK...Jak na biwakach, powiadał nam porucznik, że Warszawa chce pomścić "Zbrodnie niemieckie w Zamościu" i nas wysłała na rozpoznanie terenów w Prusach Wschodnich, więc jesteśmy, jakby pierwszym zwiadem dla dokonania dywersji....

Chrzest bojowy przeszliśmy już w drodze powrotnej, gdzie Niemcy sprawili nam takie manto że i dziś jeszcze pamiętam..... Niewielkie miasteczko PARLEJEWC, ze słabym garnizonem żandarmerii, nadanej dla nas, przez miejscową organizację AK, że jak nocą napadniemy zniemacka na słaby posterunek, to napewno zdobędziemy i broń i sławę...Niewiem do tej pory przyczyn, ^{ale} ~~że~~ zamiast naszego "brawurowego ataku".? Niemcy swoim huraganowym ogniem z karabinów maszynowych i automatów migiem przekreślili nasz planowany "podziału Yupów." A było to tak; Późnym wieczorem, podeszliśmy do osobnego domku pod PARLELEWEM, gdzie mieliśmy zrobić akcje pokazowa na posterunek, plan działania ustalono jeszcze na poprzednim miejscu postoju, razem z miejscowym Komendantem Placówki AK.

Jak już na wstępie napisałem, przed północą zajęliśmy wytypowany domek, stojący z dala od miasteczka. Po wystawieniu wartownika, wewnątrz mieszkania, ponieważ mieliśmy obiecać, że o ochronie naszego Oddziału zadba miejscowa placówka AK. Gdzieś, około północy, zaraz po spożyciu gorącej strawy, rozłożyliśmy się w dużej izbie, kto gdzie mógł, na odpoczynek... Ja rozsiadłem się wygodnie na ogromnym kufrze, wieszając swój automat na ścianie. W komnacie ludzi było b. dużo, duszno, ale też przyjemnie ciepło. Na dworze padał drobny śnieg (listopad)

Domek, gdzie zaczęliśmy się przed akcją, znajdował się w niewielkim sadzie, przy samej drodze wiodącej do PARLEJEWA.

Raptem zabłysło rażąco i z ogromnym trzaskiem, posypały się szyby w wielkich oknach od strony drogi... Huraganowym ogniem karabinów maszynowych, zostaliśmy jakby przygwożdżeni do podłogi. Atak nastąpił tak nieoczekiwany i tak gwałtowny, że wiara potraciła głowy i tylko dzięki dowódcy, który najszybciej oprzytomniał i swym krzykiem "Marek, podnoś drużyny i skacz przez okna dla przeciwnatarcia"... ,niestety, w tej drużynie i ja byłem i również musiałem skakać przez okna-ziejące zmasowanym ogniem... ,nawet nie zdążyłem pomyśleć o paciorku, jak już leżałem w ogródku pod parkanem, gdzie razem z dziesiątką podchorążaków, stworzyliśmy, coś w rodzaju zasłony, a ogniem ze swoich karabinów i automatów, zmusiliśmy Niemców do zajęcia się wyłącznie nami, co by w tym czasie umożliwiło dla reszty plutonu, złapać oddech i już oprzytomniawszy, wycofywować się z zagrożonego pomieszczenia... Wprost, nie do wiary, ale z tej nagłej żądni, nasz pluton wyszedł prawie obronną ręką... Już przy regulaminowym "odwrocie", straciliśmy jednego podchorążego i trzech z lekkimi podstrzałami.

W tym naszym pierwszym boju zginął podchorąży "MUCHA", a w samym Oddziale, na dość długo "zginął" animusz i pewność o swej bojowości, która napewno przyniesie zwycięstwo i to szybko...? A na razie, wojsko "UDERZENIA" rwało ile tylko sił w nogach w kierunku Bugu, starając się by do dnia następnego, oderwać się przed pościgiem... Wogóle, w pierwszych miesiącach naszego rajdu i to w miesiącach chłodnych, przeżywaliśmy nadmiar wrażeń... ,była to marszowa podchorążówka, szkoła charakterów i taktyki zajęcej... Na tej pierwszej i wielkiej drodze, naturalnie, nauczyłem się, dużo, a przede wszystkim; suszenia odzieży na sobie, polowanie na wszy i inne plugactwa, spanie na stojąco i w pochodzie, a podczas

ucieczek, nie bania się własnego cienia...W sumie; była to nasza trudna szkoła potu, strachu, wielu głodnych dni..., już nie wspominając o bolesnych odciskach i przelanej krwi.....

Nasza partyzantka napewno nie miała nic wspólnego z pięknymi mirażami z dawnych snów o przygodach młodych ludzi? Chociaż, po wielu trudach i w znoju, zawsze staraliśmy się z "fasonem" pozostawac polskimi kozakami i wtedy nie straszne nam były, faszystowskie formacje, ani też hordy Własowskie, czy pułki gen. Plechawiczusa.

Wędrowaliśmy po naszych Polskich Puszczech, które zawsze dawały AZYL, dawały choć krótki, ale spokojny odpoczynek przed następnymi "skubnięciami" okupanta. Przez kilka miesięcy poznawaliśmy naszych sprzymierzeńców, do których, puszcę BIAŁA i NALIBOCKA zaliczam jako pierwszych....

Odnośnie, naszej pierwszej i nie udanej akcji, jeszcze słów kilka, bardzo możliwe, że czynnikiem naszej porażki, była zdrada, a później nie udolność dowódcy, chociaż kto wie, gdyby nie Jego szybka reakcja, napewno ofiar byłoby dużo więcej..? Ten, jedyny odważny odskok z miejsca zasadzki, uratował resztę naszego Oddziału. Było kilku rannych i niestety jeden zabity, którego musieliśmy pozostawić na drodze sromotnej ucieczki.....

"ucieczki", wogóle zapisały się do naszego partyzantkiego życia, jako przymusowy atrybut, my przecież wciąż wialiśmy, prawie po każdej akcji, po każdej potyczce, musieliśmy robić "planowy" odskok, by po naostrzeniu zębów, znów uderzyć, niosząc zawsze większe lub mniejsze straty dla okupanta.

Po mimo nie najlepszego samopoczucia, w plutonie zawsze panował duch bojowy, ciesząc się z każdej "DRAKI" spotkanej na naszej drodze powrotnej do Warszawy. Podchorąży "GRCT" często notował o rozbiciu kilku "Ligentschawtów", gdzie oprócz drobnicy, jakieś broni, zabieraliśmy konie, a te z kolei ułatwiały nam, na dalsze wypady. Spotykane, podczas przemarszów, patrole "Kałmuków", bywały najlepszą zabawą z podchoćami...A nie pozostawiając ich żywymi, nie pozostawialiśmy żadnych śladów bitwy.

A gdy nadszedł rozkaz, zakończenia tej dziwnej, jakże nie podobnej do normalnego stylu, "PODCHORAŻÓWKI", wróciliśmy przez Ctwock do Warszawy. Jeszcze w Ctwocku u sióstr zakonnych (jakiego wezwania-nie pamiętam) odprawiliśmy pogrzeb kolegi, który zginął tuż

pod Ctwockiem, z ręki gajowego (członek konspiracji) który sądząc, że ma doczynienie z Niemcami, wygarnął z dubeltówki w samo serce polskiego partyzanta....(była to straszna omyłka na progu zaczynającej się wielkiej akcji "BURZA").

Powróciliśmy na swoją bazę, niby to na odpoczynek? Chociaż odpoczynek niezbyt udany...? Już po kilku dniach, nowym rozkazem ściągnięto nas z ciepłutkich kwater do nowych zadań... Tym razem otrzymaliśmy polecenie, przygotowania się do zakomufłowanego wyjazdu pociągiem, większej grupy Podchorążaków i Komandosów, na tereny Wschodnie Polski. W ramach akcji "BURZA", cały Oddział w przebraniu Organizacji ~~TODD~~^{TODD} i pod kierownictwem niemieckiego majora (przekupiony, albo "sympatyk" Hitlerka?) Komandosi podążali pod Mińsk Sow. a Podchorążówka na dalsze szkolenie wojaków 77 Pułku Piechoty, stacjonującego nad Niemnem. Pod płaszczykiem robotników Organizacji Niemieckiej TODD, I jak przebierańcy, posiadaliśmy do pociągu, jadącego w kierunku Wilna, przez Białystok, Grodno. Przydzieloną broń, zmyślnie ukryliśmy w piłach i siekierach, zawiniętych w szmaty i papiery, a na swoje betl.dressy, powkładaliśmy zielone płaszcze z TODD.

Jak w prawdziwym teatrze, jak na śmiesznym balu maskarady-przebierańców, gdzie każdy z nas więcej podobny był do idioty, czym do żołnierza Rzeczypospolitej....

Miasta w Guberni, mijaliśmy dosyć spokojnie, chociaż już na dworcu w Białymstoku, zaczęły się przygody z wścibskimi żandarmami.., C mało nie doszło do "wpadki" na peronie, z kąd mieliśmy prześiadkę dalej na Grodno, otóż, nadchodzący patrol zwrócił uwagę na dwóch przebierańców, ale zamiast wyegitymować ptaszeków na miejscu, zaprowadzili do pobliskiej budki, gdzie naturalnie nastąpiła interwencja naszych z obstawy, (związanych, pozostawiono pod opieką kolejarzy, którzy pomogli później wepchnąć ich do naszego pociągu..) W hali dworcowej, u spiących na podłodze, zauważono gołe lufy erkaemów i tylko dzięki spostrzegawczości naszych dyżurnych, uniknęliśmy kłopotów, a przed wejściem już do następnego pociągu, jedna z podróżujących pokazała paluszkami, kolbę pistoletu, widoczną z kieszeni sennego uderzeniowca...

Szczęśliwie posadziwszy siebie i dwóch żandarmów, dojechalismy do jednej niedużej stacji (nazwy nie pamiętam) pod Grodnem, gdzie demonstracyjnie, po rozpakowaniu kłopotów, już jako Bojowy Oddział wyruszyliśmy przez puszcę Grodzieńską, do swoich.

Zimą, roku 1944, weszliśmy w skład 77 Pułku Piechoty (Lidzkich Niedźwiadków) VIII Batalion Bolesława Piaseckiego (Sablewski) do którego i nasza kompania przynależała, Kompania "JACKA" (Ryszarda Reiffa) znalazła swoją "parafię" około LIDY, gdzie po okolicznych wioskach mogła stacjonować spokojnie, ponieważ te tereny już mocno były opanowane przez Armię Krajową. Niemieckie garnizony jeszcze trzymały się w większych miastach i przy ochronie linii kolejowej, wiodącej na wschód.

Przeważnie, na miejsca postoju zajmowaliśmy wioski, oddalone od dróg i blisko lasów. WIOSKI, gdzie wyłącznie słoneczko jest najlepszym światłem dziennym, bo już o zmroku zapalano "YUCZYWC" (cieniutka drewniana listewka wetknięta w framugę drzwi lub ściany) Szczególnie warszawiacy mieli się z pyszna, widząc kulturę kresową...? Mnie, zupełnie nie raziły zakopane izby kuchenne, czy też wogóle domki bez kominów.... Tak, tak, jeszcze pełno znajdowało się chałupek gdzie dym wychodził przez drzwi, zamiast.... Naturalnie, brud panował powszechny, domownicy zimą jucili się na swoich wielgachnych piecach, a my prosto na słomie na ziemi, na takiej polepie glinianej..., a spało się zawsze w towarzystwie.., pcheł, pluskiew i tarakanów... I zanim nasze ciała przyzwyczyły się do tych krwiożerczych owadów, mieliśmy wiele bezsennych nocy..., a wstawanie na nocną wartę było większą przyjemnością jak tarzanie się po podłodze...

O warunkach bytowania w tych ciemnych i pachnących dymem, lokalach, można pisać bardzo dużo i bardzo źle, ale gdy będzie mowa o samych ludziach, można spokojnie odwrócić temat i tylko językiem MICKIEWICZA, opiewać ten prosty i jakże dobry lud.

Bez żadnej przesady i bez żadnego porównania do innych gospodarzy naszej Ojczyzny, mieszkańcy Wschodnich Terenów Rzeczypospolitej, nieraz okazywali nam "przybyszom", wiele serca, dzieląc się, ostatkiem wojennych zapasów. To przecież nie byli w prostej linii Polacy, ani też Białorusini, nazywając siebie; "TUTEJSZY". Chociaż do żołnierza polskiego odnosili się z większym szacunkiem jak do "czerwonej partyzantki", która często niepokoiła ich swoimi napadami. Rosyjsko-żydowska banda udając bojową partyzantkę, walczyła poprostu o byt, grabiąc wioski, prawobrzeżnego Niemna, naturalnie, do czasu, kiedy nasze Oddziały przyszły na te tereny, wtedy bolszewickie zgrupowania musiały odpłynąć na wschód pod Mińsk.

Rozpołożone w terenie Bataliony i Kompanie przechodziły intensywne ćwiczenia, już wczesną wiosną 1944 roku szykowano się do zajęcia większych miast, jak Lida, Cszmiana, Grodno, Wilno.... Niektóre, samodzielne Oddziały; Ragnera, Krysi, Szczerbca, nadal nie próżnowały, rozbijając umocnienia niemieckich garnizonów... Z naszego Pułku, również poszczególne kompanie, "Jacka" "Ponurego" "Szczęsnego" i wiele innych, wychodziły na akcje, większe, mniejsze, o których poniżej będę opisywał, biorąc ze swojej pamięci lub z reportarzy....

Jakiś czas sterczałem przy szkoleniu nowego narybku z nad Niemna i tam właśnie zapoznałem jednego z najbardziej wybitnych Polskich Oficerów (o którym będę mógł bardzo dużo opowiedzieć) Wiec, kiedy tak sobie gimnastykujemy się z nowicjuszami w koszarach zwanyimi-rekrutami..) Zastał nas pan major "PONURY", przyjechał w charakterze Inspekcyjnego z ramienia Sztabu Pułku, a widząc skaczących byle-jak żołnierzy, nie omieszkał zwrócić nam, swoja uwagę; Cóż to panowie Podchorążowie, tańczą sobie spokojnie kontredanśa z rekrutem,? zabawiają się, gdy tymczasem żołnierze giną pod "MUROWANĄ-CSZMIANKĄ"...i w nagłej złości wylał nam zupkę, która opodał gotowała się w tygielku ze smacznym kurczakiem...(później nazwalismy tę potrawę, zupką "ala Ponury")

O samych AKCJACH wykonanych przez plutony i kompanie UBK napiszę wiele w oddzielnych rozdziałach moich nowel, teraz przez wielki szacunek, zaczne własnie od akcji i wyczynów naszego oficera Jana Piwnika "PONUREGO", bohatera naszych partyzantckich czasów. Zaczynając od NIEGO, moja opowieść nabierze piękniejszych barw, i umocni *PAMIĘC* o tych, co tak dzielnie walczyli o naszą POLSKĘ, a gdy nadeszła potrzeba, oddali swoje młode życie.

O legendarnym Dowódcy Partyzanckich Oddziałów Armii Krajowej, Majorze "PONURYM", zanotowano ku wieczystej pamięci; Przed laty, prasa zagraniczna i krajowa, podawały obszerne relacje że nareszcie, Władze PRL wyraziły zgodę, na sprowadzenie do kraju, z terenów Białorusi i pochowanie w rodzinnych stronach w Górach Słotokrzyskich, prochów majora Jana Piwnika *PONUREGO*, który 16-go czerwca 1944 roku, padł w szturmie na bunkry niemieckie pod Jewłaszami na Nowogródzszczyźnie.

Decyzja ta była ukoronowaniem wieloletnich starań rodziny i towarzyszy broni *PONUREGO*, o JEGO powrót do ziemi ojców. Nawet Władze Radzieckie, już przed laty, w odpowiedzi na pierwsza

prośbę, wyraziły zgodę na ekshumacje i na przewiezienie zwłok. Powrotowi *PONUREMU* do kraju sprzeciwiali się latami, pewni rodzimi monopoliści od "patriotyzmu", "miłości" "walki",,,,, "poprawiacze historii i opluwacze wszystkiego, co nie odpowiada określonej bazie i linii... Ale wszystko ma swój koniec i nasz *PONURY* powrócił do swych ukochanych Gór Świętokrzyskich.

Ciekawa i frapująca jest historia tego człowieka..., Jan Piwnik, syn małego-rolnego chłopca z Janowa, wsi u stop Góry Witosławskiej, na przełęcz Jeleniowskiej w Górach Świętokrzyskich, z trudem, bo dzięki dawanym korepetycjom, mógł ukończyć Kieleckie gimnazjum w 1932 roku, odbywał służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, bo później nie mając szans na inną karierę, wstępuje do szkoły Oficerów Policji Polskiej w Mostach Wielkich. Konczy JA, jako Aspirant i wiosną roku 1938 otrzymuje przydział do sławetnego Gołędzinowa, gdzie przez rok dowodził Kompanią Szkolną.

Wojna 1939 r. zastaje GO wraz z kompanią na Śląsku. We wrześniu, dowodząc Oddziałem Gołędzinowców, bierze udział w walkach z najeżdżą, w ramach 3-ej Brygady Górskiej. Z resztkami ludzi, bo zaledwie 60-ma, przekracza Węgierską granicę. Przez Węgry przedziera się do Francji, gdzie w organizowanej Polskiej Armii, wraca do swej podstawowej broni, do Artylerii.

Jako Dowódca Baterii, bije się na linii Maginota. Należy do tej grupy polskich artylerzystów, którzy tak skutecznie, (choć starym, pamiętajacym 1-szą wojnę Światową, sprzętem, opóźniali marsz niemieckich kolumn pancernych.., doprowadza swą baterię do portu i na okręt załadowuje ludzi z bronią, skąd przedostaje się na Wyspę Ostatniej Nadziei...

W Anglii, jako jeden z pierwszych zgłasza się do Brygady Spadochronowej, a w JEJ szeregach jest jednym z najgorętszymi zwolenników szkolenia i wysyłania dywersantów do kraju.

Skacze do Polski w drugim w ogóle, a pierwszym oficjalnie sygnalizowanym i planowanym *ZRZUCIE CIHOCIEMNÝCH* w dniu, a raczej w nocy, 7-go listopada 1941 roku. Ta noc rozpoczyna 1040 dni *PONUREGO* spędzonych w dywersji "WACHLARZA" i w partyzanckich bojach. Dni trudnych, ciężkich, nie pozbawionych często goryczy, zewodów, rozczarowań, ale pełnych, bezwzględnej walki z wrogiem.

Major *PONURY*, syn ziemi Świętokrzyskiej, oficer Armii Krajowej, "CICHOCIEMNY", zapisał się do najpiękniejszych kart księgi, okupacyjnych walk z najeźdźcą. Jego działalność w organizacji dywersyjnej "WACHLARZA", uwieczniona krzyżem *WIRTUTI-MILITARI* nadanym w grudniu 1942 roku, Jego partyzanckie boje w Górach Świętokrzyskich w 1943, gdzie stworzył i dowodził najliczniejszymi na terenie Generalnej Gubernii, Oddziałami Leśnymi, Jego krótkie, bo zaledwie czteromiesięczne dowodzenie (a również i zorganizowanie) VII Batalionem 77 Pułku Piechoty w Nadniemskich Zgrupowaniach Batalionów Partyzanckich Ziemi Nowogrodzkiej, sprawiły; że już przed końcem wojny, w latach 1943-1944 *PONURY* był symbolem walki o niepodległość Polski. Jego IMIE powtarzaniem nie tylko w środowiskach partyzanckich, czy w "konspiracji", znało JE całe niemal społeczeństwo. Był żywym zaprzeczeniem już wtedy lansowanej propagandy, jakże krzywdzającej żołnierzy Armii Krajowej... (o stanie z bronią u nogi....) Właśnie dlatego gorliwcy-zakłamujący prawdę o latach okupacji, kopiacy uparcie przepaść między byłymi żołnierzami AK a GL, AI i BCH, (przepaść, której nigdy w praktyce nie było). Z *PONUREGO* z symbolu bezwzględnej walki z wrogiem, usiłowali w propagandzie powojennej, zrobić politycznego "REZUNA" a z Jego ludzi, bandytów... I choć sąd, który tak chętnie skazywał w owym czasie, byłych akowców, uniewinnił w sprawie ludzi w sprawie, która posłużyła za pretekst do robienia z *PONUREGO* bandyty, to do dziś oficjalnie nie zdementowano tego zarzutu.

PONURY był i jest uosobieniem walki. Gdyby policzyć wszystkie "wojny" dowodzone przez NIEGO osobiście, lub prowadzone na JEGO rozkaz, przez podległych MU dowódców pododdziałów, to można by obdzielić tym i dać tytuł do *CHWAŁY* wielu ludziom. A przecież wśród owych "wojen" są akcje nie mające ani procedensu, ani nigdy nie powtórzone przez żadnego z dowódców partyzanckich, czy też dywersantów wszelkiej maści.... Choćby jeszcze akcja z "WACHLARZA", odbicie więźniów z więzienia w TINIŃSKU na Polesiu. Słynna akcja "osiemnastu minut", podobnego "trzasku" nie miało miejsca w całej historii polskiej dywersji. Majstersztyk organizacji precyzja wykonania, niepowtarzalna odwaga i fantazja, Drugie "Wirtuti" dla *PONUREGO*, oraz dla Jego przyjaciela i prawej ręki, porucznika "Czarki" (Jana Rogowskiego-Cichociemnego) 18 krzyży walecznych dla wykonawców tej roboty, to najważniejszy dowód uznania.

Drugim niezwykle istotnym, był szczegółowy opis operacji, uznanej za wzorową i zamieszczony w instrukcji szkoleniowej dywersji... I dalej, walki partyzanckie w Świętokrzysku. *PCNURY*, pierwszy i jedyny w Polsce (a w podbitej Europie) zdobywał pociągi niemieckie "urlaubbery", nie wykolejał, lecz prowadził (lub kazał prowadzić) ludzi do szturmów na wagony, pod Jedrychowem, pod Łęczną, Suchedniowem, Wasocza, by w końcu w biały dzień szturmować na dążący do przodu pociąg pod Wólką Plebańską. Chciał i udowodniał Niemcom, że ruch oporu w Polsce, to nie tylko dywersja i sabotaż, ale duże, zwarte Oddziały wojskowe, atakujące wroga, rozwalające dziś pociągi a jutro już zdobywające miasta.

W czwartą rocznicę "września", w nocy z pierwszego na drugiego września 1943 roku drugie zgrupowanie Oddziałów Par. *PCNUREGO*, dowodzone przez p.por. "Robota" (Waldemara Szweica) (również Cichociemnego) Oddział liczący w sumie 65 ludzi, opłamał miasto KONSKIE, z ponad trzytysięczną załogą niemiecką. Zablockowawszy Niemców siedzących w bunkrach, ogniem maszynowym, po uprzednim odcięciu światła, polscy partyzanci buszowali po mieście przez kilka godzin, zabierając z magazynów wszystko co było potrzebne dla zaopatrzenia żołnierzy na zimę (odzież, obuwie, bielizna). Również tej nocy zlikwidowano kilku szpicli. Pociągi ratunkowe i zmotoryzowane kolumny idące na pomoc, utkwili przed zawałami, przygotowanymi przez terenowe organizacje AK. Niemcy myśleli (i rozgłaszali to później upornie) że KONSKIE, zostało zdobyte przez kilkutysięczne Oddziały partyzanckie, i woleli nie ryzykować... A o samej AKCJI, huczała cała Polska, równocześnie rozumiejąc symboliczne znaczenie "września", huczały wszystkie rozgłosnie antyhitlerowskiej Europy. Natomiast, nigdy nie wspomniano w minionym czasie za Rządów PRL-u.???

Niemcy zdawali sobie sprawę, że jeśli nie zniszczą *PCNUREGO* i nie rozbiją JEGC Oddziałów, to zbrojny opór Polaków nabierze jeszcze większego rozmachu. Nie była to dobra perspektywa dla władz Generalnego Gubernatorstwa, latem 1943 roku, kiedy to

mimo Stalingradzkiej klęski, wielu jeszcze Niemców, wierzyło w zwycięstwo. Dlatego nasiliły się obławy na polskie lasy.... Żaden Oddział partyzancki w Polsce, czy na zapleczu frontu nie przeżył tyle obław, co wojsko *PONUREGO*. Dosłownie, wychodzono z jednej, by za kilka dni była montowana następna. *PONURY* kluczył, nacierał niespodziewanie, rozbijał czeszące las niemieckie grupy specjalne, odskakiwał zrecznie, gubiąc zmyślnie ślady, uchodził jak chytry lis....A mimo to, już następnego dnia znowu Oddział miał Niemców na karku, znów "wojna" bez odpoczynku, bez oddechu, bez możliwości zdobywania żywności...Dzisiaj już wiemy, że wroga naprowadzał dokładnie na "punkty", znający wszystkie zamiary ~~wroga~~ *PONUREGO* szpicel.... Chociaż wtedy, zawsze nas ratowało wspaniałe dowodzenie Komendanta, własna determinacja. Inspiratorem wszystkich obław, zasadzek, pospolitych morderstw, wymierzonych przeciw *PONUREMU*, Jego żołnierzom i sprzyjającej MU ludności, było gestapo. To nie tepe, brutalne metody pokazane w serialach, kołowane przez super asa wywiadu "KLOSA"..., lecz był to aparat planujący daleko do przodu, obmyślający precyzyjnie i mądrze metody i sposoby unicestwienia całego naszego narodu, niszczenia najważniejszych ogniw podziemnej organizacji bojowej.

Narzędziem gestapo, okazał się konfident, oficer w sztabie *PONUREGO* p.porucznik "MOTOR", świetnie wprowadzony do dywersji AK (czy też już w tej dywersji, zwerbowany..?) Ktoż mógłby podejrzewać szpicla w osobie kolegi-przyjaciela, odznaczonego "krzyżem walecznych" już w 1942 roku. Gestapo prowadziło "MOTOREM" rozważnie i celowo. Doskonale, naprowadzał na zgrupowanie *PONUREGO*, powodując obławy, zostawiał sprytnie trop, po którym Niemcy szli, za odskakującym wojskiem... Spalenie Michniowa i zdrada produkcji stenów w Suchedniowie dowodzi, że gestapo, wykorzystując "MOTORA" likwidowała nie tylko żywą siłę wojska, lecz również w sposób bezwzględny i okrutny niszczyło partyzanckie zaplecze. Nie rezygnowało też z dowódców i ludzi mogących coś zdziałać, czego dowodem śmierć "ROBOTA" oraz towarzyszącego MU pocztu ochronnego, (zasadka przygotowana na porucznika "CZARKE" i JEGO tragiczny koniec.

Ale niszcząc, dzięki zdradzie "MOTORA", wojsko, zaplecze, likwidując ludzi, gestapo nie ruszało samego *PONUREGO*, choć ten

niedbał o swoje bezpieczeństwo. Ktoś szatańsko sprytny wiedział w gestapo, że za *PONURYM*, można trafic i unicestwić najważniejszy po Komendancie Głównym Armii Krajowej, filar walczącego podziemia, Dowodce Polskiej Dywersji, generała "NILA" (Augusta Emila Fieldorfa) W gestapo wiadano, że szef dywersji zna osobiście i wysoko ceni *PONUREGO*, że utrzymuje z nim kontakty, chce poznać jego żołnierzy. Z tą zasadzką w młynie Cioka i pod Mroczkowem. Kotły i obstawy na trasach dojazdowych. Gestapo wiedziało, że "NIL" przyjechał w Świętokrzyskie, w ten sposób przecież, długo polując, aresztowano generała Grotta Rowckiego. W przypadku "MOTORA" nie doszło do zamierzonego celu. Szpicla zdekonspirowano i rozstrzelano. Ale przedtym zdążył on być przyczyną śmierci, często meczenskiej, ponad tysiąca ludzi, żołnierzy konspiracji, żołnierzy Oddziałów Lesnych i co najtragiczniejsze, setek niewinnych, wśród ludności cywilnej.....

PONURY skutecznie zwalczał wrogów, nie potrafił jednak poradzić sobie z niechętnymi wśród swoich. Byli tacy ludzie we własnym Obozie Partyzanckim w Okręgu Radomsko-Kieleckim AK, ba, nawet w Dowództwie Naczelnym. Ludzi zawistnych, o małych sercach którzy nie potrafili, czy nie mając odwagi, wyjść poza przeciętność, nie tolerowali indywidualności= nie sprowadzonych do ich formatu. Ich wrogość i zawistność sprawiły, że *PONURY* odwołany został w grudniu 1943 roku z Gór Świętokrzyskich. Musiał opuścić rozkochanych w NIM żołnierzy i dowódców.

W lutym ~~1944~~ 1944 r. odkomenderowany zostaje do Nadniemeńskich Zgrupowań Batalionów Partyzanckich, gdzie dowodzi, organizując VII Batalion 77 Pułku Piechoty, Ziemi Lidzkiej. Cztery miesiące Nowogródzkiej działalności *PONUREGO* to okres podobnej aktywności bojowej jak za czasów "ŚWIĘTOKRZYSKICH" czy też "WACHLARZA". W ciągu kilku tygodni tworzy potężną, liczącą prawie tysiąc żołnierzy, jednostkę bojową, które głośnym echem odbija się w Nowogródzkim, na Wileńszczyźnie, na Wołyniu i Polesiu. Jego imię, podobnie jak w "ŚWIĘTOKRZYSKIM" staje się symbolem bezwzględnej walki z wrogiem. I jak bohater ginął 16-go czerwca 1944 roku.

Wiosna 1944 r. Wielkie przygotowania do nadchodzącej "BURZY", przez wszystkie Oddziały idą słycho, że już niezadługo, może jeszcze w 1944-tym, rozstrzygną się losy * być albo nie być * polskim partyzantem na Wresach Wschodnich...? Już się wyczuwa niebezpieczeństwo idące wielkimi krokami bolszewików... Jeszcze z jednym

najeźcą nie skończyliśmy, a tu nadchodzi drugi...?? znowu na naszych wojennych drożkach pojawia się pełno znaków zapytania ?

Chociaż, w oczekiwaniu na najgorsze, kompanie naszego Zgrupowania nadal biora czynny udział w walkach, skubiąc po szczególne garnizony niemieckie....

AKCJI, było dużo, udanych, mniej udanych, wesołych i takich, gdzie karawany naprawdę były potrzebne, dużo, zbyt dużo ginęło naszych chłopaków, ilu wspaniałych młodych ludzi traciło swe życie od kul karabinowych czy też granatów nieprzyjaciela...Szczególnie, ponure i bardzo ciężkie były powroty z takich akcji. Takim powrotem nie żądka towarzyszył cholerny głos "puszczyka", zwiastujący swoją serenadą, jakby nieszczęście dla Oddziału.

Do maja 1944 roku, nasze Bataliony, prawie dominowały na terenach od Ildy, Grodna aż po Wikno, jedynie w większych miastach stały jeszcze niemieckie garnizony, a tych bastionów, nie sposób gołymi rękoma brać, wciąż czekaliśmy na obiecane zrzuty, przynajmniej na bron przeciwpancerna..?

O wszystkich akcjach nie będę pisał, chociaż o niektórych, naszego zgrupowania, z przyzwoitości należy przypomnieć. W szturmie, na bunkry "DWCZYSCZE", gdzie Dowódcą tej grupy był kapitan "JACEK" (Ryszard Reiff) bez żadnych ofiar, jak na paradzie w biały dzień, około 30 podchorążaków, atakowało uzbrojonych po zęby Niemców. W tej akcji, każdy z nas miał swoją wyznaczoną pozycję, na długo jeszcze przed wyruszeniem pod "DWCZYSCZE", przechodziliśmy intensywne ćwiczenia, niszcząc kilka starych budowli i sterając łaźnie, które, granatami własnej produkcji (filipinki, perełki) zamieniliśmy w strzepy.., tak, że już wiedzieliśmy zawczasu, co i jak mamy działać. O godzinie 9-tej, zajechaliśmy przed szlabany, swoimi samochodami, (pożyczonymi chwilowo w innej akcji, od niemieckich taborystów, na wielkich drogach transportowych) przed główną bramą, okazali dokumenty nasz dowódca i kierowca, przebrani w mundury niemieckich żandarmów, (Kapitanem niemieckim i naszym był "JACEK" a kierowcą podchorążym "Niedzwiedź")-(wyżej wymienieni posługiwali się perfektem niemieckim) w bezszelny sposób, zarządzali otwarciem przejścia, ponieważ wiozą dla komendanta, niebezpieczny towar i nie czekając na reakcje wartowników, wjechali razem ze szlabanem do środka, pod samą wieżę, z której już odezwały się karabiny maszynowe...Po donośnym okrzyku dowódcy..(miał tak potężny głos, żeśmy sobie zartowali,"że nasz kapitan "JACKIEM" zwany..,jak coś rzeknie, rwą się ściany" odrazu sko-

czyliśmy pod ściany bunkra i baraków mieszkalnych, każdy na swoje wyznaczone miejsce...I wówczas, przeraźliwy RYK naszego wodza zagłuszył nawet wrzaski przestraszonych Niemców i wybuchy ręcznych granatów, które sypały się z obu stron...Strażnicy z tej wieży, widocznie zbaranieli z tego wszystkiego, bo również jak by wodę nabrali do gęby i zanim zdążyli organizować obronę wejścia, już siedzieliśmy im na karkach.

Po obrzuceniu granatami okien i drzwi, klatki schodowej, prowadzącej na górę, natychmiast skoczyliśmy do wewnątrz pomieszczeń, do kamer zbrojowni i na samą wieżę, gdzie jako zdobywca dwóch karabinów maszynowych, okazał się podchorąży "TRZASKA", drużyna w której i ja byłem, szturmowała koszary i pomieszczenie magazynowe, akcja cała przypominała więcej na spektakl, została wyreżyżowana przez "JACKA" tak wspaniale, że zanim Niemcy wyszli z pierwszego SZOKU, już leżeli pokotem w samej bieliznie w ogrodku pełnego kwiatów, a ci, co przebywali w czasie akcji poza bunkrem, sami przychodzili i poddawali się, nawet oddając to wszystko, co zdążyli zagrabić w okolicznych wsiach, a także oddając swoją broń. Przedstawienie trwało dosłownie kilkadziesiąt minut, a już zdobyto i zadowano na kilka samochodów ciężarowych; sprzęt wojskowy, amunicję, karabiny, odzież i żywność i wyjechaliśmy z terenu zagrożenia, jako żołnierze niemieccy i jadąc z powrotem przez nasze wsie z dobrym humorem, śpiewaliśmy swoje piosenki o dupie Maryni i o sercu pięknej Natalii. Za tę akcję, były nominacje i odznaczenia. Najwyższe Odznaczenie i Chwała dla Dowódcy - Organizatora tej bravurowej pokazówki, jak powinno się walczyć z najeźdźcą.

W krótkim czasie po "DWORZYSZCZACH", z serii udanych i bez swoich ofiar, mieliśmy już drugą, dowcipną akcję pod KIENA. Stacja KIENA, niewielka miejscowość na linii kolejowej Wilno-Murowana-Oszmianka. W przemarszu, z jednego postoju na drugi i żeby nam się droga nie dłużyła..., nocą, nasze dowództwo postanowiło rozbić Junacki Obóz Pracy (robotnicy uzbrojeni TODD org.) Bez większego wysiłku i większych strat, nasze kompanie przeszły, jak na placu defilad, przez zasieki z drutu kolczastego, przez umocnienia, jak Wołodyjowskiego szarża wdarła się na podwórko do uzbrojonego Niemca, i żeby po załadowaniu wozów konnych, maszerować dalej w Polskę...Wzięto wówczas wiele amunicji i karabinków, a także razem z automatami, zabrano w charakterze zakładników sześciu niemieckich oficerów. (którzy przebywali przy naszej kompanii aż do

czasu akcji najważniejszej, bitwy o wyzwolenie mojego WILNA.

Nazajutrz, przechodząc przez tory kolejowe, został dopiero podstrzelony, jeden z naszych kolegów, dostał kulę od swoich z przedniego ubezpieczenia. Strzał został dany z karabinku kawaleryjskiego z wielką fantazją, bo trafiony w otwartą buzię żołnierza (widocznie ze strachu musiał mieć JA otwartą) zęby zostały nienaruszone, a po jakimś czasie, po zagojeniu i zrośnięciu się, pozostały dwa sympatyczne dołki, co też wyglądało dość kokieteryjnie, albowiem facet w końcu został nazwany "przystojny jak panienka".

Pamiętam jeszcze jeden taki niewielki epizocik z naszego partyzanckiego życia; Było to dość wczesną wiosną, kwitły w lesie wczesne kwiaty a na drzewach strzelały pączki..... Nasz pluton powracał z gospodarczego patrolu, będąc już niedaleko miejsca postoju Batalionu, natknęliśmy się na wiszącego człowieka, Okazał się miejscowym chłopem, gdzieś po piędziesiątce. Niemcy powiesili GO jeszcze z wieczora, ale tak nie fortunnie, że my powracając nad ranem, po odcięciu z drzewa, zdążyliśmy odratować... żył, i to zawdzięczając złej robocie oprawców, bo chłopca powiesili nie za gardło, a za grdykę, to po pierwsze, a po drugie, powieszono człowieka na młodej brzoźce, która posiada skłonności do uginania się, więc swoim ciałem zwisał na tyle, by mógł swoimi palcami u nóg (u bosych nóg) oprzeć się o ziemię....Nie miałem na myśli wiszącego chłopca, ponieważ takich w tych strasznych czasach widziało się wiele.. Był to znamienity okres pogardy dla ludzkiego życia... Wojna pozostała wspomnieniem OKROPNYM.

Opisałem ten niezbyt miły obrazek, dla pokazania postawy zwykłego człowieka z tamtej wsi. Który na nasze pytania/ jak się czuje? odpowiedział; wiadomo panoczku, my nie przywykszy tak całą noc wisieć...i przez to jeść chcesią mocno..,nic chyba ująć ani dodać...? Takie to były smutne rozmyślenia człowieka z za BUGA, który przez tyle godzin znajdował się ze swoją śmiercią i który w samotności szedł do naszego wspólnego KARAWANU POGRZEBOWEGO.

C dalszych przygodach żołnierzyka z Armii Krajowej napisze w następnej nowelce pod tytułem * Tragiczny finał z wyzwolenia Wilna*

Henryk Jencyk
Adersheim 1990 r.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

II/1568/I kontinuos



FRAGMENTY WYBRANE Z KSIĄZKI pod tytułem;

* BAZAGAN ZYCIOWY, ŻOŁNIERZA ARMII KRAJCWEJ *

LATA 1943-1945

TRAGICZNY FINAŁ WYZWALANIA WILNA. Ale zanim dojdziemy do naszej pocieszycielki, co się święci w * OSTREJ BRAMIE *, przypomnijmy jeszcze o swoich porażkach, o swoich zmaganiach z wrogiem, o swych wspinających akcjach udanych i mniej udanych i wspomnijmy o tych, którzy uszali, nasze drogi partyzanckie *mostem ramion-purpurą krwi*

Akcje, zaliczane do najprzyjemniejszych, były przy oczyszczaniu naszych miast z litwinów, a widząc "szaulisów" rozbójniczą i rozebranych do kałeson, napawało nadzieją że rychło wszyscy okupanci, pójdą śladami golasów z pod Kowna....

Bój, pod SIENKOWSEWCZYNA, był pierwszym, stoczonym przez Polskie Brygady z wojskiem Generała FLECHAWICZUSA. Porażka Batalionu Litewskiego i zwycięstwo Polaków spowodowały mnóstwo plotek, krążących wśród społeczeństwa ziemi Wileńskiej. Litwini, celowo powtarzali niektóre wersje, jak naprzykład te o dużej liczbie partyzantów, by usprawiedliwić swoją klęskę. Mówiono, że gdzieś pod CSZMIANA odbyła się koncentracja kilkunastu tysięcy żołnierzy Armii Krajowej, zaopatrywanych z powietrza przez aliantów. Mówiono też, że Oddziały Wileńskie, są wzmocniane przez specjalne Bataliony przybyłe z Warszawy. Chociaż ta ostatnia wiadomość była częściowo prawdziwa, ponieważ w rzeczywistości, na terenie Nowogródzczyzny i w południowych terenach Województwa Wileńskiego, działał VIII Batalion Komendanta Bolesława Piaseckiego, "SABLEWSKI", zwanego potocznie; Warszawskie UBK, (Udeżeniowy batalion kadrowy) składający się wyłącznie z młodzieży Warszawskiej (oprócz mnie, rodowitego WILNIUKA, autora tych opowieści)

A liczba polskich partyzantów, biorących udział w tym czasie na terenie powiatu Cszmiańskiego wynosiła około sześciuset żołnierzy, skupionych w czterech Brygadach. UBK tylko częściowo, jako zabezpieczenie osłonowe, brało udział w walkach o zniszczenie garnizonu litewskiego...

Odnosnie walk mojego Batalionu, przytoczę kilka fragmentów z książek pisanych już po wojnie, Aleksander Emiljanowicz w swojej "ZANIKAJĄCE ECHA" opowiada; Latem 1943 roku, przeszedł przez północną Białostoczyznę, 7 Batalion Uderzeniowy-Kadrowy (UBK) Armii Krajowej, dowodzony przez porucznika Ryszarda Reiffa o pseudonimie "JACEK". Partyzanci tego Batalionu, przedostali się przez powiaty Grajewski, Augustowski. Maszerowali na LITWĘ. Po drodze przeprowadzając wiele udanych AKCJI na wrogu. Niemcy w tym czasie zmobilizowali duże siły i Batalion *JACKA*,

tócząc ciągłe boje, musiał cofnąć się do puszczy Augustowskiej tam na uroczysku Kozi Rynek, znowu dopadli Niemcy, kilka godzin trwała bezwzględna walka. Wróg poniosł wielkie straty, zginęło też dużo naszych partyzantów, którzy potem musieli małymi grupami przebijac się z okrężenia.....Jedna z tych grup, pod dowództwem samego *JACKA*, unosząc czterech rannych, by forsownym marszem dowlec się 10-go sierpnia 1943 r. do miejscowości GRZĘDY, a raczej jej dzielnicy Longwie i ta grupa zatrzymała się u naszego Łącznika Paszkowskiego. Moja żona i Paszkowski zaopiekowali się rannymi, nakarmili partyzantów, a następnego już dnia, skontaktowali się ze mną. (z zapisek kronikarza Świackiego) Wyprowadziłem grupę partyzancką *JACKA* do stogów z sianem, około miejscowości "CSCWY GRZAD", gdzie odpoczywali dwie doby, a potem moi Łącznicy zaprowadzili ich do bazy ŻURAWIE, w lesie pod KAPICAMI.

Pobyt w GRZĘDACH, tak licznego Oddziału, nie uszedł uwadze hitlerowskiego szpicla, jakim okazał się pewien mieszkaniec wsi KOZYĆWKA. To on doniósł, na posterunku żandarmerii, że GRZĘDY są ostoją partyzantów.....

Koniec cytatu wyjętej z książki pana Emiljanowicza odnośnie mojego Batalionu UBK, który powstał w roku 1942 w Warszawie, jako załączek Polskiej Konfederacji.

Mniej więcej w takim stylu, o czasaliśmy się z pułapek, jakie zekładał na naszych drogach nieprzyjaciel, zdawało by się że nasze plutony wciąż przeistaczały się w "zajaczków", które uciekając/ potrafiły wciągnąć w lasy, czy też w bagna, nieraz przeważającego w sile okupanta..., robiąc z najlepszego Oddziału..., marmoladę. A wogóle, ta cała heca z naszą partyzantką, była pomysłem ludzi z ogromną fantazją, ludzi żadnych przygód i okropnych wrażeń.... Z mojego punktu widzenia, doszedłem do wniosku (i to nie raz..) że najbardziej potwornym zjawiskiem na naszym podole płaczu, była; DRUGA, WOJNA ŚWIATOWA, na której, najbardziej krwiożercze okazali się sami ludzie, wcieleni w UPIORÓW-FIURERÓW, czy też w POTWORÓW-STALINCÓW...A ICH gigantyczne pomysły w tworzeniu CBOZÓW, KACETÓW, KAMER ŚMIERCI, przechodziły ludzkie pojęcia..... Nawet na wszystkich frontach minionej wojny, tworzone karne kompanie i bataliony, by móc jak najszybciej zniszczyć potencjał ludzki...Z jednej strony byli zwierzchnicy, wodzowie, dowódcy, naczelnicy i komisarze, wydający rozkazy, przykazy..., żeby szybciej, żeby jaknajwięcej i najdoskonalej wykończyć swoją rasę..., a z drugiej strony; zabiedzone

żołnierzyki, gnane wielką nienawiścią swoich feldmarszałków... Za coż, WAS obwiniać NIESZCZESNI, których przecież poszłiscie na ta wojne, nie z własnej woli ani chęci... Musieliście przelewać swoją krew, radzi *widzi mi się* swoich Stalinów czy Hitlerów, czy można oskarżać zwykłego żołnierza, tępego wykonawcę ICH woli? A że musieliście być świadkami GIGANTYCZNEGO MORDERSTWA na wszystkich frontach strasznej wojny, niech zaświadcza TRYBUNAŁY, jeden w NIURENBERGU (który już odbył się) drugi, ? powinien odbyć się w Moskwie, gdzie naród rosyjski sam osadzi swoich komunistów....(marzenia mojej głowy, jeszcze nie ściętej..)

Pisząc bez żadnego przygotowania, ulegam wielkiemu natłokowi myśli, które wszystkie naraz chcą świadczyć o tamtych czasach. I niech mi będą wybaczone wynaturzenia merytoryczne, platanina dat i miejsc wydarzeń, gdzie nasz 77 Pułk, zabawiał się *w partyzantkę* w latach 1944 - 1945 na Kresach Wschodnich. Wiele opowiadań, "ściągnę" z książek moich ukochanych autorów, dla prostego potwierdzenia, że tamte, partyzanckie akcje były *FAKTEM*.

A zanim dojdę do opisania najważniejszej "AKCJI", z planu "BURZA" jeszcze wspomnę o kilku mniejszych potyczkach z okupantem, które widziałem naocznie i o których wiele słyszałem w późniejszych latach, już po wojnie. Naprzykład; mój dobry znajomy z Białogardu pan Marciszonek, opowiadał mi o majorze "ŁOPASZKO" z Grupowania Partyzanckiego AK Wilno (którego poznałem osobiście, w Wilkorabiszkach, tuż przed akcją na Wilno) a więc, ten wspinały Dowódca, luźnego Oddziału Szturmowego, pomimo dotkliwej porażki, doznanej przez bolszewików, nadal wraz ze swoimi zuchami poszedł w Polskę, skubiąc po drodze nieprzyjaciela. Przez 3 lata, podążając w bojach na zachód i nie dając spokojnie spać komunistom, dotarł aż w Koszalinie..... gdzie, po kilkudziesięciu udanych akcjach w likwidowaniu, powstających komórek milicji i bezpieczeństwa, poległ śmiercią bohatera. Jeszcze do dnia dzisiejszego, w parku Koszalina widnieje obelisk z nazwiskami obrońców ideologii Marksistowskiej, poległych z ręki bandyty "ŁOPASZKI". Ze słów p. Marciszonka wynika, że nasz bohater, nie był zupełnie zwykłym "bandytą", ponieważ, żaden przestępca przed dokonaniem politycznej zbrodni, nie ostrzega swojej ofiary, jak to czynił major "ŁOPASZKO", kiedy na listowne ostrzeżenie sekretarza partii, że ma wynosić się ze swoją propagandą do Moskwy, bo polacy nie życzą komuny, nie pomogły słowa i nasz żołnierz, wierny swojej Cjczyzny,

w trzy dni po ostrzeżeniu, wjechał osobiście "Yazikiem" do Bia-
łogardu, pod komitet partii i w biały dzień zastrzelił sekreta-
rza w jego gabinecie. A ponieważ takich akcji na swojej drodze z
pod Wilna było wiele, więc nie dziwny się pomnikowi w Koszalinie.

Takich Dowódców jak "Yopaszko," "Szczerbiec," "Ojciec," "Kryśia,"
Ragner, "Wilhelm," "Jacek," "Ponury" mieliśmy bardzo dużo, chociaż nie
o każdym dziś piszą nasi recenzenci. Według mnie, każdemu utczes-
tnikowi, należą się słowa uznania, za JEGO poświęcenie i trudy w
walce o wolność naszej Ojczyzny w latach 1939-1945 i późniejszych
latach w walkach o polskość z komunistami różnej maści.....

Dlaczego tak niewiele opisujemy o faktach, gdzie samotni
żołnierze dokazywali wprost nie wiarygodnych wyczynów, gdzie bez
żadnego żalu i łez poświęcali swoje życia dla Ukochanej Polski,
Również z opowiadania pana Marciszonka, jak to w pewnej bitwie Pol-
skiego Coddziału z partyzantką Radziecką w roku 1944 pod Cszmianą,
kilku naszych rannych dostało się do niewoli, szczegółów opisywał
nie będę, chodzi mi wyłącznie o morale jednego partyzanta, który
będąc ranny w nogę, przy robieniu opatrunku, rozbroił konwojenta i
zabierając automat zaczął uciekać w kierunku lasu, naturalnie ostrze-
liwując się do ostatniego naboju. W tym czasie p. Marciszonek, znaj-
dował się z dziadkiem za wielkim ogrodzeniem i widział całą despe-
racką ucieczkę młodego polskiego partyzanta, który będąc sam ranny
szukał ratunku w ucieczce od czerwonych... Na nieszczęście polaka,
las okazał się nie wielkim schronieniem, ponieważ cały był przetrze-
biony przesiekami i gdy wyskakiwał z jednego wąskiego lasku wpadał
po małej wycince w drugi las, wtedy zaczęła się zabawa w indian,
czerwoni już od początku tej całej zabawy, mieli na swych muszkach
biednego skazańca, który w końcu sam zrozumiał, że znalazł się w
sytuacji bez wyjścia, więc wyszedł kulejąc ze słowami; strzelajcie
s....syny żołnierza, który chciał tylko bronić swojej ziemi i tak
klnąc ich mocno, zginął poszatkowany kulami wroga..... Kiedy, trochę
później, podeszliśmy do zabitego, uwidzieliśmy wiele ran na całym
ciele. Po odejściu czerwonej bandy, miejscowa ludność urządziła
skromny pogrzeb. Ten Polski Żołnierz zginął w samotności, ale zginął
jak prawdziwy bohater i napewno zasłużył na kilka słów uznania.
A dla pana Marciszonka dziękujemy serdecznie a za dożucenie jednej
cegielki do budowy całej historii o polakach, którzy w ten sposób
czy inny, walczyli o nasz KRAJ.

A teraz chciałbym powtórzyć, idąc za moim najulubieńszym pisarzem, Cezarym Chlebowskim, kilka opowiadań o dziejach naszych Batalionów, o których pisze z ogromną dokładnością i z nie-mniejszą sympatią.

Fragm. z działalności Batalionu "KRYSIA", też z 77 Pułku AK. Ziemia Lidzka 1943 - 1944

* Osiem miesięcy partyzanckiego życia. Jak to szybko zleciało. A ileż wojennej treści zmieściło się w tych dniach. "RĄCZY" już dawno tkwił w lidzkiej siatce konspiracji, czytał i nosił gazetki, przepadał ku przerażeniu matki na całe noce na dywersyjne wypadki, ćwiczebne i ostre, ale w zasadzie jedną nogą wiodł żywot legalny. Aż w końcu marca ten cholerny Ripper, o którym wcześniej różnie gadano, ale przecież gimnazjalny koleś, zainteresował się Tadekiem. I wtedy w wiosenny wieczór przyszło opuścić rodzinny dom przy ulicy Kolejowej, pożegnać ojca, matkę i zanurkować już w pełną konspirację. Skierowano go na placówkę do Binkiewicz koło Krupowa, o kilka kilometrów od Lidy, choć bardzo chciał do lasu. Bo już nad Niemnem jakiś "RAGNER" tworzył leśny Oddział i serce rwało się tam, pod rozkazy, ale przełożeni zdecydowali-Binkiewicz. Siedział więc na chłopskiej kwaterze i słuchał wieści, które cisnęły się coraz liczniej. Co jakiś czas coś za Niemnem "tapało" i wtedy lud mówił;"ruskie partyzany". Z wiosną ruszył się i "RĄCZY", narazie szkolił się wraz z innymi pod kierunkiem porucznika "SYBIRAKA", robił z kolegami stukilometrowe rajdy nocne, aż pod tor kolejowy ku Mołodecznu wiodący, podkładał pod złącza szyn styki min, potem zaszyty w krzakach cieszył ucho łomotem, a oko łuną oblewająca pół nieba.

Aż w maju Szef Sztabu Okręgu, kapitan "SAWA" (Władysław Stawowski) który ich tu trzymał do ochrony swego punktu kontaktowego w Binkiewiczach, przywiózł na kwatere krepego mężczyznę. "RĄCZY", chciał się do lasu, to i pójdziesz-powiedział. Ale nie na południe, nad Niemem do "RAGNERA", a na północny zachód, nad ~~Dzi~~ Dzitwę. Melduj się, to twój nowy dowódca, porucznik "KRYSIA". Przybysz wydawał się od pierwszego wejrzenia równym chłopem. Meldującego się "RĄCZEGO" objął ramieniem i powiedział;

No co chłopcze ? Pójdziemy razem tworzyć Oddział.?

Na rozkaz, panie poruczniku. Poszli z Binkiewicz w wyjątkowo gorący tego roku maj, w piątkę, prócz dowódcy i "Rączego" "Myśliwy" (Michał Tietianiec) "Czarny", nie znający polskiego języka, ale Polak z krwi i kości, oraz "Matrosow". Przekradali się nad Dzitwą do przyjaznych im Paszkiewicz. Stali się Oddziałem Partyzanckim nr. 314, ~~tam~~ tam "KRYSIA" zaczął obrastać w siłę i w sławę. Wystarczyło zrobić kilka wypadów przeciwko renegatom ubranym w mundury litewskich szaulisów, czy białoruskich schuchmanów w Werenowie, Iwiu, Bienia-koniach, rozbroić zaskoczonych, obatożyć zbyt wysługujących się i już wieść poszła wokół.

Po dwóch dniach "CICHY" z placówki w Białogrudzie przywiózł dwunastu ludzi, wśród nich "Lalusia" (Władysław Jan-czewskiego) "Klina" (Kazimierza Kiedyka) Burzyńskiego; "Natana" (Alberta Dubrownika) "Głósno", "Janka". Podjęty w kilka dni później raid aż pod Wilno i przeczepanie agentów, werbujących po wsiach młodziź do niemieckiego wojska i do szaulisów, wzbogaciło ich i w ludzi i w broń. W połowie lata Oddział liczył ponad dwudziestu ludzi, a na stanie uzbrojenia mieli dwa erka-emy; "diegtiarewa" i "tankavika" z podwójnym magazynkiem, wymon-towanego ze spalonego czołgu, pięć dziesięciostrzałowych radziec-kich "samozariadek", skrzętnie zebranych w czerwcowe dni 1941 r. na polach bitewnych i pieczołowicie ukrytych, dwa automaty PPD kilkanaście karabinów wszelkiej maści, polskich kabe i niemiec-kich mauzerów, radzieckich mosinów, do tego dużo amunicji, granaty i broń krótka dla co drugiego.

Raz i drugi przepędziła ich obława, tłucli się po nie-znanym lesie, po całonocnym, trzydziestokilometrowym marszem, po-ganiani seriami, których nie szczędziły obsadzające okoliczne for-macje litwinów czy Niemców... "KRYSIA", był wtedy twardy i bezwzględ-ny. Dla nich i dla siebie. Gdy narzekali że już nie mogą, pogani-ania brutalnie, mówiąc; "dzisiaj ci dam w dupę, a jutro mi za to podziękujesz". A rano, gdy dopadli jakiejś podlesnej zagrody, gdy padli bez siły i czucia na klepisko stodoły, gdy sen ich zmorzył nim zdążyli zdjąć buty, ON, zmęczony niemniej niż inni, trzymał nad nimi wartę....

W lecie Komendant jakby nieco osłabł i osłabił tempo akcji.

Mniej było wypadów bojowych, więcej zato rozjazdów na patrole, kontakty, rozmowy. "KRYZIA" przygotowywał teren na zime, organizował magazyny żywnościowe, szykował punkty sanitarne, motał sieć wywiadowczą, bez której Oddział byłby ślepy, raz i drugi do późna w nocy konferował z partyzantami radzieckimi. Słowem tworzył silne zaplecze na przezimowanie.

Mimo zamiętania za sobą śladów lisim sposobem przy licznych przerzutach, na każdym postoju meldowali się nowi ochotnicy, którzy BÓG wie jak potrafili ICH odnaleźć. Oddział pęczniał w ludzi, gorzej było z bronią i amunicją. Co starczało dla dwudziestki, przy siedemdziesięciu było prawdziwa niedza. Już wtedy z małego Oddziału 314 stali się Pierwszą Kompanią Nadniemeńskiego Batalionu Partyzanckiego, dowodzonego przez rotmistrza "LECHA".

Ruchliwość broniła ICH przed zaskoczeniem. Niemcy, mieli nietety informatorów, o których nie było trudno na terenach o takiej mieszaninie ludnościowej. W jednej wsi, niejednokrotnie płot w płot mieszkali ludzie sprzyjający jedni- szaulisom, drudzy radzieckiej partyzantce, trzeci- renegatom schucmanom, czwarcy- Oddziałom AK.

Bywało że kompania wchodziła do wsi z jednego końca, a drugim, chyłkiem, na kobyle wymykała się w stronę posterunku żandarmerii wyrostek wysłany przez podejmującego polskich partyzantów jajecznicą sołtysa. I może przyszyłoby "KRYSI" krótkim i krwawym rozrachunkiem uczyć niektórych obywatelskiej postawy, gdyby nie wyręczyli GO sami Niemcy.

Pielasa była wsią wielką i mieszkała tu spora grupa znana z prohetlerowskich sympatii. Oddział kwaterował tam krótko, jedna noc, rano wymaszerował nie wiedząc, że goniec powiadomił o tym Niemców. Minał jeden dzień i drugi po odejściu Oddziału, gdy naraż trzeciego dnia w południe, z nad lasu wypadły z rykiem nad słomiane strzechy dwa niemieckie bombowce, zawirowały hukiem w upalnym powietrzu, wykreśliły aby się upewnić, że to tu, i sprawdziwszy, sypnęły stukilowe bomby i serie kaemów wprost w zadarte głowy ludzi...Niewidoczny w upale płomień trawił chaty, jedna po drugiej, krew obficie rosiła rozgrzany piasek, ale w Pielasie nie rozeznano mechanizmu i zależności wyderzeń. Dopiero gdy w dwa tygodnie później sytuacja powtórzyła się w drugiej - również służalczej wsi- pojęto.

Nie chcąc zwałać ciężaru utrzymania leśnego wojska tylko na barki mieszkańców polskich wiosek, "KRYZIA" od czasu do czasu musiał

także kwaterować i w białoruskich i litewskich wsiach. Przeważnie spotykał się z przyjaznią i zyczliwością. Ale dla pewności obstawiano wieś gęstym szpalerem placówek i wojsko odpoczywało. Iecz oto po wydarzeniu w Tielasie coś się odmieniło. Bywało, że Komendant otrzymywał od gospodarzy propozycje żeby wioska wystawiała wartę, żeby łatwiej było upilnować, gdyby jakiś idiota chciał dać znać Niemcom. I odtąd te wsie stały się również bezpieczne jak polskie. Tak uporządkowawszy z niemiecką pomocą teren przeszli przez lato. Na jesieni problem zdobycia nowej broni i amunicji stał się tak palący, że trzeba było podjąć jakąś większą akcję. Padł projekt rozbicia potężnych koszar szaulisow. Wtedy to, na dwa tygodnie przed wypadem na KONIAWĘ w okolicznościach niezwykłych zjawił się w Oddziale "Bez".

Strzał pyknał gdzieś w oddali, niegłośny, ale wspomnienia pierzchnęły w jednej chwili. Torwali się z snów, naraz rozbudzeni, przytomni i przypadli w śnieg z lufami skierowanymi w ciemność. Za nimi chrapały przerażone, wierzgające konie, trzymane przy pysku osłupiałych woźniców. A niedaleko pykały strzały, łomotały serie, ku czarnemu niebu pieły się leniwie w górę barwne iskry rakiet-niebieskie, czerwone, żółte, mieszały się z hukiem jakiś daleki śpiew, krzyki... Pierwszy pojał przyczynę "Bez". Sprawdził jeszcze godzinę na przegubie ręki i powstał ze śniegu... Północ. Nowy Rok skurwysyny świętują-meł przez zęby... Rok temu i ja z nimi tak świętowałem-dodał. No chłopcy żeby już w tym roku doczekać....? Żeby doczekać szczęśliwego roku- odpowiedzieli zgodnie. Stali jeszcze chwilę urzeczeni widokiem ciągle pękających rakiet, jakimi niemiec-ka załoga stroiła czarne niebo. W ich świetle "Raczy" rozeznał i znajomyżarys kościelnej wieży, i młyn na wzgórzu i wiele innych szczegółów...Więc naraz wrzasnął na ledwo ochłoniętych z przerażenia woźniców; gdzieście gdzieście nas, skurczybyki przywieźli? Toż to Raduń przed nami, akurat przeciwny kierunek niż Dolina. Stąd mamy dwa razy dalej do celu, niż trzy godziny temu. Mordy zapite, jak mi teraz który zasnie, to....

Choć rakiety pękały dalej, ściągnięci krzykiem "Raczego" na ziemię, obsiedli szybko sanie i popędzili z powrotem. Teraz już była sprawa poważna- o świcie musieli być w Dolinie o kilometr od Krupowa i tam podporządkować się mieli rozkazom porucznika "Zdzisława"(Zenona Batorowicza) z wywiadu Komendy Okręgu. Odtąd miał być ich Dowódca. A tu do Doliny conajmniej dwadzieścia kilometrów,

a do tego trzeba przebyć prawie nigdy nie zamarzejącą Dzitwę. Nie było już beztroskiego drzemania na saniach. Okładali końskie parujące boki biczem, a gdy konie ustawały, zmożone do szczeru walka ze śniegiem, sięgającym po brzuchy, zeskakiwali podpychali je, może nie tyle by ulżyć koniom, ile broniło ich, to przed całkowitym zamarzeniem. Bo im bliżej świtu, tym mroz nacisk naciskał bezwzględniej. Wreszcie niedługo przed świtem, po wielkim białym tumanie wyziewów z oparzelisk Dzitwy, widocznych nawet w ciemności, rozeznali, że są nad rzeką.

Przejście mostami nie wchodziło w rachubę-były zbyt odległe a przy tym obsadzone przez Niemców silnymi posterunkami. Przewoźnik mieszkał niedaleko w samotnej chatce, tam więc skierowali konie. Uprzedzony przez gońca czekał na nich od dobrych kilku godzin i niepokoił się. I choć było naprawdę późno, widząc, w jakim są stanie, nie wypuścił ze skromnej chaty, zanim nie wmusił w każdego z nich, kubka gorącego mleka z miodem.

Chybotliwa Łódź przeniosła ich migie, przez czarny, tajemniczy nurt Dzitwy. Dalej trzeba było brnąć pieszo-sań przeprowić się nie dało, zresztą do Doliny było już blisko.

Do chaty Zwierki dobili, gdy niebo na wschodzie pękło ukazując nikłą szarżyznę. A jednak mimo kołowania-zdażyli, choć okupili to potrójnym wysiłkiem. Teraz najważniejszą rzeczą było spać, spać byle gdzie, byle już, puki nie przyjedzie porucznik "Zdzisław". Sen miał im przywrócić siły, których nie mieli, siły tak niezbędnej do akcji czekającej ich za kilkanaście godzin. To będzie cud, jeśli mnie po tej całej bani, a potem po całonocnej lodowni, szlag nie trafi, mamrotał już półśpiąc "Raczy"... , trzeba by jakąś wartę-wystękał "Bez" ale gospodarz uspokoił ich. Śpijcie chłopaki, bo z waszej warty byłoby tyle pożytku, co kot napłakał. Placówka wystawi swoje warty.

Gdzieś około dziesiątej rano przybył do Zwierki z Lidy, zaczerwieniony od mrozu Łącznik Komendy Ckregu-Marian Jencyk (kuzyn autora tych opowiadań) z zawiadomieniem, że porucznik "Zdzisław", będzie około południa. Ale chyba tego meldunku nie dosłyszał ani "Bez" ani nikt inny. Zresztą sam Jencyk uwalił się także na słome, rozpostartej na podłodze i po chwili chrapał wpełnej z nimi zgodzie.

Koło południa, zajechał przed dom Zwierki, podzwaniającymi sankami porucznik "Zdzisław". Wtoczył się do izby z solidną porcją chłodu, wesołym uśmiechem i butelką samogonu. Z niemałym trudem wyrwał ich ze snu, posadził przy stole i rozlał bimber do dziesięciu szklaneczek. Widząc ich wahanie, wyjaśnił odrazu sprawę;

Wiem, że pod komendą "KRYSI" wam nie wolno, ale teraz jesteście pod moją komendą, a u mnie wolno. Zresztą nie dużo, po szkłance pod naszą znajomość i pod "Nowy Rok". Ale trzeba mieć jasną głowę przed akcją - próbował oponować "Bez"... Jasne że trzeba. Ale dziś wasze jasne głowy niepotrzebne. Dzisiaj akcji nie będzie. Cprzymotnieli w jednej chwili i porwali się od stołu jak do bitki, jak to nie będzie? To z nas się wariatów robi? Taki kawał drogi cała noc w śniegu po pas i mrozie. Uciszył ich ruchem dłoni. Tylko spokojnie, chłopcy - powiedział to naraz głosem opanowanym i twardym, pozbawionym nutki wesołości, aby znów przejść w zaraźliwy śmiech - wszystko wam zaraz wyjaśnię, ale najpierw wszystkiego najlepszego w Nowym Roku. Porwali szklanki ze stołu raczej przez złość, niż by spełnić toast, wychylili jednym haustem, zapiekło w gardle, wycisnęło łzy z oczu. No, teraz do rzeczy, dzisiejsza akcja została odwołana z kilku powodów. Pierwszy, że ubył nam najważniejszy sojusznik, bez pomocy którego o powodzeniu całej akcji nie ma co marzyć. Między posępne, zwieszane głowy rzucił fakty przerażające, jest wielka wyspa, aresztowania objęły szeroką falą nie tylko sama Lidę, ale i wsie, miasteczka w promieniu trzydziestu kilometrów. Z lotników i żołnierzy wermachtu, stacjonujących w Lidzie, Niemcy utworzyli kilkanaście stopięćdziesiąt-osobowych grup pościgowych, które wraz z żandarmerią otaczają wsie i według list wybierają ludzi. Według list? skąd? - zakrzyknął "Raczy". I do tego dojdziemy, uspokoił go por. "Zdzisław".

Jedną wyspę dotknęła siatka konspiracji działająca wśród białoruskiej policji. Aresztowano kupę ludzi, a na tych, których nie wzięto, Niemcy patrzą wyjątkowo podejrzliwie. To spowodowało, że "Róża" (Stanisław Królik) policjant będący w więziennej straży, a w rzeczywistości żołnierz Armii Krajowej, został wczoraj przeniesiony na posterunek miejski, bo nie mają do niego zaufania. A to on, według dotychczasowego planu, miał o wyznaczonej godzinie uchylić bramę więzienną, przez którą mieli się wśliznąć właśnie CNI. A bez pomocy z wewnątrz sforsowanie bramy jest niemożliwe... To podłożyć granaty pod bramę - zaproponował któryś. Napij się zimnej wody, chłopczy - poradził dobrodusznie "Zdzisław". W samej Lidzie jest w tej chwili dwanaście tysięcy Niemców. Podobno było dziesięć - poprawił "Bez". Dwa tygodnie temu było nawet osiem tysięcy. Ostatnio niejasna sytuacja na froncie spowodowała, że Niemcy całe świąteczne transporty, zamiast na urlop do Vaterlandu, skierowali do Lidy i tu zatrzymali, aby je

mieć w każdej chwili pod ręką. Kwaterują wszędzie, masa ich jest, nawet w prywatnych domach. Najgorsze, że oni nie mają godziny policyjnej i szwenda się, to pijane tałatajstwo wszędzie. To jest dla nas największe niebezpieczeństwo. Mówisz, chłopcze granatem,? A w czasie akcji, przecież nie może paść, ani jeden strzał. Ja już nie mówię o tym, co się znajduje w promieniu jednego kilometra od więzienia, ale o sześćdziesiąt metrów od bramy, kwateruje trzystu Niemców i Własowców pilnujących dworców i więzienia. A niezależnie od uzbrojonych strażników wewnątrz, przez całą noc patroluje teren wokół *KICIA* dwunastoosobowy patrol esesmanów i żandarmów, który co dwadzieścia minut przechodzi obok bramy więziennej. Niemcy są teraz wyjątkowo ostrożni, bo ktoś ich uprzedził, że podobno tuż przed Bożym Narodzeniem "RAGNER" próbował na własną rękę uderzyć na więzienie, zdwoili więc czujność. A wytrychem? Nie da rady. Wiezienna brama nie ma wylotu zamka z zewnątrz; wejść można tylko wtedy, gdy otworzy się ja od środka. "Róża" co prawda przed przyniesieniem na komisariat miejski zdołała w mydle zrobić odcisk kluczy do korytarzy i sal i to się także przyda w czasie samej akcji, ale całą sprawę musimy odłożyć do chwili aż uda nam się pozyskać kogoś ze straży. Czy są szanse? Mamy na oku pewnego białoruskiego strażnika. Robi przyzwoite wrażenie, ale rozpracowanie potrwa kilka dni. Trzeba cierpliwie czekać. Ilu ludzi siedzi w tej chwili w więzieniu - pyta "Bez"? To się z każdym dniem zmienia. Niemcy ostatnio robią częste selekcje, wywożą do OBCZÓW, POZSTRZELIWUJA, przywożą nowych aresztowanych masowo. W tej chwili siedzi około sześćuset osób.

Skąd naraz takie aresztowania w siatce? - wraca do jatrzącej go sprawy "Raczy". Porucznik "Zdzisław" kiwa głową jakby z rezygnacją. No coż, znalazła się gadzina. Tak, jakby Lidzie jeden Ripper nie wystarczał. Zdobył sojusznika. I to jakiego. Byłego partyzanta. Kogo? Z jakiego oddziału? - krzyknęli prawie chórem... Waszego kolegę z gimnazjum, "Miotłę" (Jana Mazia), od "RAGNERA". Sypnął ponad dwustu ludzi. Jezus Maria. Maż. Dzielny chłopak przecież. Znali go. Co mu do głowy strzeliło? Tylu ludzi sypnąć..... Ukatrupić gada-syczał "Szczerbaty" - przez zęby. Eo naraz zdał sobie sprawę że jego ojciec i brat to napewno ofiary Mazia, który niejednokrotnie

przychodził do ich domu, nie zawsze w legalnych sprawach....
Ba, ale jak go sprzątnąć? -zapytał porucznik, obstawę mają taką, że nie podejdziesz, a przy tym, oni tu wszystkich znają. Zresztą tym się zajmą inni. My myślimy o więzieniu.

Trzeba było zakończyć rozmowę, bowiem do zmiernych już się zbliżało, a porucznik "Zdzisław" chciał być przed nocą w Lidzie. Ustalono łączność przez Jencyka, wychylnego strzemiennego i oficer odjechał.

Akurat zapadła decyzja; robimy koszarę szaulisów w Koniawie. Oddział kwaterował wtedy o kilkanaście kilometrów od miejsca zaplanowanego ataku, w samym sercu Puszczy Nackiej, w NACZY, dziś wsi, a ongiś, przed kilkuset laty, miście z królewskimi przywiłędami, które zdegradował bieg historii.

Szaulisów było trzystu, ich koszarę z grubych bierwion, strzegły betonowe bunkry. Klamrowali strategicznie ważny punkt-szose biegnącą groblą między rozległymi błotami. W zestawieniu z pasem umocnień i stützpunktami(umocnione pozycje na roztaju dróg) które kilkanaście kilometrów na zachód od Koniawy ciągnęły się z północy na południe wzdłuż granicy Ostlandu i Bezirku-Białystok, włączonego do Prus Wschodnich. Koniawa bardzo ułatwiała Niemcom antypartyzanckie działanie. A więc za jednym zamachem zlikwidować zagrożający lasowi niemiecki punkt wypadowy, a przy tym dobrać ludzi i zaopatrzyć się w amunicję. Zaczęło się misterne obmacywanie przeciwnika. Nie była to łatwa sprawa. Trzystu obunkrowanych litwinów, którym w ciągu półgodziny mogły przyjść z odsieczą zmotoryzowane Oddziały z Grodna i Lidy, można było rozbiorzyć przez nagłe zaskoczenie.

Do Oddziału liczącego około sześćdziesięciu osób, zaczęto na te akcje ściągać ludzi z placówek i formować ich, doszkalać. Wywiad tymczasem rozsnuwał sieć wokół Koniawy. Początkowo nie było żadnych wieści, a potem.....

Chłopak miał blond włosy i desperację w niebieskich oczach. Czy nie zdradzi? - zastanawiał się *KRYSIA*, gdy postawiono przed nim dezertera w poszarpanym mundurze szaulisa. Ale gdy posłuchał tragedii, takiej jak tysiące na tej umęczonej ziemi Nowogródzkiej- zawierzyl. Chłopak miał matkę Polkę i ojca Litwina. Mieszkał w Ginelach. Dorósłszy do wieku, w którym trzeba było decydować, gdzie jego miejsce, prysnął do lasu. Chciał iść do Polskiego Oddziału, nie znał drogi, trafił do bandy, która zamiast walczyć z Niemcami

przewodziła rozbój i rabunek. Pech chciał, że taka właśnie banda, zamordowała w kilka dni później jego ojca. Szukał okazji do zemsty, uciekł z bandy i zgłosił się do szaulisów. Skierowano go na posterunek w KONIAWIE. Ale gdy zobaczył, co wyrabiają jego kamraci z mieszkańcami wsi w czasie licznych pacyfikacji, odezwała się w nim krew matki. Dobrał sobie kompana, ukradł z posterunku czeski erkaem z masą amunicji i przybrawszy ps. "Brzoza" zaczął już na własną rękę wymierzać sprawiedliwość i renegackiej policji i bandom. Działalność we dwójkę i to działalność taka śliska, gdy się jest ściganym przez okupanta i przez bandy, nie wróżyła "Brzozie" zbyt długo powodzenia. Trafił na placówkę AK, gdzie poradzono mu - sam nic nie zdziałasz, dołącz do Oddziału... Myślał cztery dni, wreszcie przełamał opory i dołączył do *KRYSI*. Właśnie wtedy, gdy *KRYZIA* potrzebował wieści o KONIAWIE..., i "Brzoza" dostarczył ich tyle, ile trzeba było - że broni, amunicji i żywności mają na trzy tygodnie, że z bunkrów, krzyżowym ogniem wstrzelanym w każdy metr przedpola cekaemów wytłuką największą siłę, że jest tylko jedna minimalna szansa; mogą podejść od strony grzędzawisk, bo to miejsce, według powszechnych opinii niedostępne, jest słabo bronione. A grzędzawiska były po szyję, albo wogóle bez gruntu pod stopą. *KRYZIA* postanowił jednak zaryzykować.

I naraz nadchodzące wieści przekreśliły plany. Niemcy, czy to uprzedzeni przez kogoś, czy też zaalarmowani przez informacje, że *KRYZIA* ściaga swe siły do NACZY, zaczęli przeżucać policyjne i wojskowe jednostki w okolicy KONIAWY. Trzeba więc było zrezygnować z uderzenia, przynajmniej na dwa lub trzy tygodnie.... Wtedy "Brzoza" podsunął inną myśl; Uderzenie na Crtskomendanturę w KOLEŚNIKACH. Jeśli Niemcy ściągna prawie wszystkie siły pod Koniawę, to znaczy, że w Kolesnikach zostanie najwyżej kilkunastu ludzi. Wiele się tam nie obłowicie, ale trochę broni i kilkanaście skrzyń amunicji i granatów też się przyda.

Forsownym marszem w czasie jednej nocy przebyli dwudziestopięciokilometrowy dystans dzielący Naczę od Kolesnik.

"Bez"/ pamiętasz Kolesniki-zagadnął naraz "Raczy", odpowiedziało mu milczenie. "Bez" ze zgaszonym niedopałkiem skręta w półotwartych ustach, oddychał rytmicznie, głęboko. Spał.

Był październikowy zimny ranek, gdy otoczony placówkami, Oddział kładł się na mokrym igliwiu, aby odpocząć po całonocnym marszu.

KRYSLA wezwawszy "Rączego", "EZA", "Matrosowa", "Brzozę" i jeszcze kilku ryzykantów, poprzedzany szpicą, dotarł aż do brzegu lasu. Dalej rozciągała się, rude rżysko, a po kilkuset metrach-pierwsze domki KOLEŚNIK. Szosa, ot, kocie łby, prowadziła jak strzeliła równą linią prosto z lasu między zabudowania, na zwalonym pnium na pomietej kartce papieru "Erzoze" rysował plan Ortskomendantury, dopowiadając to, czego nie wyjaśniał rysunek. Budynek placówki jest mniej więcej w połowie głównej ulicy miasteczka. Drewniany z grubych bali, obłożony dodatkowo pniami. W oknach siatka przeciwko granatom i worki z piaskiem. Flakówka ma normalnie ponad trzydzieści ludzi z sześcioma karabinami maszynowymi. Ilu wyjechało i ile broni z sobą nie wiem, ale musi ich tam być z dwunastu z minimum z trzema maszynkami. Cały teren otoczony wysokimi na trzy metry zasiekami z drutu kolczastego. W pewnym oddaleniu od budynku, wewnątrz terenu otoczonego zasiekami, wkopane w ziemię trzy bunkry ze stanowiskami broni maszynowej.

KRYSLA chwile medytuje w milczeniu. Przygotowuje plan. Więc tak, zaczyna - Tuż przed zmierzchem przygotowujemy cztery podwozy. W pierwszej pojedzie "Matrosow" z dwoma ludzmi i erkaem w sianie. Przejedziecie obok komyndy, dojedziecie do kamiennej kuźni, dwieście metrów dalej i pod pozorem kucia konia ustawicie tam erkaem. Macie osłaniać akcje przez cały czas jej trwania, przed zaszkodzeniem z tamtej strony. Masz pytania, "Matrosow"? Nie było odpowiedzi. Dobrze, teraz druga podwoz. Pojedzie na niej grupa szturmowa; stanowic ja beda, "Ponietowski", "Bez", i "Szturm", weźcie tylko bron krótką i granaty. Wsiadziecie tuż przy ortskomendanturze i poczekacie, aż nadejda dwie dalsze furmanki. Gdy tamci zajmą stanowiska, ostrzelacie budynek, wdrzecie sie do wnętrza i zlikwidowawszy opór, rozbroicie załogę. Teraz furmanka trzecia; - pojedzie na niej "Drzazga" z automatem. Podjedzie do ogrodzenia, wysiadzie i stanie tak, aby miec obstrzał na oba bunkry. Chyba będą nie obstawione, więc główne zadanie "Drzazgi" będzie polegało na niedopuszczeniu do nich załog. Teraz ty "Rączy". Pojedziesz na czwartej podwozcie, też z automatem. Wsiadziesz tuż przy przejściu w zasiekach, wejdiesz przez futkę, wskoczysz na trzeci bunkier i bedziesz go pilnował oraz wyjścia z bunkru. Aby nikt nie umknał. Sa pytania? Tak - mówi "Rączy", słucham. Panie Komendancie, a co będzie, jeśli ja skoczę na bunkier, a grupa uderzeniowa nie opanuje budynku?

Przecież Niemcy ogniem maszynowym odetną mi drogę odwrotu ?
KRYZIA, przyjrzał mu się spod oka. To wojna, "Raczy", musimy
ryzykować. Wszyscy musimy ryzykować. Odprawa się skończyła.
Wracali z powrotem w las, na miejsce biwaku, zobaczysz, że i
"Raczy", potrafi ryzykować. Już ci "Raczy" pokaże, że bebechy
z siebie wypruje, a bunkier utrzyma, choćby zginąć przyszło....

Przycupnieci w stu ludzi między chojarami, przemar-
kowali cały dzień tak cicho, że nikt nie zauważył. Tuż przed
wieczorem, cztery partyzanckie podwoły podjechały między ogniska.
Fierwszy ruszył "Matrosow" z "Pajakiem" (Romualdem Bardzyskim)
Tuż za nimi trójka; "Bez", "PONIATOWSKI" i "Szturm". "Bez"
długo ważył w dłoni swego mauzera, nim go zatknął za pasem. Ten
pistolet przyniósł z wermachtu, a dziś wrócił do niego, jechał aby
się sprawdzić. "Poniatowski z petem przylepionym do wargi, upychał
po kieszeniach granaty. Ten nie znał strachu wogóle. Miesiąc temu
jego wyczyn był na ustach całej Nowogródziny. Akurat Niemcy,
zmienili w Lidzie burmistrza - poprzedni wydał im się nie dość bru-
talny i powołał na to stanowisko białoruskiego nacjonalistę, Min-
kiewicza. Ten obejmując urząd obiecał Niemcom na wielkiej popija-
wie "ja się wykopie w polskiej krwi"... Nie zdażył, bo spotkał w
kilka dni potem na swej drodze "PONIATOWSKIEGO", który mu władował
w żołądek sześć kul z parabelki.

Pamiętajcie - upominał ich *KRYZIA* tuż przed odjazdem -
bez zbytej brawury. W dziesięć minut po pierwszych strzałach
kompania tyraliera wychodzi z lasu i idzie ku miasteczku, by wam
zapewnić bezpieczny odwrót. Za podwoła "Poniatowskiego" ruszyły
wózki "Drzazgi" i "Raczego". A "Matrosow" w tumanie kurzu wjeżdżał
już w opłotki wsi zasz ze swoimi.

"Raczy" ścisnął między kolanami brudny worek, w którym
automat PPD podzwaniał cicho o skorupy granatów. Krótki korzuszek
nałożony wełną na wierzch, pozwalał szybko sięgnąć za pasek po
piętnastostrzałową efenkę. Koła terkotały raźnie po kamieniach, za
nimi zostawał las, przed nimi, przed dyszlem bieliła się szosa, gi-
nająca między zabudowaniami. Konie szły szybko, pasając i bijąc ogo-
nami. Jest wreszcie miasteczko, wózek, wiozący "Matrosowa" już
daleko, prawie przy kuźni. Do ortskomendantury najwyżej sto metrów.

Dojeżdża tam podwoda "Bza" i "Poniatowskiego", zaraz staną, wysiada i zaczyna się... Furka jednak jedzie dalej. Dlaczego? "Rączy" nie rozumie, ale się nie dziwi. Widać tak trzeba, zresztą to go mało obchodzi; wie, co do niego należy i to jest dla niego w tej chwili najważniejsze. Podwoda z "Drzazgą" staje zgodnie z planem. Chłopak schodzi, przez chwilę pod odchyłona poła burki miga oksyda lufy automatu. Pusty wózek jedzie dalej, a "Drzazga" obciera słomą, buty i wyraźnie czeka, aż wysiadzie "Rączy". Naraz, pięćdziesiąt metrów za orstkomendanturą staje wózek "Bza" i cała trójka wyskakuje na szosę. Dlaczego tam? Dlaczego tak późno?

"Rączy" zsiada z podwoły. Przed nim, za rowem wzdłuż szosy połyskująca ostrymi zadziórami, trzymetrowa krata z drutu kolczastego. Gdzie tu jest furtka? Chyba tam gdzie chodnik. Jest. Trzeba przełożyć dłoń przez druty i otworzyć haczyk. Furtka ustępuje.

Hej. Was willst du? - słyszy naraz od budynku. W oknie stoi trzech szkopów w rozpiętych kurtkach i obserwuje go z zainteresowaniem. W łaciatym kożuszkach, z brudną mycką na głowie i workiem na plecach wygląda jak zahukany chłopiec. "Rączy", przekłada worek do lewej dłoni a prawą czapkuje, prawie do samej ziemi. Niemcy rechoczą.., na, polski chłop, was ist loss? "Rączy", czapkuje dalej, następnie wchodzi w ogrodzenie, przemyka za sobą furtkę, jeszcze raz czapkuje i idzie w kierunku drzwi. Ale ledwie załom domu skrył się go przed okiem obserwujących, jednym skokiem znalazł się na bunkrze. Rozsupłał worek, złapał za lufę.

Niemiec stał w wejściu budynku zaskoczony metamorfozą, jaka nastąpiła w zahukanym chłopku, a potem w jednej chwili pojał. Szarpnął kaburę pistoletu na brzuchu, ale zdał sobie sprawę, że nie zarepetuje, tamten może być szybszy, rzucił się więc, by podciąć nogi bandycie... Ale "bandyta" nie w ciemną bitę; widząc, że lufa zaczęła o worek, a Niemiec tuż, więc z góry ładuje solidnego kopa wprost w szeroką pierś przeciwnika, aż ten, mimo że chłop na schwał, nakrywa się nogami. Wreszcie jest wyzwolony automat, akurat w chwili, gdy Niemiec podnosi się z upadku z pistoletem w dłoni. Teraz decydują sekundy - szcęk zamka PPD i krótka seria zlewa się ze strzałem Niemca. Kula skowycze chłopcu nad uchem, Niemiec zaś, trzymając się rękoma za piersi, zatacza się za róg domu i niknie w drzwiach.

Teraz dopiero od strony szosy rozlega się istna kanonada - to chłopcy odczarowani jego serią przypuszczają * SZTURM * "Rączy" nie może dopuścić, aby Niemcy zabarykadowali się w budynku. On właśnie ma najbliższej - skacze więc z bunkra prosto w uchylone drzwi i tam dostrzega sunącego ku stojakom z karabinami swego rannego Niemca. Jeszcze jedna seria kończy sprawę. Więc powrót na bunkier. Wyskakuje z sieni i w drzwiach dosłownie nadziewa się na "Poniatowskiego", "Bza" i "Szturma". "Bez" w biegu odkręca kapsel zapalnika handgranatu, uchyla drzwi do sali sypialnej, ciska z rozmachem, zamyka drzwi i odskakuje pod ścianę. Huk, drzwi zafalowały jak pchnięte taranem, brzęk szyb, jęki i okrzyki..... Nicht schiessen! nicht schiessen!

Niemcy wychodzą z podniesionymi rękoma, pokryci białym pyłem tynku, przerażeni, żebrzący wzrokiem o litość. "Bez" ustawia ich pod ścianą budynku, sprawnie obmacuje, podczas gdy "Poniatowski" i "Szturm" zagląдают w każdy kąt, czy któryś z niefortunnych obrońców nie próbował się gdzieś ukryć.

Okazuje się, że załoga ortskomendantury po odjeździe części pod Koniawę składała się z ośmiu ludzi, z czego dwóch poszło na przepustkę do miasteczka, komendant, ten najbardziej bezwzględny, zginął od serii "Rączego", a jego pięciu pozostałych podwładnych stoi pod ścianą i dygoce na widok mauzera w rękach "Bza".

Szybko podjeżdżają podwozy i gdy "Rączy" z "Drzazga" ubezpieczają całą akcję, a "Bez" pilnuje rozbrojonych, "Poniatowski" i "Szturm" ładują łupy. A są dość obfite - czeski erkaem, bergman, osiem sztuk broni długiej, kilka skrzyń granatów, ponad pięćdziesiąt tysięcy pocisków, sześć pistoletów.

Odskok. a co z nimi? pyta nieco bezradnie "Bez". Zabieramy z sobą - potrzymany jako zakładników, żeby nie było represji na ludności. Konie chłaśnięte biczami, poszły z miejsca w galop, obok nich biegli ludzie, i ci uzbrojeni i ci przerażeni doostatka, potykający się, w rozchełstanych mundurach, bez pasów, żandarmi. Już ostatnie opłotki i złote rżysko. A na tle lasu - szeroki sierp tyraliery kompanii *KRYSI*. A więc udało się. Teraz byle prędzej, byle coś nie wskoczyło na kark z niespodziewanej strony...

"Rączy" biegnie ostatni, niepokoi się, czy "Matrosow" ze swoją dwójką, po dziesięciu minutach odskoczy, czy będzie dalej tkwił w kuźni przy erkaemach. Ale jest tuman kurzu i łoskot kół po kociach łbach - "Matrosow" ze swoją dwójką dogania ich. A więc jest komplet nie tkniętych ludzi.

Tymczasem *KRYSIA* widząc pedzającą ku tyralierze kawalkadę wozów jest przekonany, że to pogrom. Strzelanina, którą słyszał, była zbyt krótka, aby złamać obrońców. To znaczy, że chłopcy załama-
li się, skrwawili. Wysforował się więc dowódca przed równy rząd wojska i przypadł na szosie do pierwszego z biegnących do "Bza".
Rozbici,? krzyczy, nie, rozbiliśmy-rzezi tamten. Jeden rzut oka na wozy pełne broni i amunicji, na rozbrojonych Niemców i *KRYSIA* śmieje się jak szalony. Sprawdził się chłopie, przywracam ci stopień sierżanta-klepie go po ramieniu. Panie Komendancie-pro-
testuje przez kaszel i zmczenie "Bez", to nie moja zasługa, to "Raczy", On opanował całą sytuację."Raczy", ilu zabitych? jeden panie Komendancie. *KRYSIA* staje w pół kroku. Twarz ściągnięta wielkim niepokojem. Który?-pyta. Niemiec, panie poruczniku, komendant ortskomendantury, seria go załatwiłem. Znow uśmiech na twarzy *KRYSI*. To mów tak od razu. "Raczy"- Gratuluje Ci i dziękuje. Tak się skończyła akcja na Kolesniki i sprawdzenie "Bza".
Porwani żandarmi okazali się Austriakami; było to pocziwe pospolite ruszenie, śpiewacy operowi, malarze, do których nikt w Kolesnikach pretensji nie miał. Austriaków wypuszczono, bo Niemcy nie stosowali żadnych represji na ludności miasteczka.

Odmaszerowały też ściągnięte pod Koniawę niemieckie posiłki i wszystkim wydawało się, że sytuacja wróciła do stanu normalnego. Wszystkim, tylko nie Komendantowi *KRYSI*. Nadal GO korciły koszary pełne trzystu szaulisów i magazyny pęczniejące od broni i amunicji. Cpisałem tylko jeden z niewielkich epizodów walk z okupantem, nie sposób omawiać o wszystkich akcjach naszego 77 Pułku, chociaż bitwy pod *JEWŁASZAMI* pominąć nie mogę, gdyż tam właśnie zginął jeden z największych bohaterów naszej "PARTYZANTKI"; a jak do tego doszło niech mi znowu pomoże książka pana Cezarego Chlebowskiego, który tak pięknie opisuje; nie tylko sławne akcje, ale i tragiczne dzieje poszczególnych naszych CDDZIAŁÓW.....

.....* Rano 16-go czerwca - wymarsz. "PONURY" idąc z drugą kompanią, jest dziwnie milczący. Klucze z Pińskiego więzienia podzwaniają cicho w wielkim mapniku. Obok dowódcy jego adiutant, ppor. "Mały" i lekarz batalionu "Jontek".

Żołnierze także wyraźnie podenerwowani. Przecież poza pierwszym plutonem inne jeszcze nie wachały prochu. Uzbrojenie różnorakie; rosyjskie, niemieckie i włoskie, nie do wszystkich karabinów jest dość amunicji. Co prawda, obok 4 kompanijnych erkaemów, na czas tej akcji

PCNURY kazał dobroić grupę uderzeniową, o 1 cekaem, 1 elkaem, i granatnik z obsługą, ale zawsze to pierwszy bój.....

W południe kompania zaległa w lesie. Jest parno, upalnie. Do umocnień stutpunktu nie dalej niż dwa kilometry. Trwają. Godzina "C"znaczona na 16.30. O tej porze bowiem Niemcy siadają, jak co dzień do obiadu. O 16-tej cichy gwizdek podrywa prawie stu ludzi. Możliwie jak najspokojniej docierają na pozycje wyjściowe. Jest dokładnie 16.30, za chwilę ruszą do natarcia. Stutpunkt, odległy o niecałe 300 metrów, jak wymarły, tylko przez oficerską lornetkę, widać nikły ruch w szparce strzelniczej jednego z "grzybków"- betonowych bunkrów. Wartownik. Cisza.

.....I naraz gdzieś w oddali, gdzie waruje w zasadce przy Szczuczyńskiej szosie pierwsza kompania por."OSTCI", zrywa się huraganowy ogień (okazało się później, że żołnierze pierwszej kompanii ostrzelali niemiecki patrol, który niebezpiecznie zbliżał się do miejsca zasadki) Bunkier, dotąd martwy, roziskrzył się erkaemowymi strzałami wartownika. Pusty dziedziniec zaroił się mundurami feldgrau. Niemcy błyskawicznie zajmują stanowiska i widać chłopcy *PCNUREGO* na lizjerze lasu są niezbyt dobrze ukryci, bo zostają, natychmiast przygnieleni nawałą ognia.,.,.,

Cholera, zaskoczenie nie wyszło-zżyma się *PCNURY*, "Okon", rozwijaj plutony do ataku. Na głos i ruch ręki dowódcy kompanii, plutony, o dziwo, sprawnie rozwijają się, choć niemiecki ogień przeraża gwałtownością. Partyzanckie erkaemy, powolne, gdakliwe diegtiary, starają się osłonić atakujących, ale przewaga nieprzyjaciela jest znaczna. Skacze pochylony pierwszy pluton. Ida dzielnie, choć trup pada gęsto. Jeszcze pięćdziesiąt, jeszcze trzydzieści metrów. Zalegają. Ani w przód ani w tył. Przed nimi gęstwa kolczastych drutów i bunkry. Za nimi otwarta przestrzeń i jęk rannych. Drugi pluton, prowadzony przez ppor."Burego" wtulił się w ziemię o sto metrów od strzelnic. I ani głowy podnieść. Trzeci pluton już dość wysokim zytem doszedł blisko, pod osłone stodoły jednej z zagród, ale gdy wyskoczył na otwarte pole i on wcisnął się w ziemię orzut granatem od zasieków. Jego dowódca, sierżant "Toska", nie młody już 40 letni podoficer, doświadczony, z Virtuti za 1920 rok, próbuje poderwać chłopaków, ale Niemcy biją, niemiłosiernie. Zanoszą się na klęskę,...

Czas zakończenia akcji wyznaczony został przed uderzeniem na dwadzieścia minut, a tu 20 minut minęło, wojsko leży jak na patelni, Niemcy zaś strzelają niby do kaczek. Trzeci pluton jest najbliżej. "Okon", postanawia ich poderwać. Ale na razie leży z drugim plutonem o 100 metrów od drutów. Czołga się więc w strugach niemieckiego ognia, dopada zabudowań gospodarczych i tu za rogiem stodoły nadziewa się na *PCNUREGC*.

"Okon". Do jasnej cholery, co to za wojsko.? Natarcie-utkwilo.-krzyczy dowódca batalionu. Zaraz Komendancie, podrywam trzeci pluton. A trzeci pluton przeżywa kryzys. Dowódca, sierżant "Toska", ciężko ranny w pierś, kilku żołnierzy obficie krwawi, dwóch zabitych, a Niemcy piorą, aż się ziemia gotuje. Ktoś puścił wiadomość, że Niemcy zaszli z boku. Łada chwila chłopcy ogarnięci paniką runą do tyłu. Obecność "Okonia" przywraca spokój. Kierowany przez Niego ogień staje się spokojniejszy, sprawniejszy. Bronń maszynowa bije teraz bez przerwy w otwory strzelnicze, dzięki temu kilku żołnierzy podczołguje się pod zasieki i przecina jenożycami. Przejście jest wolne. Poderwani krzykiem "Okonia", osłonięci wybuchami granatów, skoczyli w powstałą wyrwę. W tej samej chwili z otoczenia *PCNUREGC*, stojącego za załomem stodoły, wybiegł jak szalony, sanitariusz plutonu, strzelec "Pług" i na oczach zdumionych plutonów dobiegł do słabo zabezpieczonego wjazdu do stutrzpunktu, przesadził jednym skokiem niskie kozły hiszpańskie, podbiegł do bunkra, wsunął w szparę lufę karabinu i strzelił - jak się później okazało - prosto w głowę niemieckiego cekaemisty. Sam pada ciężko ranny (po bitwie strz. "Pług" został odznaczony za ten czyn Krzyżem Walecznych) ale bunkier, ryglujący dotąd ogniem natarcie, zamilkł. Tu za "Pługiem" wypadł *PCNURY*. Chłopcy. Naprzód. -krzyknął. HURRA... Poderwali się do ataku żołnierze 1 i 2 plutonu. *PCNURY* przeskoczył kozły i wyrwał granat zza pasa. W tej chwili rozczekał się seria, peemu mały, betonowy "grzybka"-przyziemny bunkier..... *PCNURY* złapał się za brzuch, czarna maź przelała się przez palce i osunął się, najpierw na kolana, a potem na plecy.

Rany Boskie. Komendant nie żyje.- krzyknął porucznik "Mały" i szarpnął się za *PCNURYM*. Niemiec z "grzybka" poprawił krótką serią i adiutant z rozprutym brzuchem runął tuż przy dowódcy. Ku rannym skoczył "Jontek". Niemiec z "grzybka" i jego powitał serią, lecz chybił. Lekarz dopadł Komendanta. Przykleknął. *PCNURY* już konał. Pokryte wielkimi kroplami potu czoło, oczy uciekające

poł czaszke, mówiły że to już koniec. Lekarz wziął delikatnie głowę dowódcy w obie dłonie i położył sobie na kolanach..... "Jontek"... ,wycharczał *PCNURY* - co z bunkrami ? "Jontek" rzucił okiem dokoła. Gotowało się. Bój trwał zażarty. Granatami wykańczano Niemców. Stützpunkt zdobyty, panie Komendancie. To dobrze..., wyszeptał umierający. Uparty Niemiec z betonowego bunkra raz jeszcze poprawił. "Jontka" smagneło ognista struga po plecach. Czuł że traci przytomność. Wywalił się na bok. Głowa *PCNUREGC* upadła w piasek. Ty też ?... wystękał. "Jontak" podparł się łokciem, podczołgał się bliżej. Znow podniósł głowę dowódcy. Nie panie Komendancie... "Jontek"... szarpał słowa *PONURY*, powiedz żonie..., i rodzicom..., że ICH bardzo..., Kocham..., i że umieram jak Polak... Chłopcy wdarli się do głównego budynku umocnienia. Teraz walczone wręcz, kolbą, granatem... Panie Komendancie..., zdobyliśmy... - szepnął "Jontek".. A gdy osłabłe rece rannego lekarza nie mogły już utrzymać głowy dowódcy, *PCNURY* wyszeptał prawie bezgłośnie; I pozdrówcie... Góry... Świętokrzyskie....

Jewłasze zdobyto. Z 40-osobowej załogi nie wyszedł nikt żywy. Straty własne; 8 zabitych, 7 zmarło z ran, 8 lekko rannych. Zdobyto dużo sprzętu i broni.

W obronie naszego Kraju, oddał życie jeden z najlepszych żołnierzy Armii Krajowej, 16-go czerwca 1944 roku. Poniżej przytaczam * RZKAZ SZCZEGÓLNY * Dowódcy Armii Krajowej Okręgu Nowogrodzkiego N.P.dn. 18.VI.1944 r.;

"Żołnierze. Dnia 16 czerwca odszedł od nas na zawsze Dowódca 7-go batalionu porucznik *PCNURY*. Padł od kuli na bunkrze niemieckim, idąc w pierwszym rzucie z oddziałem szturmowym, dając Wam raz jeszcze przykład nieustraszonego męstwa jakie cechowało tego urodzonego dowódcy i żołnierza. Frostolinijny, surowy dla siebie i sprawiedliwy dla podwładnych, rozważny, żołnierz rozmyślony w wojnie, dla której poświęcił siebie samego i swoich najbliższych. Takim samym widział go kampania wrzesniowa 1939 roku... Takim był na polach Francji w 1940 r., takim zastaliśmy go, gdy powrócił i prowadził oddziały polskie do zaciętych walk w Górach Świętokrzyskich. Takim był u nas i pozostać powinien na zawsze w naszej pamięci.

Żołnierze. Stawiam Wam za wzór, żołnierskie życie i zaszczytną śmierć porucznika *PONUREGO*.

Żołnierze. Dnia 16-go czerwca wraz z porucznikiem *PONURYM*, padli od kul na bunkrze niemieckim; plutonowy "Staliniec, starszy strzelec "Kanarek", st. strzelec "Dymek", oraz strzelcy; "Lipek" "Brzoza" i "Topola". Poświęcili swe młode życie w zmaganiu z śmiertelnym wrogiem w walce i wolność.

Żołnierze. Wolność i niepodległość krwią się kupuje. Cześć Ich pamięci.

Dowódca AK Nowogrodzkiego
Okregu/Prawdzie ppułk/

A już za kilka dni po pogrzebie naszych z "UDERZENIA", otrzymaliśmy nowy rozkaz, wymarszu całego pułku na koncentracje pod WILNO. Idąc za Zofią Kobylańska, "ZOSIA", opiszemy ostatnia "AKCJE" na WILNO. Opisy walk pod samym miastem, są bardziej dokładnie omawiane w książce "Wspomnienia Sanitariuszki", niż moje, dlatego za pozwoleniem pani Zofii, posłuże się JEJ sprawożeniem;

* Rozpoczął się forsowny marsz - z Surwiliszek do WILNA, jest wiele kilometrów. Trzeba było je pokonać w ciągu paru dni. Po pierwszym ożywieniu i dyskusjach wywołanych rozkazem, w Oddziale zapanowała cisza. Ci co mieli wątpliwości, zamilkli, Ci co ich nie mieli, cieszyli się na "wielką drakę". Maszerowaliśmy Czarnym Traktem. Nie byliśmy sami, w pobliżu ciągnęły inne Oddziały Partyzanckie, spotykaliśmy się z nimi na postojach, mijaliśmy się. Lipcowe słońce mocno przygrzewało. W nocy na wschodzie dać widać było coraz większe Łuny.. We wsiach ludzie z niepokojem spoglądali na naszą kolumnę, cieszyli się, że "tyle polskiego wojska". Witali i żegnali śmiejąc się i płacząc. Mówili o swoim niepokoju i obawach. Byliśmy coraz bliżej frontu, wciąż spotykaliśmy na drodze wozy z ewakuującą się ludnością, z terenów wschodnich.... Nerwowy nastrój oczekiwania na walkę wzrastał się. 6-go lipca 1944 roku, zaczęliśmy się pod lasem, w nocy mieliśmy stać uderzyć.

Był ciepły pogodny wieczór. Zbiórka. Batalion staje w dwuszerogu. Podciągają ku nam jeszcze inne dwa Oddziały. Stajemy w podkowie, pośrodku ksiądz "Cro". Zapowiada generalną absolicję przed bitwą. Kłękamy. Ksiądz kręśli nad naszymi głowami znak krzyża i wzruszonym głosem wymawia słowa rozgrzeszenia. Pochylają się głowy.

Ręce nawykłe do broni, teraz pokornie uderzają się w piersi, a usta szepczą - BOŻE BĄDŹ MIŁOŚCIW... Czy będzie ???

Ksiądz "Cro" skończył, wszyscy jeszcze klęczą. Mólą się. Spoglądam po tych pochylonych głowach, robi mi się straszliwie smutno. Chociaż Bóg jest miłosierny, to jednak nie wszyscy wrócą, z walki. Takie jest okrutne prawo wojny.

Nocą, maszerowaliśmy długo w całkowitym milczeniu. Tylko szcekała broń, stukają koła taczanek, pęchał siwek. Szłam na szpicie z plutonem "Protazego", był on wyraźnie zdenerwowany. Wspominał Podlasie, wracał myślą, do narzeczonej, jakoś niezwykle zła-godniał. Nie poznawałam go. Zostań przy "Protazym"-szepnął mi któryś z kolegów. Zawsze lepiej, gdy sanitariuszka pod ręką, człek pewniej się, czuje w razie czego...?

Nagle- Stój. Strzały. Tyraliera naprzód-to niemieckie tabory. Na wozach dużo papierosów i wysmienita czekolada. Maszerujemy dalej. Jest noc. O drugiej ma się zacząć... Mamy rozkaz uderzyć od strony wsi Góra, przechodzącej w ulice Subocz już w WILNIE. Był to odcinek położony między torami kolejowymi a szosą Cezmianską. Z naszej lewej strony atakował 1-szy batalion Nowogródzki, z prawej "Szczerbiec". Pierwsza kompania idzie w szpicie, za nami idzie druga kompania, kapitana "Jacka" i trzecia ubezpiecza od tyłu.

Jest druga po północy. Wchodzimy do wsi Góra, droga rozwidla się, obejmując ramionami gliniankę i wysoką skarpe. Na lewo od drogi, na wzgórzu naprzeciw skarpy mały cmentarzyk. Skarpę porasta żółknące już zboże. Według przekazanego już rozpoznania, na Niemców powinniśmy się natknąć dopiero po wejściu do WILNA. Tymczasem gdy tylko znaleźliśmy się we wsi, padają pierwsze strzały. A więc rozpoznanie jest mylne. Na skarpie w zbożu są niemieckie umocnienia; bunkry i rowy strzeleckie. W odpowiedzi na strzały pada rozkaz; "tyraliera" naprzód. Chłopcy rozsypują się, biegną ku skarpie. Ckm-y i działko "Romana" podciągają, na wzgórze cmentarne, skąd jest dobre pole ostrzału. Można stamtąd pokryć ogniem schowane w życie niemieckie bunkry, w których znajdują się gniazda ckm-ów. Na prawym skrzydle rozwija się 2 kompania. Uderzenie na bunkry idzie z dwu stron. Część 1-ej kompanii uderza od strony glinianki.

Niemcy gęsto ostrzeliwiają się. "Orlik" jest ranny w nogę, leży na zboczku skarpy. Rana nie jest ciężka-po opatrunku, chłopak powoli zsuwa się i o własnych siłach odchodzi na tyły, ja pnę się ku górze.

Gdy mam już stanąć na krawędzi, ktoś podcina mi nogi. Wywracam się, wściekła, rzucam "wiązaną Łaciny" na temat głupich żartów. W odpowiedzi słyszę; Wariatko, w czapę chcesz? to idź..... Rzeczywiście, gdy ktokolwiek wychyli się nad skarpe, natychmiast padają strzały. "Kozicowi" zrywa czapkę, na szczęście głowa cała. kulki sypią się, jak rzucony gołębim groch. Reszta 1-ej kompanii uderza z boku na skarpe i znajdujące się tam bunkry i zabudowania. Z prawej strony 2-ga kompania (razem z "Dziękiem") atakuje rowy strzeleckie łączące się z bunkrami. Niemcy gęsto ostrzeliwują się. Nasi nacierają, coraz mocniej. Chcą dostać się do bunkrów i rowów, rzucają granaty. Wśród zgiełku walki, z daleka, z prawej strony słychać strzały. To "Szczerbiec" atakuje od strony Kolonii Wileńskiej....

Wszystkich opanowuje szaleństwo walki. Krzyczą, klą, biegną, padają, strzelają, rzucają granatami. Robi się istne piekło. Coraz więcej rannych. Odnosimy ich na tyły, gdzie w stodole urzęduje "Bull", "Nina" i ksiądz "Oro". Komendant stoi pod drzewami, jest koło Niego, "Wroński", "Wołkowyski" i inni. Ze swego stanowiska mogą obserwować całą linię. "Wołkowyski", by mieć lepsze rozpoznanie, biegnie na wzgórze cementarne koło działka i stąd obserwuje walkę, a potem wysyła gońca z meldunkami do Komendanta. Kursuje jak automat między walczącymi i punktem sanitarnym. Coraz więcej rannych. Opatruje jakąś Łacniczkę czy sanitariuszkę, która tuż przed naszym uderzeniem na WILNC, przyszła do 2-giej kompanii, ma postrzał klatki piersiowej. Druga, też bliżej mi nie znana, jest ranna. W przelocie spotykam "Sułtanke", sanitariuszkę 2-ej kompanii - także ma pełne ręce roboty. Mijam się z "Daną" z 2-ej kompanii (naznaczona "Dzeka") - coś do mnie woła, nie słyszę, cóż, widzę tylko, że pokazuje na skarpe..., biegnę tam.

Do bunkrów podczołguje się, ze swym plutonem "Knyszyniak". Żołnierze wdzierają się do środka. "Kozicowi" udało się wdrapać na dach jednego z nich i stamtąd rzuca do wnętrza granaty. Teraz walczą już przy bunkrach i w samych bunkrach. Niemieckie tabory stojące przy chałupach w pobliżu umocnień są, już w naszych rękach. Szkopy z obstawy taborów poddają się. Ale bunkry i rowy strzeleckie bronią się zjadle. W pewnej chwili słyszę wołanie; Zośka, Zośka. Sanitarjuszka. na pomoc, "różga" ranny. Pędzi ku bunkrom. Koło chałupy, przy której stoi kilku niemieckich jeńców pilnowanych przez naszych, leży "Różga". Ma rozprutą całą pierś i zupełnie widoczne serce. Sączy się krew, Zaczynam opatrywać. Niech mnie pani dobije - szepcze z prośbą - dobij mnie.

W kieszeni fotografie, portfel, zabierz proszę i oddaj rodzinie, dobij... Kilka kolegów stoi mi nad głową, i rozpaczliwie powtarza; Ratuj GO, CN nie może umrzeć. Niestety wiem, że nie tylko może, ale musi umrzeć... Nie pomogą mu moje najtroskliwsze opatrunki. Niesiemy go na dół do punktu sanitarnego. Tam są lekarze, jest także "Bull" i "Nina"-opatrują rannych i odsyłają ich dalej. "Różga"prosi-dobij.. Nie mogę, nie potrafię dobić tego przyjaciela, przekracza to moje siły, zostawiam to "Bullovi" w sanitarjacie. Proszę morfine-jeszcze słyszę czyjś głos... Jak oszalała biegnę z powrotem. Po drodze słyszę; "Protazy" ranny. Pędzę, za późno, Nie żyje, dostał w głowę... Ogłuszona wybuchami granatów i straszną strzelaniną, krzykami, kreciłam się wśród walczących, opatrywałam na miejscu lżejsze zranienia lub przy pomocy kolegów odnosiłam ciężiej rannych za linię ognia. Z tych chwil pozostało mi dziś w pamięci jedynie wrażenie jakiejś wielkiej krzątaniny, ogromnego wysiłku nerwowego i fizycznego. Pamiętam, że coraz to kogoś opatrywałam, ale kogo? Nie wiem. Wszystko zlewa się w jeden obraz, jakiegoś straszliwego, rozszalałego żywiołu-twarze rannych w jedną w twarz rozpaczliwie-cierpiąca-twarzkonającego "Różgi"i rozsadaną pociskiem głowę "Protazego", ciężko postrzelony jest w szyję Janek "Knyś szyniak". Gdy nadbiegam, opatruję GO już "Sułtanka". Francuz "Robert" który jeszcze tak niedawno ofiarowywał swą krew dla ratowania "Grodnika"(Drogi mi Zbyszku), leży teraz na skarpie zboczony krwią, jest beznadziejnie ranny w brzuch. Kona.

Wreszcie bunkry zostały zdobyte. Część Niemców poddaje się, część wycofując się ze swojej pozycji nie rezygnuje z dalszej walki. Ckropna haratanina przy rowach strzeleckich. Bitwa nadal trwa. Świta. Na niebie ukazują się samoloty zwiadowcze. Nie strzelają. Wyznaczają cele dla artylerii. Cdleciały. Za chwilę zacznie się zmasowany ostrzał z dział pancerni. Kładą ogień tuż za naszymi pozycjami, na pozycje 2-ej kompanii. Nie ma przed nim żadnej ochrony-stanowimy łatwy cel. Sytuacja staje się coraz trudniejsza. Cdnosząc któregoś z rannych mijam po drodze leżących na rozstaju dróg "Sambora"i "Zawade", biegnę dalej do punktu sanitarnego. W drodze powrotnej przechodzę koło stanowiska dowodzenia, nad naszymi głowami krążą samoloty. Poprzez ich szum słyszę ostatnie słowa raportu, przekazywanego Komendantowi przez gońca; "Sytuacja beznadziejna, jeżeli nie wycofamy się, wybija nas"... Chwila ciszy, a potem; "Nie mam rozkazu wycofania się".....

" Różga"nie żyje, "Protazy nie żyje, tylu zabitych i rannych. Tam wre walka. Nie, to bezsens czekać, nie zastanawiając się rzucam się do Komendanta, "Jak wilczyca, której zabierają szczenięta"(tak potem

określił to "Bull) Padają szalone niesprawiedliwe słowa-żądania, błagam o rozkaz wycofania ludzi. Odpowiedzi nie ma. Zawołana przez kogoś wracam znowu na linię. Gdy przeskakuję przez szosę, słyszę chichot pocisku. Zanim pojałam co to znaczy, przekoziłkowałam w powietrzu i upadłam kilka metrów dalej. Zerwałam się z ziemi i zaczęłam nieprzytomnie uciekać ku chatom. Zaśmiały się w powietrzu drugi pocisk, trzeci. Strzelano teraz do nas z pancernego pociągu. Samoloty przeprowadziły rozpoznanie i nakierowały działa pancernki. Teraz znowu krążą nad nami ostrzeliwując." Obec samolotów i artylerii jesteśmy bezradni.

Już widno, wejście do WILNA w tym momencie jest niemożliwe. Przecież chodziło o to, by pod osłoną nocy dostać się do miasta i tam rozegrać walkę z Niemcami. Pierwszy batalion "Zycha" zaczął się wycofywać, wyszły na niego wojska niemieckie. "Szczerbiec" również cofa się z Belmontu - dostał się pod ogień pociągu pancernego. Zginał "Ojciec" i bardzo wielu Jego żołnierzy.

Kiedy słońce było już wysoko, gdzieś około godziny siódmej, nadszedł rozkaz odwrotu. Zaczynamy się wycofywać. Cprzytomniawszy trochę, słyszę, że "Sambor i "Zawada", od których znajdowałam się dosłownie o 2-3 metry w chwili gdy uderzył pocisk, są ranni. Chcę biec do nich, ale zatrzymuje mnie "Wicher", dokąd ? wycofujemy się, CNI są już opatrzeni.

Zaczęła się makabryczna droga odwrotu. Był już dzień, spadły poranne mgły, słońce świeciło jak na złość, oświetlając każdy zakamarek, każdy zakamarek ziemi. Samoloty krążyły nad nami, siekać z karabinów maszynowych i działek pokładowych - padały ścinane seriami wystrzałów drzewa, pojedynczo stojące w polu, padali ludzie szukający pod nim ukrycia. Bezleśne, z rzadka porośnięte krzewami wzgórza nie dawały żadnego schronienia. Samoloty krążyły tak nisko, że chwilami wydawało się, że zawadzą podwoziem o szczyt wzgórza, o nasze głowy. Lotnicy atakowali każdego dostrzeżonego człowieka. Szłam obok "Wichra" - byle przed siebie, byle dostać się do lasu. Upadałam ze zmęczenia.....

Tyle słów z opowiadania pani Zofii Kobyłańskiej, naszej Drogiej i bardzo odważnej Sanitarjuszki *ZOSI*. Tak, tak, bez żadnej przesady ta dzielna i miła "siostra", dokonywała cudów by ratować życie niejednemu z żołnierzy "UDERZENIA", by nie oszczędzając siebie i bez większego strachu przed pociskami wroga, nieść pomoc dla umierających i rannych. Pamiętam Cię - SZLACHETNA PCLKO - a wspominając "NOC pod WILNEM" dziś schylamy siwe głowy w wielkim szacunku.

Niestety, Najukochańsza Mateczko, nie doszliśmy do Twojego
 CYRKA i jeszcze tym razem wrogowie naszej OJCZYZNY byli
 silniejsi i rozgromili TWOICH żołnierzyków.....
 Faszystowskie pancerne pułki i bolszewickie zagony, odgnały
 nas od WILNA, sponiewierały w swoich K A D A M A T A C H....



Matka Boska Ostrobramska — obrazek rozdawany przez księdza „Oro”
 żołnierzom przed uderzeniem na Wilno

W latach, strasznej pogardy i okrutnej niewoli na Cyberii, w
 swych codziennych modlitwach do BCGA, często zastanawiałem się.
 Dlaczego, TA, CO W OSTREJ SWIECI BRAMIE, swoimi modlitwami do
 Pana naszego, do Stwórcy, nic nie wskórała i żeby pozwoliła
 Bezbożnikom karać swoich wiernych i poddanych.??????????????
 A gdy ciarczysty mróz dokuczał, kiedy głód skręcał kiszki i
 wszelkie robactwo, przez dziesiątki lat umartwiało ciało i duszę,
 my stale w swoich "ZDROWIS MARIIC" prosiliśmy o Łaskę o pomoc...
 Dlaczego wtedy "niebo" odwróciło się, od nas ?

Po sromotnej klęsce pod WILNEM, nasze bataliony 77 Pułku, odpływały spowrotem w lasy, by jeszcze dłużej "skubać" swoich, już dwóch wrogów. Po całej Wileńszczyźnie rozproszone oddziały toczyły boje z formacjami bolszewików, które bezpadonowo robiły obławy na żołnierzy AK i po aresztowaniu, wielkimi transportami wywozili na Północne i Wschodnie tereny swojego imperium.

Długie i ciężkie lata niewoli, nie zmieniły naszych serc, które nadal kochają; "nie zapominając o głębokiej ideowości, religijności, i ofiarności żołnierzy Armii Krajowej", nadal myślą o swojej Polsce. Niezapominamy też o swoich towarzyszach poległych w chwalebnych bitwach i umarłych, zamęczonych w Cbozach.

Według opracowania Zbigniewa Lakińskiego (Grodniaka)

Straty w ludziach, KN w latach 1942-1944;

Rozstrzelanych - 30, Zamordowanych 27, Zginęło w akcjach w Warszawie 15-tu, w Walkach Partyzanckich 550, w Powstaniu Warszawskim 90

Ważniejsze walki UBK (KN) w opracowaniu "Grodniaka";

Lasy Sterdyńskie	- 20.x.1942 r.	Lida Koszary	- 7.4.1944 r
Sztabin	- 1.v.1943 r	Kiena (Todt)	- 23.4.1944 r.
Dalekie - Trzcianka	- 28.V.1943 r	Windziuny	- 16.5.1944 r.
Nieskorz	- 30.V.1943 r.	Dworzyszcze	- 28.5.1944 r.
Pawły-Ciechuszki	- 11.VI.1943	Wikszniany	- 17.o.1944 r
Zawady	- 21.VI.1943 r.	Bokszyszki	- 30.6.1944 r
Kobylin	- 21.VI.1943 r	Traby	- 1.7.1944 r
Rzedziany	- 22,VI.1943r.	Wilno	- 7.7.1944 r.
Cichowola	- 9.VII.1943 r	Wyzary	- 19.7.1944 r
Krolowy Most	- 14/15.7.1943 r.	Jewłasze	- 16.VI.1944 r
Zubry	- 17.7.1943 r	Wilanowo	- 20.7.1944 r
Okolek	- 12.8.1943 r.	Warszawa -(powstanie)	
Mittenheide	- 15/16,8.1943 r		7.8.1944 roku
Kozi Rynek	- 16.8.1943 r		
Stryjowka-Wilanów	20.9.1943 r		
Plebaniszki	26.9.1943 r		
Lejpuny	- 5.10.1943 r		
Krylatka	- 7.10.1943 r		
Grabowo Stare	- 30.11.1943 r		
Burnusy	θ= 8.12.1943 r		
Parlejewo	21.12.1943 r		
Smolarnia	- 2.2.1944 r		

© ARCHIWUM WSSHOENIE

A UBK, to Armii kwiat, niechaj mu się dziwi cały świat.....